

ZESZYT STO CZWARTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1993

ZESZYT STO CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1993

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 480

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0148-7

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Józef RYBICKI

ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE

PRZEMÓWIENIE W DN. 18.IV.1988 R.
POD MUREM ŻYDOWSKIEGO CMENTARZA

Obiecano nam, że brama cmentarza będzie otwarta. Niestety z polecenia Gminy Żydowskiej została zamknięta.

Mieliśmy się zebrać za bramą cmentarną, by złożyć wieńiec na symbolicznym grobowcu Michała Klepfisza, jednego z bohaterskich przywódców powstania w getcie, i w Jego Osobie uczcić wszystkich poległych, pomordowanych żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Pragnęliśmy oddać hołd powinny żołnierzom getta w imieniu żołnierzy Armii Krajowej, którzy pośrednio lub bezpośrednio brali udział w starciach pod murami getta.

Miał tu być z nami dr Marek Edelman, wspomniał Człowiek, jeden z ostatnich przywódców powstania.

Niestety władze bezpieczeństwa — ze względu na jakoby przygotowany zamach na Niego, w trosce o Jego życie — nie pozwoliły Mu na opuszczenie miejsca Jego zamieszkania (m. Łódź), otaczając Go specjalną opieką. Wierzymy jednak, my tu zebrani, iż myślami i sercem jest w tej chwili z nami.

Nie mam odpowiednich słów, które by mogły jak najwyraźniej i najprościej wyrazić nasze uczucia dla tych, którzy walczyli o godność i wolność. Wiedzieli oni, że zginą. Posiadali pełną świadomość, iż idą na całopalenie. Oddali swe życie dla życia drugich, pomni tych słów z Talmudu Babilońskiego, że kto ratuje jedno życie, ten jakby ratował cały

świat. Z krwi Ich powstał posiew olbrzymi. Ich odwaga, bohaterstwo, poświęcenie są wzorem, natchnieniem dla wszystkich walczących o wolność, prawdę, niepodległość.

A jak czuliśmy się my, żołnierze Podziemia? Byliśmy skazani na bezsilę, bezsilność. Nie mogliśmy dać odpowiedniej, niezbędnej pomocy. Tam, gdzie były potrzebne dywizje, tam mogliśmy uderzać nielicznymi tylko grupami, nikłym podrzucaniem broni. Powstanie, później warszawskie, wykazało jak słabo było uzbrojone podziemie poza gettem.

Tam, za murem, płonące domy getta, detonacje, strzały, rozstrzelania, mordowanie, a z naszej strony ból i rozpacz niemocy. To tak, jak matka, co wie, że dziecko jej umiera, tylko boleje i rozpacza, i nic mu pomóc nie może, tak i my zdawaliśmy sobie dobrze sprawę, że pomoc, którą niesiono gettu, to tylko symbol, ale symbol braterstwa z braćmi Żydami, walczącymi również o Polskę. To straszliwe poczucie pełnej rozpacz, bezsilności pozostanie na zawsze w nas jako — wprawdzie niezasłużony — wyrzut sumienia.

Dziś w 45-tą rocznicę powstania w getcie przeżywamy nadal to wszystko, co przeżywaliśmy w pamiętnym kwietniu-maju 1943 r.

Cześć pamięci Żołnierzy getta.

Józef RYBICKI

Kazimierz ZAMORSKI

DEZERCJE ŻYDÓW Z ARMII POLSKIEJ

Wpierw definicje. Bo nie wszystkie określenia użyte w tym tytule są jednoznaczne. Już choćby fakt, że *Kodeks karny wojskowy*, obowiązujący w omawianym tu okresie, nie zna terminu dezercja, co wg *Słownika języka polskiego* (red. W. Doroszewski) oznacza „ucieczkę z wojska, uchylenie się od służby wojskowej; zbiegostwo”. Wg KKW, „przestępstwa przeciwko obowiązkowi wojskowemu” dopuszcza się żołnierz, który „opuszcza swą jednostkę lub swe stanowisko służbowe, albo poza nimi pozostaje”, co pociąga za sobą „karę więzienia do 2 lat” (art. 43, § 1), a w czasie wojny do lat 3 (§ 2). Jeśli natomiast wspomnianych przestępstw z art. 43 dopuszczono się „w celu trwałego uchylenia się od obowiązku wojskowego”, występki wojskowe stają się zbrodnią karaną do lat 10 (art. 46, § 1). Cytuję te artykuły KKW, bo będzie tu mowa o wypadkach opuszczenia jednostki, nie tylko przez Żydów, bez zamiaru trwałego uchylenia się od obowiązku wojskowego, jak też o liście „osób poszukiwanych” z racji przestępstw przewidzianych tymi artykułami KKW, zawierającej ponad 5.000 nazwisk, wśród nich pod numerem 1188: „BERLING Zygmunt, ppłk dypl. z Komendy Bazy Ewak. Krasnowodzk, ur. 27. II. 1896 r., wyzn. ewang. ref. (bliższych danych brak). Zbiegł 30. 8. 42 r. (art. 46, § 2 i 43 § 1 KKW). Poszuk. — B. Eksp. 8 Sądu Pol. — L.Kw. 649/42, post. Sądu 4. X. 42 r.”. (Dla porządku wyjaśnię, że § 2 artykułu 46 dotyczy trwałego uchylenia się od obowiązku wojskowego w

czasie wojny i przewiduje karę więzienia „na czas nie krótszy od 1 roku”.)

Następna definicja — wiem, jak śliskie to lodowisko — Żyda. Bo byli i są Żydzi i Żydzi. Cytowany już przeze mnie przy innej okazji¹ dr Henryk Ritterman-Abir, autor *Nie od razu Kraków zapomniano*, dzieli Żydów w diasporze na trzy kategorie: 1. ci, którzy wstydzą się swego żydostwa, zmieniają nazwiska, wiarę, „chętnie by nawet zmienili płć męską na mniej dyskredytującą żeńską”, 2. tacy, „którzy nie poczytują żydostwa za hańbę ale też nie uważają go za wielki zaszczyt”, 3. ci, którzy uważają, że „nie trzeba się żydostwa wstydzic i wypierać, gdyż można się nim chlubić i szczycić”. Wszystkie trzy kategorie spotkać można wśród polskich Żydów. Ale do której z nich zaliczyć takiego, który ob staje przy tym, że jest Polakiem wyznania mojżeszowego? A co zrobić z takim zapisem: „2444. CHAIME Henryk, bomb. 7 p.a.plotn., ur. 7.XI.1917 r. Wilno, syn Łazarza i Franciszki, wyzn. mojż. (rzkat.?), kierowca, kawaler. Wzr. 183 cm, szatyn, oczy c. piwne. Zbiegł 2.X.43 r. (art. 43 §1 i 2, 46 §1 i 2 KKW i 262 §2 KK). Poszuk. 12 S.P. 2 Korp.-Kw. 1832/43, post. sądu 10.XI.43 r.”. Żyd to czy Polak, względnie żyd (religia) czy rzymskokatolik? Ani jedno ani drugie. Karaim. To mój współwięzień z Odessy, rok 1940, miał wtedy na imię Anan, jak prawodawca karaimski, Ben Dawid z Basry, taki hebrajski Luter. Chaime podawał się za Tatara, karaima². Wyobrażam sobie, ile kłopotu taka mieszanka mogła przysporzyć kanceliście pułkowemu, czy też kapralowi żandarmerii, sporządzającemu odnośny zapis do „wykazu osób poszukiwanych”. (Znów dla porządku wyjaśnię, że oskarżenie z art. 262 §2 powszechnego kodeksu karnego dotyczy przywłaszczenia sobie powierzonego mienia, za co grozi kara więzienia do lat 5.) Wypadek Chaime jest wyjątkowy i do uogólniających wniosków nie prowadzi. Pozostaje zagadnienie, czy Polak wyznania mojżeszowego jest Żydem. Szereg „osób poszukiwanych” podaje „narodowość polską, wyznanie mojżeszowe”. Czy należy zaliczyć je do Żydów czy Polaków? Nie podejmuję się odpowiedzi. Wiem natomiast, że *vox populi* orzeknie: Żydzi.

„Armia Andersa” to skrót myślowy, symbol. W dokumentach, w poważnych zapisach historycznych, termin ten,

1. *Dwa tajne biura 2 Korpusu*, OPiM, Londyn 1990, str. 51.

2. *Ibid.*, str. 309.

podobnie jak np. Armia Sikorskiego, nie istnieje. Istniały natomiast poszczególne formacje wojskowe podporządkowane gen. Andersowi: Polskie Siły Zbrojne w ZSSR (12.8.1941-11.9.42), Armia Polska na Wschodzie (12.9.42-18.8.44), 2 Korpus (21.7.43, praktycznie do końca 1946). Dla przeciętnego czytelnika wszystko to jest armią Andersa. Termin ten ustalił się też w palestyńskiej, czy też późniejszej, izraelskiej publicystyce, choć raczej rzadko w związku z dezercjami.

W świadomości osób mniej lub więcej obeznanych z historią „Armii Andersa” utkwiała liczba ponad 3.000 „żołnierzy żydowskiego pochodzenia, zaangażowanych przez organizacje żydowskie”, którzy w Palestynie opuścili szeregi, czyli — jak pisze gen. Anders³ — tłumnie zdezerterowali. Wprawdzie „ponad tysiąc Żydów, obywateli polskich, w tym 180 oficerów, głównie lekarzy i oświatowców”, pozostało „do końca wojny w wojsku”⁴, liczby te są więcej niż wymowne.

Jakkolwiek wyjątkowe w rozmiarach, wydarzenie to nie było ani początkiem ani końcem dezercji Żydów, jak też terenowo nie było ograniczone do Palestyny. W rozmowie ze Stalinem w dniu 3 grudnia 1941, Anders na poparcie tezy, że ma „sporo elementu żydowskiego, który w wojsku służyć nie chce”, podaje, że 250 Żydów zdezerterowało z Buzułuka na fałszywą wiadomość o bombardowaniu Kujbyszewa. Przeszło 60 zdezerterowało z 5 dywizji w przeddzień zapowiedzianego żołnierzom rozdania broni⁵, co Stalin skwitował: „Tak, Żydzi to marni wojacy”⁶. (Nie dożył biedak wojny sześciodniowej, by zrozumieć, jak bardzo się mylił.)

Wśród „marnych wojaków”, którzy nie chcieli służyć w wojsku, byli nie tylko Żydzi, o czym można się przekonać z pobieżnej choćby lektury wspomnianej już listy 5.000 dezercerów. Jest to plik 48 Komunikatów Inwigilacyjnych⁶ wydanych przez Szefa Żandarmerii Ministerstwa Obrony Narodowej w czasie od — niestety daty początkowej ustalić nie

3. *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Montgomery Printing Company, Ltd., wydanie pierwsze, styczeń 1949, str. 201.

4. Ewa Berberyusz, *Anders spieszony*, „Aneks”, Londyn 1992, str. 59. Wg *Działania 2 Korpusu we Włoszech*, red. Stanisław Biegański, Londyn 1963, str. 170, „pełna ilość dezercji Żydów z A.P.W. (wraz z jej pierwowociną w postaci Samodz. Brygady Karpackiej) — w okresie od września 1941 do maja 1944 — wynosiła 2.972 żołnierzy spośród 4.439 wyznawców religii mojżeszowej w jej ówczesnych szeregach (tj. prawie 67%)”.

5. Anders, *op. cit.*, 118.

6. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS), sygn. A.XII.59/11.

mogłem, bo brak jest pierwszych 31 zawierających 341 pozycji. Komunikat nr 32, wyjątkowo obszerny (pozycja 342 do 1618), jest datowany „Londyn, dnia 10 czerwca 43r.” i zawiera następujący apel: „Ogłaszam wykaz osób poszukiwanych przez Szefa Służby Sprawiedliwości Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie. W razie ustalenia pobytu osób poszukiwanych tym komunikatem na terenie Wielkiej Brytanii, należy o tym powiadomić Szefa Żandarmerii Ministerstwa Obrony Narodowej”. Wobec dalszych, mniej istotnych, luk w teczce, trudno mi stwierdzić, czy komunikat nr 48 z dnia 19 lipca 1945 jest ostatnim i czy ostatnią jest podana tam liczba dezertersów: 5.144, od której należałoby odjąć 181 „odwołań pościgu”. Wobec wspomnianych braków tej dokumentacji, nawet dokładna analiza poszczególnych pozycji pozwoliłaby tylko na oceny zbliżone, prawdopodobne, ale nie stuprocentowo pewne. Tak też należy przyjąć wyniki mych — wrywkowych, przyznaję — badań.

Wybrałem cztery 50-osobowe grupy w różnych okresach:

1. pozycje listy: 342-392, październik-grudzień 1941, 22 Żydów, 23 Polaków, 3 Białorusinów, 2 Ukraińców;
2. poz. 1619-1669, listopad-grudzień 1942, 38 Żydów, w tym jedna kobieta, 12 Polaków, w tym 4 kobiety;
3. poz. 2401-2451, jesień 1942, 46 Żydów, 4 Polaków;
4. poz. 4904-4954, późna jesień 1943 i cały rok 1944, 34 Żydów i 16 Polaków.

Daje to w podsumowaniu 140 Żydów (70%), 55 Polaków (27,5%), 3 Białorusinów (1,5%) i 2 Ukraińców (1%). Rzucająca się w oczy proporcja 46:4 z jesieni 1943 roku jest odbiciem masowego exodusu z Armii Andersa „żołnierzy żydowskiego pochodzenia”.

Poważny obserwator tamtejszej sceny, właściciel i redaktor *Palestine Post* w Jerozolimie, Gerszon Agronsky⁷, wyraził przekonanie, że „gdyby armia polska została skierowana z Persji do Egiptu, względnie wprost do Włoch, a nie do Palestyny, dezercja masowa w ogóle nie miałaby miejsca, a odsetek dezertersów byłby normalny (jak) dla każdej armii. Przejście wojska do Palestyny stworzyło dopiero warunki dezercji, bo Żydzi poczuli się w domu, wśród swoich, w atmosferze życzliwej, która dawała nie tylko możliwość schronienia ale i egzystencji”.

7. W rozmowie z kierownikiem Działu Narodowościowego M.S.Wewn. w dniu 23 czerwca 1944 w Londynie. IPMS, PRM. 142, poz. 42.

Do podobnych wniosków dochodzi też naukowiec dr Dawid Engel⁸ w swej pracy na temat stosunków polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej. Cytuję wg nadesłanej mi uprzejmie odbitki szczerkowej rozdziału 4 „Soldiers”:

„Dezercje te miały ścisły związek czasowy z miejscem pobytu armii: w gruncie rzeczy dezercje Żydów z armii Andersa gdziekolwiek indziej były rzadkie. Ta zależność jest w pełni zrozumiała. W pierwszym rzędzie, jak zauważono w co najmniej dwóch polskich raportach na temat dezercji, żołnierze żydowscy w wojsku polskim coraz bardziej dochodzili do przekonania, w obliczu napływających wieści o wyniszczeniu polskiego żydostwa, że po skończonej wojnie nie znajdzie się w Polsce nikt kto pomógłby im odbudować żydowską wspólnotę życiową, jaka — więcej niż cokolwiek innego — czyniła ten kraj ich domem. Dla coraz to liczniejszych stało się jasne, że rodzaj żydowskiej wspólnoty, jaka mogła im stworzyć ramy życiowe, istniał teraz tylko w Palestynie i ich przypadkowy pobyt w tym kraju mógł właśnie w tym momencie stworzyć im jedyną szansę pozostania tu. Ponadto, nigdzie indziej nie było warunków, które ułatwiałyby dezercję w takim stopniu jak w Palestynie⁹”.

Ułatwienia te były też przedmiotem opracowania Biura Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu „W sprawie dezercji Żydów z Armii Polskiej”, datowanego wrzesień 1943¹⁰. Po stwierdzeniu, że dezercja ta przybrała „masowy charakter” — na razie 600 wypadków, „co stanowi już prawie 15 % oficjalnej liczby Żydów polskich żołnierzy” — autorzy raportu piszą:

„Dezerterzy kierują się częściowo do Batalionu Żydowskiego w Palestynie, częściowo do kibuców, względnie giną po miastach, gdzie łatwo jako fachowcy — technicy, rzemieślnicy itp. — znajdują pracę. Część tych ludzi ma w Palestynie rodziny czy przyjaciół, część zaś należy do tych czy innych politycznych organizacji żydowskich, które im również udzielają pomocy. Na ogół istnieje ogromna solidarność społeczeństwa żydowskiego w Palestynie w stosunku do dezerte-

8. Profesor New York University, autor dwutomowej pracy: I *In the Shadow of Auschwitz. The Polish Government and the Jews, 1939-1942* (University of North Carolina Press, Chapel Hill and London, 1987) i II *Facing a Holocaust. The Polish Government-in-Exile and the Jews, 1943-1945* (University of North Carolina Press, 1993).

9. *Facing a Holocaust*, cf. 8, str. 112.

10. Pełny tekst w *Zeszytach Historycznych* nr 103, Paryż 1993, str. 138-144.

rów, toteż ucieczka jest sprawą prostą, szczególnie wobec braku zarządzenia o przymusowym meldowaniu się na tym terenie. Każda gmina żydowska, każdy rabin czy notariusz, wydaje takiemu dezterterowi dowód osobisty stwierdzający, iż urodził się w Palestynie czy Jemenie, skąd, jak wiadomo, istnieje stała nielegalna emigracja. Angielskie władze wojskowe nie badają bliżej dokumentów ochotnika, polskie władze wojskowe, jak dotąd, nie wszczynają żadnych w tej sprawie dochodzeń, toteż dezterterzy wsiąkają natychmiast i bezpowrotnie w społeczeństwo miejscowe”.

„Bardzo przykrą sprawę masowego opuszczania APW przez żołnierzy-Żydów” zmuszony był omawiać Szef Duszpasterstwa Wyznania Mojżeszowego APW, rabin Meyer Steinberg, wysłany w styczniu 1944 przez Dowództwo Armii Sprzymierzonych. W rozmowach przeprowadzonych w trakcie tej misji (15-31 stycznia) poruszył — poza zagadnieniami dotyczącymi żydostwa polskiego — „problem granic wschodnich, który w chwili obecnej jest zagadnieniem olbrzymiej wagi dla całego świata” i który odgrywa niemałą rolę w motywacji dezterterów. W meldunku ze swojej misji podaje, że — zagadnięty przez trzech rabinów brytyjskich — wyjaśnił, „że niepoślednią rolę odegrała w tej materii propaganda sowiecka, działająca niewątpliwie na terenie Palestyny, oraz psychoza, która ogarnęła żołnierzy-Żydów przed obawą powrotu (tak w oryginale — kz) do terenów polskich, o których ZSSR głosi, że będą częścią składową Związku Sowieckiego, do którego to żaden Żyd po zapoznaniu (się) z jego reżymem wrócić nie chce¹¹”.

Meldunek swój rabin Steinberg zakończył apelem o „nawiązanie kontaktów z duchowieństwem żydowskim i czołowymi osobistościami świata żydowskiego w Anglii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, celem należytego oświetlenia i przedstawienia istoty sporu polsko-rosyjskiego oraz propagowanie nienaruszalności granic i całości Rzeczypospolitej Polskiej”. W najbliższych miesiącach odbędzie się na terenie Stanów Światowy Kongres Żydostwa, w którym weźmie udział również delegacja sowiecka, która „wykona swe zadanie tak, jak jej nakazane będzie z góry. Wiemy, że znajdzie ona odpowiedni grunt dzięki położeniu politycznemu na frontach. Tej delegacji należy przeciwstawić odpowiednią pracę uświadamiającą, prowadzoną przez ludzi świadomych swej drogi”.

11. Jak wyżej, str. 131-138.

Projekt takiej delegacji, właśnie w tym czasie, właśnie żydowskiej, w skład której wchodziłi ludzie najbardziej w tym przedmiocie kompetentni (jej szefem miał być młody działacz polityczny, rewizjonista, adwokat i dziennikarz krakowski dr Menachem Buchweitz), istniał i był w trakcie realizacji przez Dowództwo APW, ale został (w porę!) utracony przez czynniki polityczne¹².

Wracając do tematu dezercji, należałoby zastanowić się czy i w jakim stopniu na decyzję „opuszczenia jednostki” wpływała agitacja organizacji żydowskich. W tym względzie zdania są dość podzielone. Wspomniany już redaktor *Palestina Post* oświadczył, że „pomoc czynników żydowskich ograniczyła się do udzielania pomocy już zbiegłym żołnierzom, kategorycznie jednak podkreślał, iż nie było wypadków namawiania czy też zachęcania do zbiegostwa¹³”.

Tego zdania był również Mosze Szertok, kierownik Departamentu Politycznego Agencji Żydowskiej dla Palestyny, który zaprzeczał pogłoskom, jakoby Agencja organizowała dezercje, z chwilą jednak, gdy „została skonfrontowana z wypadkami i na terenie Palestyny znalazło się setki dezercerów, którzy nie chcieli słuchać namowy do powrotu w szeregi, Agencja zajęła się dopiero wtedy lokowaniem ich po kibucach. W końcu dodał, że daje swoje słowo, że Agencja tych masowych dezercji nie organizowała, przez to jednak nie wykluczył, że dezercje były aktem zorganizowanej akcji prowadzonej przez jakąś inną organizację żydowską¹⁴”. Miał niewątpliwie na myśli, czego dyskretnie nie wymienił, rewizjonistów. Tych wskazał wyraźnie kierownik Działu Narodowości Ministerstwa Spraw Wewn., prof. dr Olgierd Górka, meldując swojemu przełożonemu, że „są mniej lub więcej związani z żydowskimi ruchami dywersyjnymi, a są szczególnie aktywni w kierunku organizowania dezercji z innych armii w myśl hasła tworzenia własnej armii, względnie własnych oddziałów żydowskich w obcych armiach¹⁵”. W dostępnych mi źródłach nie znajduję dowodów „organizowania dezercji”.

12. Cf. Zamorski, *op. cit.* w przypisie 1, rozdział „Ekipa”.

13. Jak 7.

14. Poufna, niepodpisana notatka Działu Narodowościowego, „dla Pana Ministra Spraw Wewnętrznych”, z rozmowy w dniu 3 kwietnia 1944, IPMS, PRM 142, poz. 24.

15. Tajne. „Notatka dla Pana Ministra” z 8 maja 1944, podpisana przez kierownika Działu Narodowościowego M.S.Wewn., prof. dr. Olgierda Górkę.

czy też wyraźnej agitacji, z czego nie wynika, by te czynności nie miały miejsca. Nie ulega natomiast wątpliwości, że dezercje były na rękę rewizjonistom, w szczególności wyłonionemu przez nich *Committee for a Jewish Army* w Stanach Zjedn. i W. Brytanii, jako argument tworzenia odrębnych jednostek żydowskich. Na jedyny ślad organizacji, jeśli to tak nazwać można, natknąłem się w wywiadzie dra Buchweitz na temat „Dezercji z Armii Andersa¹⁶”. Już w Iraku — a więc druga połowa 1942 i pierwsze półrocze 1943 — dowiedział się, że byli „żołnierze Żydzi, którzy nawiązali kontakty z agentami *Solel we Boneh* w Bagdadzie i ci ostatni przetrzucali ich z Iraku do Palestyny, ale nie w wielkich ilościach”. Ponieważ określenie „agenci” może prowadzić do zbyt daleko posuniętych wniosków, wyjaśnię, że byli to pracownicy firmy *Chewra le-Binjan Solel we Boneh*, zakontraktowanej przez Anglików do prac drogowych i budowlanych. Mogli działać na zlecenie jakiejś mniej lub więcej tajnej organizacji żydowskiej, a mogli też „przetrzucać” współziomków za drobną opłatą lub bez niej, w imię solidarności plemiennej, okoliczność, którą dr Buchweitz w swej relacji pominął. Wyjaśnił natomiast, że „wielka ucieczka zaczęła się dopiero w Palestynie. Składało się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim, możliwe jest, że część dezertersów nie chciała walczyć, ale sądzę, że główna przyczyna tkwiła w nastrojach antyżydowskich w armii. Z drugiej strony istniało narodowe nastawienie syjonistyczne. Oto przybyliśmy do naszej ojczyzny i jeśli należy walczyć, to chcemy walczyć w szeregach żydowskich. I rzeczywiście, poważna liczba dezertersów znalazła się potem w oddziałach Brygady Żydowskiej”.

Na tym tle pytanie: czy trzeba agitować zaagitowanych? Dość wyraźną odpowiedź dać może epizod, jaki dla ożywienia tych niezbyt przyjemnych rozważań pozwolę sobie przytoczyć. Działo się to w przeddzień *Rosh Haszana* (Nowego Roku) 1942 w Iraku, gdzie w dowództwie obozu wojskowego zjawił się brodaty mężczyzna, w którym adiutant dowódcy domyślał się rabina, ale ani rusz nie mógł się z nim porozumieć, więc zawezwano dra Buchweitz.

„Okazało się, że jest to rabin z pobliskiego miasta Khanqin. Słyszał, że w obozie polskim znajduje się wielu żołnie-

16. Dla Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, Instytut Żydostwa Współczesnego, przeprowadzony w dniu 20.2.1992 przez Shlomo Sneh w jęz. hebrajskim, na polski przełożył dr Buchweitz.

rzy Żydów, a ponieważ nazajutrz jest święto Nowego Roku, więc w imieniu miejscowej gminy wiernych zaprasza współwyznawców na nabożeństwo do synagogi. Dowództwo wydało natychmiast rozkaz skierowany do żołnierzy wyznania mojżeszowego, że nazajutrz o godz. 7 rano mają się stawić na placu apelowym, skąd w uformowanych szeregach odmaszerują do synagogi w Khanaqin. Urządzili nam wspaniałe przyjęcie. Kobiety przynosiły rozmaitego rodzaju smakołyki, ciasta i napoje. Wszyscy byliśmy niezmiernie wzruszeni okazaną gościnnością i po odczytaniu Tory jakaś siła wewnętrzna pchnęła mnie na ambonę i w języku hebrajskim serdecznie podziękowałem za królewskie przyjęcie. Przypuszczam, że tylko znikoma ilość miejscowych i chyba mała garstka żołnierzy zrozumiała moje słowa. Mimo to, natychmiast po moim przemówieniu zebrani żołnierze, jak na rozkaz, odśpiewali nasz hymn narodowy — *Hatikwę*. Fakt ten wywołał wielki popłoch wśród miejscowych Żydów. Nie wiedzieliśmy, że pieśń ta była w Iraku zabroniona i ze zdziwieniem patrzyliśmy na naszych gospodarzy, którzy z przestrachem w oczach zamykali okna i drzwi¹⁷”.

I jeszcze jeden epizod ukazujący rodzaj agitacji, nie tyle zorganizowanej co spontanicznej, wypływającej z niezbyt przyjaznego dla wojska nastawienia miejscowej ludności.

Dnia 18 kwietnia 1944 zgłosił się do Komendy Placu Tel-Aviv, oświadczając, że chce wrócić do służby wojskowej w oddziałach polskich, kanonier Moor Tadeusz, syn Hermana i Amalii Koller, ur. 5.9.1903 we Lwowie, wyznania mojżeszowego, narodowości polskiej, obywatelstwa polskiego, żonaty, z zawodu szofer, który wstąpił do wojska w dniu 19.9.1941 na terenie ZSSR, a w dniu 20.11.1943 opuścił swą jednostkę „w celu trwałego uchylenia się od obowiązku wojskowego”. Przesłuchany przez kaprała żand. Leszek Jana, zeznał:

„Powodem ucieczki była pogłoska, iż Żydzi, przebywający w wojsku zaczęli powszechnie uciekać, a tym bardziej kiedy przebywałem na urlopie lub przepustce w Tel-Avivie i mieszkańcy Żydzi obywatele Palestyny wyśmiewali się ze mnie, że noszę mundur i nakłaniali mnie do ucieczki, zachwalając, że otrzymam pracę w fabrykach lub inne zajęcie. Ten prąd, jaki powstał wśród Żydów odbywających służbę wojskową, którzy z polskich oddziałów powszechnie uciekali, a następnie to nakłanianie mnie do ucieczki i wyśmiewanie się

17. *Ibid.*

ze mnie, że jestem w wojsku, przez Żydów obywateli palestyńskich, wpłynęło na mnie, że postanowiłem z wojska polskiego uciec i nie wrócić. Podaję, że innych powodów ucieczki nie było, gdyż ze strony moich przełożonych nie miałem żadnych szykan, ani innych przykrości — pomimo, że byłem Żydem. Jedynie koledzy w baterii czasem mi przygadawali, że wiedziałem o ucieczce innych żołnierzy i gdzie się ukrywają, lecz to nie wpłynęło na mnie. Do dezercji nikt mnie nie nakłaniał, ani też z nikim nie porozumiewałem się¹⁸”.

„...pomimo, że byłem Żydem”. Wszystkie źródła są zgodne odnośnie antysemityzmu, jako jednego z poważnych motywów dezercji. W opracowaniu Biura Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu można wyczytać, że „pobudki, jakimi kierują się dezercyści są dwojakiego rodzaju. Najważniejszą jest sprawa jego (polskiego Żyda) przyszłości po wojnie (...) Drugą pobudką dezercji jest antysemityzm w Polskiej Armii¹⁹”. Podobnie rozumuje w artykule *The Jews in Gen. Anders Army in the Soviet Union* Yisrael Gutman: „Możemy założyć, że głównym motywem (dezercji) było silne pragnienie stania się częścią nowej żydowskiej społeczności w Państwie Izrael po gorzkich doświadczeniach w Związku Sowieckim i w pełnej świadomości wydarzeń w okupowanej Polsce. Ponadto, antysemityzm i dyskryminacja w armii Andersa w czasie zaciągu, jak i później w czasie służby, wpłynęły na decyzję dezercji”. Jednakże, po takim uszeregowaniu pobudek dezercji, Gutman zastrzega się: „Nie możemy określić wagi poszczególnych czynników ostatecznej decyzji, jak też nie możemy wiedzieć co ostatecznie przechyliło szalę, lecz wydaje się rozsądne założenie, że oba czynniki odgrywały rolę i skłoniły wielu do decyzji zdezerterowania²⁰”. Długo można dyskutować nad tym co było pierwszym, czyli ważniejszym motywem dezercji, zdania zawsze będą podzielone, najlepiej przyjąć „rozsądne założenie” Gutmana, że „oba czynniki odgrywały rolę”.

Jednakże przy omawianiu problemu dezercji z „Armią Andersa” nie można pominąć zjawiska i przyczyn spotęgowania tradycyjnego polskiego antysemityzmu. W jednym ze

18. „Zapisek przesłuchania podejrzanego, sporządzony w kancelarii Plutonu Żandarmerii Tel-Aviv dnia 18 kwietnia 1944 roku w sprawie dezercji”. IPMS, PRM/142, poz. 10.

19. Jak 10.

20. W *Yad va Shem Studies*, Tom XII, styczeń 1977, str. 294-295.

swych raportów ówczesny ambasador Stanisław Kot pisał:

„Wynurzają się trudności z kwestią żydowską: na tle paktu i zwolnienia Żydzi akcentują z zapalem obywatelstwo polskie. Trzeba pamiętać, że jeśli nie trzecia, to czwarta część naszych obywateli tutaj jest Żydów, Sowiety bowiem wywozły około 400.000 żydowskich uchodźców spod okupacji hitlerowskiej, a jeśli kto z nich miał sympatie rosyjskie, wyleczyli się z nich gruntownie. Napływ ich do wojska jest ogromny, w niektórych formacjach — 40%²¹”. W miesiąc później (8.11.1941) przyznał, że nie wszyscy wyleczyli się. Nawiązując do radosnego witania Czerwonej Armii we wrześniu 1939, meldował, że „zarzuty te obciążają prawie wyłącznie Żydów z Ziemi Wschodnich, którzy i przed wojną ciążyli ku Rosji, a zwłaszcza plebs żydowski. Zaciętość u tych ludzi była tak wielka, że niektórych nie przekonały nawet cięgi, doznane w więzieniach i łagrach sowieckich. Natomiast o zachowaniu się inteligencji żydowskiej i tzw. burżuazji jest dużo relacji dodatnich; większość z nich występowała jawnie jako Polacy i trzymali się w łączności z całym społeczeństwem polskim. Niektórzy zasługują na uznanie za śmiałość w swoich wystąpieniach²²”.

Gen. Anders usiłował zapobiec fali antysemityzmu i w dniu 14.11.1941 wydał odnośny rozkaz, mający na celu: a) ustalić jasną i niedwuznaczną linię ustosunkowania się podwładnych mi dowódców i żołnierza polskiego do sprawy żydowskiej w naszej armii, b) położyć kres wszelkim złośliwym insynuacjom i plotkom rodzącym się poza naszymi plecami o rzekomym antysemityzmie w wojsku i pochodzącym z wrogich nam źródeł. W związku z powyższym ustalam co następuje: 1. Żydzi obywatele polscy mają takie same prawa i obowiązek służenia w Wojsku Polskim jak i inni obywatele Rzeczypospolitej, 2. w wojsku mają być traktowani na równi z innymi, szczerze i serdecznie i obdarzani takimże zaufaniem jak i inni żołnierze Polskich Sił Zbrojnych”. W punkcie 4 Generał nakazał podwładnym mu dowódcom „zwalczać kategorycznie wszelkie objawy rasowego antysemityzmu i nie dopuścić do jakichkolwiek wykroczeń w tym kierunku²³”.

O rodzaju reakcji na ten rozkaz świadczy następuny,

21. Stanisław Kot: *Listy z Rosji do Gen. Sikorskiego*, Londyn 1955, str. 136.

22. *Ibid.*, str. 163/164.

23. L.dz. 1730/Kanc.Sztab.

wydany 30.11.1941, wyjaśniający „credo” polityczne Dcy PSZ w sprawie żydowskiej: „Rozumiem dobrze powody antysemitycznych (już nie „rzekomych” — kz) odruchów w szeregach armii — są one oddźwiękiem nieojalnego, częstokroć wrogiego zachowania się Żydów polskich kresowych w okresie naszych przejść lat 1939/40. Nie dziwię się więc naszym żołnierzom, gorącym patriotom, że stawiają niejednokrotnie sprawę tak ostro, przy czym wydaje im się, że rząd nasz i armia zamierza przejść do porządku dziennego nad minionymi doświadczeniami”. Następnie Generał podkreślił, że ze względów politycznych (świat anglosaski) antysemityzm „może przynieść polskiej sprawie jak najbardziej zgubne i nieobliczalne skutki”, a tym „gorącym i krewkim” polecił wyjaśnić „w odpowiedni i dyskretny sposób”, że „będąc już gospodarzami u siebie, po wygranej kampanii, sprawę żydowską załatwimy tak jak tego będzie wymagać wielkość i suwerenność naszej Ojczyzny oraz zwykła ludzka sprawiedliwość²⁴”.

Tyle to pomogło co tłumaczenie nałogowemu palaczowi, że tytoń to trucizna. Ograniczę się do dwóch dokumentów. Autorzy wspomnianego opracowania Biura Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu stwierdzają, że „dezertor, któremu ktoś może zarzucić brak dyscypliny wojennej czy też brak honoru żołnierskiego, ma w odpowiedzi takie morze opowiadań potwierdzonych dokumentami, częściowo na temat polskiego antysemityzmu, że całkowicie oczyszcza się w opinii. Na domiar złego, przybyli do Palestyny polscy żołnierze, pomimo na pewno istniejących zarządzeń, niejednokrotnie swoim zachowaniem się dają wyraz istniejącemu wśród nich antysemityzmowi²⁵”.

Jaskrawym przejawem tej plagi był list żydowskiego żołnierza wystosowany, w przededniu opuszczenia wojska, do dowódcy. Z listu tego przytoczę tylko bardziej strawne fragmenty, choć odnośnie pozostałych ustępów, ja, który byłem w linii dostatecznie długo i którego obowiązkiem było znać nastroje żołnierzy, nie wątpię, że odzwierciedlają gorzką prawdę.

„Wiem, że ten mój list będzie dla Pana niespodzianką,

24. L.dz. 2607/Tjn. Kanc.. Sztab. 41. Odbitki obu rozkazów udostępniła mi p. Ewa Berberyusz. Z pieczęci na ich obramowaniu domyślam się, że oryginały znajdują się w *Hoover Institution Archives*, Stanford, Kalifornia, *Polskie Siły Zbrojne Collection*.

25. Jak 10.

wiem że zdziwi Pana to, że opuszczam szeregi Armii Polskiej. Zawsze oceniał Pan, Panie Majorze, mój zapał do pracy i moje zdolności. Dlatego też uważam za swój obowiązek wytłumaczyć Panu dlaczego uczyniłem to co uczyniłem.

Na początku oświadczam otwarcie: nie jestem dezertrem. Wstępuję do batalionu żydowskiego w wojsku brytyjskim. (...) My Żydzi, którzy wstąpiliśmy do wojska gotowi byliśmy do każdej ofiary dla Polski, ale przekonaliśmy się, że ciężkie przeżycia wojenne nie wpłynęły na zmianę w ustosunkowaniu się narodu polskiego wobec Żydów. Przekonaliśmy się, że antysemityzm trwa z równą siłą, a może nawet jest bardziej brutalny.

Skąd ma przyjść zmiana? Co uczyniliście, by wychować na nowo waszych żołnierzy, podoficerów, oficerów? Czy wytłumaczyliście im, że antysemityzm jest chorobą zaraźliwą, niszczącą ciało narodu polskiego i szkodliwą dla jego najistotniejszych interesów? Czyż oficerowie polscy nie dają czasami do zrozumienia żydowskim żołnierzom, że powinni opuścić wojsko polskie? I czy nie zbudziło się w sercu pańskim to proste pytanie: dlaczego Żydzi nie uciekają z wojska angielskiego, kanadyjskiego, czeskiego, amerykańskiego czy innego wojska? Dlaczego uciekają oni tylko z wojska polskiego?

Odpowiedź na to pytanie znajduje niestety wyraz w niezliczonych wystąpieniach antysemickich, wystąpieniach, których trzeba by się wstydzić, mających miejsce w wojsku polskim. Nie będę wspominać tu wszystkich znanych mi faktów, nie jest to potrzebne, są one Panu znane, panie Majorze, tak jak i mnie (...)

W maju br., gdy radio rozgłaszało o rzezi w getcie warszawskim, nasi towarzysze broni chrześcijanie, w rozmowach między sobą, mówili z zadowoleniem: Hitler robi dla nas ważną robotę, będzie Polska oczyszczona z Żydów.

Panie Majorze, co zdaniem pańskim czuje żołnierz żydowski, gdy słyszy takie słowa z ust swych chrześcijańskich kolegów? (...)

Opuszczam wojsko polskie jako człowiek uczciwy, w zgodzie ze swoim sumieniem. Nie miejcie do mnie żadnych pretensji, jeśli macie pretensje i skargi, to oskarżajcie siebie samych, oskarżajcie ducha antysemickiego, który panuje w szeregach Armii Polskiej — przezeń opuściłem Armię Polską.

Odchodzę od was, gdyż z serca mego wydarliście każdy strzęp wiary, że nowa Polska będzie ojczyzną, która obdarzy

sprawiedliwością wszystkich obywateli²⁶”.

Można by na tym zamknąć rozdział dotyczący dezercji z „Armii Andersa”, ale obraz byłby niepełny, bo dezercje Żydów nie ograniczały się do tych trzech tysięcy, z których — co warto odnotować — „wielu walczyło, również we Włoszech, w ramach Brygady Palestyńskiej. Następna fala dezercji Żydów, jeśli to można nazwać dezercją, nastąpiła na początku 1944 roku na terenie Wielkiej Brytanii i — jakkolwiek nie tak liczna — spowodowała silniejszy oddźwięk prasowy, który nam na pewno chwały nie przysporzył.

Sprawę tę opisał chyba wyczerpująco — 30 stron bitego druku, 179 odsyłaczy — wspomniany już dr Dawid Engel²⁷.

Z jego też pracy korzystam przy możliwie zwięzłym opisie tej drugiej fali. W dniu 16 stycznia 1944 grupa 68 Żydów, na przepustce w Londynie, oświadczyła, że nie zamierza wrócić do swych jednostek w Szkocji, żądając w zamian wcielenia do armii brytyjskiej. Motyw tej decyzji: antysemityzm. Po trwających kilka tygodni rozmowach między Polskim Ministerstwem Obrony Narodowej, brytyjskim *War Office*, reprezentacją Żydostwa Polskiego oraz „dezertkami”, zostali oni wcieleni — bez żadnych następstw karnych czy dyscyplinarnych — do brytyjskiego korpusu saperów.

Zanim jednak to nastąpiło, Minister Obrony Narodowej, gen. Marian Kukiel, powołał w dniu 25 stycznia 1944 komisję „dla sprawy masowej dezercji żołnierzy-Żydów” pod przewodnictwem gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza, a następnego dnia wysłał do brytyjskiego oficera łącznikowego, gen. A.E. Grasetta, list, którego treść jest równie żenująca, jak i przedstawiony w dniu 25 lutego 1944 raport komisji Boruty-Spiechowicza. Oba nie odbiegały od oświadczenia gen. Kukieła na posiedzeniu Rady Narodowej w dniu 10 maja 1944, „że antysemityzm w wojsku jest fałszem wierutnym, natomiast były tylko wypowiedzi w stosunku do Żydów złe, głupie i niegodziwe”. (Nie wiem, czy w związku z tym wyjaśnieniem, w każdym razie na tym to posiedzeniu radni Adam Ciołkosz i dr Emanuel Szerer postawili „wniosek o ustąpienie Ministra Obrony Narodowej i Naczelnego Wodza”, którym był podówczas gen. Kazimierz Sosnkowski)²⁸.

26. IPMS, KOL. 138/237. List opublikowany w *Esznav*, „tajnym piśmie tajnej organizacji żydowskiej w Palestynie” nr 57 z dn. 5. 11. 1943.

27. Jak 8.

28. Notatka z posiedzenia Rady Narodowej w dniu 10 maja 1944. IPMS, PRM/142, poz. 29.

Jakby na przekór wnioskowi komisji Boruty-Spiechowicza, grupa żołnierzy Żydów, licząca tym razem 136 osób, zgłosiła w dniu 22 lutego 1944 akces do jednostek brytyjskich. Tym razem życzenie to uwzględniono bez niepotrzebnych pertraktacji. Brytyjczycy oświadczyli jednak, że na tym koniec, że Polacy powinni wprowadzić dyscyplinę w swych szeregach. Wymagała też tego sytuacja wojskowa. W polskich jednostkach pozostało jeszcze 600 Żydów. Jeśliby oni też je opuścili, ich gotowość bojowa byłaby poważnie osłabiona, a właśnie przygotowywano się do inwazji kontynentu. Pomijam aspekt polityczny: niezbyt przychylna prasa po konferencji w Teheranie (28.11-1.12.1943) i wobec postępów Armii Czerwonej, już na terytorium Polski.

Toteż w dwa dni po „dezercji” drugiej grupy, trzech działaczy żydowscy, dwaj członkowie Reprezentacji Żydostwa Polskiego, dr A. Tartakower i inż. A. Reiss, oraz członek Rady Narodowej RP dr I. Schwarzbart wydali odezwę „Do Żołnierzy Żydów w Armii Polskiej”, w której podkreślili, że „obywatel polski-Żyd winien spełnić swój obowiązek służby wojskowej w Armii Polskiej”, a więc wzywają „do bezwzględnego powrotu do szeregów Armii Polskiej, a wszystkich innych do pozostania w niej i spełnienia wytrwale swego obowiązku”; oświadczyli, że „Reprezentacja Żydostwa Polskiego tak jako całość oraz jej przedstawiciel w Radzie Narodowej RP walczyli i walczą konsekwentnie o wytrzebiecie antysemityzmu w szeregach Armii Polskiej”, że mają „pełne zrozumienie dla gorczy” żołnierzy-Żydów „i uczucia upokorzenia na skutek objawów antysemityzmu ze strony kolegów”, ale „mimo tej gorczy”, ponawiają apel o powrót do szeregów „i wytrwanie na stanowisku w imię honoru żydowskiego i naszych wspólnych obowiązków obywatelskich²⁹”.

Odezwę tę, początkowo „nie do opublikowania”, ogłoszono ponownie w dniu 14 marca 1944. Czy i do ilu dezertów trafiła, trudno ocenić. Wspomniałem już na wstępie o 181 „odwołaniach pościgu” (dotyczą okresu 1944-1945), może są w tej liczbie „nawróceni” w następstwie odezwy Reprezentacji, znam tylko jeden konkretny dowód jej skuteczności. To kanonier Moor Tadeusz, o którym już była mowa. Zznał, że postanowił powrócić do szeregów „czytając ostatnie gazety polskie, rozkaz Naczelnego Wodza Armii Polskiej ogłoszony w gazecie, oraz apel Komitetu Żydowskiego przeby-

29. IPMS, PRM/142,teczka żydowska 4.

wającego w Londynie do żołnierzy Żydów służących w oddziałach polskich, by nie uciekali, ale powracali do oddziałów (...)”³⁰.

W dniu 13 marca 1944 Minister Obrony Narodowej wydał rozkaz, który został odczytany przed frontem wszystkich oddziałów. Ostrzegał w nim, że samowolne opuszczenie szeregów będzie karane z całą surowością prawa, a dokładnie w tydzień potem Naczelny Wódz wydał rozkaz nr 4, w którym podkreślił, że wszyscy obywatele są równi w prawach i tak powinni być traktowani, że nie zamierza tolerować dyskryminacji, obojętnie na jakim tle, z drugiej strony zaś wszyscy mają te same obowiązki, włącznie ze służbą wojskową. Nie przeszkodziło to grupie 24 Żydów, już w dniu 21 marca 1944, a więc tuż po rozkazie Naczelnego Wodza, a w ciągu następnego tygodnia dalszym siedmiu, oddalić się ze swych jednostek i zażądać wcielenia do jednostek brytyjskich, tym razem zostali jednak aresztowani i oddani pod sąd. Na domiar złego w tym samym czasie zdezerterowała grupa tzw. Argentyńczyków, obywateli polskich, w skład której wchodziło 13 Białorusinów, 8 Ukraińców, dwóch Rosjan i dwóch Polaków³¹. Między 19 a 28 kwietnia stanęli wszyscy przed 8 Sądem Polowym w szkockiej miejscowości Galashiels i z jednym wyjątkiem (rozprawę odroczone) skazani zostali na kary od jednego do dwóch lat i sześciu miesięcy. Wśród nich byli tacy, których trudno by posądzić o tchórzostwo czy złą wolę. Ograniczę się do trzech przykładów: Figa Franciszek, st. strzelec, ur. w Proszowicach w roku 1913. W wojsku od 1938, 4 września 1939 r. ranny pod Pszczyną, przemycił się sam przez Rumunię do Francji, gdzie wstąpił ponownie do W.P. Wzięty do niewoli przez Niemców w roku 1940 z 2 dywizji, uciekł do Szwajcarii, skąd samorzutnie przedostał się do Hiszpanii, gdzie osadzono go na osiem miesięcy w obozie w Mirandzie. Następnie dotarł przez Gibraltar we wrześniu 1943 r. do Anglii”. „Lesman Izaak, ur. w r.1911 w Łodzi, dostał się do niewoli rosyjskiej jako strzelec 31 pułku strzelców kaniowskich. W Rosji skazany był na pięć lat więzienia za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego”. „Bargłowski Abram, ur. w Augustowie w r.1909, wyjechał z Polski do Argentyny, mając lat 11. Mieszkał przez 20 lat w Montevideo,

30. Jak 18.

31. Wykaz dezertersów skazanych w procesie karnym wojskowym w Galashiels, IPMS/142, poz. 19.

gdzie pracował w fabryce trykotaży. Zgłosił się sam do konsulatu RP jako ochotnik do W.P. Twierdzi, że z antysemityzmem spotkał się po raz pierwszy w życiu w Armii Polskiej, gdyż w Urugwaju był równym obywatelem³²”.

Wydarzenia te nie mogły pozostać nie zauważone przez brytyjską opinię publiczną, odpowiednio też zostały odnotowane w prasie amerykańskiej, zakochanej podówczas w *Uncle Joe* i Czerwonej Armii. Edward Raczyński odnotował pod datą 29 kwietnia 1944:

„Na tle dezercji Żydów z armii polskiej, tj. demonstracyjnego opuszczania szeregów przez dwie zorganizowane grupy, aresztowanie trzeciej i oddanie członków jej pod sąd wojenny, rozpętała się dzika kampania prasowa przeciw naszemu rządowi i armii. Pierwsze dwie grupy żydowskie w liczbie przeszło 200 osób zostały zwolnione z szeregów i przyjęte do Brytyjskiego Pioneer Corps, formacji niebojowej. Przy trzeciej grupie zarówno władze wojskowe brytyjskie jak polskie sprzeciwiły się przejściu do sił brytyjskich. Powstała wrzawa, interpelacja w Izbie Gmin (poseł Driberg przy pomocy posła Pritta i Straussa)³³. Niestety postępujemy z wielką niezgrabnością, co ułatwia grę przeciwnikowi. Dzisiaj podobno nieznanne czynniki, podszywające się pod polskich 'faszystów', miały zwrócić się z pogroźkami do posła Driberga — tak przynajmniej słyszałem od kons. gen. (Karola) Poznańskiego³⁴”. Żydowscy „faszyści” też nie pozostali dłużni, wywieszając na drzwiach konsulatu „ostrzeżenie” w języku angielskim: „Uwięzienie żydowsko-polskich żołnierzy będzie pomszczone”. Podpisano: *Irgun Cwai Leumi* (Tajna organizacja bojowa syjonistów rewizjonistów, już wtedy pod dowództwem Menachema Begina).

„Dzika kampania prasowa” nie ustała też po podpisanym na wniosek rządu dekretem Prezydenta RP z 12 maja 1944, o amnestii obejmującej szereg przestępstw natury wojsko-

32. Sprawozdanie Leona Sokołowa, obserwatora Min.S.Wewn., na tajnej rozprawie 8 Sądu Polowego w sprawie 21 żołnierzy polskich Żydów. IPMS, PRM/142, poz. 16.

33. Thomas Driberg, bezpartyjny, dziennikarz o wyraźnych poglądach proowieckich; D.N. Pritt, adwokat (barrister), oficjalnie bezpartyjny, podejrzewany przez Scotland Yard o tajne członkostwo w partii komunistycznej; R.G. Strauss, bezpartyjny, umiarkowana lewica. Notatka z 15 czerwca 1944, podpisana przez mgr. Wł. Zaborowskiego, kierownika Działu Bezpieczeństwa Min. S.Wewn., IPMS, PRM/142, poz. 40.

34. *W sojusznicy Londynie*, II wydanie, Londyn 1974, str. 240/241.

wej, wśród nich także dezercję. Nie rozjaśniło to horyzontów, bo władze polskie zaskoczone zostały odmową zwolnionych dezercerów powrotu do szeregów. Prawie wszyscy oświadczyli, że wolą pozostać w więzieniu. Muszę przyznać, że nie przestudiowałem sprawy do końca. Z urywkowych zapisów, na jakie natrafiłem, domyślam się, że ostatecznie zostali wcieleni do jednostek brytyjskich. W każdym razie domagano się tego na zebraniach publicznych, m.in. na wiecu zwołanym przez silnie z partią komunistyczną związaną Narodową Radę Wolności Obywatelskich (*National Council for Civic Liberties*), na którym przemawiał niestrudzony Driberg, jak też Strauss oraz późniejszy przywódca Partii Pracy Michael Foot.

Na tle antypolskiej kampanii, prowadzonej zarówno w Wielkiej Brytanii jak i w Stanach Zjednoczonych i wywołanej dezercją około 250 żołnierzy Żydów w Wielkiej Brytanii, wyłania się pytanie, dlaczego podobny fakt, jaki zaistniał w Palestynie, o wiele poważniejszy ilościowo, nie spowodował podobnej nagonki. Wydaje mi się, że sensowną odpowiedź daje Dawid Engel:

„W każdym razie, dezercje z polskiego wojska w Palestynie nigdy nie urosły, wbrew obawom niektórych osób, do rangi poważnego problemu politycznego. W ostatecznej jednak konkluzji, brak ujemnych następstw, jakich mogły sprawie polskiej przysporzyć, określiły dwie okoliczności, które nie miały nic wspólnego z działaniem samych Polaków. Po pierwsze, dezercje miały miejsce z dala od ośrodków powszechnego zainteresowania na Zachodzie, co oznaczało, że te 'wrogie siły', jakich Polacy mogli się obawiać, musiałyby zużyć wiele energii na wszelki wysiłek dla spożytkowania jej dla własnych celów. Po drugie, sami dezercerzy nie byli zainteresowani w ześrodkowaniu świadomości społecznej na ich sytuacji; starali się wtopić w nowe otoczenie tak bezszelestnie jak to tylko było możliwe i niekoniecznie widzieli swe postępowanie w sensie protestu przeciw niestrawnemu traktowaniu, jakiego właśnie doznali w szeregach³⁵”.

Kazimierz ZAMORSKI

35. *Op. cit.*, str. 114.

Bp Szczepan WESOŁY

CZY DUSZPASTERSTWO EMIGRACYJNE BYŁO ZALEŻNE OD PRL

(Wspomnienia polemiczne)

W numerze 93 *Zeszytów Historycznych* T. Wyrwa ogłosił artykuł omawiający likwidację Ambasady RP przy Watykanie¹. Opracowanie oparte jest zasadniczo na sprawozdaniu, jakie ambasador K. Papée przesłał na ręce Rady Trzech, którą uważał za swojego „zwierzchnika”. W sprawozdaniu opuszczono jedno słowo, które zmieniło treść, gdyż wynikało z niej, jakoby ks. kard. Wyszyński domagał się likwidacji Ambasady. W liście do Redakcji *Zeszytów* T. Wyrwa protestuje przykrą omyłką i stwierdza, że kard. Wyszyński nie domagał się likwidacji Ambasady². Artykuł T. Wyrwy spowodował list do Redakcji *Zeszytów* T. Lenczewskiego, krytycznie oceniającego postawę kard. Wyszyńskiego³. Opracowanie T. Wyrwy wywołało również wypowiedź T. Mianowicza, który zda się nie dostrzegać sprostowania w 94 numerze *Zeszytów* i szczególnie krytycznie ocenia działalność Prymasa Wyszyńskiego⁴. Do tego tematu Tomasz Mianowicz powraca

1. Tadeusz Wyrwa, „Likwidacja Ambasady RP przy Watykanie w latach 1958-1972”, *Zeszyty Historyczne* nr 93, ss. 49-60.

2. *Zeszyty Hist.* nr 94, s. 238.

3. *Zeszyty Hist.* nr 95, ss. 235-236.

4. Tomasz Mianowicz, „Dwa listy”, *Zeszyty Hist.* nr 98, ss. 231-234.

raz jeszcze w nr. 102 *Zeszytów Historycznych*⁵. W swojej wypowiedzi T. Mianowicz bardzo podkreśla troskę o prawdę historyczną, o poznanie prawdy, a nie opieranie się jedynie na subiektywnych opiniach.

Jest w tych wypowiedziach wiele różnych zagadnień: ocena działalności ks. Prymasa Wyszyńskiego; Ambasada RP przy Watykanie, jej utrzymanie, działanie, likwidacja; całe zagadnienie duszpasterstwa emigracyjnego, zwłaszcza po śmierci ks. abp. Gawliny.

Uważam, że powinienem przedstawić niektóre zagadnienia tak jak je przeżywałem i tak jak przedstawiają się one właśnie w dokumentach, które są mi znane i dostępne.

I

Kardynał Wyszyński jest już dziś postacią historyczną. Ma on w historii Kościoła polskiego, jak i również w dziejach naszego narodu, trwałą pozycję. Wydarzenia historyczne trzeba rozważać w kontekście atmosfery i wydarzeń danej epoki. Jest to truizm, ale niestety czasami usiłuje się oceniać przeszłość poprzez pryzmat terażniejszości, a wówczas taka ocena zawsze jest stronnicza. Kard. Wyszyński był biskupem i prymasem ponad trzydzieści lat i to w czasach, które ciągle się zmieniały. Ocena więc różnych okresów może być różna. Kard. Wyszyński nie jest wolny od krytyki, byle by jednak była to krytyka oparta na prawdziwych wydarzeniach i dokumentach, a nie na uprzedzeniach. Czy wszystko co dotąd napisano o kard. Wyszyńskim jest hagiografią? Nie wiem. Ludziom, którzy przeżywali te same wydarzenia i byli w nie zaangażowani, trudno zdobyć się na obiektywne spojrzenie. Jest to część ich życia. Młodsze pokolenie nie ma może dostatecznej perspektywy historycznej i nie ma jeszcze pełnego dostępu do źródeł. Trudno im więc również o właściwy osąd. W tym roku przypada 50 lat od aresztowania kard. Wyszyńskiego. Może z okazji tej rocznicy ukazą się jakieś źródłowe opracowania, które pozwolą pełniej zrozumieć jego osobę i działania.

Kardynała Hlonda Kajetan Morawski umieścił wśród

5. Tomasz Mianowicz, „Zamiast dyskusji na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów najnowszych Kościoła”, *Zeszyty Hist.* nr 102, ss. 213-220.

tragicznych postaci naszego dwudziestolecia⁶. Wyjazd z Kraju wraz z rządem, przebywanie we Francji, aresztowanie przez Gestapo przez ostatnie kilka miesięcy przed zakończeniem wojny, wszystko to miało niewątpliwie duże reperkusje w jego życiu. Do Kraju wrócił prawie że w ukryciu i przez zaskoczenie⁷. Po przyjeździe właściwie nie spotkał się z przedstawicielami nowej władzy⁸. Kard. Hlond był raczej przekonany, że wkrótce dojdzie do zbrojnego konfliktu między Wschodem i Zachodem i że trzeba wytworzoną sytuację przetrwać. Zresztą nie on jeden liczył na przetrwanie.

Abp Wyszyński, który po śmierci kard. Hlonda w 1948 roku przejął prymasostwo, miał odmienne spojrzenie. Uwa-

6. Kajetan Morawski, „Wspólna droga”, ss. 115 nn.

7. Kard. Hlond po uwolnieniu przyleciał amerykańskim samolotem wojskowym do Rzymu. Miał tam oczywiście wiele rozmów z Sekretariatem Stanu i Ojcem Świętym, ale miał również kontakty z ówczesnym dowódcą II Korpusu gen. Szyszko-Bohuszem, a później z gen. Anderssem jak i z amb. Papée. Kard. Hlond chciał jak najszybciej powrócić do Kraju. Musiał jednak posiadać jakieś pozwolenie od władz wojskowych na przyjazd. Władze amerykańskie nalegały, aby poczekał aż zostanie otwarta ambasada nowo uznanego rządu w Warszawie. Kardynał jednak chciał przyjechać do Polski wcześniej niż, jak się spodziewał, nowe władze ogłoszą apel do powrotu. Nie chciał stwarzać wrażenia, że jego powrót byłby związany z takim apelem. Wyjechał z Rzymu samochodem, za zgodą Ojca Świętego, ale bez pożegnania. Listy pożegnalne zostały wysłane już po jego wyjeździe. Wyjazd nie był bowiem wolny od krytyk. W Pradze już istniało poselstwo PRL i tam Kardynał zwrócił się o wizę. Wywołało to konsternację i opory tamtejszego posła PRL S. Wierchłowskiego. Starał się on porozumieć z Warszawą, ale nie otrzymał połączenia i mimo oporów jednak dał wizę. Kardynał przekroczył granicę w małym punkcie granicznym w Kłodzku 19 VI i tego dnia przyjechał do Poznania, co wywołało zdziwienie wszystkich, gdyż nie spodziewano się tak szybkiego przyjazdu. Por. Jerzy Pietrzak, „Powrót Prymasa Polski Kard. A. Hlonda do Kraju w 1945 roku”, W: *Studia Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej* nr 2 (1989) ss. 18-38.

8. W swojej rozprawie Keith R. Sword, „The Cardinal and the Commissars Vieus of the english catholic Primate on the Communist takeover in Poland”, zamieszczonej w *The Polish Review* N. 1 (vol. XXXI) 1986, s.54, opisuje jak kard. Griffin, abp Westminster, na zaproszenie kard. Hlonda odwiedził Polskę w 1947 roku. W czasie pobytu w Warszawie Ambasada Brytyjska wydała na jego cześć przyjęcie. W swoim raporcie do Foreign Office z 24 VI 1947 r. Ambasador Brytyjski pisał: *Cardinal Hlond did not attend, consistent with his established policy of avoiding personal contacts with representatives of the communist regime.*

żał, że może on trwać długie lata. Trzeba było więc szukać sposobów, aby umożliwić ludziom normalne życie po strasznych przeżyciach zakończonej wojny. Ludzie pragnęli odbudować swoje domy, założyć rodziny, wychować i wykształcić dzieci, prowadzić prace zawodowe czy inne, unowocześnić życie codzienne, jechać na wakacje. Chcieli po prostu żyć normalnym życiem. Nie było widoków, by podziemie mogło przetrwać w totalitarnych strukturach przemocy państwa. Czy była możliwość zbrojnej konfrontacji Wschód-Zachód, utrzymania ludzi w atmosferze gotowości do takiej konfrontacji, jak wydawało się to niektórym ośrodkom na emigracji? Na pewno było to nierealne, chociaż nie wszyscy tak to wówczas rozumieli. Prowadziło to do wielu ludzkich ofiar.

Kard. Wyszyński, który specjalizował się przed wojną w naukach społecznych i wiele pisał o komunizmie, nie miał złudzeń co do zamiarów komunizmu. Zdawał sobie dobrze sprawę, że dążeniem komunizmu było zniszczenie Kościoła. Środki używane do likwidacji były różne, aresztowania, odizolowanie, zabranie własności, naciski na ludzi, usiłowanie rozbicia duchowieństwa (księży patrioci), ingerencja w nominacje proboszczowskie i biskupie itd. Ponadto były usiłowania uniemożliwienia kontaktów z kościołami innych krajów i w ogóle z zagranicą.

W całym tym kontekście ks. Prymas Wyszyński usiłował umożliwić ludziom prowadzenie normalnego życia. Aby to osiągnąć, trzeba było w jakiś sposób dojść do porozumienia z nową władzą, mając świadomość ryzyka jakie z tym było związane, zwłaszcza przez danie władzom PRL argumentu propagandowego. Rezultatem tego było porozumienie z 15 maja 1950 roku, ów *modus vivendi*, który z konieczności musiał być jakimś kompromisem. Jeśli jednak nie miało być zbrojnej konfrontacji, w krótkim czasie, jaka była inna alternatywa? Nie wszyscy w Episkopacie byli zgodni z poczynaniami ks. Prymasa, ale zdecydowana większość przyjęła jego propozycję, która polegała na tym, aby zachować to co istotne dla wiary i w tym nie ustępować, zostawiając sprawy drugorzędne do negocjacji. Sprawy zaś istotne to nie były tylko podstawy dogmatyczne, ale również uznawanie zwierzchnictwa Stolicy Apostolskiej i możliwość komunikowania się z nią, a więc niepozwolenie na odcięcie się od Kościoła powszechnego.

W tym samym czasie jednak w Europie, zwłaszcza we Włoszech, rozgrywała się konfrontacja partii demokratycznych

z bardzo silnymi partiami komunistycznymi. Wszyscy komuniści złączeni z partią socjalistyczną Neniego stworzyli bardzo silny blok prosowiecki. Obawy, że komuniści mogą przejąć władzę we Włoszech na drodze wyborów parlamentarnych, były bardzo realne. Liczył się z tym i watykański Sekretariat Stanu. Czy mieli strach przed komunizmem, nie wiem. Wynika z wielu dziś publikowanych wspomnień, że na pewno liczone się z tym, że komunizm będzie trwał długo. (Do czego jeszcze chcę wrócić). Wydanie 14 lipca 1949 roku ekskomuniki przez ówczesne Święte Oficjum, za przynależność do partii komunistycznej, trzeba odczytać w kontekście ówczesnej włoskiej sytuacji politycznej i bardzo umiejętnej propagandy włoskich komunistów.

Podpisanie *modus vivendi* było na pewno, w ówczesnym kontekście, wyrazem zbytnej samodzielności Kościoła w Polsce, która mogła się nie podobać wielu osobom w Watykanie, zwłaszcza że negocjacje były prowadzone prawdopodobnie bez konsultacji Stolicy Apostolskiej i robiły wrażenie, że są niezgodne właśnie z dekretem Św. Oficjum, mimo późniejszego wyjaśnienia *L'Osservatore Romano*, że nie odnosi się to do tych, którzy w krajach, gdzie rządzi system komunistyczny są normalnie zmuszani do przynależności partyjnej. Ostatecznie jednak, już po podpisaniu, bo w roku 1953, abp Wyszyński zostaje kardynałem, czyli że Papież oceniał sytuację zgodnie z przedstawioną mu wizją ks. Prymasa Wyszyńskiego, który po podpisaniu *modus vivendi* otrzymał zezwolenie na wyjazd do Rzymu. Czasopismo *Znaki Czasu*, redagowane najpierw w Wiedniu a później w Rzymie, publikowało zapiski ks. Prymasa właśnie z okresu przed aresztowaniem. Kard. Wyszyński prowadził je codziennie bardzo skrupulatnie. Dają one wgląd nie tylko w działalność ks. Prymasa, ale i w jego ocenę bieżących wydarzeń. Relacjonuje on w nich również rozmowy, które miał z ówczesnym kierownictwem partii⁹. Gdy jednak ów *modus vivendi* był gwałcony i gdy

9. Relacja z rozmowy z F. Mazurem — oficjalnie wicemarszałkiem Sejmu, ale również wysokim członkiem KC, przeprowadzona 14. I. 53. Mówi Abp Wyszyński: „Słyszczę często o sobie: Ks. Prymas ustępuje powoli, bo ratuje Kościół, chce zyskać na czasie. Tak mówicie wy, niektórzy księża i świeccy katolicy. Oświadczam: nie jest to prawda. Nie dlatego rozmawiam z rządem, by «przeczekać». Byłby to dowód małej wiary w Kościół i jego możliwości. Wierzę mocno, że Kościół przetrwa aż do końca świata. I w to, że da sobie radę w każdym okresie, jak dał sobie radę z arianami, z protestantyzmem. I dziś Kościół ma do

trzeba było bronić tego co istotne, kard. Wyszyński wydaje ów słynny list z 8 maja 1953, „Non possumus”, który ostatecznie doprowadził go do aresztowania. Ktoś kiedyś powiedział, że w więzieniu siedzą albo kryminaliści, albo ludzie zasad. Nie odizolowuje się, i to na długi okres trzech lat, kogoś, kto jest człowiekiem kompromisu. Można oczywiście różnie oceniać działalność kard. Wyszyńskiego. Jeśli jednak opinia światowa i to nie katolicka, uznała jego wielkość, to na pewno dlatego, że był człowiekiem silnej wiary i zasad, a nie człowiekiem kompromisu. Będąc zaś człowiekiem zasad, umiał również działać roztropnie i przez to nie tylko zachować to, co wówczas było osiągalne, ale umożliwić Kościołowi sprawowanie jego posłannictwa. Nie udało się to w innych krajach bloku.

Pobył kard. Wyszyńskiego w Rzymie w maju 1957 roku i kilkudniowe czekanie na audiencję różnie były i są interpretowane. Ks. Kardynał powiedział na spotkaniu księży, że on sam prosił o zwłokę, gdyż dopiero w Rzymie pisał relację, bo był wolny od obaw, że może się ona znaleźć w nieodpowiednich rękach, z czym musiał się zawsze liczyć w Kraju. Czy tak było, nie wiem. Może otwarcie archiwów w Watykanie pozwoli na autentyczną odpowiedź. W każdym razie w czasie pożegnalnej audiencji, gdy Pius XII wyszedł z ks. Prymasem do sali, w której czekaliśmy, księża polscy w Rzymie, papież powiedział: Oto wasz Prymas — krótka przerwa, dodał — męczennik i zaszlochął. Ks. Prymas wówczas uklęknął i pocałował pierścień Papieża.

II

Ambasador Papée w swojej relacji do Londynu pisał, że ks. Prymas nie podejmował inicjatywy zniesienia Ambasady. W czasie jednej z rozmów ze mną ks. Prymas powiedział, że

powiedzenia bardzo wiele dobrego i Narodowi i ludziom. Nie idzie mi o «ratowanie» tylko Kościoła. Idzie o coś więcej — o wydobywanie mocy nadprzyrodzonej Kościoła na dziś. Prowadzę linię dwojaką: zasadniczą płynącą z istoty Kościoła i drugorzędną — z rozumu kierowniczego. Kościół zawsze stał na stanowisku rzeczywistości i realizmu: rozmawiał z każdym państwem, które chciało z nim rozmawiać. Rozmawia więc w Polsce z państwem komunistycznym. To nie koniunktura na miesiąc czy rok. To zasada”. (*Znaki Czasu* nr 16, 1989, ss. 157-163).

istnienie Ambasady „sprawia nam wiele kłopotów”. To było w roku 1970, czyli ponad dziesięć lat po oficjalnym wycofaniu uznania p. Papée jako ambasadora, a pozostawienia mu tytułu *gerente degli affari*.

Ambasador Papée, zresztą od zaistniałego w polskim Londynie podziału na Radę Trzech i tzw. Zamek, czyli Prezydenta Zaleskiego, znalazł się w sytuacji kłopotliwej. Uczuciowo, tak zresztą jak zdecydowana większość emigracji niepodległościowej, był związany z Radą Trzech. Formalnie jednak był przedstawicielem legalnego rządu czyli „Zamku”, gdyż listy uwierzytelniające składał jako przedstawiciel rządu, który legalnie istniał. Często, w czasie różnych spotkań, posługiwał się określeniem, że jest reprezentantem wolnych Polaków, czy że reprezentuje katolicką Polskę. Nie podkreślał, że jest reprezentantem rządu.

Po śmierci każdego Papieża i po wyborze nowego, ambasadorzy składają nowe listy uwierzytelniające. W naszej emigracyjnej rzeczywistości nie bardzo było wiadomo, kto ma te listy wystawiać. Czy to było rzeczywistym powodem, czy był to pretekst, aby cofnąć uznanie? Trudno dziś ustalić. Przeglądnięcie archiwum po Ambasadorze może wyjaśnić tę sprawę. W Rzymie nie było tajemnicą, że nowy Sekretarz Stanu, kard. Tardini, który przez cały pontyfikat Piusa XII był kierownikiem watykańskiej dyplomacji, chciał zlikwidować polską i litewską placówkę. Czy było to wynikiem strachu przed komunizmem? Mało prawdopodobne. W Sekretariacie Stanu trwało przekonanie, że komunizm na długie jeszcze lata będzie panował w świecie i że trzeba szukać z nim jakiegoś porozumienia. Jan XXIII miał się wyrazić, że jego obowiązkiem jest pomóc Kościołowi i katolikom, również tym w Związku Sowieckim. Miał powiedzieć, że nie utrzymywanie żadnych kontaktów przez Piusa XII nie pomogło nic. Może gdy będzie rozmawiał, coś osiągnie. Nie wszyscy w Kurii Rzymskiej byli podobnego zdania. Wielu uważało, że jest to raczej polityczna naiwność. Papież Jan XXIII, autentycznie jednak, w swojej dobroci chciał ulżyć katolikom na Wschodzie. Jedynym widocznym rezultatem było uwolnienie abp Slipyja. Czy to dużo czy mało?

Zdegradowanie ambasadora Papée z pozycji dziekana korpusu do kierownika ambasady było niewątpliwie przykre dla niego samego. Środowisko polskie w Rzymie przyjęło to różnie, zależnie czy mieli kontakty z ambasadą i jakie te kontakty były. Wybór kard. Montiniego na Papieża zmienił sy-

tuację Ambasadora o tyle, że jako Sostituto Sekretariatu Stanu, czyli coś w rodzaju trzeciej osoby w Kurii Rzymskiej, mons. Montini miał duży szacunek dla pana i pani Papée jeszcze z czasów ich zamieszkania w Hospicjum św. Marty w Watykanie. Relacje nowego Papieża z Ambasadorem były więcej niż urzędowe. Wybór Pawła VI nie zmienił jednak statusu dyplomatycznego, ale na pewno ułatwił Ambasadrowi kontakty z Sekretariatem Stanu.

Ambasador Papée był zawsze zaabsorbowany swoją sytuacją materialną, która zresztą nie była łatwa. Kiedy po uroczystościach 25-lecia Monte Cassino, obchodzonych w Londynie, byłem na herbacie u gen. Andersa, w czasie rozmowy Generał powiedział mi, że zawsze miał kłopoty finansowe z ambasadorem Papée. Mówił mi generał, że II Korpus przed wyjazdem z Włoch zostawił Ambasadrowi znaczną, jak na owe czasy, sumę pieniędzy, aby ambasador Papée kupił budynek na siedzibę Ambasady. Pan Papée nigdy tego nie zrobił — mówił Generał — a teraz ciągle przysyła alarmujące listy o pomoc finansową. Nigdy nie myślałem, że będę na ten temat zabierał głos. Nie robię notatek z rozmów, ale fakt rozmowy pamiętam dobrze.

Za mojego pobytu w Rzymie Ambasada ciągle się przenosiła: z domu przy viale Trastevere do domu w dzielnicy przy via Nomentana, stamtąd na Parioli, potem na S. Pancrazio. Ostatnim miejscem był domek niedaleko via Appia. Czym były powodowane owe częste przenosiny, nie wiem. Na pewno były trudności finansowe, czy za każdym razem było tańsze mieszkanie? Może czynsz był jedynie terminowy? Sytuacja finansowa Ambasady na pewno była trudna, gdyż musiała ona przecież prowadzić jakąś reprezentację, a to jest kosztowne. Kto miał utrzymywać Ambasadę? Emigracja protestowała, gdy obniżono rangę Ambasady, ale z protestów trudno wyżyć.

Na początku lat pięćdziesiątych amb. Papée zwrócił się do księży polskich w Ameryce o zorganizowanie pomocy. Zwracał się do innych osób, sprawa jednak pomocy przez Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych jest częściowo udokumentowana. Za poparciem abp. Gawliny, księży polscy chcieli zorganizować zbiórkę. Biskupi amerykańscy byli przeciwni robieniu zbiórek po kościołach. Postanowili, że będzie można udzielić pomocy Ambasadzie z centralnych funduszy episkopatu amerykańskiego. Biskupi zażądali jednak, aby została utworzona przy Ambasadzie rada ekonomiczna. Takowa została powołana pod przewodnictwem ks. prał. Kowalczyka

z Passaic N.J., a ks. prał. Rojek został pełnomocnikiem Ambasady dla spraw ekonomicznych. Pieniądze były przekazywane przez Delegata Apostolskiego w Waszyngtonie do Sekretariatu Stanu, który z kolei przekazywał je Ambasadzie. W tym czasie ambasador Papée uważał, że Ambasada aby mogła funkcjonować potrzebowała tysięcy dolarów miesięcznie (są to lata 1954-1955). Tymczasem ze Skarbu Narodowego otrzymywał zaledwie dwieście funtów i to z dużym opóźnieniem, co było zaledwie połową potrzebnej sumy¹⁰. Nie wiem jak długo wpływały sumy Konferencji Biskupów Amerykańskich, ale wiem, że trwało to przez dłuższy czas. Już za Papieża Jana XXIII, gdy żona p. Papée poważnie zachorowała, Papież przesłał pół miliona lirów na szpital. Była to suma znaczna na owe czasy. Ambasador to, co zostało z leczenia, przekazał na pomoc Polakom we Włoszech¹¹.

Gdy jedyny na pełnym etacie urzędnik Ambasady, kap. Kazimierza Krzepisz zmarł, wdowa zwróciła się do Stolicy

10. List amb. Papée do ks. abp. Gawliny z 5 X 1955: „Przed wszystkim pragnę Waszej Ekszelencji najserdeczniej podziękować za pomoc i obronę jakiej Ambasada doznała ze strony Waszej Ekszelencji w tym naprawdę groźnym niebezpieczeństwie. (...) Piszę również do generała Andersa, by sprostował informacje podane księdzu Piwowarowi; odchylają się one od rzeczywistego stanu rzeczy w tym, że nie wymieniono w tym liście sum, na których wpłatę Ambasada oczekuje od lat. To oczekiwanie nie byłoby możliwe, gdyby nie pomoc otrzymana od nas w roku zeszłym za pośrednictwem Delegata Apostolskiego z Ameryki. Nie mówiąc już o tym, że gdyby nawet Skarb Narodowy nie zalegał z wpłatami, to te £.200.00.00, tj. ± 500 dol., które powinien Ambasadzie dostarczać, wystarcza na pokrycie z wielkim trudem zaledwie połowy naszych wydatków, o których skromności Wasza Ekszelencja wie najlepiej. Słowem, gdybyśmy żyli z tego, co nam Skarb Narodowy dostarczy (z opóźnieniem 11 miesięcy), musielibyśmy naszą instytucję zlikwidować już w końcu listopada 1954. Przy tym podkreślaliśmy zawsze, że uważamy za zadanie Rady Ekonomicznej dostarczenie nam tylko dopełnień do sum, które by wpłynęły do Skarbu Narodowego, do wysokości koniecznych 1.000 dolarów miesięcznie — o czym są liczne ślady w naszej korespondencji z księdzem Rojkiem. Rada Ekonomiczna miałaby: 1. przede wszystkim czuwać nad wypełnieniem przez Skarb Narodowy zobowiązań, 2. dopełniać brakujące sumy do kwoty 1.000 dolarów miesięcznie. Gdyby Skarb Narodowy *istotnie pokrywał pełną* sumę naszych, bardzo skromnych potrzeb — Rada Ekonomiczna mogłaby spocząć. Dowiadujemy się tutaj, że Kardynałowie amerykańscy pragnęliby, aby w akcji na korzyść Ambasady nie było zbiorek w kościołach i w ogóle by akcja ta nie miała zbytznego rozgłosu.

11. List Ambasadora do Duszpasterza Polaków we Włoszech z 14. I. 1959.

Apostolskiej z żalem, że należy jej się coś w rodzaju odszkodowania i pomocy, gdyż została bez pensji. Uważała, że Watykan powinien jej dać odszkodowanie, chociaż p. Krzepisz był pracownikiem polskiej Ambasady, a nie Watykanu. Otrzymała jednak jednorazową znaczną sumę. Po wyborze kard. Wojtyły na Papieża napisała znowu rozpaczliwy list o pomoc i znowu otrzymała pewną sumę z zaznaczeniem, że przecież jej zmarły mąż nie był pracownikiem Watykanu i że zatrudniony był przez polską Amabsadę.

Dla będących w Rzymie było widoczne, jak działalność Ambasady powoli gasła. Zwłaszcza po śmierci żony Ambasador faktycznie stracił energię. Później, po śmierci p. Krzepisza, trudno już było mówić o jakiejś działalności. Było to właściwie trwanie. Można dyskutować, czy były możliwości ożywienia działalności przez przysłanie młodszych osób. Sytuacja finansowa była jednak taka, że nikt prawdopodobnie nie podjąłby się pracy za małe i niepewne wynagrodzenie. Po likwidacji Ambasador otrzymał mieszkanie w budynku należącym do Watykanu i miał tam zapewnione dożywocie.

Może są to wszystko drobne szczegóły, ale pisząc o likwidacji Ambasady, warto również spojrzeć na rzeczywistość taką jaką była. Emigracja nie była zdolna utrzymać Ambasady. To, co przysyłał Skarb Narodowy, pozwalało praktycznie na wegetację, nie na rozwijanie działalności. Gdyby nie pomoc Kościoła, nie wiadomo czy Ambasada wcześniej nie umarłaby „śmiercią naturalną”, zwłaszcza przy wzroście cen we Włoszech, zanim została formalnie zamknięta. Starzejący się Ambasador nie miał już sił do prowadzenia ożywionych kontaktów, które umożliwiłyby mu właściwe rozeznanie i informowanie z jednej strony kierownictwa politycznego w Londynie i z drugiej Stolicy Apostolskiej. Zresztą regularne przyjazdy do Rzymu Ks. Prymasa i Sekretarza Episkopatu informowały na bieżąco o życiu Kościoła w Polsce. Ewentualne wiadomości, które miał Ambasador, były spóźnione i nie pochodziły z pierwszego źródła.

III

Przejdźmy do zasadniczego problemu: Czy po śmierci abp. Gawliny duszpasterstwo emigracyjne było zależne od władz PRL?

Autor notatki „Dwa nieznanne listy”, podobnie jak inni pi-

szący na ten temat, powołują się jako na jedyne źródła na książki Józefa Mackiewicza, zwłaszcza na książkę „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” (Wyd. Kontra, 1975).

Józef Mackiewicz, mimo upływu lat, ciągle jest postacią kontrowersyjną. Nie mam najmniejszego zamiaru wypowiadania się na temat jego działalności w okresie wojennym, czy na temat wartości literackiej jego twórczości. Nie jest to moja kompetencja. Publikował on jednak książki, jak chociażby owa wzmiankowana, które chyba trudno zaliczyć do dzieł literackich. Są to raczej pamflety na temat relacji Kościoła katolickiego z komunizmem. Na ten temat ma J. Mackiewicz swoje poglądy, swoje oceny i również wypowiada swoje urazy. Trudno jednak opracowania te uważać za historyczne prace źródłowe. Praca źródłowa musi być oparta na źródłach, dokumentach. Wystarczy spojrzeć do przypisów, aby przekonać się, że nie ma tam źródeł. Jest odwoływanie się do artykułów w różnych czasopismach, a więc do opinii różnych dziennikarzy czy publicystów. Mogą to być i ciekawe relacje, ale nie są to dokumenty¹². Niestety, w książce „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” J. Mackiewicza są również stwierdzenia nieprawdziwe, o czym za chwilę.

Chciałbym jeszcze zrobić krótką uwagę na temat rozmowy z abp. Samorè, którą relacjonuje autor notatki „Dwa nieznanne listy”¹³. Abp Samorè był w bardzo bliskich stosunkach ze zmarłym abp. Gawliną i utrzymywali częste kontakty. W rozmowie abp Samorè był na pewno grzeczny, to było w jego stylu. Był, by tak powiedzieć, zawodowym dyplomatą. Z tego jednak, że ktoś jest grzeczny nie wynika, że zgadza się z rozmówcą. Abp Samorè miał wiele sympatii dla abp. Gawliny, ale równocześnie widział nową sytuację kościelną i polityczną, czego prawdopodobnie rozmówca w pełni nie rozumiał, jak wynika to z wypowiedzi p. A. Zaleskiego.

Abp Gawlina zmarł w czasie trwania czwartej sesji Soboru Watykańskiego II. W Rzymie był więc w tym czasie ks. Prymas i kilkunastu polskich biskupów. Stwarzało to dogodną sytuację dla wielu osób z emigracji bezpośredniego kontaktowania się z ks. Prymasem. Do kard. Wyszyńskiego

12. Krytyczne oceny o wypowiedziach J. Mackiewicza można znaleźć chociażby w książkach o. J. Mirewicz: „Emigracyjne sprawy i spory” (Londyn 1975) oraz „Życie wewnętrzne emigracji” (Londyn 1979).

13. Tomasz Mianowicz, „Dwa nieznanne listy”, *Zeszyty Hist.* nr 98, ss. 231-234.

przyjeżdżało wiele osób z różnych ośrodków. Przyjechał ówczesny premier p. Zaleskiego, przyjeżdżali przedstawiciele Rady Trzech, przyjeżdżali przedstawiciele innych ośrodków. Jest to okres dużych przecież rozłamów w politycznym kierownictwie emigracji. Każdy miał swoją wizję, ale każdy również proponował swojego kandydata na następcę. W czasie jednej z rozmów, po latach, ks. Prymas mówił mi, że po śmierci abp. Gawliny przyjeżdżało do niego wielu z różnymi sugestiami i kandydatami na następstwo. Słuchał sugestii, ale nie mógł przyjmować kandydatów, zwłaszcza że proponowano ich jedynie w opcji ich postawy politycznej, a nie kapłańskiej. Dlatego — powiedział ks. Prymas — nie mogłem tych sugestii przyjąć. Zarzucano ks. Prymasowi uległość wobec władzy w Polsce, ale spodziewano się podobnej uległości wobec czynników emigracyjnych.

J. Mackiewicz pisząc o duszpasterstwie emigracyjnym, podobnie zresztą jak jego żona Barbara Toporska, wykazują, że nie bardzo wiedzą o czym piszą.

Duszpasterstwo emigracyjne nie jest czymś samodzielnym, jest zależne od ustawodawstwa Kościoła powszechnego i może działać jedynie w oparciu o to ustawodawstwo. W ramach zaś ustawodawstwa kościelnego nie istnieje coś takiego jak samodzielna organizacja kościelna. Abp Gawlina nie miał żadnej jurysdykcji. Tytuł Protektora Emigracji nie daje władzy jurysdykcyjnej, a jedynie opiekę duchową. Był opiekunem duchowym. Abp Gawlina był Ordynariuszem personalnym w Niemczech i tam miał pełną jurysdykcję. Złożoność problemu jurysdykcji starałem się wykazać na przykładzie podwójnej jurysdykcji w Anglii¹⁴. Podobnie Protektorat Emigracji dany kard. Wyszyńskiemu nie dawał ks. Prymasowi władzy jurysdykcyjnej. Na mocy protektoratu był odpowiedzialny za koordynację i zaspokajanie potrzeb polskiego duszpasterstwa. Jurysdykcję jednak kapłani otrzymywali od lokalnego ordynariusza, czy jak w Anglii od Wikariusza Delegata.

Istniało na przykład od zakończenia wojny do niedawna polskie seminarium duchowne w Paryżu. Klerycy po ukończeniu studiów przychodzili do polskiego duszpasterstwa emigracyjnego. By jednak mogli otrzymać święcenia, musieli być kanonicznie inkardynowani do jakiejś diecezji. Każdy kapłan

14. „Podwójna jurysdykcja dla Polaków w Anglii”, *Zeszyty Hist.* nr 100, ss. 42-59.

należy albo do któregoś ze Zgromadzeń zakonnych, albo do kleru diecezjalnego. Musi więc być włączony do diecezji, tytułem której otrzymuje święcenia. Klerycy z seminarium paryskiego wszyscy byli włączeni do diecezji w Polsce, zasadniczo do Archidiecezji Gnieźnieńskiej jako prymasowskiej, mimo że mieli obywatelstwo kraju urodzenia. Podobna sytuacja była z drugim domem studiów, jakim było Papieskie Kolegium Polskie w Rzymie. Po otrzymaniu święceń nowi kapłani byli oddawani do dyspozycji abp. Gawliny, który poprzez kontakty z Rektorami Misji przeznaczał ich do duszpasterstwa w poszczególnych krajach i prosił dla nich o jurysdykcję. Nominacja kard. Wyszyńskiego na Protektora Emigracji formalnie nic tu nie zmieniała. Ks. Prymas chciał złączyć duszpasterstwo polskie z Kościołem w Polsce, gdyż i tak duszpasterstwo jeśli miało spełnić swoje zadanie musiało opierać się na polskich formach kultu i paraliturgii i opierało się o polski kalendarz liturgiczny zachowując jego specyfikę.

Ks. Prymas zdawał sobie dobrze sprawę z możliwości ograniczeń, którym on sam podlegał i trudnościom w kontaktach z zagranicą. Dlatego przyjmując Protektorat napisał do Sekretarza Stanu, że obowiązki protektora będzie wykonywał poprzez swojego delegata w Rzymie, któremu deleguje wszystkie swoje uprawnienia. Ks. Prymas był bardzo wyczulony na sprawy emigracyjne i dlatego swoim delegatem mianował ks. Władysława Rubina, który od lat był w Rzymie, a przed nominacją był Rektorem Papieskiego Kolegium Polskiego. Ks. Rubin nigdy w Polsce nie mieszkał. Kandydatura ta jednak nie zadowolili żadnej ze stron emigracyjnych, bo była jak gdyby kandydaturą z zewnątrz i nie uwzględniała przedstawianych ks. Prymasowi propozycji.

Bp. Rubinowi nie można było zakwestionować „rodowodu” emigracyjnego. Jako podchorąży walczył we wrześniu, złapany przy zamiarze przekroczenia granicy na Węgry, skazany, przepracował w łagrach, wyzwolony wstąpił do wojska w Rosji i wyjechał na Środkowy Wschód. Już na Środkowym Wschodzie w 1943 roku abp Gawlina starał się, aby klerycy, którym wojna przerwała studia, mogli je ukończyć. Uzyskał zgodę Dowódcy Korpusu na ich odkomenderowanie z wojska do seminarium, które Arcybiskup utworzył przy Katolickim Uniwersytecie w Bejrucie. Ks. Rubin tam otrzymał święcenia, po których został duszpasterzem Polaków w Libanie. Po likwidacji osiedli i szkół w 1950 roku przyjechał na studia do Rzymu, ukończył prawo, został przez abp. Gawli-

nę przeznaczony na duszpasterza Polaków we Włoszech i był stosunkowo blisko związany ze zmarłym Arcybiskupem. Życiorys bp. Rubina był więc wspólnym życiorysem, który miała emigracja niepodległościowa. Trudno było tu coś zarzucić. Zarzucano mu jednak (J. Mackiewicz i p. Toporska), że składał przysięgę na PRL i ten kłamliwy zarzut ciągle się powtarza.

Historia tej przysięgi wiąże się z dwoma dokumentami. W 1953 roku (9II) został ogłoszony w PRL „Dekret o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych”. Dekret ten praktycznie uniemożliwił normalne administracyjne funkcjonowanie Kościoła. Każdą zmianę w duszpasterstwie, nominację, przeniesienie uzależniał od władz państwowych, które musiały wyrazić zgodę. Było to praktycznie zerwanie *modus vivendi* z 1950 roku. Ponieważ żadne protesty nie odnosiły skutku, Episkopat wystąpił z owym listem „Non possumus” (8 V 53), co w konsekwencji doprowadziło do aresztowania i odizolowania ks. Prymasa.

Po zmianach październikowych w 1956 r. i uwolnieniu ks. Prymasa, pierwszym problemem wznowionej Komisji Wspólnej była sprawa odwołania dekretu z 1953 r. Po posiedzeniu 2XII 1956 roku Komisji Wspólnej ukazał się komunikat, który między innymi mówi: „W celu uregulowania prawnego stosunku Państwa z Administracją Kościelną, Komisja Wspólna wystąpi do władz państwowych o uchylenie obecnie obowiązującego dekretu z 9II 1953 r. o obsadzeniu stanowisk kościelnych. Regulując te sprawy, nowy akt prawny będzie gwarantował wpływ Państwa na obsadę stanowisk arcybiskupów, biskupów diecezjalnych i koadiutorów z prawem następstwa oraz proboszczów, zachowując jednocześnie wymogi jurysdykcji kościelnej¹⁵.”

Nowy dekret ukazał się z datą 31 grudnia 1956 r., który w art. 4 mówi, na jakie stanowiska potrzebne jest wyrażenie opinii władz państwowych, a art. 6 mówi, że osoby te powinny złożyć ślubowanie nieszkodzenia PRL i podaje treść ślubowania¹⁶.

Komunikat i dekret wyliczając tych, którzy mają złożyć ślubowania nie mówi nic o biskupach sufraganach czyli biskupach pomocniczych, jak to się dzisiaj określa. Zresztą to było powodem, że w Polsce było wielu biskupów sufraganów,

15. Patrz: Jacek M. Majchrowski, „Polityka wyznaniowa”, Wybór Źródeł, Kraków 1980, s. 65.

16. Tamże, s. 68.

bo tu nie trzeba było zgody władz. Bp Rubin był biskupem sufraganiem, a więc dekret go nie obejmował i nie obowiązywał. Oskarżenie więc, że bp Rubin składał przysięgę, jest po prostu nieprawdą. J. Mackiewicz chyba znał dekret, bo się na niego powołuje. Jednak oskarżył bp. Rubina świadomie przekraczając interpretację dokumentu. Nieprawda ta trwa do dzisiaj i najwyższy czas, aby z nią zerwać, pisząc o duszpasterstwie emigracyjnym. Jeżeli powołujący się na J. Mackiewicza mają dowody, że było inaczej, należy je przytoczyć i ogłosić. Inaczej trzeba twierdzenie o przysiędze uważać za nieprawdę.

„Koronnym dowodem” złożenia przysięgi według J. Mackiewicza była niby sprawa zakazywania modłów za pomordowanych w Katyniu. Jedynym argumentem, który J. Mackiewicz mógł przytoczyć, był list Stowarzyszenia Lotników z San Paulo¹⁷. Trzeba chociażby trochę znać różne lokalne sytuacje, aby taką wypowiedź uważać za dowód. Ileż to istnieje różnych wypadków nieporozumień na tle ambicyjnym, między jakimś lokalnym prezesem czy jednym z prezesów, gdy jest więcej miejscowych organizacji, a duszpasterzem. Mógłbym przytoczyć dziesiątki spraw, które gdy czyta się z oddali wyglądają groźnie, kwestionują postawy ideowe etc. etc. Gdy się zaś sprawdzi lokalne nieporozumienia, porozmawia z ludźmi, okazuje się, że to po prostu lokalne ambicyjne rozgrywki między miejscowymi autorytetami itd. Podobna sytuacja była w San Paulo, jak sam się na miejscu przekonałem. Od 1966 roku jestem w Centralnym Ośrodku Duszpasterstwa Emigracji i praktycznie go prowadziłem. Nigdy nie widziałem żadnej instrukcji zakazującej modłów za Katyń. Jeśli taka była, powinno by się ją opublikować, inaczej trudno traktować takie argumenty poważnie. Bp Rubin święcił pomniki katyńskie, głosił kazania z tych okazji. On to powiedział zdanie, na które później wielu się powoływało, że „opasaliśmy kulę ziemską pomnikami upamiętniającymi zbrodnie Katynia”. Ja sam również święciłem kilka pomników i tablic katyńskich w różnych krajach. Gdy w 1980 roku przypadła 40-ta rocznica zbrodni, wówczas już kardynał Rubin, bardzo chętnie podpisał również komunikat, który z tej okazji został rozesłany do wszystkich Ośrodków duszpasterskich właśnie o modlitwach za Katyń (*vide* Aneks II). Niestety, zdarza się czasami, że jedni przychodzą do kościoła

17. J. Mackiewicz, „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”, s. 294.

modlić się, a inni manifestować. Teoretycznie nie powinno być między jedną a drugą postawą sprzeczności. Praktycznie różnie to bywa. W minionym okresie było wiele dowodów, że zarówno w Polsce jak i na emigracji nie wszyscy przychodzili do kościoła, aby się modlić. Reperkusje widzimy dzisiaj.

Trzy lata zaledwie po nominacji na Delegata bp Rubin został zamianowany pierwszym Sekretarzem Generalnym nowo utworzonej po Soborze instytucji, jaką jest Synod Biskupów. Było to duże wyróżnienie, ale zmuszało bp. Rubina do stałej obecności w Rzymie. Nie mógł prowadzić odwiedzin duszpasterskich, jakie były potrzebne i wymagane. Wówczas otrzymałem w grudniu 1968 roku nominację na biskupa sufragana gnieźnieńskiego jako drugi biskup dla emigracji. Ja również żadnej przysięgi czy ślubowania na PRL nie składałem. Stwierdzenie J. Mackiewicza¹⁸ jest nieprawdą. Jeśli ktoś je powtarza, niech wykaże gdzie i kiedy miało to miejsce. Inaczej muszę takie opinie uważać za oszczerstwo. Z wypowiedzi J. Mackiewicza można by również wyprowadzić wniosek, jakobym przybył z PRL. Muszę więc pokrótce przytoczyć mój „rodowód emigracyjny”.

W przeciwieństwie do kard. Rubina pochodzę z zachodniej Polski i moja droga do armii polskiej prowadziła przez armię niemiecką.

Muszę w tym miejscu otworzyć szerszy nawias, by poruszyć dwie sprawy, o których niewiele się mówi, a które są związane z tzw. Volkslistą i II Korpusem.

Jeszcze w 1939 roku Hitler włączył do Reichu dawne ziemie zaboru pruskiego, czyli Pomorze, Poznańskie, Śląsk. O ile w opinii niemieckiej zdecydowana większość poznaniaków była uważana za Polaków, o tyle na Pomorzu i na Śląsku zastosowano metodę, że większość mieszkańców to zasadniczo jedynie spolszczeni Niemcy. W celu określenia narodowości wprowadzono tzw. Volkslistę, czyli listę ludową czy narodową. Zapis na tę listę był obowiązkowy. Lista posiadała cztery grupy, z których pierwsza to byli rdzenni Niemcy (*Reichsdeutsche*), druga Niemcy z przekonania, czwarta to byli Polacy. Najbardziej zróżnicowana była grupa trzecia, czyli ludność miejscowa, która niby była spolszczona, ale powinna być odpolszczona i zgermanizowana. Grupa trzecia miała dlatego kilka podgrup, które miały wykazywać stopień spolszczenia czy stopień germanizacji, zależnie przez kogo było to

18. J. Mackiewicz, dz. cyt. s. 294.

interpretowane. Interpretacja przynależności do grupy trzeciej zmieniała się w miarę jak z przedłużaniem się wojny, armia potrzebowała żołnierza. Zresztą w 1944 roku nawet niektórzy z tych, którzy mieli grupę czwartą, byli powoływani do armii.

Literatura na ten temat nie jest zbyt obszerna, ale jest kilka pozycji. Jedną z pierwszych książek jest praca młodego wówczas literata śląskiego Zbyszko Bednorza. Ukrywał się on w czasie wojny w Warszawie, ale miał kontakty ze Śląskiem i tam pod okupacją w konspiracji napisał o problemie Volkslisty. Krótko po wojnie swoją poszerzoną pracę wydał drukiem jako książkę¹⁹.

Sprawę Volkslisty poruszył również J. Garliński w swoim opracowaniu „Polska w drugiej wojnie światowej²⁰”. Ujęcie to spotkało się z repliką czy wyjaśnieniami opracowanymi przez Ks. Raka²¹. Sprawa Volkslisty wiąże się również z II Korpusem. Porusza ją gen. Anders w swoich wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału”.

Generał wspomina, że gdy w styczniu 1944 roku omawiał z gen. Wilsonem użycie II Korpusu we Włoszech, gen. Wilson „przede wszystkim troszczył się o uzupełnienie Korpusu na wypadek strat w walkach. Odpowiedziałem mu, że uzupełnienia dla nas napłyną z frontu. Nie mamy za sobą kraju, który by mógł dawać rezerwy, ale wierzymy, że wszyscy Polacy, zwłaszcza wcieleni przymusowo do armii niemieckiej, będą dążyli do naszych szeregów na pierwszą wieść, że polskie wojsko walczy na kontynencie²²”. Do tego samego problemu gen. Anders wraca w rozmowie z gen. Aleksandrem, któremu przedstawia to samo rozwiązanie²³.

Problem uzupełnień staje się szczególnie naglący po bitwie pod Monte Cassino. Pisze gen. Anders: „Gen. Aleksan-

19. Zbyszko Bednorz, „Śląsk wierny Ojczyźnie”, Wyd. Zachodnie, Poznań 1946.

20. Józef Garliński, „Polska w drugiej wojnie światowej”, wyd. Odnova, Londyn 1982, s. 49, 74.

21. Ks. Romuald Rak, „Biskup Adamski a Volkslista” w *Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne* vol. 18, 1985 str. 263-267. Pośrednio problem ten porusza inny artykuł w tym samym tomie: Michał Sobczyk, „Problem narodowości polskiej na Górnym Śląsku w latach II Wojny Światowej”. Okazuje się, że sprawa ciągle jest jeszcze aktualna, gdyż poruszyła go *Gazeta Wyborcza* w artykule W. Kobickiego „Za mundur feldgrau” z 6. 4. 1992.

22. Władysław Anders, „Bez ostatniego rozdziału”, Wyd. Gryf. wyd. III (1959) ss. 180.

23. W. Anders, dz. cyt. ss. 187-188.

der poruszył następnie sprawę uzupełnień. Było to zawsze jedno z najdrażliwszych zagadnień Korpusu. Ze względu na straty Korpusu w bitwie o Monte Cassino i brak rezerw, sztab brytyjski opierając się na swoich wzorach, etatach i cyfrach, proponował ograniczyć Korpus Polski do jednej dywizji piechoty, wzmocnionej oddziałami pomocniczymi. Nie mogłem się na to zgodzić. Uważałem, że Korpus jest związkami przyszłej armii polskiej i że powinien składać się z wszelkich rodzajów broni i służb, aby mieć zdolność samodzielnego działania. Byłem przekonany, że uzupełnienia nadejdą... z frontu²⁴.

Gdy w grudniu 1944 roku gen. Wilson został przeniesiony z Włoch, w pożegnalnej rozmowie powiedział gen. Andersowi: „Odnosiłem się nieco sceptycznie do niektórych przewidywań Pana Generała, lecz w dwóch miał Pan na pewno słuszność. Pierwsze dotyczy rozmowy z Winstonelem Churchillem (...) drugie, że uzupełnienia do Korpusu napłyną w miarę jego posuwania się naprzód²⁵”.

Z napływających do Korpusu żołnierzy z armii niemieckiej nie tylko uzupełniono straty, ale stworzono nowe oddziały. Píše gen. Anders: „obie dywizje otrzymały trzecie brygady, zorganizowane w bazie 2-go Korpusu z napływających ochotników²⁶. W swoich wspomnieniach „Na polskim szlaku”, gen. Rudnicki pisze: „w bitwie o Bolonię dowodziłem tzw. Grupą RUD, złożoną z dwóch brygad piechoty świeżo w Korpusie sformowanych. Oddziały tej grupy były tymi z wojsk alianckich, którym udało się pierwszym wdrzeć do Bolonii²⁷”. Okazało się, że żołnierze, którzy przyszli z armii niemieckiej, byli dobrymi żołnierzami.

Zagadnienie więc Volkslisty ma różne aspekty. Może jedni naprawdę zdradzili polskość. Nie można tego wykluczyć. Dzięki tym wcielonym przymusowo 2-gi Korpus mógł ostać się jako Korpus, a nie został zredukowany do jednej dywizji i mógł odnieść ostatnie zwycięstwo w Kampanii Włoskiej. Niezależnie od tych pozytywów, trzeba również stwierdzić i to, że po zakończeniu akcji znalazło się w Korpusie wiele osób, pochodzących z armii niemieckiej, które nigdy nie powinny znaleźć się w polskiej armii.

24. W. Anders, dz.cyt. ss. 222.

25. W. Anders, dz.cyt. ss. 301.

26. W. Anders, dz.cyt. ss. 305.

27. Gen. Klemens Rudnicki, „Na polskim szlaku”, Wyd. I, 1952, s. 204, por. również W. Anders, dz.cyt. s. 326.

Właściwie w czasie drugiej wojny powtórzyła się tragedia pierwszej wojny, czyli, że do armii niemieckiej i rosyjskiej byli przymusowo włączeni Polacy i brat strzelał do brata²⁸.

Zamykając ten trochę długi nawias, wracam do mojego „emigracyjnego rodowodu”.

Mój Ojciec był jednym z organizatorów III Powstania Śląskiego w powiecie gliwicko-toszeckim. Po powstaniu optował za Polską i musiał uchodzić do polskiej części Górnego Śląska. Podobnie zresztą rodzina mojej matki. Jako urzędnik państwowy został w 1939 roku ewakuowany i dotarł z katowicką dyrekcją kolei aż do Kowla. Na wieść o wkraczającej armii sowieckiej zdecydowali z kolegami o ucieczce na Zachód i nad Sanem zostali wzięci do niewoli niemieckiej. Po różnych przejściach, jako urzędnik cywilny, został zwolniony, ale wracając do Katowic musiał się regularnie co 48 godzin meldować na policji. Wrócił do domu już poważnie chory i później został sparaliżowany, co ostatecznie uchroniło go przed aresztowaniem. Pracy oczywiście nie otrzymał i żyliśmy z małego zasiłku i tego co krewni i dobrzy ludzie pomogli. Ze starszym bratem podejmowaliśmy różne prace, aby pomóc w domu. Po śmierci ojca matka pod wpływem otoczenia zdecydowała się wnieść podanie o Volkslistę. Nie została jej przyznana żadna grupa, otrzymała jedynie potwierdzenie, że podanie zostało przyjęte do rozpatrzenia. Formalnie matka nie otrzymała Volkslisty. Tym bardziej ja jako niepełnoletni. Wystarczyło to jednak, aby najpierw brata, potem mnie powołać do wojska. Jestem rocznik 1926, który został powołany pod koniec stycznia 1944 roku. Urodziłem się jednak w październiku. Gdy zabrano mnie do wojska, miałem więc zaledwie 17 lat i 3 miesiące. Po krótkim przeszkoleniu rekruckim zostałem odesłany do południowej Francji. Po ludzku sądząc było to wielkie szczęście, ja uważałem to za łaskę Bożą. W sierpniu tego roku udało mi się przedostać do wojsk amerykańskich i we wrześniu byłem w II Korpusie. Miałem w Korpusie trochę kłopotu, gdyż z powodu nie ukończonych jeszcze 18 lat chciano mnie odesłać do junaków. Udało mi się jakoś przekonać dowódcę i zostałem w Korpusie. Wszyscy chcieliśmy iść na front, ale posłano mnie na kursy radio-telekomunikacji. Po zakończeniu działań wojennych zostałem przyjęty na Kursa Maturalne II Korpusu

28. Rudolf S. Falkowski, „Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945)”, *Zeszyty Hist.* nr. 101, ss. 115-142.

i z Korpusem przyjechałem do Anglii. Trzeba było decydować się na PKPR i po demobilizacji, wówczas jedyną możliwością dla żołnierzy w moim wieku było stanowisko niewykwalifikowanego robotnika w fabryce. W moim wypadku była najpierw stalownia, a potem przędzalnia. Później okazało się, że były możliwości studiów. Po dwóch latach otrzymałem coś w rodzaju stypendium od angielskiego College prowadzonego przez Ojców Jezuitów i w 1951 r. przyjechałem do Rzymu, aby rozpocząć studia teologiczne w Polskim Kolegium i na Gregorianum.

Nigdy więc w PRL nie mieszkałem, chociaż owszem, w latach 60-tych byłem w Kraju. Niestety, nie mogłem pojechać na pogrzeb Matki, bo pracując w czasie wszystkich Sesji Soboru Watykańskiego II w biurze prasowym Soboru, byłem pośrednikiem między Episkopatem i dziennikarzami z Kraju, również w sprawie przekazania owego Listu do Biskupów Niemieckich. Ks. Prymas uważał, że nie powinienem przyjeżdżać, gdy trwała „nagonka” w sprawie listu. Zawsze więc czułem się częścią emigracji niepodległościowej. Jak już wspomniałem, żadnej przysięgi nie składałem.

W załączniku podaję list Urzędu dla Spraw Wyznań, który bardzo negatywnie określa moją postawę, właśnie wobec PRL (Aneks I). Właściwie wystarczyłby on na wykazanie, że nie było zależności duszpasterstwa emigracyjnego od PRL, ale chciałbym jeszcze przedstawić sprawę przyjęcia Protektoratu nad Emigracją przez ks. Prymasa Wyszyńskiego, również i od strony formalnej.

IV

Wspomniałem już, że duszpasterstwo emigracyjne jest częścią ustawodawstwa Kościoła powszechnego.

Pierwszym dokumentem, który całościowo ujmuje problemy duszpasterstwa emigrantów, jest Konstytucja Apostolska „Exul Familia” papieża Piusa XII, ogłoszona w 1951 roku.

W tym czasie Europa była ciągle jeszcze pełna uchodźców. Jest to rok, w którym ONZ uchwała deklarację, kogo można uważać za uchodźcę. Określenie to odnosiło się praktycznie do tych, którzy uciekli z bloku sowieckiego, spoza żelaznej kurtyny. Dlatego ustawa określała, że badanie o azyl musi być przeprowadzone w pierwszym wolnym kraju. Stąd obozy dla uchodźców w Niemczech, Austrii i we Włoszech.

Dokument papieski wydany w tym samym czasie mówi bardziej o uchodźcach niż o emigrantach. Świadczy o tym zresztą sam tytuł „*Exul Familia*”, który podkreśla *exules*, czyli uchodźców.

Ponieważ nie było możliwości kontaktów poprzez żelazną kurtynę z krajem pochodzenia, potrzeba było organu stwierdzającego, czy dana osoba jest kapłanem. Na mocy konstytucji powstaje tzw. Rada Emigracyjna przy ówczesnej Kongregacji Konsystorialnej, której zadaniem było wystawianie dokumentów, że dana osoba jest autentycznym kapłanem i dlatego poleca się ją danemu Ordynariuszowi miejsca. Jednym z członków tej rady był abp Gawlina.

Wkrótce jednak powstał w Europie nowy fenomen tzw. *Gastarbeiter*. Rozwijający się przemysł w Niemczech potrzebował rąk do pracy, które przyszły z krajów, gdzie był ich nadmiar, czyli z Włoch, Hiszpanii, Portugalii, a później z Turcji. Podobna sytuacja była w Szwajcarii, gdzie robotnikami cudzoziemskimi byli głównie Włosi. Ludzie ci nie byli *exules*. Mieli swobodny kontakt z krajem pochodzenia, byli czasowymi czy stałymi emigrantami ekonomicznymi. Nie odnosiły się więc do nich zasady o uchodźcach.

Fenomen ekonomicznych emigrantów zbiegł się w czasie z trwaniem Soboru Watykańskiego II. Sobór wśród różnych zmian przyjął również „zasadę pomocniczości”, czyli zasadę, że co można załatwić na niższym szczeblu, nie powinno być odsyłane do wyższej władzy. Problem emigrantów wchodzi właśnie w tę zasadę, czyli, że powinien być rozwiązany na szczeblu Kościołów lokalnych²⁹.

Wkrótce więc po zakończeniu Soboru ukazuje się nowy dokument Stolicy Apostolskiej o emigracji: *Motu Proprio* Pawła VI, *Pastorali Migratorum Cura* (z 15 sierpnia 1969 r.). Już z samej nazwy widać różnicę. Nie używa określenia *exules*, ale *migrantes*, migranci. Akcent położony jest na migrantach: imigrantach czy emigrantach. Dokument ten stwierdza, że odpowiedzialność za duszpasterstwo emigrantów ponoszą Kościoły lokalne, czyli rozwiązują go Kościół *a quo* z Kościołem *ad quem*. Problem więc duszpasterstwa musi być uregulowany między Kościołem, z którego emigranci wyjeżdżają i Kościołem, do którego emigranci przyjeżdżają. Tzw. Najwyższa Rada Emigracji przy Kongregacji Konsystorialnej została

29. Patrz: Soborowy Dekret o pasterskich zadaniach biskupów w Kościele: *Christus Dominus*, nr 18.

rozwiązana, a na jej miejsce utworzono najpierw Komisję, a później Papieską Radę dla Migracji i Turystyki.

Śmierć abp. Gawliny przypadła na okres dyskusji soborowych o uprawnieniach biskupów i zarysowujących się zmian. Arcybiskup zmarł opracowując właśnie interwencje w sprawie emigracji. Nawet jednak gdyby żył, wiele musiałoby się zmienić w jego sytuacji i działaniu. Włączenie bp. Rubina i mnie do polskiego Episkopatu umożliwiło nam działanie na nowych zasadach. Ks. Prymas wszystkie sprawy przekazywał do Rzymu i praktycznie nie ingerował w sprawy, które miały być załatwiane między poszczególnymi Ordynariuszami czy diecezjami. Jako Przewodniczący Episkopatu proponował rektorów Misji, np. po śmierci inf. Staniszewskiego i Kwaśnego. Czynił to jednak nie jako Protektor Emigracji, ale jako Przewodniczący Konferencji Episkopatu, gdyż tak sprawę stawia ustawodawstwo posoborowe.

Jeszcze za życia abp. Gawliny powstał problem następstwa na miejsce odchodzących kapłanów. Seminarium paryskie tylko w małym procencie mogło zaspokoić te potrzeby. Trzeba było się zdecydować: albo likwidacja placówek z braku kapłanów, albo przyjazd kapłanów z Kraju. Właściwie nie było alternatywy, gdy potrzeba było zaspokoić potrzeby duszpasterskie emigracji. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że mogą przyjechać kapłani ulegli władzom PRL. Problem był złożony. Kapłan wyjeżdżający z Kraju musiał otrzymać paszport. Musiał jednak otrzymać również wizę i prawo pobytu w kraju, do którego przyjechał. Wiemy, że władze PRL uważały wydawanie paszportów za łaskę i przywilej, a nie za prawo obywatela. Zgłaszanie się o paszport na dłuższy wyjazd, czy na stały wyjazd, władze usiłowały uwarunkować od tzw. „pozytywnej postawy wobec Polski Ludowej”. Można było to częściowo ominąć, prosząc jedynie o paszport na wyjazd turystyczny. Otrzymanie jednak wizy turystycznej i przyjazd na wizę turystyczną do danego kraju formalnie uniemożliwiały dłuższe pozostanie. Najdelikatniejsza sytuacja była w Anglii, która miała swoją politykę imigracyjną i utrudniała otrzymanie wizy pobytowej i prawa do pracy.

Miałem kilka spotkań z Ambasadorem Brytyjskim przy Stolicy Apostolskiej, starając się o to, aby księża mogli przyjeżdżać na wizę turystyczną i aby umożliwiono im stały pobyt, tak byśmy mogli ich zatrudnić w duszpasterstwie polskim. Wówczas nie będą poddawani ewentualnym naciskom, gdy będą prosili o dłuższy wyjazd. Po rozmowach i inter-

wencjach Home Office zgodził się, że gdy Rektor Misji Polskiej będzie prosił o przedłużenie wizy kapłanowi z Polski, Home Office da zezwolenie na stały pobyt. Było to wszystko oparte o wzajemną dyskrecję i nie można było tego publikować. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych rozdmuchano sprawę tzw. księży z reżymowymi paszportami, nie można było o tym pisać, gdyż było to dyskretne porozumienie. Zresztą cała owa sprawa tzw. reżymowych paszportów wytworzyła wiele nieporozumień, zupełnie zbędnych. Z drugiej zaś strony urażliwiła władze w Polsce, że mogą wywierać nacisk na duszpasterza. Poza bardzo nielicznymi wyjątkami, księża z Kraju ożywili duszpasterstwo, gdyż będąc młodymi kapłanami znaleźli łatwiejsze dojście do młodego pokolenia, wiążąc go z wiarą i z polskością. Gdy zrozumieli założenia ideowe emigracji, a na spotkaniach księża dużo o tym mówiliśmy, zdecydowana większość przyjęła całkowicie etos emigracji niepodległościowej. Niestety, na emigracji istniała również mentalność „oblężonej twierdzy” i czasami dopatrywano się „wtyczek” tam, gdzie ich na pewno nie było. Stwarzanie zaś atmosfery, że wszyscy księża z Kraju są wtyczkami, prowadziło do sytuacji urazów i uprzedzeń, która była ostatecznie szkodliwa i dla księży i dla ludzi.

Czy kard. Wyszyński miał uraz wobec emigracji? Nie wiem. Wiem jednak z wielu rozmów z nim, że widział sens emigracji i widział ją właśnie w kontekście głoszenia prawdy o polskiej rzeczywistości i jako bronienie narodu przed zakłamaniami. Niejednokrotnie sam wskazywał na zagrożenia, o których powinno by się głośno mówić na emigracji, aby wyczulić naród na grożące niebezpieczeństwa. Mógłbym przytoczyć wiele przykładów. Warto jednak wspomnieć o jednym, o akcji 1980 r. odizolowania klasztoru na Jasnej Górze, przez zbudowanie obwodnicy, która miała przecinać Aleje N.M. Panny i oddzielić klasztor od miasta. Poruszenie opinii emigracji (Aneks III), a potem opinii światowej, sprawiło, że jednak władze zrezygnowały z realizacji nedorzecznego projektu. Była w tym niewątpliwie duża zasługa emigracji. Wiem, jak ks. Prymas był wdzięczny za to emigracji.

Może został u ks. Prymasa pewien uraz, gdy, jak wspominałem, po śmierci abp. Gawliny różne ośrodki emigracyjne przychodziły ze swoimi kandydatami na następców. Uważał to za mieszanie się w wewnętrzne sprawy Kościoła, przed czym musiał się ciągle bronić w Kraju. Również nie zawsze miał pełne rozeznanie między politycznymi ugrupowaniami na

emigracji i stąd przyjmował sceptycznie różne memoriały.

Mogę tu na marginesie zaznaczyć, że niejednokrotnie musiałem z pewnym zażenowaniem wyjaśniać w Sekretariacie Stanu kto kim jest, gdy przeciwstawne sobie ugrupowania polityczne przysyłały różne memoriały do Stolicy Apostolskiej, wzajemnie się wykluczające, ale chcące uchodzić za autentyczne przedstawicielstwo emigracji. Nie dodawało to powagi działalności politycznej emigracji w oczach pracowników Stolicy Apostolskiej.

Niestety, polityczne czynniki emigracji nie bardzo orientowały się w zachodzących zmianach w administracji kościelnej i zmianach w Stolicy Apostolskiej po Soborze. Ambascador Papée, nawet jeszcze jako kierownik Ambasady, był już starzejącym się panem, coraz bardziej osamotnionym, bez stałego pomocnika. Nie wiem jak informował czynniki w Londynie i czy w ogóle śledził zachodzące zmiany w Kurii Rzymskiej. Owe wspomniane uprzednio dwa listy wskazują raczej na brak właściwego rozeznania w zmieniającej się rzeczywistości.

Nazywam to, co powyżej napisałem, wspomnieniami polemicznymi, chociaż starałem się przedstawić fakty i to, co sam obserwowałem z bliska. Obserwacje zawsze są subiektywne, ktoś inny może widzieć i oceniać inaczej. Fakty jednak pozostają faktami. Żadnego ślubowania nie składałem, mój poprzednik także. Przejęcie zaś Protektoratu Emigracji przez ks. Prymasa Wyszyńskiego było związaniem duszpasterstwa polskiego z Kościołem w Polsce, co było konieczne ze względu na zachodzące zmiany w ustawodawstwie Kościoła powszechnego, ale i ze względu na nowe sytuacje, które powstawały. Np. od końca lat sześćdziesiątych trzeba było objąć opieką duszpasterską tysiące robotników polskich pracujących na kontraktach, zwłaszcza w krajach arabskich (Libia, Algier, Tunis, Maroko, Iran, Irak). Były to dziesiątki tysięcy ludzi, którym trzeba było duszpastersko służyć. Gdy odwiedzałem owe tzw. „kampy”, zazwyczaj dyrektorzy mieli ważne wyjazdy i byli poza „kempem”, aby nie spotkać się z emigracyjnym biskupem. Ludzie jednak byli wdzięczni i chętnie słuchali właśnie relacji o emigracji, podobnie jak z wdzięcznością przyjmowali księża, którzy przyjeżdżali z Kraju, ale przez ośrodek w Rzymie.

Władze PRL, owszem, usiłowały w różny sposób dotrzeć do emigracji. Usiłowały również do tego celu wykorzystać duszpasterstwo. Nie zależało to jednak od faktu, czy protek-

torat nad emigracją miał kard. Wyszyński, czy ktoś inny. Protektorat ks. kard. Wyszyńskiego w niczym nie ograniczał działalności emigracji niepodległościowej. Bp Rubin i ja, wydaje mi się, braliśmy czynny udział w życiu emigracji niepodległościowej³⁰. Nigdy od kard. Wyszyńskiego, którego byłem delegatem, nie słyszałem jakiejś uwagi czy nakazu, który by ograniczał mój udział w życiu emigracji niepodległościowej czy kwestionował postawę ideową emigracji. Doznałem, owszem, różnych drobnych szykan od władz PRL, które może były i dokuczliwe, ale na które machało się ręką.

Myślę, że ciągle podtrzymywanie opinii o zależności duszpasterstwa emigracyjnego od władz PRL jest dla duszpasterstwa krzywdzące. Należy spojrzeć na rzeczywistość taką jaka była, bez uprzedzeń i urazów.

Bp Szczepan WESOŁY

ANEKS 1

Minister Warszawa, dnia 1985-10-21
Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań
RK-815/Og/11/85

Jego Eminencja
Ksiądz Kardynał Józef GLEMP
Arcybiskup Gnieźnieńsko-Warszawski
Prymas Polski
Warszawa

W pro memoria z dnia 28 stycznia br. Urząd do Spraw Wyznań wyraził zaniepokojenie tym, „iż część duszpasterzy polonijnych poprzez swe jednoznaczne antykrajowe opcje polityczne i powiązania ze skrajnie reakcyjnymi ugrupowaniami politycznymi działającymi wśród emigracji — przyczynia się do pogłębiania podziałów i rozdzwieńków, zrywania związków z krajem, niekiedy do działania na jego szkodę, a tym samym również do deprecjacji polskich grup etnicznych w krajach osiedlenia”.

30. W swoim testamencie kard. Rubin napisał: „Ojczyźnie mojej ukochanej, Polsce, służyłem wiernie i nigdy nie odstąpiłem od sprawy jej wolności”.

Wskazywaliśmy też, że nie miały wpływ na taką sytuację mają polityczne postawy i aktywność kierowniczych kręgów polskiego duszpasterstwa emigracyjnego w Rzymie i w polskich misjach katolickich w krajach osiedlenia Polonii, będące źródłem zachęty i wsparcia dla politycznego zaangażowania części duchowieństwa polskiego na obczyźnie.

Pod tym względem szczególnie szkodliwą rolę, jak to wykazują fakty, spełnia bp Szczepan Wesoły. Od samego początku swej działalności w duszpasterstwie emigracyjnym jest negatywnie nastawiony do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i wprost demonstracyjnie stroni od wszelkich kontaktów z oficjalnymi przedstawicielami Polski za granicą, nigdy nie złożył wizyty w Ambasadzie PRL w Rzymie, mimo zaproszeń. Minister Jerzy Kuberski, jako szef zespołu do stałych kontaktów ze Stolicą Apostolską nie mógł doprowadzić do spotkania z nim, nawet przy pomocy mediacji Rady do Spraw Publicznych Kościoła Stolicy Apostolskiej.

Powszechnie znane są polityczne przekonania bpa Szczepana Wesołego, który w praktycznym działaniu solidaryzuje się i współpracuje z najbardziej reakcyjnymi ugrupowaniami emigracji, a m.in. z tzw. rządem londyńskim, „Komitetem Koordynacyjnym Polonii Wolnego Świata”, czy strukturami solidarnościowymi za granicą. Jest szczególnie podatny na wszelkie wrogie inicjatywy emigracji politycznej, zarówno dawnej, jak i nowej. Osobiście uczestniczy w akcjach organizowanych przez te ugrupowania i publicznie wypowiada swe polityczne poglądy, nadużywa wizytacji duszpasterskich w środowiskach polonijnych do uprawiania politycznej propagandy, jak to miało miejsce np. w czasie jego wizyty w krajach Ameryki Łacińskiej w końcu 1983 roku (w Urugwaju i w Argentynie). Nie wymaga komentarza wizyta bpa Sz. Wesołego w ośrodku kierowanym przez ks. F. Blachnickiego w Karlsbergu, czy też udział w przedsięwzięciach tzw. Komitetu Koordynacyjnego Polonii Wolnego Świata, jak chociażby ostatni „Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie” w dniach 14-20 września br. w Londynie z inauguracyjnym wystąpieniem Zdzisława Najdera.

Nie bez wpływu są polityczne poglądy bpa Sz. Wesołego na jego dyrektywy i zalecenia dla ośrodków polskiego duszpasterstwa za granicą, którym nakazuje się m.in. stronienie od wszelkich kontaktów z polskimi placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi oraz udziału w organizowanych przez nie imprezach dla Polonii, czy też służących popularyzowaniu polskiej kultury. Jaskrawym przykładem takiego działania był ostatnio zakaz uczestniczenia księży zmartwychwstańców w „Polskiej Niedzieli” w Wiedniu, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Polsko-Austriackiej

Współpracy Gospodarczej „Polaustria”, przy udziale naszej ambasady.

Zawsze wskazywaliśmy polskiemu duchowieństwu pracującemu wśród Polonii na szkodliwość, zarówno dla spójności środowisk polonijnych, jak i dla kraju, angażowania się w działalność o charakterze politycznym, zachęcaliśmy do unikania tego rodzaju aktywności w imię dobrze pojętych interesów Polonii, kraju i Kościoła. Trudno jednakże oczekiwać pozytywnych rezultatów takiego stanowiska i działań władz państwowych, jeżeli z kierowniczych kręgów duszpasterstwa emigracji płyną do Polonii wręcz przeciwne nastawienia i dyrektywy.

Dlatego też, myśląc o tym, aby ciągłość związków między krajem a Polonią rozsianą w świecie przynosiła korzyści narodowi, Kościołowi i samym środowiskom polonijnym, należałoby, naszym zdaniem, dokonać takiego ustawienia personalnego w kierownictwie duszpasterstwa emigracyjnego, aby jego działalność nie przynosiła ewidentnych szkód, aby była nastawiona na patriotyczne zaangażowane duszpasterstwo, a nie na uprawianie reakcyjnej polityki.

Ufając, że Wasza Eminencja właściwie zrozumie moje intencje w tym względzie, chcę jednocześnie zapewnić o tym, iż władze państwowe nie będą szczędzić sił i środków w działaniach na rzecz zespolenia z interesami kraju Polaków na obczyźnie. Sądzę, że takie same intencje przyświecają Waszej Eminencji.

Z wyrazami szacunku

Adam ŁOPATKA

ANEKS 2

CENTRALNY OŚRODEK DUSZPASTERSTWA EMIGRACJI

Czcigodni Księża!
Umiłowani w Chrystusie!

W bieżącym roku mija czterdzieści lat od pomordowania tysięcy jeńców wojennych, którzy po wrześniu 1939 roku znaleźli się w obozach jenieckich na terenie Związku Radzieckiego. Tysiące jeńców zginęło w różnych miejscach i tylko część z nich znaleziono w grobach katyńskich. Stąd nazwa Katyń upamiętnia śmierć wszystkich jeńców wojennych pomordowanych w Związku Radzieckim. Równocześnie jest symbolem niezliczonych tysięcy obywateli polskich, którzy zginęli na „niehumanitarnej ziemi”.

Pamiętamy o setkach tysięcy pomordowanych w różnych miejscach kaźni hitlerowskich. I musimy o nich pamiętać, bo to jest część historii naszego Narodu. Musimy w podobny sposób pamiętać i o tych, którzy zginęli w różnych miejscach kaźni sowieckich, bo oni również są częścią historii naszego Narodu.

Naszą pamięć wyrażamy w modlitwie. Modlimy się za wszystkich zamordowanych, zabitych, poległych, umarłych z głodu, wycieńczonych poniewierką, mrozami, nadmierną pracą. Modlimy się za nich, bo — jak mówi nam Pismo Święte — jest rzeczą słuszną i konieczną modlić się za zmarłych. Chociaż nasi Bracia i Siostry, polegli w słusznej sprawie broniąc Ojczyzny — wyznawali wiarę w Boga, to jednak może nie wszyscy, w chwili śmierci, zostali uwolnieni z kar doczesnych i już cieszą się na chwałę wieczną. Modlimy się więc za nich, bo wiemy, że żyją i że kiedyś zmartwychwstaną. Gdybyśmy bowiem nie byli przekonani, że „ci zabici zmartwychwstaną, to modlitwa za zmarłych byłaby czymś zbędnym i niedorzecznym” (2 Mach. 12,44).

Chrześcijański obowiązek pamięci modlitewnej łączy się równocześnie z chrześcijańskim obowiązkiem przebaczenia. Nad grobami zabitych i poległych odmawiamy Ojciec Nasz prosząc, by nasz Ojciec w niebie odpuścił nam nasze winy, jak i my odpuszczamy winy nam wyrządzone. Pamiętamy o zbrodni, bo pamięć ma przestrzec innych, być nauką dla przyszłych pokoleń, do czego zdolny jest człowiek, gdy mu się wyrwie Boga. Pamiętamy również i o tym, co powiedział Jan Paweł II, że „Nigdy jeden naród nie może rozwijać się kosztem drugiego, nie może rozwijać się za cenę drugiego, za cenę jego uzależnienia, podboju, zniewolenia, za cenę jego eksploatacji, za cenę jego śmierci”. A nosicielem śmierci stanie się naród wtedy, kiedy wydrze się człowiekowi Boga. Wówczas wystarczy człowieka „ubrać w inny mundur, uzbroić w aparat przemocy, w środki zniszczenia, wystarczy narzucić mu ideologię, w której prawa człowieka są podporządkowane wymogom systemu”, by człowiek stał się nosicielem śmierci i nienawiści. (AAS vol. LXXI, s. 844-848)

Jako wyznawcy Chrystusa, prawdziwi chrześcijanie, mamy być nosicielami życia i miłości, a nie śmierci i nienawiści. Mówi do nas Chrystus „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują” (Mt 5,44). Dlatego pamiętamy o zbrodniach, ale jako chrześcijanie musimy umieć przebaczyć.

Ostatnia niedziela kwietnia jest dniem upamiętnienia tych, którzy zginęli w jenieckich obozach sowieckich. Niech będzie ona również dniem modlitw za nich wszystkich, zwłaszcza za tych, którzy spoczywają w grobach katyńskich.

Ojciec Święty stojąc nad grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie powiedział: „Na ilu to miejscach Europy i świata (żołnierz polski) przemawiał swoją śmiercią, że nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie? Na ilu to polach walk świadczył o prawach człowieka wpisanych głęboko w nienaruszalne prawa narodu, ginąc za wolność naszą i waszą. Gdzie są ich groby, Polsko, gdzie ich nie ma! Ty wiesz najlepiej — i Bóg wie na niebie”. (AAS vol. LXXI, s. 739)

Dzieje Ojczyzny to dzieje ludzi, dlatego dzieje Ojczyzny są również pisane grobami. Groby Katyńskie są częścią historii Narodu, piszą dzieje Ojczyzny, jak piszą je groby na Monte Cassino, groby powstańcze na warszawskich Powązkach, czy krematoryjne prochy Oświęcimia. Dlatego nie wolno zapominać nam o tych grobach i o wszystkich innych grobach, o których jedynie „Bóg wie na niebie”. One bowiem świadczą o historii Narodu, który właśnie przez męczeńską śmierć pomordowanych i poległych synów, ma prawo do pełnej wolności i niepodległości.

Prosimy przeto by w niedzielę 27-go kwietnia, we wprowadzeniach do Mszy św. przypomnieć dzień modlitw za ofiary Katynia i tylu innych miejsc zagłady i kaźni. Prosimy również o przypomnienie konieczności pamiętania o tej prawdzie historycznej przed modlitwą powszechną, chociażby przez odczytanie niniejszego listu, i o specjalne intencje w Modlitwie Wiernych.

Rzym, 25 marca 1980

ANEKS 3

CENTRALNY OŚRODEK DUSZPASTERSTWA EMIGRACJI

Przesyłamy Komunikat o zagrożeniu Jasnej Góry z prośbą o natychmiastowe odczytanie w czasie nabożeństw, oraz Pomoce duszpasterskie do ewentualnego wykorzystania.

KOMUNIKAT O ZAGROŻENIU JASNEJ GÓRY

Ukochani Wierni!

Możemy bez przesady powiedzieć, że Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej znajduje się na emigracji w każdym polskim kościele i wszędzie tam, gdzie gromadzą się Polacy na modlitwie. Umieszczony jest na ścianach większości polskich domów oraz w miejscach, gdzie spotykają się wierni polskiego pochodzenia.

Z uwagi na to, że Papieżem jest Polak, Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej zdobi programy, afisze, ulotki wydawane z okazji różnych podróży Ojca Świętego jako Symbol Kościoła Polskiego i polskiej religijności i tak jest przyjmowany w całym świecie.

Właśnie w tym okresie, kiedy Jasna Góra cieszy się tak ogromnym rozgłosem w świecie, kiedy z okazji pielgrzymki Ojca Świętego samo Sanktuarium i jego panoramę widziały w telewizji setki milionów ludzi, Władze Miejskie Częstochowy nierozważnymi planami usiłują zniszczyć całe otoczenie Klasztoru. Między Al. Najśw. Maryi Panny a placem przed Jasnogórskim Szczytem, buduje się w wielkim pośpiechu tzw. drogę szybkiego ruchu, czyli praktycznie autostradę. Dojście do Sanktuarium ma być zapewnione niskim tunelem szerokości zaledwie dziesięciu metrów.

Autostrada budowana pod Klasztorem szpeci panoramę, psuje istniejące dotąd rozwiązanie architektoniczne, praktycznie niszczy park, który dawał pielgrzymom możliwości odpoczynku. Istnieje ponadto uzasadniona obawa, że prace, a szczególnie ruch kołowy wskutek wibracji może ujemnie wpłynąć na same fundamenty wieży klasztornej. Autostrada nie tylko znacznie zacieśnia miejsce, które dotąd było do dyspozycji pielgrzymów, ale sprawia również, że hałas pojazdów na autostradzie będzie zakłócał ciszę i skupienie w czasie kazań i nabożeństw. Nie trudno sobie wyobrazić, że niski i wąski tunel będzie ogromnie utrudniał i ograniczał przepływ pielgrzymów, których liczba w niektórych okresach obejmuje setki tysięcy.

Biskup Częstochowski S. Bareła starał się od samego początku tłumaczyć Władzom Miejskim niestosowność rozwiązania i projektu; apelował do Władz, prosił o zmianę projektów. Ponieważ żadne argumenty, urbanistyczne, historyczne, ekologiczne nie są przez Władze przyjmowane, trudno znaleźć inne wytłumaczenie decyzji Władz Miejskich, jak jedynie to, że kierują się one względami antyreligijnymi, mającymi na celu ograniczenie funkcjonowania Sanktuarium Jasnogórskiego i jego religijnego promieniowania.

Ostatnia konferencja Episkopatu, 171 z rzędu, wyłoniła Komisję pod przewodnictwem Ks. Kard. F. Macharskiego do zapoznania się na miejscu z sytuacją. W swym sprawozdaniu przekazanym Ks. Prymasowi, jako Przewodniczącemu Konferencji, członkowie Komisji potwierdzili stanowisko Biskupa Częstochowskiego i postawili wniosek, by wstrzymano prowadzone z taką gorliwością, mimo trudności ekonomicznych, prace, w celu ponownego przemyślenia całego projektu.

Ks. Prymas, dziękując Komisji za sprawozdanie stwierdził w

swoim liście, że obecnie forsowany projekt „utrudnia dostęp pielgrzymów na Jasną Górę, stwarza groźne niebezpieczeństwo dla rzesz spływających z miasta, niszczy najpiękniejszą w Polsce zonę kulturalną, zagraża monumentowi klasztoru oraz wieży, odbiera ciszę i skupienie modlących się wiernym. Jest znakiem braku więzi z kulturą dziejów Polski. Jest barbarzyństwem dla którego brak słów oburzenia”.

W związku z tym Ks. Prymas zwrócił się do Wszystkich Biskupów z prośbą o zarządzanie modlitw „na intencję Sanktuarium Jasnogórskiego, zagrożonego przez forsowaną z uporem — przez częstochowskie Władze Miejskie — trasę szybkiego ruchu z tunelem przecinającym dostęp pielgrzymom oraz mostu do Sanktuarium”.

Zgodnie z poleceniem Ks. Prymasa zwracamy się do wszystkich Czcigodnych Duszpasterzy i do całego Ludu Bożego na Emigracji o modlitwy w intencjach Sanktuarium. Polecamy aby włączyć wezwanie do Modlitwy Wiernych i odmówić po Mszy św. modlitwę „Pod Twoją obronę”.

Równocześnie wyrażamy nasze oburzenie i protest z powodu zamachu na ograniczenie swobód kultu, przez szykany wymierzone w Sanktuarium oraz przez obrażanie i nieuszanowanie uczuć ludzi wierzących. „Odcięcie Jasnej Góry od Częstochowy — jak mówi Komunikat Biskupa Częstochowskiego — godzi w konstytucyjne prawa katolików polskich”. Wyrażamy nadzieję, z całym wierzącym narodem Polskim, że właściwe władze zrewidują swoje dotychczasowe decyzje.

Niech Bóg Miłosierny Wszystkim błogosławi.

Rzym, 13. I. 1980.

Bp Szczepan WESOŁY

Kazimierz BRAUN

APOGEUM STALINIZMU W TEATRZE 1949-55*

1. ZAPROWADZANIE SOCREALIZMU W POLSKIM TEATRZE

Ramy omawianego tu okresu lat 1949-1955 są ostre: od apogeum stalinizmu do jego załamania. Od rozciągnięcia przez komunistów pełnej kontroli — do pierwszych wyraźnych oznak kruszenia się ich władzy. Zniewolenie Polski, zapoczątkowane na jesieni 1939 r., zostało utrwalone w 1945 r. i pogłębione zwłaszcza od roku 1948. Społeczeństwo zostało sterroryzowane. Wielka ilość inteligencji (w tym twórców różnych dziedzin) podjęła współpracę z reżimem, kierując się strachem, lub usprawiedliwiając pragmatyzmem, bądź po prostu rezygnując z oporu. Elita kulturalna narodu została zdziesiątkowana fizycznie lub etycznie. Nieliczni zdawali się wierzyć w „nowy wspaniały świat” komunizmu, ale liczni wiarę taką udawali. Załamywały się tradycyjne wartości społeczne, narodowe, moralne i etos poszczególnych zawodów. Krzewiła się podwójność sumienia i mowy, myśli i uczynków. Stalinizm był w pełni rozpędu i nawet jeszcze narastał po śmierci samego Stalina (5. III. 1953). Trwały aresztowania, prześladowania, procesy polityczne, morderstwa.

Stalinizm objął całość życia politycznego, społecz-

* Rodział książki pt. *Teatr Polski zniewolonej (1939-1989)*.

nego, gospodarczego i kulturalnego, na tym ostatnim polu przybierając formę „ofensywy ideologicznej” — różnych form sterowania i manipulowania, jak masówki, wiece, pochody, akademie, zebrania, niezliczone imprezy propagandowe oraz tak zwane „czyny społeczne”, „współzawodnictwa pracy” i „zobowiązania produkcyjne” itd.

Pierwszoplanowe zadania w dziedzinie ideologii wyznaczono systemowi oświaty, prasie, literaturze, a także teatrowi. Nie traktowano jednak teatru autonomicznie, ale jako medium podwójnie podporządkowane: literaturze i propagandzie. Przedstawienia miały być prostymi transmisjami dramatów, zaś dramaty miały bezpośrednio wyklądać tezy propagandowe. Uznany za ważne narzędzie politycznego oddziaływania na masy, teatr został zarazem poniżony artystycznie i dowartościowany ekonomicznie. Podniesiono fundusze państwowe łożone na teatr, w tym uposażenia artystów, którym przyznano przywileje materialne i socjalne należne „inżynierom dusz ludzkich”. Zostali zarazem zdegradowani do poziomu propagandystów. Mieli uwiarygodniać wobec społeczeństwa ustrój komunistyczny i ukazywać go jako „najlepszy na świecie”.

Zaprowadzenie socrealizmu w teatrze polskim odbywało się w drodze faktów dokonanych, które stwarzały komunistyczne władze i sami artyści — z reżimem współpracujący. Łańcuch tych faktów miał dwie fazy. Pierwsza miała miejsce w latach 1948, 1949 i 1950, kiedy to stalinizm zaatakował wszystkie dziedziny życia teatralnego. Druga faza objęła następnych około pięciu lat stagnacji, kiedy to stalinizm trwał w formie sztywnego gorsetu, krępującego wszelką żywszą działalność artystyczną.

Początek tych procesów wyznaczyła „centralna narada” ludzi teatru, zwołana do KC PPR 7. XII. 1947 r. Prowadzili ją dwaj główni nadzorcy teatru z ramienia partii — wiceminister kultury Leon Kruczkowski i Włodzimierz Sokorski, sekretarz komitetu centralnego komunistycznych związków zawodowych. Kruczkowski lewicował jako młody poeta, wojnę spędził w oflagu. Zadeklarował się jako komunista i stanął na czele partyjnej literatury. Był wiceministrem kultury (1945-1948), prezesem Związku Literatów Polskich (1949-1956), wielokrotnym laureatem nagród państwowych i międzynarodowej nagrody leninowskiej (1953), jego książki publikowano w milionowych nakładach, a dramaty nakazywano grać teatrom. Sokorski debiutował jako prozaik w latach trzydziestych i

był członkiem partii komunistycznej, w czasie wojny politykiem w randze pułkownika wojsk polskich uformowanych przez Sowieców. Od 1945 r. zajmował kolejne wysokie stanowiska, m.in. zasiadał w Sejmie, w KC partii, otrzymywał order i awanse. W apogeum stalinizmu był najpierw wiceministrem (od 1949 r.), a potem ministrem kultury (1952-1956). Stał się głównym egzekutorem sowietyzacji polskiego życia kulturalnego, w tym teatru. Później, jako szef radia i telewizji (1956-1972), był z kolei głównym propagandystą Polski Ludowej. Na naradzie w grudniu 1947 r. Kruczkowski i Sokorski oświadczyli, że ideologia i polityka zgodna z wytycznymi komunistów zajmują nie dość miejsca w przedstawieniach (co było prawdą) i że odtąd muszą w nich dominować (co podano jako nakaz). Zapowiedzieli zmiany w polityce kulturalnej i poddanie jej wzorom sowieckim.

W 1948 r. ukazało się szereg publikacji (m.in. Adama Ważyka, Władysława Bieńkowskiego, Stefana Żółkiewskiego), w których zarysowano teorię „realizmu socjalistycznego”. Potężnymi dawkami transplantomano (publikowano, tłumaczono, komentowano) ze Związku Sowieckiego wskazania Stalina i jego teoretyka kultury Żdanowa. Na naradzie w Belwederze 17. X. 1948, pod przewodnictwem komunistycznego prezydenta Bolesława Bieruta, ludziom teatru przekazano zasadniczą i symboliczną decyzję: nie będzie zgody na wystawianie *Dziadów*. Niebawem (12. XI. 1948) powołano nową instytucję nadzorczą, Komisję Główną do Spraw Kultury przy Radzie Ministrów pod przewodnictwem premiera. Wprowadzono też indywidualny „mecenat” nad artystami poprzez ustanowienie nagród państwowych w różnych dziedzinach twórczości artystycznej (28. XII. 1948).

W połowie 1949 roku odbyła się teatralna narada w Oborach (18-19. VI. 1949). Była to kolejna narada „centralna”, ale dla podkreślenia jej przełomowego znaczenia nazwano ją „pierwszą”. Zgromadzono twórców teatru, dramatopisarzy, krytyków i teatralnych biurokratów. Zadekretowano oficjalnie wprowadzenie do polskiego teatru „realizmu socjalistycznego” (lub „socrealizmu”) — jako jedyne obowiązującego i dozwolonego stylu, oraz jako wytycznej repertuarowej. Od narady w Oborach liczy się w historii polskiego teatru ścisły początek socrealizmu. Przed teatrami postawiono zadanie grania propagandowej dramaturgii rodzimej, którą nakazano produkować pisarzom, oraz dramaturgii sowieckiej, importowanej i tłumaczonej seryjnie.

Wszystkie teatry upaństwowiono (w 1949 r.) a następnie nadano im status przedsiębiorstw państwowych (w 1950 r.) z „planem usługowym” narzucanym przez administrację centralną. Dokonano wielu politycznych przetasowań personalnych, awansując członków i sympatyków partii, a degradując i ubezwłasnowolniając podejrzanych. Schillera wprowadzono jako kierownika artystycznego do Teatru Polskiego w Warszawie, skąd zwolniony został Szyfman, który odmówił zapisania się do partii. O dymisji powiadomił go 7 marca 1949 osobiście Jakub Berman. Szyfman miał myśli samobójcze. Nie bez powodu. Dorobek jego życia, w tym ostatni okres ofiarnej pracy, ulegał przekreśleniu. Był fachowcem w pełni sił, energii i rozmachu. Odczuwał straszną krzywdę. Bronił się rozpaczliwie. Pisał memoriały i listy, odbywał upokarzające rozmowy. Na próżno. Został ostatecznie zwolniony pismem Sokorskiego z dn. 20. V. 1949. Szletyńskiego promowano; wysłano go do Wrocławia, najpierw jako „pełnomocnika Ministra”, a od początku sezonu 1949/50 jako dyrektora i kierownika artystycznego. Horzyca przeszedł z Torunia do Poznania, co było pozornie awansem; w rezultacie poddano go ściślejszej kontroli. Od sezonu 1949/50 to samo spotkało Galla, który stworzył na Wybrzeżu bardzo silny ośrodek; przeniesiono go do Teatru im. Jaracza w Łodzi; potem, w 1952 r., po prostu wyrzucono. Adwentowicza mianowano dyrektorem Teatru Powszechnego w Łodzi. Dąbrowskiego już uprzednio osadzono w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Axera w 1949 r. przeniesiono wraz z całym teatrem z Łodzi do Warszawy; łódzki Teatr Kameralny zakończył w ten sposób swą historię, a rozpoczął ją warszawski Teatr Współczesny. Od tegoż sezonu zainaugurowany został w Łodzi Teatr Nowy (w siedzibie opróżnionego Teatru Kameralnego), komunistyczna placówka młodych aktorów pod przywództwem Kazimierza Dejmka.

Proces pełnego zaprowadzania i zarazem umacniania stalinizmu w polskim teatrze zakończyły pociągnięcia dokonane w ciągu roku 1950. Na miejsce zlikwidowanego w 1949 r. ZASP-u, powołano „Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu” (SPATiF). Zlikwidowano wszystkie terenowe czasopisma teatralne (było ich wtedy osiem), pozostawiając jedyne pismo „centralne”, *Teatr*. Przeprowadzono nowe znaczące czystki i roszady personalne. Leon Schiller został wyrzucony ze stanowisk rektora PWST i kierownika artystycznego Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie osadzono na

jego miejsce Dąbrowskiego. Równocześnie awansowano Szeptyńskiego z dyrekcji wrocławskiej do krakowskiego Teatru im. Słowackiego. Od jesieni 1950 kierownictwo (odbudowanego rok wcześniej) Teatru Narodowego powierzono Krasnowieckiemu.

W sezonie 1950/51 teatr polski wydawał się całkowicie spacyfikowany i zarazem zsowietizowany. Scenami — z nielicznymi wyjątkami — kierowali komuniści lub ich zaufani. Repertuar stanowiły w większości sztuki pisane wedle recept „realizmu socjalistycznego”, rodzime i sowieckie, oraz dramaty rosyjskie.

2. ESTETYKA, STYL I REPERTUAR SOCREALISTYCZNY

„Realizm socjalistyczny”, lub „sorealizm”, zadekretowany w Polsce w 1949 r. był nazwą-przykrywką ideologicznej indoktrynacji komunistycznej i politycznego zniewolenia polskiej kultury przez Sowiety. (Można by go też nazywać „socsowietizmem”, podkreślając w ten sposób jego polityczny charakter). W dziedzinie teatru socrealizm miał trzy zasadnicze, uzupełniające się aspekty: estetyczny, stylistyczny oraz repertuarowy.

Z punktu widzenia estetyki socrealizm był dyrektywą realistycznego ukazywania rzeczywistości realnie nie istniejącej, co było samo w sobie sprzeczne. Miał ukazywać rzeczywistość intencjonalną, pożądaną i wyobrażaną przez jego ideologów i inspiratorów, której jednak nie dałoby się nigdzie praktycznie odnaleźć, a więc niemożliwą do sprawdzenia społecznie, politycznie czy geograficznie i stojącą w niezgodzie nawet z definicją prawdy samych marksistów, wedle których kryterium prawdy jest sprawdzalność. Socrealizm, modelowany wedle przepisanych w Moskwie recept, nigdy nie był zresztą wyraziście skodyfikowany — w takim wypadku ujawniłby swą filozoficzną sprzeczność i praktyczną niestosowność. Był więc raczej zespołem ogólnych dyrektyw estetycznych, ideologicznych, interpretacyjnych i politycznych razem. Mieściły się w nich zarówno zalecenia, jak należy robić przedstawienia i co grać, jak też i zakazy, ustalające jakie środki wyrazu i treści są zabronione na scenach.

Z punktu widzenia stylu socrealizm był ubogo i wąsko traktowanym realizmem naśladowczym. Nawiązywał do realizmu drugiej połowy XIX w., który — w swoim czasie odkryw-

czy i efektywny — wyczerpywał już dawno swoje moce, nie mogąc sprostać potrzebom wyrażania wielowarstwowej, złożonej rzeczywistości historycznej i społecznej, psychologii postaci i konfliktów w sferze wartości, a zwłaszcza stając — w dziedzinie inscenizacji — bezsilnie wobec problemów, jakie nasuwa klasyka, w tym dramat poetycki. Spychanie teatru polskiego ku realizmowi naśladowczemu przekreślało kilkadziesiąt lat jego artystycznego rozwoju. Socrealizm manifestował się w dosłownym przenoszeniu na scenę ludzkich zachowań, mowy, ubiorów, przedmiotów i przestrzeni. Na scenach pojawiali się robotnicy i chłopi „jak żywi”, pomazani smarem czy błotem, w poplamionych, niby prosto z pracy, ubraniach. Porozumiewali się żargonami środowiskowymi, sloganami z gazet i zwrotami narad produkcyjnych. Pili i jedli prawdziwe płyny i pokarmy, palili papierosy, pluli i smarkali na podłogę. Aktorzy w czasie prób chodzili na praktyki do fabryk czy szpitali, jeździli na „szkolenia” na wieś. Na scenach pracowali potem przy prawdziwych lub udanie podrobionych maszynach, obsługiwali tokarki, parowozy, samowary, stoły operacyjne, uczestniczyli w zebraniach. Posługiwali się prawdziwymi narzędziami. Łącznie jednak te poszczególne realne elementy tworzyły rzeczywistość nierealną.

Z punktu widzenia repertuaru socrealizm nakazywał: 1. wystawianie sztuk tzw. „produkcyjnych” (i ich pochodnych), polskich i sprawdzonych z innych krajów „socjalistycznych”; 2. wystawianie sztuk rosyjskich i sowieckich; 3. nąganie klasyki do socrealistycznego wzorca, to jest politycznej interpretacji i socrealistycznej formy; zresztą klasyka była ściśle reglamentowana.

Akcja „sztuk produkcyjnych” toczyła się najczęściej we współczesnej Polsce, lub innych krajach „socjalistycznych”. Dotyczyła problemów produkcji przemysłowej lub rolnej. Ujawniała konflikty klasowe, ukazywała budowniczych „postępowego” systemu (pozytywnych bohaterów) i jego wrogów (negatywnych bohaterów); ci ostatni związani byli zazwyczaj z amerykańskim wywiadem, resztkami rodzimego podziemia, obcymi mocarstwami itd. „Sztuki produkcyjne” miały dwie dodatkowe mutacje lub podgrupy: „sztuki historyczne”, które przenosiły schematy współczesnych sztuk produkcyjnych w przeszłość, oraz „sztuki antyimperialistyczne”, których akcja toczyła się w jakimś kraju „imperialistycznym” (najbardziej imperialistyczne były Stany Zjednoczone). „Sztu-

ki historyczne”, choć zawsze obarczone propagandowo-wychowawczą tezą, oparte o marksistowską interpretację dziejów oraz wybór „postępowych” wątków i zdarzeń z przeszłości, były często dość uczciwymi próbami sprostania odgórnym zamówieniom. Przedstawiając na scenach postaci wielkich pisarzy Frycza Modrzewskiego, Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, czy Adama Mickiewicza, autorzy posługiwali się obficie cytatami z ich dzieł i nie mogli zbaczać zbyt daleko od ustalonych przez historyków biografii czy faktów. „Sztuki antyimperialistyczne” plasowały się natomiast blisko zwykłej propagandy, a często po prostu ją wyręczały. Tylko niekiedy uwzględniały jako takie fakty, obyczaje i realia. Przeważnie były fantazjami na temat działania „wrogich postępowi i pokojowi” sił imperialistycznych. Ukazywały „zgniły Zachód” w najczarniejszych barwach.

Każda sztuka „produkcyjna” (bez różnicy — współczesna, historyczna czy antyimperialistyczna) kończyła się zwycięstwem sił postępu, klęską jego wrogów i optymistyczną perspektywą świetlanej przyszłości. Nie warto tych sztuk przypominać, choć warto wiedzieć, że pisali je nie tylko zawodowi dramatopisarze, ale i literaci będący komunistycznymi działaczami, jak Rusinek (wiceminister kultury), który napisał *Pawilon pod sosnami*, Czanerle (funkcjonariuszka KC, potem krytyk teatralny), autorka *Pajęczyny*. Próbowali w tym gatunku sił krytycy, jak Jan Kott (*Nowy Świętoszek*, współautor Stanisław Dygat), reżyserzy, jak Janusz Warmiński (m.in. *Zwycięstwo*) i aktorzy, jak Tadeusz Łomnicki (*Kąkol i pszenica*). Nie pogardził socrealizmem i tak poważny pisarz jak Jarosław Iwaszkiewicz (*Odbudowa Błędomierza*).

Najbardziej wartościowa sztuka tej stylistyki, *Niemcy Kruczkowskiego* (1949), wyróżniła się bodaj właśnie dlatego, że nie była napisana ściśle wedle socrealistycznej sztampy, powstała dość wcześnie. Podjęła poważne pytanie: jak to się stało, że nazistowski terror, obozy zagłady, eksterminacja Żydów, zbrodnie wojenne były dziełem nie jakiejś wyselekcjonowanej grupy przestępczej, ale wielu „zwykłych” i „porządnych” Niemców? Autor stawiał znaczące znaki zapytania. Zastanawiał się nad problematyką moralną systemu totalitarnego. Sztuka dotyczyła hitleryzmu, ale inteligentny widz mógł ją odnosić także do stalinizmu. Kruczkowski zorientował się w tym i aby uchronić siebie i sztukę od niebezpiecznych skojarzeń, dopisał do *Niemców* epilog, rozgrywający się współcześnie w NRD, podkreślając w ten sposób,

że zasadnicza akcja sztuki dotyczy wyłącznie hitlerowskiej przeszłości, a nie teraźniejszości jakiegokolwiek kraju rządzonego totalitarnie. Jako dzieło pisarza-komunisty i zarazem wysokiego funkcjonariusza partyjnego i państwowego, *Niemcy* były lansowane i grane w licznych polskich teatrach (17 realizacji w ciągu pierwszych dwu lat, w latach 1949-1962 łącznie 30). Prapremierę *Niemców* dał Dąbrowski w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie (22. X. 1949), zaraz potem zagrali sztukę Axer w Teatrze Współczesnym w Warszawie i Szeptyński w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Rychło została przełożona na wiele języków i grana w krajach całego „obozu socjalistycznego”, choć w NRD jej uogólniający tytuł był zbyt trudny do przełknięcia i rzecz szła pod tytułem *Die Sonnenbrucks (Sonnenbruchowie)* będąc zresztą niewątpliwie odgórnie teatrom nakazana (39 realizacji w latach 1949-1953).

Gatunek socrealistyczny obok sztuk pomyślanych (bo nie zawsze wykonywanych) serio, wydawał też „komedie” i „wodewile”, które były bodaj najżałośniejszą i najbardziej kłamliwą jego odmianą. Szarą rzeczywistość zniewolonego kraju przedstawiały w różowych kolorach, z dodatkami przyjemnej muzyki i niewybrednymi dowcipami. Przedstawienia tych sztuk cofały w latach pięćdziesiątych teatr polski do równie zakłamanych i równie odległych od życia komedii, rewii i kabaretów wystawianych w latach czterdziestych na jawnych scenach w Generalnym Gubernatorstwie.

Produkcyjniaki różnego typu oraz sztuki rosyjskie i sowieckie stanowiły we wczesnych latach pięćdziesiątych około 60%, a nawet niekiedy około 80% repertuaru rocznego każdego polskiego teatru. W latach 1950-1955 wystawiono w Polsce łącznie około 180 sztuk sowieckich oraz kilkadziesiąt sztuk rosyjskich, powtarzając je wielokrotnie. Choć wśród sztuk rosyjskich znajdowały się arcydzieła, to w owym czasie służyły one sowietyzacji Polski, nie inaczej niż sztuki powstałe w Rosji pod władzą sowiecką. Tak traktowały ich nakazywanie władze i tak odbierała ich granie publiczność. Oczywiście, była istotna różnica pomiędzy przekornymi inscenizacjami Suchowo-Kobyлина w reżyserii Korzeniewskiego i Wiercińskiego, *Na dnie* w nastrojowej reżyserii Schillera, *Trzema siostrami* wystawionymi ze smakiem przez Dąbrowskiego — i prymitywnymi sztukami propagandowymi, sławiącymi rewolucję bolszewicką, przekonującymi o wyższości ustroju komunistycznego itd. Trzeba jednak rozumieć, że w warunkach braku niepodległości i ograniczenia suweren-

ności Polski przez Związek Sowiecki, wszelkie dramaty rosyjskie, niezależnie od czasu ich napisania, funkcjonowały jako obcy przeszczep, nie tylko narzucały obcą kulturę, historię, filozofię i ideologię, ale równocześnie wypierały ze scen dzieła rodzime, były grane zamiast nich, niejako przeciwko nim. Były więc wystawiane przeciwko teatrowi polskiemu i przeciwko polskiej publiczności.

Równocześnie z wejściem na sceny dramaturgii socrealistycznej i sowieckiej, zniknęły z nich bowiem od roku 1949 (i nie pojawiły się aż do 1956 r.) utwory Zawieyskiego; ograniczono realizacje sztuk Szaniawskiego, Brandstaettera, Morstina i innych współczesnych dramatopisarzy. Prawie zupełnie nie grano narodowej klasyki.

3. MASOWA WIDOWNIA

W okresie apogeum stalinizmu w Polsce teatr miał masową widownię. Już w 1947 r. liczba widzów teatralnych sięgnęła 5 milionów rocznie. W 1949 r. widzów było około 7 milionów, co oznaczało około 350 widzów teatralnych na każdy 1000 mieszkańców kraju. Publiczność była zróżnicowana. W większych, tradycyjnych ośrodkach kultury chodzili na przedstawienia teatromani, inteligencja, studenci. Statystycznie jednak wszędzie większość publiczności stanowiła młodzież szkolna oraz robotnicy. Dowożono też do teatrów wycieczki ze wsi. Przeprowadzano w zwartych szykach żołnierzy. W roku 1949 ustalono, w drodze zarządzenia, frekwencję w teatrach w skali kraju na poziomie minimum 85 %, w tym na Śląsku 95 %. W rzeczywistości przeciętna frekwencja sięgnęła około 75 %, by potem opaść do średnio około 64 %.

Teatry zostały niejako zwolnione z troski o zdobywanie widza, który miał przychodzić niezależnie od treści i poziomu przedstawień. Chodziło jedynie o indoktrynację poprzez widowiska. Poziom przedstawień przestał się liczyć. Przedstawienia wybitne były — paradoksalnie — niepotrzebne i wręcz niewygodne dla maszyny propagandowej. Ujawniały bowiem — prawem kontrastu — miałość i małość powszechnej i popieranej teatralnej produkcji. W tych warunkach ubolewania krytyki nad niskim poziomem wielu przedstawień były tylko odwracaniem uwagi od istoty i rzeczywistych przyczyn kryzysu, w jakim znalazł się teatr.

Bilety były bardzo tanie. W wypadku widowni „organizowanej” ich ceny jeszcze dodatkowo obniżano. Dopłacały do tych „zbiorowych” biletów szkoły, fabryki, wiejskie spółdzielnie produkcyjne, organizacje młodzieżowe, jednostki wojskowe itp., a więc — w ekonomice komunistycznej — państwo. Bezpośrednie dotacje dla teatrów pokrywały resztę różnicy pomiędzy nominalną a rzeczywistą ceną biletu. Udział widza kupującego zniżkowy bilet wynosił tylko około 5% rzeczywistego kosztu biletu, 5% dopłacała instytucja zakupująca bilety zniżkowe. Reszta, a więc około 90% pochodziła z dotacji, która pokrywała także gaże miesięczne wszystkich pracowników teatru oraz wydatki na wystawianie sztuk, utrzymanie budynku, transport (w wypadku teatrów objazdowych) itp. Ewentualny zysk z biletów teatru odprowadzały do skarbu państwa, nie były więc bezpośrednio zainteresowane finansowo we frekwencji, nie miała ona także wpływu na dochody pracowników.

Stworzyło to skomplikowane uwarunkowania całego życia teatralnego.

Z jednej strony, co było pozytywne, teatr był szeroko dostępny. Cena biletu nie stanowiła, nawet dla najmniej zarabiających, żadnego progu czy przeszkody w oglądaniu przedstawień. Przychodziły więc do teatru rzesze nowych widzów, stykających się po raz pierwszy z tym rodzajem sztuki, zapoznających się z literaturą dramatyczną. Podnosiło to poziom oświaty i kultury. Łagodziło obyczaje. Dawało jaką taką rozrywkę i możliwość godziwego spędzenia wolnego czasu, w sytuacji, gdy autentyczne funkcjonowanie jakichkolwiek stowarzyszeń, klubów czy organizacji społecznych oraz związków zawodowych i partii politycznych nie było możliwe. (Rozrywki, w skali masowej, poza teatrem, dostarczały właściwie jedynie imprezy propagandowe i zawody sportowe; nie było telewizji). Sieć teatrów stałych i objazdowych była przy tym gęsta. Dodatkowo powiększały ją organizowane często „spotkania z aktorami” w szkołach i zakładach pracy, w klubach wiejskich, młodzieżowych czy czytelniczych, a także w teatrach, po spektaklach. W czasie tych spotkań aktorzy recytowali wiersze, opowiadali o swoim zawodzie, dyskutowali nad widowiskami z udziałem krytyków. Popierano rozwój teatru amatorskiego i krzewił się ruch recytatorski. Jeszcze nigdy w historii Polski teatr nie był sztuką docierającą tak powszechnie i omawianą tak często.

Z drugiej strony dotując obficie bilety teatralne, władze

uzyskały, zgodnie ze swymi zamierzeniami, decydujący wpływ na treść widowisk, zakres przekazywanych tradycji, wybór wzorów i wartości. Treści były często prymitywne i propagandowe. Tradycja uboga, bowiem wyeliminowano z niej to, co największe i najwznioślejsze. Obraz świata kłamliwy. Wzorce fałszywe. Wartości podmieniane na antywartości (np. gloryfikacja donosicielstwa). Liczne przedstawienia ukazywały historię zinterpretowaną po marksistowsku, dowodziły, że w dziejach Polski liczył się tylko tzw. „nurt postępowy” i ludzie z nim związani, a historia ludzkości zmierzała właściwie od samego początku wprost do rewolucji bolszewickiej, która już wkrótce miała zwyciężyć na całym globie. Historia „ruchu robotniczego”, historia Rosji i Związku Sowieckiego były włączane do obszaru tradycji, na której zbudowana miała być nowa, komunistyczna, polska kultura. Niedawna przeszłość i dzień dzisiejszy kraju ukazywane były jako zawsze zwycięska walka „nowego” ze „starym”, „socjalistycznego” z „reakcyjnym”, „burżuazyjnego” z „postępowym”, „radzieckiego” z „imperialistycznym” itd. Historię i dzień dzisiejszy malowano wyłącznie kolorami czarnym i białym. Przedstawienia nie zachęcały do myślenia. Dawały gotowe rozwiązania i formułki. Teatry stawały się narzędziami komunistycznej indoktrynacji, skłaniały do zgody na utratę niepodległości narodowej, uczyły posłuchu dla władz, podziwu i bojaźni wobec Związku Sowieckiego.

Widowiska wyłamujące się z socrealistycznego modelu były przez władze tępiące, a ich twórcy ograniczeni w możliwościach. Zarazem właśnie takie widowiska spotykały się z najwyższym rezonansem na widowni. Były to jednak rzadkie wyjątki od reguły.

4. ZARZĄDZANIE I KONTROLA TEATRU

W omawianym tu czasie wszystkie teatry były, z punktu widzenia prawa, przedsiębiorstwami państwowymi, a więc jedynym, monopolistycznym pracodawcą było też państwo. Każda inicjatywa, każdy pomysł repertuarowy, czy kształt przedstawień musiały być uprzednio zaakceptowane przez władze, a następnie były ściśle kontrolowane. Wszystkich pracowników teatru, łącznie z aktorami, poddano rygorom komunistycznej biurokracji. Wprowadzono obowiązek przychodzenia do teatru i podpisywania „listy obecności” nawet

dla aktorów nie próbujących w danym przedstawieniu. Ustalono normy czasowe przygotowania spektakli oraz wykonywania poszczególnych prac technicznych i administracyjnych, aż do ilości czasu na przyszywanie guzika do kostiumu. Teatralni rzemieślnicy stali się robotnikami. Aktorzy urzędnikami. Urzędnicy nadzorcami. Teatry fabrykami.

Wszystkie teatry były zarządzane i kontrolowane przez liczne, dublujące się ogniwa systemu; było ich łącznie nie mniej niż dziesięć.

1. Po pierwsze, każdy teatr podlegał administracji państwowej, bezpośrednio Ministerstwu Kultury; w poszczególnych miastach część uprawnień kontrolnych należała do terenowych organów administracji (wydziałów kultury). W gestii Ministerstwa było zatwierdzanie, a zarazem narzucanie repertuaru. Wyznaczano teatrom, ile w danym sezonie mają wystawić sztuk polskich, ile sowieckich, ile klasyki. Niektóre konkretne pozycje po prostu nakazywano grać. Równocześnie czuwano nad tym, aby nic z zakazanych obszarów dramaturgii nie dostało się na sceny. Ministerstwo Kultury (w porozumieniu z partią) mianowało dyrektorów (i kierowników artystycznych) i dysponowało „etatami”, przydzielając je poszczególnym teatrom, dysponując zatem i prerogatywą „przenoszenia” ludzi z teatru do teatru. Na tej zasadzie z łatwością dokonywano m.in. zmian dyrekcyjnych, po prostu „przenosząc” dyrektora z teatru do teatru, lub „przenosząc” go na etat reżysera. Inicjatywa miast, środowisk, artystów została ograniczona. (Równocześnie dobrze ustawieni, legitymujący się poparciem partyjnym, mogli sobie sami załatwiać w centrali nominacje dyrektorskie). Administracja państwowa wyznaczała też budżety teatrów, kontrolowała je finansowo, nadzorowała każde posunięcia kierownictwa teatru, przekazując dyrektywy i oczekując uzgodnień. Wewnątrz teatrów ramieniem administracji państwowej była rozbudowana administracja teatralna; do jej zadań należała m.in. kontrola pozostałych pracowników oraz nieustanna sprawozdawczość.

2. Po drugie, kontrolę, również bezpośrednią, sprawowała partia komunistyczna, mając możliwość ingerencji w każdej sprawie. Partia działała poprzez swoje komitety: centralny, terenowe (wojewódzkie, miejskie, dzielnicowe) oraz wewnątrz-teatralne. Partia wpływała więc na teatry od zewnątrz i od wewnątrz. Tzw. „Podstawowe Organizacje Partyjne” istnia-

ły we wszystkich teatrach, kontrolując pracę dyrekcji i pracowników, donosząc, wtrącając się we wszelkie decyzje. Działanie partii w teatrach w sferze artystycznej sprowadzało się do lansowania miernot, zacierania i unieważniania kryteriów artystycznych. W sferze politycznej, komórki partyjne w teatrach były agenturami komunistycznej władzy. Do partii należeli w większości pracownicy administracji i techniczni, a także — z reguły — słabsi aktorzy, którzy starali się dopomagać w ten sposób swoim karierom. Istotnie, pierwsi sekretarze organizacji partyjnych w teatrach bywali z zasady obsadzani w większych rolach, niżby na to zasługiwali, wielokrotnie dochodzili tą drogą do stanowisk dyrektorskich. Wybitni aktorzy, reżyserzy, scenografowie, stanowili w partii mniejszość. Tym bardziej cenne było dla władz członkostwo artystów wybitnych; tym większa była ich odpowiedzialność za losy teatru.

3. Po trzecie, teatry poddane były cenzurze. Była ona dwustopniowa: udzielała (lub nie) zezwoleń na rozpoczęcie prób, potem na graniu przedstawień. Egzemplarz każdej sztuki musiał mieć pieczętkę cenzury przed pierwszą próbą czytaną. Następnie zaś cenzorzy przychodzili obejrzeć gotowe przedstawienie w fazie prób generalnych, niekiedy zjawiając się w składzie całych komisji, złożonych, poza cenzorami, z przedstawicieli partii, administracji, a nawet tajnej policji. Jeśli cenzorzy mieli zastrzeżenia — wyrażali je po próbie generalnej wobec dyrektora teatru i reżysera. Nakazywali zmiany: cięcia w tekście, zmiany dekoracji, kostiumów, rekwizytów. Niekiedy artyści podejmowali polemikę, ale decyzje cenzorów były ostateczne. W niektórych wypadkach cenzura w ogóle zakazywała grania już gotowego spektaklu; choć zdarzało się to rzadko, bowiem cenzura prewencyjna i system donosicielski w teatrach działały sprawnie i nie dopuszczały do rozpoczynania prób niepożądanych pozycji, lub umożliwiały wstrzymanie pracy wcześniej niż dopiero tuż przed premierą. Również i po premierze cenzorzy przychodzili stale kontrolować przedstawienie, czy aby nie wprowadzono doń jakichś zmian. Na widowni każdego polskiego teatru, każdego wieczora, na każdym przedstawieniu musiały być zarezerwowane dwa (bezpłatne) miejsca cenzorskie. Jeśli cenzura nie okazywała się dość wnikliwa, pozostawały w odwodzie usługi krytyków oraz czujnych politycznie widzów. Gdy ich donosy dotyczyły poszczególnych kwestii, które — przeoczone przez

cenzorów — wzbudzały niewłaściwe polityczne reakcje widzów — nakazywano skreślenia. Gdy okazywało się, że całe przedstawienie wzbudza groźny rezonans — zdejmowano je z afisza w trakcie grania. W 1950r. zdjęto w ten sposób, w pełni powodzenia, z repertuaru Teatru Polskiego w Warszawie *Don Juana* Moliera w reżyserii Korzeniewskiego. Aby mieć pewność, że przedstawienie nie zostanie nigdy więcej zagrane, do teatru przysłano ekipę tajnej policji z siekierami, która porąbała dekoracje.

4. Po czwarte, kontrolę pracy teatrów sprawowały komunistyczne związki zawodowe i komunistyczne stowarzyszenia ludzi teatru (SPATiF). Do związków zawodowych należeli obowiązkowo wszyscy pracownicy, do SPATiF-u zaś pracownicy artystyczni. Obie organizacje odbywały częste zebrania, ich działacze wtrącali się w pracę dyrekcji, a razem w sprawozdaniach ferowali donosy przesyłane na zewnątrz teatru, „po linii” danej organizacji. Związki zawodowe, masowe i powszechne, nie służyły interesom pracowniczym, ich zadaniem było transmitowanie do teatrów zarządzeń i dyrektyw z zewnątrz, na przykład w sprawie „współzawodnictwa pracy”, oraz kontrola pracowników na co dzień wewnątrz teatrów. SPATiF nie miał prawie żadnego znaczenia, poza tym, że stanowił jeszcze jeden kanał indoktrynacji, nacisku i kontroli.

5. Po piąte, we wszystkich teatrach działały „rady teatru”, złożone z przedstawicieli organizacji (partia, związek zawodowy, SPATiF) oraz innych przedstawicieli załogi. Rady (wzorowane na modelu sowieckim) odbywały zebrania, miały zagwarantowany wpływ na istotne decyzje teatru. W niektórych teatrach, w specjalnych układach osobowych, rady takie były pożyteczne, stanowiły czynnik łagodzący naciski zewnętrzne, występowały z ciekawymi inicjatywami repertuarowymi. I tak na przykład w Teatrze Polskim we Wrocławiu, działając właśnie w obrębie takiej rady, pozytywny wpływ na pracę teatru wywierał Wierciński. W innych wypadkach, odwrotnie, rady stanowiły dodatkowy czynnik nacisku na dyrektora, artykułowały personalne i partykularne interesy i ambicje oraz transmitowały z zewnątrz dyrektywy.

6. Szóstym kręgiem kontroli była sieć donosicieli urzędu bezpieczeństwa oraz kontrolerów wojskowych (kontrywywiadu).

W każdym teatrze usytuowani byli tajni konfidenti, a w niektórych również jawni rezydenci wojskowi, posiadający osobne biura; wojskowego kontrolera miało Ministerstwo Kultury. Każdy teatr posiadał też osobnego „opiekuna”, oficera tajnej policji, który inwigilował teatr, rozpracowywał odwiedzających go specjalnych gości (np. dyplomatów obcych krajów), zbierał informacje od konfidentów, okresowo wzywał na przesłuchania dyrektorów lub odwiedzał ich w teatrze itp. W tym miejscu warto przypomnieć, że w omawianym tu czasie na najwyższym szczeblu partyjnym, niewątpliwie nie przypadkowo, Jakub Berman, nieformalnie druga (po Bierucie) osoba w partii i państwie, miał w swojej gestii dwa działy: urząd bezpieczeństwa państwa i narodową kulturę. Trzeba też przypomnieć, że dla całego systemu komunistycznego charakterystyczne było swoiste przerośnięcie, symbioza i utożsamienie się aparatu partyjnego z państwowym, a ich obu z aparatem bezpieczeństwa.

7. Siódme ogniwo nadzoru teatrów stanowili okresowo nadsyłani kontrolerzy i wizytatorzy. Na zebrania partyjne przychodzili instruktorzy z komitetów dzielnicowych czy wojewódzkich. Na zebrania związkowe — odpowiednio — działacze związkowi, na zebrania SPATiF-u — członkowie Zarządów Okręgowych i Głównego. Doroczny bilans finansowy teatru sprawdzał — urzędując tygodniami w teatrze — inspektor finansowy.

8. Ósmym ogniwnem kontroli teatrów była krytyka teatralna. W omawianym tu czasie została ona znacznie rozbudowana. Każda gazeta miała swego stałego sprawozdawcę teatralnego. Krytycy z pisma „centralnego” *Teatr* wyprawiali się często w teren. Wszystkie czasopisma literackie i społeczne posiadały stałe rubryki teatralne. Niezależni krytycy teatralni czynni byli zaraz po wojnie, później musieli zamilknąć. W okresie stalinowskim krytyka była w znacznej mierze dyrygowana odgórnie i inspirowana politycznie. Krytykom przydzielano niejednokrotnie role wykonawców kapturowych wyroków na poszczególnych ludzi teatru. Mechanizm był następujący: tajnie nakazywano pisanie o kimś niszczących recenzji, a gdy te zostały opublikowane, posługiwano się nimi publicznie, aby uzasadnić decyzję „ukarania” czy „zdegradowania” danego twórcy. Manipulowano w ten sposób i twórcami i świadomością zbiorową. (Środków wyrażania opinii

publicznej nie było). Naturalnie inicjatywa częstokroć wychodziła od samych krytyków, którzy wyprzedzali nawet często swych mocodawców w „kampaniach” i w rozdawaniu pochwał lub rąbów. Krytyka zaczęła się usamodzielniać dopiero w kontekście załamania się stalinizmu.

9. Dodatkowym środkiem kontroli i sterowania teatrami i artystami były nagrody — różnego rodzaju i stopnia, od państwowych poprzez festiwalowe do lokalnych, związkowych, organizacyjnych itd., a także order, odznaczenia, odznaki, tytuły honorowe itd. Ich przyznawanie zawsze miało motywacje polityczne. Manipulacje nimi polegały na przyznawaniu ich także za rzeczywiste zasługi. Ludzi teatru nagradzanych i odznaczanych nie za prace artystyczne, a wyłącznie z przyczyn politycznych i ideologicznych, wciągano w ten sposób do grona istotnie zasłużonych.

10. Potężnym i całkowicie wyjętym spod jakiegokolwiek publicznej i społecznej oceny środkiem manipulacji były też beneficja materialne. (Dziesiąty krąg kontroli). Przyznawano je wedle uznania, tajnie i indywidualnie. Rozdzielano w ten sposób specjalne gaże i premie, bezpłatne lub nisko płatne mieszkania, zniżkowe samochody, ulgowe wczasy, a także wyjazdy i stypendia zagraniczne oraz skierowania na studia za granicą. Tylko wyjątkowo zasłużonym i zaufanym udzielano paszportów; trzeba pamiętać, że do roku 1957 wyjazdy na Zachód, poza Żelazną Kurtynę, były rzadkością. Wyjazdy na wschód i południe były specjalną nagrodą. Korupcja stanowiła cały czas istotne, choć nieujawnione tło życia teatralnego tamtego czasu.

Naliczyliśmy w ten sposób dziesięć kręgów, ogniw i sposobów kontroli, manipulacji i niewolenia teatru w ogólności oraz poszczególnych twórców indywidualnie. Podsumujmy: od zewnątrz teatr i ludzie teatru byli kontrolowani przez administrację państwową, partię, cenzurę, służbę bezpieczeństwa, krytykę. Od wewnątrz nadzór sprawowany był przez komórki partyjne, rady teatru, związki zawodowe, ZASP, lokalnych donosicieli. Praktyki te komuniści wprowadzili już w końcu lat czterdziestych i stosowali przez cały czas opowiadanej tu historii, aż — prawie — do końca lat osiemdziesiątych. System docierał do wszelkich dziedzin pracy teatralnej. Zamykał teatr i jego artystów w sztywnym gorsecie. Brakło tchu.

Osobny, nieformalny, ale rozbudowany system kontroli i samozniewolenia był dziełem samych ludzi teatru. Środowisko teatralne, zawsze w sposób naturalny zróżnicowane artystycznie, zaraz po zakończeniu wojny podzieliło się politycznie. Najpierw nieliczne jednostki, a potem całe grupy opowiadały się za komunistyczną władzą. Stopniowo coraz więcej teatrów było kierowanych przez członków partii. Organizacje partyjne w teatrach zyskiwały coraz większe znaczenie. Kwalifikacje polityczne zaczynały znaczyć więcej niż artystyczne. W dyskusjach największą wagę miały argumenty *ad personam*, nie *ad rem*; wystarczyło ogłosić kogoś „wrogiem ludu” czy „obcym ideologicznie” — i nie trzeba było się wdawać w analizę jego twórczości. Oceny twórców zaczęto ferować nie na podstawie teatralnej wartości ich prac, ale na podstawie „wydźwięku” ideowego przedstawień. Kryterium oceny artysty przestawały być jego dzieła, a stawały się jego deklaracje polityczne. Do rywalizacji środowiskowej włączono nieznane wcześniej narzędzie: legitymację partyjną. Zapewniała ona władzę, stanowiska i przywileje. Partyjny aktor dostawał większe role. Partyjny reżyser łatwiej awansował na dyrektora. Partyjny dyrektor szybciej awansował do większego teatru. Ludzie teatru nie tylko podporządkowywali się coraz łatwiej zarządzeniom władz, ale sami występowali z inicjatywami mogącymi się władzom spodobać. Dotyczyło to repertuaru, „współzawodnictwa pracy”, udziału w różnego rodzaju „akcjach”. Najpoważniejsi nawet artyści wydawali wiernopoddańcze oświadczenia. Byli tacy, co nie cofali się przed donosicielstwem. (Jest ono w niektórych wypadkach udokumentowane).

Ludzie teatru stojący na świeczniku byli stale pod presją i musieli dokonywać wyborów między podporządkowaniem się władzom a walką o niezawisłość, lub choćby o margines swobody twórczej. Natomiast tysiące „szeregowych” aktorów i innych pracowników teatru wyboru w ogóle nie miały. Ludzie byli wprzęgnięci w kieraty teatrów-fabryk. Nie istniała żadna autentyczna organizacja lub stowarzyszenie, które mogłoby ich chronić, reprezentować ich interesy, poglądy, wolę, aspiracje.

Trzeba rozumieć, że — oczywiście — to wszystko nie dotyczyło tylko teatru. Cały totalitarny system komunistyczny przewidywał wieloraką, wielostopniową kontrolę każdego obywatela i każdej instytucji czy zakładu pracy. Była to kontrola odgórna i oddolna. Od zewnątrz i od wewnątrz. Narzu-

cona i ochotnicza. Sformalizowana i zwyczajowa. Jawna i tajna. Teatr dzielił los narodu.

5. UMACNIANIE SOCREALIZMU

W obrębie ścisłej kontroli teatrów oraz narzucania im repertuaru i stylu, władze posługiwały się w szczególności trzema instrumentami, które trzeba omówić nieco bardziej szczegółowo. Były nimi: organizowanie ogólnopolskich festiwali teatralnych, manipulowanie nagrodami państwowymi oraz ścisłe kontrolowanie międzynarodowej wymiany teatralnej. Nie szczędzono poza tym teatrom stale narzucanych imprez propagandowych. Dosłownie co kilka tygodni teatry musiały przygotowywać w swoich salach i z udziałem swoich zespołów „akademie” z różnych okazji politycznych, co rujnowało rytm pracy.

Ogólnopolskie festiwale teatralne miały stymulować repertuar w skali całego kraju. Po Festiwalu Szekspirowskim w 1947 r., w roku 1949 ministerialnym zarządzeniem nakazano teatrom przystąpienie do „Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich”. Wzięły w nim udział — obowiązkowo — wszystkie 47 czynne wtedy w Polsce teatry dramatyczne. Do finałowego przeglądu w Warszawie zakwalifikowano 27 teatrów z 30 spektaklami. Koszt imprezy, urządzonej w zrujnowanym przez wojnę kraju, był astronomiczny. Jury pod przewodnictwem Kruczkowskiego przyznało 73 nagrody i 23 wyróżnienia pieniężne — zespołowe i indywidualne. Na czele listy nagrodzonych znaleźli się Schiller, Dąbrowski, Krasnowiecki, Daszewski, Zelwerowicz.

W sezonie 1950/51 zadekretowano nowy ogólnopolski festiwal, tym razem „Dramaturgii Współczesnej”, w którym znów nakazano wziąć udział wszystkim teatrom. Poziom zgłaszanych sztuk był bardzo niski, a przedstawień nieraz żenujący. Rozsypano jednak hojnie 36 nagród i 43 wyróżnienia. Na czele listy zwycięzców znalazła się *Zwykła sprawa* Adama Tarna, wyreżyserowana przez Erwina Axera. Była to sztuka „antyimperialistyczna”, rozgrywająca się w USA, sprawnie wyposażona w podpatrzone przez autora w czasie pobytu w Ameryce realia oraz lansująca tezę, że Stany Zjednoczone są państwem policyjnym. Drugą nagrodę otrzymał werystyczny produkcyjniak o tematyce wiejskiej, *Zwycięstwo* Janusza Warmińskiego.

Nagrody państwowe przyznawano — dla okrasy i kamuflażu — artystom istotnie zasłużonym, niekiedy wiekowym, innym zaś w celach manipulowania środowiskiem teatralnym. I tak w 1950 r. nagrody dostali dobiegający stu lat życia Ludwik Solski (ur. 1855) i Aleksander Zelwerowicz, a na drugim biegunie partyjni Kruczkowski i Daszewski. W 1951 r. uhonorowano starego mistrza Wojciecha Brydzińskiego (ur. 1877) oraz Wiercińskiego; obok nich laureatami zostali: Korzeniewski za *Grzech* Żeromskiego, Tarn i Axer za *Zwykłą sprawę*, Dejmek za swój debiut reżyserski *Poemat pedagogiczny* wg Makarenki, Warmiński za *Zwycięstwo*. W roku 1952 nagrody otrzymali Karol Frycz (ur. 1877), ale także m.in. Jakub Rotbaum za reżyserię *Człowieka z karabinem* i grający w tym spektaklu rolę Lenina Feliks Żukrowski. W 1953 r., w apogeum socrealizmu, nagrody otrzymali m.in. Axer, Korzeniewski, Daszewski, Władysław Krzemiński. W 1955 r. nagrody I stopnia otrzymali najstarsi — Adwentowicz (u. 1871), Mieczysława Ćwiklińska (ur. 1880), Maria Dulęba (ur. 1881), Jerzy Leszczyński (ur. 1884), a także Wierciński, Andrzej Pronaszko, Axer, Dejmek oraz grupa aktorów średniego i młodszego pokolenia; nagrodę zespołową dostał spektakl „antyimperialistycznej” sztuki Kruczkowskiego (nagrodzonego też osobno za „całokształt twórczości”) *Juliusz i Ethel* w reżyserii Aleksandra Bardiniego.

Międzynarodowa wymiana teatralna była ściśle podporządkowana polityce kulturalnej. Od roku 1949 zaczęto sprowadzać na gościnne występy do Polski teatry sowieckie, które miały kształcić teatry polskie i przyspieszać przechodzenie na sowieckie wzory. Do roku 1955 było takich wizyt siedem, a każdy sowiecki teatr przyjeżdżał z kilkoma przedstawieniami. W tym samym czasie prawie zupełnie ucięte zostały przyjazdy teatrów z Zachodu — odbyły się tylko dwie wizyty teatrów francuskich; (poprzednio, w 1948 r. odwiedził Polskę Louis Jouvet ze swoim teatrem).

Teatry polskie wysyłano za granicę bardzo selektywnie, traktowano to jako szczególne wyróżnienie i dowód zaufania. Szczególnie upokarzająca była wizyta Teatru Polskiego z Warszawy w Moskwie, Leningradzie i Kijowie (1954 r.), pod dyktando Dąbrowskiego, który jako wizytówkę polskiego teatru pokazał tam sztukę rosyjską *Wujaszka Wanię* Czechowa, sztukę sowiecką *Obcy cień* Simonowa, a ze sztuk polskich *Męża i żonę* Fredry, adaptację *Lalki* Prusa i *Juliusza i Ethel* Kruczkowskiego. Taki — spłaszczony — obraz teatru pol-

skiego wyłaniał się jako owoc jego sowietyzacji i taki też był pochwalany przez sowieckie władze w czasie *tournée*.

Niepowodzeniem u krytyki i publiczności zakończyły się pierwsze oficjalne wizyty teatrów polskich na Zachodzie — na Festiwalu Théâtre de Nations w Paryżu. W 1954 r. pokazano tam *Męża i żonę* oraz *Grzech* w reżyserii Korzeniewskiego, zrealizowane w Teatrze Polskim w Warszawie. W 1955 r. wysłano do Paryża *Zemstę* (w reżyserii W. Nowakowskiego) i *Lato w Nohant* Iwaszkiewicza (w reż. R. Zawistowskiego), przygotowane w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Wszystkie przedstawienia okazały się hermetyczne dla zagranicznej widowni.

6. DRAMAT LEONA SCHILLERA

Ze wszystkich ludzi polskiego teatru, których stalinizm dotknął w dramatyczny i bolesny sposób, Leon Schiller zajmował miejsce najbardziej znaczące. Jego wkład w rozwój teatru polskiego w latach dwudziestych i trzydziestych XX w. zasadzał się zwłaszcza na dwóch ważnych elementach: Schiller otwarł teatr polski na europejską Wielką Reformę Teatru oraz ukazał w nowym, pełnym wyrazie, wielką romantyczną dramaturgię narodową; łącznie, wypracował styl monumentalnego, narodowego, inscenizacyjnego teatru poetyckiego. Uprawiali ten styl i inni, jak Andrzej Pronaszko (w swoich scenografiach), oraz Osterwa, Horzyca, Wierciński, Radulski, Trzcziński, Pobóg-Kielanowski, Węgierko, Szpakiewicz, Emil Chaberski, tworząc łącznie całą szkołę artystyczną: „polski teatr inscenizacji”; jego najpotężniejszym wyrazem były przedstawienia Schillera, zwłaszcza trzy kolejne realizacje *Dziadów*.

Schiller był płodny przed wojną jeszcze na innych polach: jego zainteresowania muzyczne i antykwaryczne owocowały odkryciami i twórczymi rekonstrukcjami dramatu staropolskiego i ludowego oraz inscenizacjami montażu piosenek, tańców, scenek obyczajowych, zaś sympatie komunistyczne kierowały go pod koniec lat dwudziestych i w latach trzydziestych ku sztukom agitacyjnym, faktograficznym, realistycznym.

W latach wojny Schiller był aktywny w konspiracji teatralnej. W 1941 r., był więziony przez parę miesięcy w Oświęcimiu, skąd został jednak wydobyty. Zwrócił się ku ka-

tolicyzmowi i został oblatem benedyktyńskim. Po Powstaniu Warszawskim, w czasie którego odważnie dawał koncerty jako pieśniarz, wyprowadzono go z wojskiem do oflagu, gdzie spędził jesień 1944 r. i doczekał wyzwolenia przez wojska amerykańskie na wiosnę 1945 r. W lecie i na jesieni 1945 r. pracował z zespołem Teatru im. Bogusławskiego w Niemczech, by w końcu tego roku powrócić do kraju. Zapiisał się wtedy do partii komunistycznej i zaczął robić karierę wewnątrz nowego reżimu. Został wywindowany na wysoki piedestał. Podkreślał swoją przynależność do partii, aprobował publicznie politykę władz, opowiadał się za wprowadzeniem realizmu socjalistycznego i repertuaru sowieckiego, odcinał się od wielu poprzednich przekonań osobistych i teatralnych. Odegrał istotną rolę w podporządkowywaniu przez komunistów środowiska teatralnego i sowietyzacji polskiego teatru. Przez pięć lat (1946-50) stanowił wzorzec, wedle którego władze oceniały innych ludzi teatru, domagając się od nich takiej samej akceptacji jaką okazywał im Schiller. Jednakże bujna osobowość Schillera, wychowanie w tradycji Wielkiej Reformy, przywiązanie do kultury europejskiej, miłość do wielkiego, narodowego repertuaru poetyckiego ostatecznie w nim przeważały; został przez komunistów rozszyfrowany jako obcy i niepokorny. A jako taki, w ramach logiki systemu totalitarnego, musiał zostać wyeliminowany.

Zbierzmy podstawowe fakty na temat tego okresu życia i działania Schillera. Należą do nich zajmowane przez niego w latach 1946-1955 stanowiska i odbierane dowody uznania, jego artykuły i referaty, a zwłaszcza zrealizowane przedstawienia; są również relacje świadków epoki.

— Od stycznia 1946 r. Schiller był członkiem partii komunistycznej (PPR).

— Od wiosny 1946 r. był (najbardziej wpływowym) członkiem komitetu doradczego do spraw teatru przy Ministrze Kultury; komitet przestał działać (zapewne) w roku 1949.

— W lipcu 1946 r. został mianowany delegatem ministra kultury do spraw organizacji Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie z siedzibą w Łodzi, a od 1. X. 1946 r. był jej rektorem oraz dziekanem Wydziału Reżyserii.

— W sezonach 1946/47, 1947/48 i 48/49 był dyrektorem i kierownikiem artystycznym Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. W tym czasie teatr ten dysponował scenami filialnymi w Łodzi i w Warszawie.

— W styczniu 1947r. został wybrany (jako poseł wyznaczony przez PPR) do Sejmu. Jego mandat wygasł w 1952r.

— W lipcu 1947r. otrzymał nagrodę reżyserską na Festiwalu Szekspirowskim.

— W latach 1947-49 był redaktorem czasopisma *Teatr*.

— W grudniu 1948r. był delegatem PPR na zjazd Zjednoczeniowy ruchu komunistycznego, następnie do końca życia należał do PZPR.

— W grudniu 1948r. przyznano mu Nagrodę Państwową I stopnia. W tym samym czasie otrzymał Nagrodę Teatralną miasta Łodzi.

— Od wiosny 1949r. i następnie przez sezon 1949/50 był kierownikiem artystycznym Teatru Polskiego w Warszawie. (Dyrektorem był Stefan Martyka, również partyjny).

— W lipcu 1949r. przyznano Schillerowi najwyższe wówczas komunistyczne odznaczenie państwowe — Sztandar Pracy I klasy; udekorował go osobiście Prezydent Bierut.

— W grudniu 1949r. otrzymał nagrodę reżyserską na Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich.

— W roku akademickim 1949/50 był rektorem PWST w Warszawie i dziekanem Wydziału Reżyserii.

— W 1950r. został zwolniony: w maju ze szkoły teatralnej, w sierpniu z Teatru Polskiego.

— W lipcu 1950r. został prezesem SPATiF, organizacji powołanej przez władze na miejsce ZASP-u.

— Na wiosnę 1951r. został kierownikiem Sekcji Teatru Państwowego Instytutu Sztuki w Warszawie.

— W 1952r. założył kwartalnik *Pamiętnik Teatralny* i został jego redaktorem naczelnym.

W latach 1946-1953 Schiller wyreżyserował łącznie 20 widowisk: 17 przedstawień dramatycznych i 3 operowe. Wśród przedstawień dramatycznych pierwsze 10 dał w Łodzi, a 7 w Warszawie. W Teatrze Polskim, w ciągu jednego sezonu swojej dyrekcji (1949/50), wyreżyserował *Na dnie* Gorkiego oraz *Bóg, cesarz i chłop* Haya, a już po utracie kierownictwa teatru *Tai Yang budzi się* Wolfa. Gościnnie, w Teatrze Narodowym, dał *Krakowiaków i górali*, a później *Sułkowskiego* Żeromskiego i *Jedyną drogę* Krzysztofa Gruszczyńskiego i Kazimierza Korcellego. Jego ostatnim przedstawieniem dramatycznym był *Pociąg pancerny* Iwanowa w Teatrze Polskim (1952). Ponadto w latach 1951-1953 reżyserował opery: *Hrabinę* i *Halkę* w Warszawie, *Halkę* w Berlinie.

W porównaniu z poprzednim, łódzkim trzyleciem, w Warszawie w wyraźny sposób jego linia artystyczna się załamała. We wszystkich czterech przedstawieniach w Teatrze Polskim wybierał repertuar „postępowy” (sztuki Gorkiego, Iwanowa, Haya, Wolfa) i starał się wypracować stylistykę socrealistyczną, nie osiągając znaczących rezultatów. *Krakowiacy i górale* w Narodowym byli powtórzeniem i nie mieli świeżości łódzkiego pierwowzoru, a *Sułkowski* i *Jedyna droga* okazały się przedstawieniami bez polotu. Choć Schiller był wymarzonym reżyserem operowym, przecież ostatnie jego realizacje, operowe właśnie, były pracami zastępczymi, miały mu wypełnić lukę po stracie warsztatu reżysera dramatycznego. I *Hrabinę* i *Halkę* potraktował realistycznie, nie porwał ani zespołów, z którymi pracował, ani widzów.

Reżyserując w tym czasie główne pozycje, które leżały poza kręgiem jego najistotniejszych zainteresowań (z wyjątkiem *Krakowiaków i górali*), czyniąc to w rezultacie nieprzekonywująco, stawał się Schiller w tym czasie coraz łatwiejszym łupem krytyki, która, zrazu zaprogramowana aby go chwalić, tym łatwiej mogła go atakować, gdy władze przestały go chronić, a nawet — zapewne — inspirowały nagonkę. Jego przeniesienie z Łodzi do Warszawy, objęcie w stolicy kierownictwa Teatru Polskiego i szkoły teatralnej miały stać się apogeum jego kariery w komunistycznym państwie. Apogeum przerodziło się w upadek.

Zespół aktorski Teatru Polskiego, w najbardziej usprawiedliwiony sposób, przyjął Schillera jako nasłanego przez władze i ustosunkował się do niego wrogo. Przychodził przecież po Szyfmanie, który cieszył się ogromnym szacunkiem i wiadomo było, że odmówił zapisania się do partii i został wyrzucony, aby opróżnić miejsce dla Schillera. Całe środowisko teatralne stopniowo odsuwało się od niego. Zaraz po wojnie wyciągnął doń rękę Osterwa, ale został odrzucony. Wierciński poczuł się zdradzony, gdy Schiller nie obronił jego Sceny Poetyckiej w Łodzi. Zelwerowicz był dwukrotnie odsuwany przez Schillera od kierowania szkołami teatralnymi w Łodzi i Warszawie. Opuszczali Schillera aktorzy. Zarzucano mu oportunizm, niesłowność, układy z komunistami. Jedni stronili od niego z goryczą, inni z bojaźnią. Miał bowiem początkowo ogromne wpływy, których używał wedle kryteriów, które — przynajmniej od zewnątrz — wydawały się koniunkturalne. Otaczał się ludźmi, których się bano. Pograżał słabszych. Równocześnie i władze ufały mu coraz

mniej. Są opinie, że drażnił swych mocodawców kulturą, erudycją, ironią, a nawet posługiwaniem się ich frazeologią. Stawał się dla nich sojusznikiem kłopotliwym, a zarazem już niepotrzebnym. Już ujawnili się i umocnili młodszy, mniej zdolni, o węższych horyzontach, za to łatwiejsi do dyrygowania. Otoczyła go pustka. Przestał otrzymywać nagrody. Stracił warsztat pracy — reżysera i pedagoga. Pozbawiony został władzy i wpływów.

Wbrew opiniom komunistycznej krytyki, gdy był lansowany, oraz wbrew zdaniu tych, którzy *casus* Schillera wygrwali później latami przeciwko komunistom — nie odegrał w polskim teatrze powojennym roli, do której był predysponowany i przygotowany zarówno przez przedwojenne wybitne dzieła sceniczne, jak też i szerokie plany twórcze sformułowane w czasie wojny. Nie zrealizował po wojnie ani jednego widowiska na miarę swych dzieł przedwojennych. Nie wykonał też (poza epizodem Teatru im. Bogusławskiego w Niemczech) ani jednego punktu programu przygotowanego w konspiracji. Podjął próby jego realizacji, ale napotkał niemożliwość do przełamania opór władz. Kontentował się omawianiem swych projektów w gronie najbliższych współpracowników. W większości przedstawień potwierdzał sprawność, a niekiedy wręcz rozrzutność swego inscenizacyjnego talentu. Zarazem rozmięły się one, w tragiczny sposób, z zasadniczą problematyką moralną i polityczną nurtującą naród. Z tą problematyką, którą w tym samym czasie podejmowali Osterwa i Szyfman w *Lilli Wenedzie*, Wierciński i Korzeniewski w *Elektrze*, Szaniawski i Wierciński w *Dwóch teatrach*, Horzyca w *Za kulisami*, Kotlarczyk w swych aranżacjach poetyckich. Wzlot i upadek Schillera przypadły — nieprzypadkowo — na apogeum stalinizmu i sowytyzacji teatru w Polsce.

7. KSIĄŻĘTA NIEZŁOMNI: HORZYCA I WIERCIŃSKI

Wilam Horzyca i Edmund Wierciński w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych byli w pełni sił twórczych, choć zdrowie obaj mieli nadszarpnięte przez wojenne niedostatki. Współpracowali we Lwowie w latach trzydziestych. Po wojnie ich losy układały się osobno — ale podobnie, choć Horzyca, tak jak przed wojną, dyktował w teatrach, a Wierciński, jak i poprzednio, wolał być samo-

dzielnym reżyserem i pedagogiem.

Wilam Horzyca (1889-1959) był dyrektorem w Katowicach (wraz z Adwentowiczem, od marca do września 1945), w Toruniu (1945/46-1947/48) i Poznaniu (1948/50, 1950/51) zastępcą dyrektora w Narodowym (1951/52), a następnie przez jeden sezon dyrektorem we Wrocławiu (1952/53).

Dyrektorując miał z jednej strony większe możliwości manewru i decydowania o repertuarze swoich teatrów, jak też wybierania sztuk, które sam chciał reżyserować. Z drugiej strony, był bardziej narażony na bezpośrednie naciski władz, musiał się bez przerwy układać z komunistycznymi urzędnikami nadzorującymi teatr od zewnątrz i z różnego rodzaju „radami”, „komisjami”, ze związkami zawodowymi i z organizacjami partyjnymi wewnątrz teatrów. Trwał przy swoim, ale zarazem musiał lawirować, iść na kompromisy i ustępstwa.

Nie udało mu się, jak innym, zrealizować swych najważniejszych zamierzeń: *Dziadów*, *Bazyliissy Teofanu* Micińskiego, wielu ulubionych sztuk Szekspira i Wyspiańskiego, a także *Iwony, księżniczki Burgunda* Gombrowicza. Wystawiał jednak sztuki dobre, uznane, w tym arcydzieła. W latach powojennych zrealizował łącznie 56 przedstawień. Długie listy repertuarów jego teatrów obejmowały wiele pozycji narzuconych, niewątpliwie niechcianych, w tym sztuki produkcyjne. W takich wypadkach starał się robić uniki, które zresztą nie na wiele się przydawały. Na przykład wystawił w Poznaniu sztandarową sztukę produkcyjną *Brygadę szlifierza Karhana*, ale nie podpisał afisza, zastępując się „reżyserią zbiorową”. Poza tym produkcyjniaki dawał do reżyserii innym. Sam jako reżyser wystrzegał się pozycji koniunkturalnych. Haracz wobec zaleceń spłacał rosyjską klasyką, wystawiając dwukrotnie nostalgiczny *Las Ostrowskiego* (Poznań, 1950, Warszawa, 1952 — praca niedokończona), jednoaktówkę Czechowa *Niedźwiedź* (Poznań, 1948) i *Pugaczowa* poety Siergieja Jesienina (Toruń i Poznań, 1948) granego razem z *Mozartem i Salierim* Puszkina. Zarazem w repertuarze jego teatrów pojawiły się pozycje przypominające — w owych czasach sowietyzacji — związki Polski z kulturą Zachodu. Z zamiłowaniem, znanstwem i smakiem reżyserował sztuki G.B. Shawa, Luigi Pirandella, Federico Garcia Lorki oraz innych europejskich dramaturgów. Grał dobrych autorów rodzimych, jak Rittnera, Szaniawskiego, Pawlikowską-Jasnorzewską. Wielokrotnie wystawiał Fredrę. Powoływał wielkie widowiska klasyki narodo-

wej — jak *Za kulisami* (Toruń, 1947), *Wesele* (Toruń, 1947) i światowej — *Życie snem* Calderona (Toruń, 1947), *Fedre* Racine'a (Poznań, 1949), Szekspira *Romeo i Julię* (Toruń, 1947; za to przedstawienie otrzymał jedyny bodaj raz nagrodę — na Festiwalu Szekspirowskim) *Sen nocy letniej* (Toruń, 1946, Poznań, 1948, Wrocław, 1953), *Hamleta* (Poznań, 1950).

Przedstawienia dramaturgii psychologicznej Horzycy utrzymane były w stylu oszczędnego i selektywnie traktowanego realizmu, który odróżniał je od narzucanego socrealizmu. Aktorstwo było w nich solidne, często potężne (związana z nim przed wojną Irena Eichlerówna grała u niego Panią Warren i Fedrę). W jego inscenizacjach klasyki dominował surowy monumentalizm, oparte były o słowo, oszczędny gest, statycznie i hieratycznie komponowane układy scen zbiorowych. Posługiwały się umowną, skromną scenografią. Były szlachetne, wysmakowane i stonowane, a zarazem staroświeckie i jakby z innej epoki.

Postawa Horzycy budziła szacunek. Był skromny, wstrzeмиęzliwy, przechowywał tradycje dobrego teatralnego obyczaju. Był lojalny — zapraszał do współpracy bezrobotnego Trzcńskiego, zasłużonego i wiekowego Franciszka Rychłowskiego, czy naznaczoną piętnem redutowej przeszłości Hannę Małkowską. Stopniowo był coraz bardziej uparcie atakowany. Marksistowska krytyka znalazła w nim łatwego „chłopca do bicia”, który nie mógł się bronić ani partyjną legitymacją, ani legitymować przedstawieniami wedle obowiązujących wzorców. Recenzja Jana Kotta ze *Snu nocy letniej*, w której krytyk zaatakował inscenizatora za brak realizmu i nadmiar stylizacji, przyczyniła się — wedle powszechnej opinii — do odebrania Horzycy dyrekcji teatru we Wrocławiu. Pod koniec omawianego tu okresu został odsunięty całkowicie na margines i pracował tylko jako — mało zatrudniany — gościnnie reżyser w teatrach Krakowa (Stary Teatr, Teatr Słowackiego, Teatr Muzyczny, Teatr Młodego Widza) i w Olsztynie.

Edmund Wierciński (1889-1955) był od Horzycy jeszcze bardziej nieugięty. Nie prowadząc teatrów, nie musiał się bezpośrednio ścierać z partyjnymi biurokratami, ani nie firmował repertuarowych pozycji narzuconych, kompromisowych, wstydlivych. Nie podjął też współpracy z żadnym z dyrektorów, zanim nie uzyskał zapewnienia pełnej samodziel-

ności artystycznej — w zakresie repertuaru, obsady i stylu widowisk.

Najpierw (w grudniu 1945 r.) odrzucił propozycję współpracy z Teatrem Wojska Polskiego, nadesłaną listem podpisanym „Władysław Krasnowiecki, major”. Gdy Krasnowiecki przeprosił za nietakt, Wierciński — po długich zresztą pertraktacjach — przyszedł do Teatru Wojska na obiecane mu poletko Sceny Poetyckiej. Po jej likwidacji na wiosnę 1946 r., w sezonie 1946/47 przyjął słabo płatną i wyniszczającą fizycznie posadę „inspektora” objeżdżającego z ramienia ZASP-u teatry terenowe. Reżyserował też gościnnie w Katowicach i Krakowie. W sezonie 1947/48 był w warszawskim Teatrze Polskim, gdzie wystawił *Cyda* i *Fantazego* (oba w 1948 r.) Zachorował. Nie wrócił do Polskiego, gdy objął go Schiller, mimo usilnych nalegań tego ostatniego. Przyjął natomiast propozycję Szletyńskiego, akurat osadzonego we Wrocławiu i pracował w Teatrze Polskim przez kolejne trzy sezony (1949/50, 1950/51, 1951/52). Był tam najwyższym autorytetem artystycznym, trwającym mimo zmieniających się dyrektorów teatru. (Szletyński — 1949/50, Karczewski — 1950/51, Dacko, *nota bene* „z pochodzenia” urzędnik cenzury — 1951/52). Na wiosnę 1952 r. przyszedł do Wrocławia Horzyca i chciał Wiercińskiego zatrzymać, ale ten właśnie wtedy zdecydował przenieść się do Warszawy. Już bowiem od roku 1950, zaraz po objęciu dyrekcji Teatru Polskiego, starał się pozyskać go Dąbrowski, ale przeciągnął pertraktacje i w rezultacie Wierciński przyszedł do Polskiego dopiero od jesieni 1952, by pozostać tam przez następne dwa sezony (1953/54, 1954/55). Objął też dziekanat Wydziału Reżyserii PWST (1952/53 i 1953/54) i natychmiast zaproponował współpracę Schillerowi. Przemawiał na jego pogrzebie (29. III. 1954), wiedząc pewnie, że sam jest już śmiertelnie chory. Zmarł 13. IX. 1955 r.

Przez całe dziesięciolecie powojenne Wierciński wyznaczał najwyższy poziom całemu środowisku teatralnemu — w dziedzinie artystycznej i w dziedzinie moralnej. Był teatru sumieniem — jako reżyser, pedagog, patriota. Wobec komunistów i ich satelitów nieugięty, był równocześnie opiekunem młodzieży i życzliwym doradcą starszych, tych, którzy chcieli jego rad słuchać. Kryteriom politycznym i ideologicznym w doborze repertuaru i decyzjach personalnych przeciwstawił kryteria artystyczne i środowiskową solidarność. Nie dał się oderwać od narodowej tradycji ani odwieść od przekonań i

wyznaniowych wartości. Nie wyreżyserował ani jednej pozycji propagandowej. Po odcięciu polskiego teatru od największych arcydzieł narodowych i od żywych tematów współczesnych, okopał się na jedynym możliwym terenie — dozwolonej klasyki.

Przedstawień w ogóle zrealizował mało, opracowując je z najwyższą starannością i próbując miesiącami. Od 1945 do 1948 (kiedy to wyłączyła go z pracy na 8 miesięcy gruźlica) wyreżyserował 5 sztuk. Od 1950 do 1955 tylko 4. We Wrocławiu dał *Jak wam się podoba* Szekspira i *Małżeństwo Kreczyńskiego* Suchowo-Kobylina (oba w 1951, na początku i na końcu roku). W Warszawie też dwa: *Horsztyńskiego* (1953) i *Lorenzaccia* Musseta (1955).

Małżeństwo Kreczyńskiego należało do tego samego cyklu dramatów Suchowo-Kobylina co *Śmierć Tarelkina*, którą to sztukę wyreżyserował w tym samym mniej więcej czasie Korzeniewski. I Wierciński i Korzeniewski wystawiając Suchowo-Kobylina szli więc na kompromis, ale zarazem robili władzom ponurego figla: chcecie żebyśmy wystawiali sztuki rosyjskie (postulat grania sztuk sowieckich był dla Wiercińskiego nie do przyjęcia) — proszę bardzo. Jest taki znakomity, choć nieco zapomniany autor: Suchowo-Kobylin. Analizował on mechanizm biurokracji carskiej — okrutnej, bezdusznej, skorumpowanej. Zmarł na długo przed rewolucją bolszewicką, nie pisał więc przecież o systemie sowieckim. Posługując się sztukami Suchowo-Kobylina, Wierciński i Korzeniewski robili przedstawienia o mechanizmach biurokracji komunistycznej, mieli jednak pełne alibi — wystawiali sztuki rosyjskie napisane w XIX w.

Pozostałe trzy przedstawienia Wiercińskiego z ostatniego okresu życia — *Jak wam się podoba*, *Horsztyński* i *Lorenzaccio* — były wielkimi freskami teatralnymi. Ogromna była ich uroda sceniczna, zadziwiający rozmach inscenizacyjny i urzekająca siła wyrazu. Aktorstwo, zarówno protagonistów jak wielkich zespołów, było do najdrobniejszego szczegółu ruchu i słowa wyczelowane, finezyjne i celowo zastosowane. Scenografie — we wszystkich wypadkach autorstwa Teresy Roszkowskiej — pełne rozmachu, skomponowane z elementów funkcjonalnych i umownych. Kostiumy barwne i bogate. Widowiska robiły na widzach potężne wrażenie. Otwierały przed nimi rzeczywistość podniosłą, majestatyczną. Pozwalały obcować z wielką sztuką.

Wiercińskiemu wiernie towarzyszyła jego żona, Maria. W

czasie okupacji niemieckiej była odważną organizatorką tajnych koncertów poetyckich. Po wojnie reżyserowała — specjalizując się w repertuarze kameralnym. We Wrocławiu, a potem w Warszawie, przygotowała wiele wartościowych przedstawień, uprawiając reżyserię wewnętrzną, pracując z aktorami jako pełen miłości i poświęcenia pedagog.

8. ENKLAWY MAŁŻEŃSTWA BYRSKICH

W czasie gdy Wierciński podsumowywał i kończył dzieło swojego życia, torowali sobie drogę przez teatr Irena i Tadeusz Byrscy. Pracowali bez rozgłosu, w małych ośrodkach, świadomie wybierając prowincję. Byrscy byli małżeństwem reżyserów, aktorów i pedagogów. Kontynuowali tradycje Reduty.

Irena Byrska (u. 1901 r.) ukończyła Oddział Dramatyczny przy Konserwatorium Warszawskim i w 1927 r. debiutowała jako aktorka, a w 1929 r. jako reżyser. Stopniowo odkrywała w sobie powołanie pedagoga.

Tadeusz Byrski (1906-1987), studiował historię na Uniwersytecie Warszawskim i uczył się aktorstwa w Reducie (1925), by następnie występować w niej w Wilnie w sezonie 1925/26, co dało mu podstawową formację teatralną. Grał potem w różnych teatrach do 1939 r.; pracował także w radio w Wilnie i Warszawie; był związany z radiem również po wojnie w latach 1947-1948 i 1949-1951.

W czasie okupacji oboje Byrscy byli zaangażowani okresowo w teatralną konspirację. Od ostatniego roku wojny (1944) prowadzili wspólnie sceny amatorskie w Stoczku i Kazimierzu Dolnym, gdzie założyli Instytut Artystyczny dla kształcenia instruktorów teatrów ludowych (1945-1946), wzorowany na Reducie. Byrski korespondował o nim z Osterwą, otrzymując od swego mistrza słowa aprobaty i zachęty. W sezonie 1948/49 Byrscy kierowali teatrem Ziemi Opolskiej oraz Studio Dramatycznym w Opolu, w sezonie 1951/52 teatrem toruńskim, a od sezonu 1952/53 objęli kierownictwo teatru w Kielcach, gdzie również prowadzili Studio Aktorskie. Obowiązki kierownika artystycznego i dyrektora pełnił w tych teatrach Tadeusz Byrski, reżyserowali zaś i nauczali oboje, uznając teatralną pedagogikę za najważniejsze powołanie; na nim skoncentrowali się w Kielcach.

Nie afiszując się z tym na zewnątrz, ale nie tając wewnątrz,

nawiązali do Reduty i wedle jej wzorów ukonstytuowali swoje studio: grupa adeptów żyła we wspólnocie, mieszkała i uczyła się zawodu razem, podejmując zadania artystyczne i gospodarcze. Uczniowie studia wciągani byli stopniowo do grania w przedstawieniach teatru, poczynając od statystowania, poprzez małe role, do większych. Rozbudowany i bogaty program nauki obejmował praktykę aktorstwa, pracę nad wierszem i prozą, ćwiczenia głosowe, ruchowe i gimnastyczne oraz teorię. Byrscy sami prowadzili zajęcia praktyczne, natomiast na wykłady z historii literatury, teatru i kultury, obok sił miejscowych, zapraszali znanych uczonych i pisarzy z Warszawy i Krakowa, gdzie jeździli także ze swoimi wychowankami na ważniejsze premiery. Urządzali dla nich wspólne robocze wakacje.

Starali się nie drażnić władz, idąc na kompromisy repertuarowe, a zarazem wprowadzając coraz ciekawsze pozycje. Dowodzili, że nawet w głębi stalinowskiej nocy można było pracować pożytecznie, zwłaszcza usuwając się na ubocze.

9. WSCHODZĄCE GWIAZDY KOMUNISTYCZNEGO TEATRU

W chwili gdy kończyła się wojna, Janusz Warmiński i Kazimierz Dejmek mieli odpowiednio 23 i 21 lat. Byli więc młodszy o całe teatralne pokolenie od Schillera i generacji przedwojennych starych mistrzów polskiej sceny — erudytów, smakoszy, Europejczyków. Niebawem po wojnie, bardzo młodo, będąc w teatrze zaledwie kilka lat, Warmiński i Dejmek zaczęli robić szybkie kariery. Zajęli czołowe pozycje w życiu teatralnym.

Janusz Warmiński (ur. 1922) wywodził się z Warszawy, gdzie rozpoczął studia prawa, a w czasie wojny uczył się na tajnych kompletach aktorskich. Tuż po wojnie był w Studium Teatralnym i zdał eksternistyczny egzamin aktorski w 1945 r. W sezonach 1945/46 i 1946/47 grał w Teatrze Polskim w Poznaniu. Od sezonu 1947/48 zaangażował się do Teatru Wojska Polskiego w Łodzi i równocześnie podjął studia reżyserii w PWST. I w teatrze i w szkole uczył się u Schillera.

Kazimierz Dejmek (ur. 1924) pochodził z Kowla, z ziem

zabranych Polsce przez Sowiety w 1939 r. W końcowych latach wojny był w partyzantce (Bataliony Chłopskie). Do teatru, jako amator, dostał się w Rzeszowie, gdzie zaraz zadebiutował na scenie rolą Jaśka w *Weselu* (2. XI. 1944 r.). Przez parę miesięcy uczestniczył w zajęciach Studia Aktorskiego w Rzeszowie i na sezon 1945/46 zaangażował się do teatru w Jeleniej Górze, jako adept. Na wiosnę 1946 r. zdał w Łodzi eksternistyczny egzamin aktorski. Został przyjęty do Teatru Wojska Polskiego. Przez następne trzy lata (1946-1949) uczęszcza jako wolny słuchacz na niektóre zajęcia w szkole teatralnej. Zarówno tam, jak w teatrze zetknął się z Schillerem i pod jego wpływem zainteresował się reżyserią.

Warmiński i Dejmek poznali się na wiosnę 1947 r. i postanowili założyć „teatr polityczny” w oparciu o komunistyczną organizację młodzieżową. Nie udało im się to wtedy, jednak już w następnym roku zorganizowali Grupę Młodych Aktorów, która w październiku 1948 r. liczyła 11 osób. Grupa ta spotykała się i działała zrazu w sposób skryty przed Schillerem, dyrektorem teatru, w którym członkowie jej grali i rektorem szkoły, do której niektórzy z nich uczęszczali. Uczyli się sami systemu Stanisławskiego oraz prowadzili szkolenia ideologiczne i polityczne. Przyjmowali za podstawę marksizm-leninizm. Określali się jako komuniści.

Od początku 1949 r. grupa starała się zyskać warsztat pracy. Najpierw zwróciła się do Szletyńskiego (znanego im jako reżysera z Teatru Wojska Polskiego i wykładowcy w łódzkiej szkole teatralnej), który akurat wtedy delegowany był do Wrocławia, gdzie miał objąć dyrekcję teatru. Szletyński inicjatywę przyjął. Jednak łodzianie wycofali się ze współpracy z nim, gdy okazało się, że mogą otrzymać własną scenę w samej Łodzi, w Teatrze Kameralnym, po przenoszącym się do Warszawy Axerze. Odbyli rozmowy z urzędnikami w Ministerstwie Kultury i na ich polecenie sformułowali swój program-manifest z dn. 15. III. 1949 r., którym wypowiadali się przeciwko „snobom, drobnomieszczanom i mieszczańom” przeciwko teatrowi „gwiazdorskiemu”, a za „teatrem socjalistycznym” i „teatrem dla mas”.

Ich inicjatywa nie mogła wypaść w stosowniejszym momencie. Akurat w tych miesiącach komuniści dekretowali w Polsce socrealizm w literaturze i teatrze (zjazd literatów w Szczecinie 20-23. I. 1949, narada ludzi teatru w Oborach, 18-19. VI. 1949), wymieniali kierownictwa teatrów, likwidowali starą organizację aktorską (ZASP), upaństwowiali teatry itd.

Grupa aktorów, która chciała sama, nie na rozkaz z góry, zaprowadzać socrealizm, stała się więc oczkiem w głowie władz. Ministerialnym zarządzeniem powołano do życia Teatr Nowy i przyznano mu obfite dotacje. Zespół aktorski liczył początkowo 25 osób. Kierownictwo zbiorowe objęli Dejmek, Warmiński, nieco starszy od nich Jerzy Merunowicz (który miał już wtedy ukończone studia reżyserii) i Antoni Makarski (późniejszy administrator). Już jednak od 1. X. 1949 r. dyrektorem i kierownikiem artystycznym został Dejmek.

Pierwszą premierą Teatru Nowego, sztandarową manifestacją stylu „realizmu socjalistycznego”, a zarazem „dramaturgii produkcyjnej”, była *Brygada szlifierza Karhana*, autorstwa czeskiego pisarza-komunisty Vaška Kani (12. XI. 1949). W programie przedstawienia znalazło się oświadczenie, że „kolektyw” Teatru Nowego uznał tę sztukę za należącą do „wielkiego repertuaru” obecnego etapu historii Polski; zapewne „kolektyw” nie rozumiał ironii tego stwierdzenia. Przedstawienie było całkowicie werystyczne, z prawdziwą obrabiarką na scenie, z podpatrzonymi w czasie wizyt w fabrykach „typkami” robotników. *Brygada szlifierza Karhana* była wyreżyserowana zbiorowo, pod kierunkiem Merunowicza.

Nad następnymi przedstawieniami też pracowali zbiorowo, ale podpisywał afisze jako reżyser Warmiński, który debiutował sztuką sowiecką Korniejczuka pt. *Makar Dubrawa* (31. V. 1950). Kolejne premiery obracały się wokół problematyki produkcyjnej (m.in. sztuka „wiejska” Warmińskiego *Zwycięstwo*) lub „antyimperialistycznej” (*Tankowiec Nebrasca* Herba Tanka), rozszerzonej później o „antysanacyjną” to jest krytykującą przedwojenny ustrój Polski (*Domek z kart Zegadłowicza*). Od początku wystawiano też repertuar sowiecki, m.in. *Poemat pedagogiczny* wg powieści Makarenki, którym zadebiutował jako reżyser Dejmek, sam rzecz przekładając i adaptując (7. IV. 1951). W tymże samym roku Dejmek zapisał się do partii komunistycznej. Mianowano go rektorem szkoły teatralnej w Łodzi; nie zainteresowany pedagogiką, zrezygnował po roku.

Monotonny repertuar Teatru Nowego, o charakterze publicystycznym i propagandowym, miała przełamać praca nad *Horsztyńskim* Słowackiego, wystawionym pod tytułem *Kossakowscy* (12. XI. 1951). *Nota bene*: przypomniało to czasy carskie, gdy w roku 1873 rosyjscy cenzorzy — po długich przetargach — pozwolili zagrać w Warszawie *Mazepę* Juliusza Słowackiego, ale pod warunkiem, że na afiszu nie pojawi się

imię i nazwisko autora, a tylko inicjały „J.S.”. Autor sztuki, zmarły już wtedy dawno (w 1849) w Paryżu, był najwyraźniej ciągle uważany za groźnego przeciwnika caratu. W Łodzi, w 1949 r., sami realizatorzy spektaklu zmienili tytuł klasycznej sztuki Słowackiego. Przedstawienie *Kossakowskich* (*Horsztyńskiego*), wyreżyserowane przez Warmińskiego całkowicie realistycznie, zagubiło poezję utworu i stało się porażką artystyczną. Ukazało, że wytrych „sorealistyczny” nie otworzy wielkiej narodowej klasyki. Pasował natomiast niezłe do *Henryka VI na łowach* (5. II. 1953), do *Spazmów modnych* (3. XI. 1953) Bogusławskiego w reżyserii Dejmka. W przedstawieniach tych klasycystycznych komedii, stawiał on pierwsze kroki w kierunku stylizacji. Istotne zmiany w pracy Teatru Nowego i warsztacie reżyserskim samego Dejmka miała przynieść dopiero *Łaźnia* Majakowskiego (11. XII. 1954), która zakończyła pierwszy okres pracy młodego „kolektywu”.

Teatr Nowy już wkrótce po pierwszej premierze otrzymał wysoki order państwowy (Sztandar Pracy II klasy), a potem zespołową nagrodę państwową. Nagrodami państwowymi i ministerialnymi oraz nagrodami na festiwalach teatralnych obsypywano szczerze Dejmka, a w nieco skromniejszy sposób również Warmińskiego, choć i on zyskał znaczne laury w 1951 r.: za swoje *Zwycięstwo* otrzymał nagrodę państwową oraz nagrodę Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych.

Ludwik René (ur. 1914) był trzecim młodym reżyserem-komunistą, który rozpoczął w tym samym czasie szybką karierę. Zdobył on dyplom reżyserski u Schillera w PWST w Łodzi w 1949 r., realizując pod jego kierunkiem *Młodą Gwardię* Fadiejewa, adaptację głośnej sowieckiej powieści, przetłumaczonej przez Lidię Zamkow i wystawionej jako „zobowiązanie 1-Majowe”. *Młoda Gwardia* przyniosła debiutantom sukces, po którym Schiller, przechodząc do Warszawy, zaangażował René i zlecił mu powtórzenie łódzkiego spektaklu na scenie Teatru Polskiego (1949). *Młoda Gwardia* została nagrodzona na Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich, a jej młody reżyser zapisał się do partii komunistycznej (1950) i otrzymał kierownictwo artystyczne Teatru Ateneum (1951), właśnie wtedy odbudowanego ze zniszczeń wojennych.

Obejmując Ateneum René skupił wokół siebie grupę młodzieży. Na inaugurację teatru (22. V. 1951) wystawił znów utwór sowiecki, *Interwencję* Sławina, która jednak wzbudziła wątpliwości czujnej krytyki, będąc pono widowiskiem wyłamu-

jącym się z socrealistycznego wzorca. Zaatakowany frontalnie, René nie utrzymał się na stanowisku kierowniczym i został zmuszony do ustąpienia już 31. XII. 1951.

Na miejsce René władze osadziły Warmińskiego, który akurat wtedy poróżnił się z Dejmkiem. (Podłoże stanowiły nie różnice ideowe, ale osobiste, co nie będzie tu omawiane). Dejmek pozostał w Łodzi, a Warmiński przeszedł do Warszawy. Od początku roku 1952 był kierownikiem artystycznym Teatru Ateneum, a od sezonu 1953/54 (z przerwą w sezonach 1958/59 i 1959/60) samodzielnym dyrektorem i kierownikiem artystycznym, aż poza próg roku 1989 (na którym kończy się ta opowieść). Z początku Ateneum pod kierownictwem Warmińskiego było drugim — po łódzkim Teatrze Nowym Dejmka — pokazowym teatrem socrealizmu. Warmiński wystawił tam m.in. swoje własne wiejskie „produkcyjniaki”: *Zwycięstwo* i *Chwasty* (1954); później także inne sztuki: *Melodramat* (1955), *Osaczeni* (1958). Odchodząc stopniowo od repertuaru realizmu socjalistycznego, obracał się nadal w kręgu realizmu i spraw społecznych (np. *Neapol miasto milionerów* De Fillippo, 1955). Zainteresowania, choć nie styl, miał zmienić dopiero później.

Lidia Zamkow (1918-1982) stała się kolejną młodą gwiazdą teatru socjalistycznego. I ona, podobnie jak Dejmek, Warmiński i René, wyszła z Łodzi, i ona zorganizowała wokół siebie grupę przebojowo nastawionej młodzieży. Przed wojną była studentką na Wydziale Aktorskim PIST w Warszawie, po wojnie grała w Rzeszowie, Białymstoku i Lublinie, a potem studiowała reżyserię w Łodzi. Asystowała Schillerowi w *Zagadnieniu rosyjskim* Konstantina Simonowa (1947). W 1948 r. wyreżyserowała swoje przedstawienie warsztatowe, *Omyłkę* wg. Bolesława Prusa. Z Łodzi zaangażowała się do Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Zebrała tam zespół młodych aktorów i pojechała z nim do Gdyni, by na półtora roku (od początku sezonu 1953/54 — do grudnia 1954) objąć kierownictwo artystyczne Teatru Wybrzeże. Wyreżyserowała tam dwie głośne premiery: sztukę rosyjską (*Barbarzyńcy* Gorkiego, 1953) i sztukę sowiecką (*Tragedia optymistyczna* Wiszniewskiego, 1954). Weszła do ścisłego grona młodych przywódców socrealizmu w teatrze polskim, a prowadzony przez nią Teatr Wybrzeże stał się jedną z czołowych młodych scen „politycznych”, wymienianą obok Teatru Nowego w Łodzi i Ateneum w Warszawie. Utalentowana, żywiołowa, energiczna — Zamkow była jednak nieprawym organizatorem. Teatr Wybrzeże pod jej kierownictwem

popadł w tarapaty. Zespół skłócił się wewnętrznie. Reżyserka zerwała z Wybrzeżem i przeszła do Teatru Wojska Polskiego w Warszawie.

W omawianym tu okresie kariery Dejmka i Warmińskiego, a także René i Zamkow, stały się symbolem przemian w polskim teatrze, a zarazem wzorcem: opowiedzenie się za komunizmem i przygotowanie przedstawień w stylu socrealizmu przynosiło młodym reżyserom laury, nagrody, stanowiska, a krytyka wytwarzała wokół nich klimat uwielbienia, choć zarazem bardzo czujnie śledziła ich kariery i wytykała najmniejsze odchylenia od obowiązującego strychulca.

10. KOMUNISTYCZNA KARIERA ANTYKOMUNISTY

Zadziwiającą karierę zrobił w okresie apogeum stalinizmu Bohdan Korzeniewski (ur. 1905).

Pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny z okolic Siedlec. Przed wojną był krytykiem i cenionym teatrologiem. W czasie wojny działaczem teatralnego podziemia, bezpośrednio związanym z władzami legalnego Państwa Polskiego, a jego postawa była wzorem patriotyzmu. Zaraz po wojnie, pod opieką Schillera i Wiercińskiego, wszedł do teatru jako praktyk: najpierw kierownik literacki, potem reżyser. Będąc rzadkim wtedy w środowisku teatralnym okazem intelektualisty, zwrócił uwagę władz komunistycznych, które zaczęły go lansować, choć nigdy nie zapisał się do partii. Po latach Korzeniewski twierdził, że uprawiał swoisty „wallenrodyzm”, wchodził w układy z komunistami, po to, aby ocalać w teatrze to, co się jeszcze ocalić dało. Nie ma żadnego powodu podważać tych twierdzeń. Jednakże, podobnie jak w wypadku innych twórców, trzeba przede wszystkim ustalić fakty. Wskazują one, że właśnie w apogeum stalinizmu Korzeniewski zrobił największą ze wszystkich ludzi teatru w Polsce karierę: w ciągu pięciu lat od debiutu reżyserskiego objął kierownictwo Teatru Narodowego. Oto fakty:

— Po wojnie Korzeniewski znalazł się w Łodzi i objął kolejno cztery stanowiska: kierownika literackiego w Teatrze Wojska Polskiego, współkierownika Sceny Poetyckiej przy tym teatrze, prorektora w PWST oraz dziekana Wydziału Dramaturgicznego tamże. W Teatrze Wojska Polskiego był w sezonach 1945/46 i 46/47. W PWST do roku akademickiego 1947/48.

— W 1946 r. był członkiem komitetu doradczego do spraw

teatru przy ministrze kultury, później członkiem (efemerycznie) Rady Teatralnej.

— Od początku 1946 r. do końca 1947 był członkiem Sądu Koleżeńskiego II instancji (najwyższej) przy ZASP, w sprawach o kolaborację z okupantem w czasie wojny.

— W sezonach 1947/48 i 48/49 był kierownikiem literackim w Teatrze Kameralnym w Łodzi, gdzie debiutował jako reżyser w 1947 r. *Szkolą żon* Moliera.

— W latach 1948-1952 był redaktorem *Teatru*, w latach 1954-1956 *Areny*.

— W sezonach 1949/50 i 1950/51 był reżyserem w Teatrze Polskim w Warszawie, ściągnięty tam przez Schillera, umocniony przez jego następcę, Dąbrowskiego.

— W 1951 r. otrzymał nagrodę państwową.

— Od wiosny 1952 r. (w trakcie trwania sezonu teatralnego) objął kierownictwo artystyczne Teatru Narodowego i sprawował je następnie przez dwa sezony, 1952/53, 1953/54; (swe stanowisko nazwał wzorem sowieckim „główny reżyser”).

— W 1953 r. otrzymał nagrodę państwową.

— W 1954 r. jego przedstawienia były dwukrotnie wysyłane za granicę. *Męża i żonę* oraz *Grzech* w jego reżyserii pokazano na Festiwalu Teatrów Narodów w Paryżu (w lipcu); *Męża i żonę* w Moskwie, Leningradzie i Kijowie (w październiku).

Jego odejście z Teatru Narodowego na jesieni 1954 r. odczytano jako jedną z wczesnych oznak kruszenia się stalinizmu. W okresie październikowym Korzeniewski ujawnił się niejako artystycznie (choć nie politycznie, co nastąpiło później) jako przeciwnik komunizmu.

Od swego debiutu w 1947 r. do 1954 r. Korzeniewski wyreżyserował całą serię przedstawień w stylu najpierw realistycznym, a potem socrealistycznym, choć stale oscylował ku ostrej formie a nawet grotesce, co uwidocznili się zwłaszcza w *Don Juanie* Moliera, z malarską i umowną scenografią Teresy Roszkowskiej, a później (po roku 1956) w innych widowiskach. Wybory repertuarowe Korzeniewskiego oparte były o subtelny smak i zamiłowania, a zarazem mieściły się w dozwolonych ramach. Będąc od dawnych lat związany z kulturą francuską (znał biegle ten język), sięgał po Moliera (*Szkolą żon*, 1947, *Don Juan*, 1950). Z polskiej klasyki najchętniej brał Fredrę, o którym pisał i mówił przenikliwie; na scenie sprowadzał go do realizmu, opartego o psychologiczną,

historyczną i socjologiczną analizę — w ten sposób wystawił *Męża i żonę* (1949) i *Zemstę* (1953). O socrealizm otarł się w przedstawieniu *Grzechu* Żeromskiego (1951). Było to zdefektowane znalezisko dramaturgiczne, do którego Kruczkowski dopisał czwarty akt — epilog, dziejący się na budowie, ze „słuszną” klasowo pointą akcji, co było literackim i teatralnym horrendum. Korzeniewski robiąc dyskretnie gesty dystansowania się od tego epilogu, firmował jednak całość i zbierał za nią laury. Wystawiał też sztuki rosyjskie i sowieckie. Wśród pierwszych wyszperał zapomnianego i mało granego Suchowo-Kobyлина, autora szczerze antycarskiego. Wystawił jego *Śmierć Tariatkina* i ujął rzecz groteskowo, co w 1948 r. było jeszcze możliwe. Produkcyniak sowiecki *Pięć koguty* J. Balutszisa (autora litewskiego, 1951) wystawił ściśle w stylu socrealizmu. *Rewizora* w 1952 r. potraktował realistycznie, podobnie jak sztukę sowieckiego autora Pogodina *Człowiek z karabinem* (1954), w której starał się sięgnąć ku teatrowi inscenizacji w stylu schillerowskim. O polskim wielkim repertuarze marzył — jak twierdził po latach — ale żadnej tego typu pozycji wtedy nie zrealizował.

Wszystkie przedstawienia Korzeniewskiego oparte były o precyzyjną analizę filologiczną, historyczną, socjologiczną i nawet etnograficzną. Były dobrze zbudowane myślowo, a przy tym chłodne i wykalkulowane. (Analizy dramatów Korzeniewski spożytkował nie tylko na próbach, ale i publikował w formie artykułów). Widowiska obmyślał i projektował na makietach w każdym szczególe zachowań i czynności postaci, ruchu, rytmu, ścisłego rozmieszczenia mebli, przedmiotów, wejść, planując precyzyjnie układy scen zbiorowych, a także całe łańcuchy gier z rekwizytami, co stało się jego specjalnością. Starał się ściśle i logicznie opowiedzieć jakąś historię — jednostki, rodziny, środowiska, grupy społecznej. Największych uogólnień sięgnął w *Śmierci Tariatkina* i *Don Juanie*.

Pracując w dobrych teatrach, dysponował zawsze doskonałymi aktorami, którzy nadawali jego projektom bujne życie sceniczne i dużą często siłę wyrazu, jak Woszczerowicz w *Szkole żon* i *Śmierci Tariatkina*, Jan Kreczmar w *Mężu i żonie*, Zelwerowicz w *Grzechu* czy Kurnakiewicz w *Rewizorze* i *Zemście*.

Zająwszy najwyższe w artystycznej hierarchii stanowisko kierownika Teatru Narodowego w Warszawie, Korzeniewski stanął przed swoim najpoważniejszym życiowym zadaniem. Obli-

cze, funkcje i zadania polskiego Teatru Narodowego były wypracowywane od lat przez wielu artystów. Rysowały się one wyraźnie w latach dwudziestych, zwłaszcza gdy Teatrem Narodowym kierował Osterwa. Zajęły poczesne miejsce w planach Tajnej Rady Teatralnej, które sam Korzeniewski również formułował. Przechowane zostały w społecznych oczekiwaniach. Złożone były z czterech elementów: repertuaru, zespołu artystycznego, etosu pracy, hierarchii wartości. Wedle tego depozytu tradycji repertuar Teatru Narodowego winien być złożony z klasycznych arcydzieł narodowych, a także światowych, uzupełnianych najwybitniejszymi sztukami współczesnymi; zespół artystyczny winien składać się z najwybitniejszych aktorów, reżyserów, scenografów; etos winien wyrażać miłość i szacunek dla narodowej tradycji, obyczaju, kultury mowy scenicznej i kultury codziennej pracy; hierarchia wartości winna odzwierciedlać narodową świadomość, aspiracje i dążenia. Przede wszystkim zaś Teatr Narodowy winien być silnym, promieniującym ośrodkiem życia duchowego narodu. Korzeniewski, jako głęboko wykształcony historyk teatru, miał niewątpliwie świadomość tego depozytu i zadań Teatru Narodowego. W warunkach stalinowskiego zniewolenia nie mógł im sprostać. Wprawdzie odmienił dotychczasowe proporcje granych w Teatrze Narodowym sztuk na korzyść klasyki, ale nie była to ani największa klasyka narodowa, wciąż zakazana (wyjątek stanowiła *Zemsta*), ani światowa (poza *Rewizorem*). W zespole artystycznym miał kilka nazwisk wybitnych (ze starszych Opaliński, ze „średniaków” Woszczerowicz i Kurnakowicz, z młodych Skarżanka i Łomnicki), ale nie przyciągnął czołówki aktorskiej z innych teatrów. Nie pozyskał nikogo z największych reżyserów. Nie zaproponował współpracy ani Schillerowi, wtedy bezrobotnemu, ani Wiercińskiemu, znajdującemu się „w odstawce”, mimo że obu im bardzo wiele zawdzięczał. Gdy otrzymał Teatr Narodowy, urzędowali tam Krasnowiecki jako dyrektor i Horzyca jako zastępca dyrektora, niedawno usunięty z dykcji poznańskiej, który akurat reżyserował *Las Ostrowskiego*. Korzeniewski, jak sam przyznaje w swoich wspomnieniach, zaakceptował bez sprzeciwu nagłe wyrzucenie Horzycy i nie pozwolił mu nawet dokończyć reżyserii *Lasu*; sam doprowadził przedstawienie do premiery; afisza nikt nie podpisał. Nie zatrzymał także Krasnowieckiego. Stosunki pracy w Narodowym pozwolił ukształtować komunistycznym administratorom i nadzorcom, kpiąc z nich w duchu (i po

latach w piśmie), ale otwarcie się im nie przeciwstawiając.

Środowisko bało się go. Był przenikliwie inteligentny. Lubił posługiwać się trudno uchwytną ironią wobec adwersarza w dyskusji. W czasie wojny był reprezentantem surowej sprawiedliwości podziemnego państwa, a po wojnie skrupulatnym sędzią w sprawach o kolaborację z wojennymi teatrykami jawnymi. Już od czasów łódzkich zasiadał w komisjach egzaminów eksternistycznych dla aktorów i wstępnych do szkół teatralnych, zadając pytania z teorii i historii, pozornie proste, którymi jednak obezwładniał kandydatów; właśnie za jego sprawą część przystępujących przepadała na egzaminach. W ten sposób, na tych wszystkich polach, Korzeniewski bronił poziomu teatru, ale ogniskował na sobie nieprzyjemne uczucia. Uważany był za reżysera „bibliotekarza”, mocnego w analizie, ale nie radzącego sobie na scenie, za człowieka reżimu działającego na szkodę artystów, tym groźniejszego, że bardziej od innych inteligentnego i wykształconego. Często na pokojach komunistycznych ministrów, konferując z członkami Biura Politycznego, odwiedzany w teatrze przez prezydenta Bieruta i Biuro Polityczne *in gremium*, Korzeniewski — w tamtych latach — zdawał się usprawiedliwiać i umacniać komunistów.

11. ZAMKNIĘCIE TEATRU RAPSODYCZNEGO

Polityka kulturalna komunistów, szkody jakie wyrządzili polskiej kulturze i metody ich działania ujawniły się najdotkliwiej i nabrały symbolicznego wręcz wyrazu w powojennej historii krakowskiego Teatru Rapsodycznego.

Mieczysław Kotlarczyk (1908–1978), jego twórca, urodzony w Wadowicach, w 1936 r. doktoryzował się jako polonista na Uniwersytecie Jagiellońskim, by przez parę lat pracować w szkolnictwie. Założył tajny Teatr Rapsodyczny w 1941 r. Pierwsze jawne przedstawienie dał 22.IV.1945 r.

Powojenny program i repertuar Teatru Rapsodycznego były kontynuacją prac okupacyjnych: Kotlarczykowi szło o wartości wyrażane poprzez wielką, polską poezję. Słowo było dlań podstawowym środkiem wyrazu i nośnikiem idei, miało być zwierciadłem i szkołą narodowego obyczaju, dziejów, ducha i *sacrum*. Akcentowanie słowa otwierało jako skarbiec repertuaru wielkie dzieła liryki i epiki, zarówno pisane wierszem

jak prozą, zarówno (i głównie) „niesceniczne”, jak też (niekiedy) „sceniczne”. W repertuarze Teatru Rapsodycznego znalazły się więc Słowackiego rapsody (stąd nazwa teatru) oraz *Beniowski*, *Pan Tadeusz* Mickiewicza, *Hymny* Kasprowicza i in. Kotlarczyk nie tał swej fascynacji Osterwą i światem nawiązywał do warsztatu i etosu Reduty.

Przedstawienia Rapsodyków — stylizowane, poetyckie, uduchowione, „redurowe” — były krańcowo sprzeczne z komunistycznymi wytycznymi w zakresie repertuaru, stylu i propagandy — propagandyści zaczęli więc nękać Kotlarczyka i jego teatr. Już w 1945 r. zaczęto surowo cenzurować wszystkie wystawiane przez niego teksty, złożone przecież z klasyki, z których usuwano całe fragmenty. Sam Kotlarczyk, zatrudniony zaraz po wojnie jako referent do spraw teatru w Wydziale Kultury w urzędzie wojewódzkim w Krakowie (teatr nie zapewniał początkowo żadnego utrzymania) został zwolniony z pracy. Następnym ciosem władze wymierzyły na wiosnę 1946 r., usuwając Teatr Rapsodyczny z sali kina *Wolność*, z której do tej pory korzystał. Zastępczo zezwolono Rapsodykom dawać dwa przedstawienia tygodniowo w Teatrze Lalki i Aktora „Grotteska”. Równocześnie, zarządzeniem kuratorium Okręgu Szkolnego, odsunięto od Teatru Rapsodycznego młodzież szkolną, która dotąd odwiedzała go tłumnie, w ramach zajęć z języka polskiego. Po roku, na wiosnę 1947, Teatr Rapsodyczny został wyrzucony nawet z sublokatorstwa w Teatrze „Grotteska” i znalazł się na bruku. Kotlarczyk, już od czasu okupacji związany ze sferami kościelnymi, zwrócił się o pomoc do Prymasa Polski kardynała Hlonda i uzyskał od niego zgodę na obranie za siedzibę teatru domu zakonnicy Sióstr Miłosierdzia przy ul. Warszawskiej w Krakowie, oraz fundusze na teatralną adaptację sali. (Poprzednio mieściło się tam studio aktorskie Iwo Galla; w latach późniejszych, po zamknięciu Teatru Rapsodycznego, Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna). 28.XI.1947 r. Teatr Rapsodyczny otworzył działalność w nowym pomieszczeniu *Rapsodami* Wyspiańskiego (w rocznicę śmierci autora).

Partyjni krytycy wzmagali napaści. Roman Szydłowski i Jan Alfred Szczepański (Jaszcz) jawnie nowożyłali do likwidacji teatru, oskarżając Kotlarczyka o fideizm, mistycyzm, misteryjność, dewocyjność — wszystko to były zbrodnie z punktu widzenia komunistów. Później do tego duetu dołączył Jacek Frühling i inni. Dodatkowym pretekstem do ataków na teatr Rapsodyczny stały się jego występy gościnne w

Warszawie, w związku z uroczystościami odsłonięcia odrestaurowanego pomnika Mickiewicza w 1949 r. Zaproszenie do występu „galowego” w sali Teatru Polskiego, na którym obecne było całe kierownictwo partii (Bierut, Berman, Cyraniewicz), a także ambasador sowiecki Lebediew, okazało się dla Rapsodyków tyleż zaszczytne co fatalne. Istnieje przypuszczenie, że ambasador sowiecki skierował w czasie spektaklu do Bieruta złośliwy komentarz na temat recytowanej przez Kotlarczyka Inwokacji do *Pana Tadeusza* „Litwo, ojczyzno moja...” (Jak wiadomo, Litwa była w tym czasie wcielona do Związku Sowieckiego, a jej dawne związki z Polską rugowane były z podręczników historii). Natychmiast uruchomiło to lawinę oskarżeń i gróźb pod adresem teatru.

Kotlarczyk próbował się ratować wystawiając pozycje zgodne z dyrektywami, a więc rosyjskie i „postępowe”. *Eugeniusza Oniegina* Puszkina (1948 i 1949, dwie wersje), montaż poezji Majakowskiego i Kirsanowa pt. *Rozkaz* (1950), a potem *Polonez imć Pana Bogusławskiego* (1952), montaż poezji i prozy jakobińskiej z końca XVIII w. Nie na wiele się to zdało, zwłaszcza, że w zmiennym repertuarze Teatru Rapsodycznego nadal były pozycje wielkiej poezji narodowej i inne przedstawienia niezgodne z socrealistyczną doktryną.

W grudniu 1951 r. Kotlarczyka spotkał znamieny afront: kilku pracowników Teatru Rapsodycznego udekoroowano orderami za zasługi w przebudowie nowej siedziby. Kotlarczyka pominięto. W zespole Teatru Rapsodycznego znajdowali się donosiciele i zaufani władz, którzy dopomagali władzom w „rozrobieniu” Kotlarczyka. Wedle jego własnych wspomnień, byli to zwłaszcza aktorzy August Kowalczyk, Piotr Gronkowski i Piotr Pawłowski, jego żona choreograf Wanda Szczuka, oraz urzędnik administracji Zdzisław Lorenowicz. W styczniu 1952 r. dyrektor Pański oświadczył Kotlarczykowi w Ministerstwie Kultury, że władze nie mogą już dłużej tolerować Teatru Rapsodycznego, który stoczył się na pozycje antysocjalistyczne, a on sam, jako bezpartyjny, odcina się od rzeczywistości. W ślad za tym przyszła do Krakowa telegraficzna dymisja. Kotlarczyk, uruchomiwszy znajomości we wpływowych sferach uniwersyteckich, zawsze mu przyjaznych, zdołał jednak spowodować interwencję na swoją korzyść i doprowadzić do wycofania dymisji.

Jednakże już po następnym roku nerwowej pracy, w lutym 1953, zaatakowany na naradzie teatralnej w Warszawie przez ministra Sokorskiego za „formalizm” zareplikował mu

gwałtownie a niedyplomatycznie. To z kolei wywołało gwałtowną reakcję ministra, który oskarżył Kotlarczyka ni mniej ni więcej, tylko o stawianie się ponad partią i rządem, o powiązania z wywiadem amerykańskim i wrogość wobec klasy robotniczej. Była to druzgocąca i śmiertelnie niebezpieczna insynuacja. W ślad za nią wysłana została do Krakowa ponowna telegraficzna dymisja, którą Kotlarczyk otrzymał 27 lutego 1953 r. Jeszcze raz próbował się bronić. Przeprowadził rozmowy w środowiskach naukowców i pisarzy. Okazywano mu współczucie, interweniowano w jego sprawie, ale nie miało to już siły przekonywującej władze. Starał się zmobilizować do akcji w swojej obronie zespół aktorski. Podniosły się głosy poparcia, ale część pracowników teatru była już jednak albo urobiona przez jego przeciwników, albo sterroryzowana. Do Krakowa przybyli Jerzy Pański z Ministerstwa i Maria Czanerle, pracowniczka KC partii. Na zebraniu załogi 1 marca 1953 r. ogłosili oni oficjalnie, że Kotlarczyk został usunięty ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Rapsodycznego. 31 marca skreślono go z listy członków SPATiF. Został bez stałej pracy. Zarabiał lekcjami wymowy w seminarium duchownym, uczył też wymowy w PWST Kraków, opiekował się amatorskim zespołem pieśni i tańca „Krakowiacy”. Naznaczony został dyrektorem likwidator (Ignacy Henner, poprzednio pracownik KC partii). Zespół się rozproszył, część przeszła do Teatru Poezji. Teatr Rapsodyczny został zamknięty 1.V.1953 r.

12. POKOLENIOWA ZMIANA WARTY

W apogeum stalinizmu dokonała się pokoleniowa zmiana warty wśród reżyserów, którzy nadawali ton polskiemu teatrowi. Odchodzili ludzie ukształtowani artystycznie przez modernizm, Młodą Polskę i Wielką Reformę Teatru, dojrzały w Polsce niepodległej. Przetrwali oni wojnę, a po niej przystąpili z poświęceniem do odbudowy teatru. W latach pięćdziesiątych zmarli kolejni mistrzowie teatru przedwojennego: Teofil Trzeciński (1878–1952), Leon Schiller (1887–1954), Edmund Wierciński (1899–1955). Gaśli, usunięci na margines, Horzyca i Gall. Gall został wyrzucony z Łodzi w 1952 r., a Horzyca z Wrocławia w 1953 r. Obaj mieli umrzeć w początkach 1959 r., Horzyca po półtorarocznym prowadzeniu Teatru Narodowego. Gall w całkowitym zapomnieniu. Szyfman

zepchnięty był na boczny tor od roku 1955, gdy to na dwa sezony pozwolono mu wrócić do Teatru Polskiego, ale potem znów go odprawiono; poświęcił się odbudowie Teatru Wielkiego, za co nakarmiono go tylko niewdzięcznością; zmarł w 1967 r. Nie wrócili z emigracji Ziemiński, Pobóg-Kielanowski i Radulski. Ich miejsca zajmowali ludzie związani z komunizmem z przekonaniu lub pozoru — młodszy: Krasnowiecki, Dąbrowski, Szletyński, Korzeniewski i najmłodszy: Dejmek, Warmiński, René, Zamkow, Axer i inni.

Również w szeregach aktorstwa w tym właśnie czasie nastąpiły znaczne zmiany. Kolejno zmarli najwięksi: Jaracz (w 1945 r.), Osterwa (1947) i Zelwerowicz (1955). Śmierć zabierała także innych: odszedł Dobiesław Damiński (w 1951 r.), a potem Józef Węgrzyn (1952). Schorowani, niebawem mieli umrzeć Adwentowicz (1958) i Jerzy Leszczyński (1959). Aktorstwo tych artystów było zróżnicowane, świadcząc o bogactwie stylów i osobowości teatru polskiego przed wojną i tuż po niej.

Stefan Jaracz (1883–1945), w czasie całej swojej drogi przez teatr (debiutował w 1904 r.) wprowadzał do swoich ról głębokie tony społecznej krytyki, był mistrzem w budowaniu postaci ludzi skrzywdzonych przez los, odsuniętych przez społeczeństwo, tragicznych — pod pozorami powszedniości. Był społecznikiem i moralistą, jednym z filarów nurtu „teatru obywatelskiego”, w którym prace artystyczne miały zarówno podstawy jak cele społeczne. Chory na gruźlicę, Jaracz nie wrócił już na scenę po wojnie, ale zostawił swój „testament artystyczny”, spisany w 1945 r.

Józef Węgrzyn (1884–1952) był płomiennym bohaterem. Miał głowę o rzymskim profilu, pałające oczy, spizowy głos, gwałtowny gest. Jego role bohaterów tragicznych i romantycznych (poczynając od Irydiona w 1913 r.) miały klasyczną formę, a zarazem współczesną wibrację, porywały widzów. W czasie wojny splamiał się występami w teatrzykach jawnych. Po wojnie, upokorzony i zniszczony fizycznie, zagrał już tylko jedną znaczącą rolę, Rejenta w *Zemście*, a także parę postaci komediowych.

Jerzy Leszczyński (1884–1959) był aktorem pełnym siły i namiętności, zmysłowym, potężnym. Swe największe role zagrał przed wojną w sztukach Szekspira, Fredry, Słowackiego.

Po wojnie pokazywał młodszym aktorom i publiczności, jak się gra arcywłoskiego szlachcica Cześnika w *Zemście* i arystokratycznego Hetmana w *Horsztyńskim*.

Dobiesław Damięcki (1899–1951) był wybitnym aktorem charakterystycznym, do historii polskiego teatru wszedł przede wszystkim jako ofiarny rzecznik środowiska i organizator związkowy. Był odważnym działaczem konspiracji teatralnej, po wojnie niezłomnym prezesem ZASP-u (1945–1948).

W latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych miejsca w ścisłej czołówce aktorstwa zajęli ludzie przed wojną ukształtowani, a po wojnie w sile wieku i apogeum talentów: Irena Eichlerówna, Zofia Jaroszevska, Jacek Woszczerowicz, Jan Kreczmar i Jan Kurnakowicz. Rzecz charakterystyczna — żadne z nich nie reprezentowało aktorstwa realistycznego, nakazywanego przez władze, toteż albo nie mieścili się w narzuconym po roku 1949 r. repertuarze i stylu socrealistycznym, albo też roszadzali go od wewnątrz.

Irena Eichlerówna (1908–1990) była największą polską aktorką tragiczną swego czasu; potrafiła również zabłysnąć w komedii. Swoją niezwykłą osobowość wyrażała w formie skomponowanej i stylizowanej, żarliwej i intensywnej, zaskakującej i niecodziennej. Miała potężny głos, który modułowała manierycznie, a zarazem w pełni wiarygodnie. Mistrzowsko operowała słowem, gestem, ruchem. Budowała postaci o niezwyklej sile i skomplikowaniu. Debiutowała w 1929 r. i prędko zrobiła karierę na scenach Warszawy i Lwowa. W czasie wojny i po niej grała w Rumunii, Francji i Argentynie. Wróciła do kraju w 1948 r. Od początku lat pięćdziesiątych była aktorką Teatru Narodowego. Największe kreacje stworzyła jako Fedra Racine'a (1949 i 1957), Pani Warren Shawa (1951 i 1952), Maria Stuart Schillera (1955), Matka Courage Brechta (1963).

Zofia Jaroszevska (1902–1985) posługiwała się aktorstwem żarliwym, bujnym, rozrzutnym, była wielką damą sceny. Debiutowała już w 1923 r., a od 1929 związała się na stałe z Krakowem. Spośród dziesiątków wielkich ról, za jej największą kreację uznano rolę Ranievskiej w *Wiśniowym sadzie* Czechowa (1954).

Jacek Woszczerowicz (1904–1970) ujawniał całą gamę swe-

go talentu i środków w grotesce, której nadawał wielki wymiar, zarówno w komedii jak tragedii. Debiutował w 1924 r. i grał przed wojną w teatrach prowincjonalnych. Po wojnie znalazł się w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, a od 1948 r. przeszedł do Warszawy. Niskiego wzrostu, posługując się głosem jakby skrzeczącym, surowym, modulowanym w sposób niecodzienny, zagrał wiele ról, w których mistrzowsko łączył głębię ludzkiego przeżycia z ostrą formą gestu, ruchu, mowy. Największe sukcesy odniósł jako Tarielkin w *Śmierci Tarielkina* Suchowo-Kobylina (1949) i Sganarel w *Don Juanie* Moliera (1950). Później do jego wstrząsających kreacji należały role Józefa K. w *Procesie wg Kafki* (1958) i Ryszarda III (1960).

Jan Kreczmar (1908–1972) był typowym aktorem „zimnym”, grał „z dystansem” (jeszcze zanim Brecht upowszechnił tę technikę i termin). Po debiucie w 1929 r. osiągnął niebawem znaczne sukcesy. W czasie wojny należał do Tajnej Rady Teatralnej, pracował w teatrze konspiracyjnym. Po wojnie zajął miejsce w rządzie najwybitniejszych aktorów średniego pokolenia. Zagrał m.in. Fantazego Słowackiego (1946), Waclawa w *Mężu i żonie* Fredry (1949), Szczęsnego w *Horsztyńskim* (1953) i Jana Kazimierza w *Mazepie* (1958), oraz wiele innych wielkich ról, wśród nich Króla Lira (1962) i Geoga w *Kto się boi Wirginii Woolf?* (1965). Był wytrawnym pedagogiem i wieloletnim rektorem PWST w Warszawie.

Jan Kurnakowicz (1901–1968) był cudownie naturalny, a zarazem impulsywny, spontaniczny i niezdyscyplinowany. Występował na scenach od 1920 r. Po wojnie stworzył wiele ról na scenach Wrocławia, Krakowa, Warszawy, z których szczególnie zapamiętano jego wspaniałego Horodniczego w *Rewizorze* Gogoła (1952) i Wielkiego Księcia Konstantego w *Kordianie* (1956).

Z młodszych, w omawianym tu okresie, do największych swoich ról doszedł Czesław Wołłejko (ur. 1916) — Don Juan w sztuce Moliera (1950), Szczęsny w *Horsztyńskim* (1953), Lorenzaccio w tragedii Musseta (1955). Był on aktorem romantycznym, o szerokim geście i niepokojącej wibracji głosu, płonął w każdym ruchu i słowie.

Do teatru wstąpili też młodzi, którzy już dali znać o

swoich ogromnych talentach, ale szczyty mieli zdobyć dopiero później: Tadeusz Łomnicki, Gustaw Holoubek, Jan Świdorski, Stanisław Jasiukiewicz, Halina Mikołajska, Zofia Mrozowska, Aleksandra Śląska.

Podobnie działo się w scenografii. Czynni byli jeszcze przez jakiś czas po 1945 r. najwięksi mistrzowie przedwojenni — Andrzej Pronaszko, Karol Frycz, Iwo Gall. Do rozkwitu talentów doszli artyści przed wojną już wybitni — Władysław Daszewski, Teresa Roszkowska, Otto Axer. Po wojnie kontynuował swą konsekwentną drogę Jan Kosiński, by stać się najwybitniejszym polskim scenografem w całym pięćdziesięcioleciu. Obok niego debiutowali jeszcze młodszy, którzy mieli stworzyć swe największe dzieła w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i później. Tak jak w reżyserii i aktorstwie — w dziedzinie scenografii wczesne lata powojenne były w zasadzie kontynuacją stylów i tendencji przedwojennych, ogromnie różnorodnych i bogatych, od intensywnych, kubizujących wizji Pronaszki poprzez umiarkowany, jasny klasycyzm Frycza do prac Roszkowskiej, posługującej się paletą renesansową, kolorową, budującej dekoracje zawieszane pomiędzy symbolicznym skrótem a konstruktywistyczną funkcją. W latach socrealizmu scenografowie musieli tonować wyraz swoich stylistyk, robiąc koncesje na rzecz drobiazgowego i opisowego realizmu. Na scenach pojawiło się masę dekoracji czysto realistycznych i funkcjonalnych, nie będących dziełami plastyków, a raczej produktami dekoratorów wnętrz. Scenografia artystyczna, która była jedną z wyróżniających cech teatru polskiego w skali światowej już w latach dwudziestych XX w. — w latach pięćdziesiątych została zepchnięta na margines, prawie wyeliminowana ze scen.

Fotografia polskiego człowieka teatru, aktora czy reżysera, dramaturga czy scenografa, z okresu stalinowskiego może ukazać dwa odmienne oblicza. Jedno, to wyszarzały, nieostry, utrzymany w gamie światłocienia, portret starego artysty lub intelektualisty, schorowanego, wyniszczonego przez wojnę i upokorzenia, człowieka wrażliwego i nerwowego; w jego oczach pali się żar, pokryty wszakże popiołem cierpienia. Drugie, to wizerunek młodzieńca — lub młodej kobiety. Ostry, kontrastowy, plakatowy. Mięśnie twarzy znamionują zaciętość, silną wolę, bezwzględność. Oczy patrzą w bok, zapewne licząc trutowanych rywali. Pochylenie głowy dowodzi zdecydowania. To aktywista.

Są też kontrastowe zestawy fotografii z widowisk. Na jednym zdjęciach rysują się kontury zdeformowanych łuków, kolumn, nierealistycznych drzew. Pietrzą się schody. Falują lecące z nadszcienia draperie. Otwierają się dalekie horyzonty. Punktowe reflektory wydobywają grupy ludzkie, to zatrzymane w dynamicznym ruchu, to ustawione hieratycznie. Strzelają gdzieś w przestrzeń szerokie gesty. Twarze uniesione są w górę. Na innych zdjęciach są wnętrza, wnętrza, wnętrza, z kanapami, fotelami, łózkami, krzesłami, oknami, drzwiami, portierami, zasłonami, firankami, z zastawkami stołowymi, serwisami, doniczkami, fikusami; na niektórych fotografiach we wnętrzach stoją maszyny, stoły operacyjne, biurka, lokomotywy, traktory.

Te opisy oparte są na autentycznych fotografiach. Znacznie więcej jest fotografii ludzi młodych i dekoracji ukazujących zamknięte przez trzy ściany wnętrza.

Jako ostatnie wrażenie pozostaje zamknięcie.

Jednakże w szczelnie zamkniętym systemie komunistycznym zaczęły się pojawiać szpary. Przyczyniły się do tego między innymi nadawane przez Radio Wolna Europa (poczynając od 1954 r.) oskarżycielskie i demaskatorskie informacje wysokiego urzędnika tajnej policji, Józefa Światło, który zbiegł na Zachód. Zaczęły się pojawiać krytyczne, śmielsze wypowiedzi publicystyczne i utwory literackie. Do rangi symbolu urósł *Poemat dla dorosłych* (opublikowany w lecie 1955 r.) Adama Ważyka, który przyznawał się w swym utworze zarówno do bankructwa idei komunistycznych, jak i do spustoszeń, jakich dokonał komunizm w ludziach i w życiu kraju. Stalinizm miał zostać w Polsce przełamany, choć nie zlikwidowany, w 1956 r.

Kazimierz BRAUN

BIBLIOGRAFIA

WYSELEKCJONOWANA DO OKRESU TRZECIEGO

Aszyk-Milewska, Urszula, *Iwo Gall, poszukiwania teatralne*, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1978.

Balicki, Stanisław W.; Borysow, Wiktor; Frołow, Vladimir, *Na scenach polskich i radzieckich*. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 1977.

Bierkowski, Tadeusz, red. *Polityka kulturalna PRL*. Bydgoszcz, Wydawnictwo Uczelniane WSPP, 1980.

Burdowicz-Nowicka, Maria, *Rozwój życia teatralnego a kultura teatralna środowiska robotniczego w Polsce*. Warszawa, Polska Akademia Nauk, 1976.

Csató, Edward, *Interpretacje*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1979.

Csató, Edward, *Leon Schiller*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1968.

Czannerle, Maria, *Teatr pokolenia*. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1964.

Dąbrowski, Bronisław, *Na deskach świat oznaczających*. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1978 i 1981.

Dudzik, Wojciech, *Wilama Horzycy dramat niespełnienia*. Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, 1985.

Fik, Marta, *Trzydzieści pięć sezonów*. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 1981.

Galiński, Tadeusz, red. *Kultura w Polsce Ludowej*. Warszawa, PWE, 1966.

Gąssowski, Szczepan, „Życie teatralne w Polsce Ludowej”, *Teatr*, 1984, 1–12.

Hausbrandt, Andrzej, „Z badań statystycznych nad teatrem Polski Ludowej”, *Pamiętnik Teatralny*, z. 3-4 (1965): 385.

Horzyca, Wilam, *Listy*. Wybór i opracowanie: Lidia Kuchtówna. Warszawa, Instytut Sztuki PAN, 1991.

Kaszyński, Stanisław, *Teatr łódzki w latach 1945–1962*. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1970.

Kelera, Józef, *Wrocław teatralny 1945–1980*. Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1983.

[Kotlarczyk, Mieczysław redakcja], *XXV lat Teatru Rapsodycznego w Krakowie, 1941–1966*. Kraków, Teatr Rapsodyczny, 1966.

Kotlarczyk, Mieczysław, *Reduta Słowa, kulisy dwu likwidacji Teatru Rapsodycznego w Krakowie*. Londyn, Odnova, 1980.

Kott, Jan, *Jak wam się podoba*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1955.

Kraśniński, Edward, *Edmund Wierciński*, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1960.

Kraśniński, Edward, *Leon Schiller w Teatrze Polskim 1917–1949*. Warszawa, Teatr Polski, 1987.

Krawczykowski, Zbigniew, red. *Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie, 1928–1978*. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 1978.

Kuchtówna, Lidia; Lassocka, Barbara, red. *Leon Schiller, w stulecie urodzin (1887–1987)*. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo

Naukowe, 1990.

Kuchtówna, Lidia, *Wielkie dni małej sceny: Wilam Horzyca w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, 1945-1948*. Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1972.

Kudliński, Tadeusz, *Rodowód polskiego teatru*. Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1972.

Michałowska, Danuta, wybór, komentarze, przypisy, „...trzeba dać świadectwo” 50-lecie powstania Teatru Rapsodycznego. Kraków, Ars Nova-Zjednoczeni Wydawcy, 1991.

Młodnicki, Artur; Partyka, Hanna; Wołoszyński, Roman, red. *Teatr Polski, Wrocław 1945-1965*. Wrocław, Teatr Polski, 1965.

Natanson, Wojciech, *Szkice teatralne*. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1955.

Nowakowski, Stanisław, red. *100 lat teatru w Kielcach*. Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1979.

Raszewski, Zbigniew, „Tadeusz Byrski”, *Pamiętnik Teatralny* 1988 (z. 3-4): 374-380.

Schiller, Leon, „Pro domo nostra”, *Pamiętnik Teatralny*, 2/3 (1952): 330-358.

Schiller, Leon, *Theatrum militans*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987.

Sokorski, Włodzimierz, *Refleksje o kulturze trzydziestopięcioletnia*. Warszawa, Iskry, 1980.

Szejnert, Małgorzata, *Sława i infamia, rozmowa z Prof. Bohdanem Korzeniewskim*. Warszawa, Wydawnictwo Pokolenie, 1988.

[Szyfman, Arnold], *Pamiętnik Teatralny*, 1982: z. 1-4 (Numer monograficzny).

Timoszewicz, Jerzy, red. *Ostatni romantyk sceny polskiej. Wspomnienia o Leonie Schillerze*. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1990.

Udalska, Eleonora, red. *Polska krytyka teatralna lat 1944-1989*. Katowice, Uniwersytet Śląski, 1986.

Wierciński, Edmund, *Notatki i listy z lat 1921-55*. Wybór i redakcja: Anna Chojnacka. Wrocław, Wydawnictwo Wiedza o Kulturze, 1990.

Wysiński, Kazimierz, A., *Związek Artystów Scen Polskich 1919-1950*. Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1979.

Zelwerowicz, Aleksander, *Gawędy starego komedianta*. Warszawa, Iskry, 1958.

Bernadetta NITSCHKE

WYSIEDLANIE NIEMCÓW Z ZIEMI LUBUSKIEJ W LATACH 1945-1950

Po przejściu frontu na terenach województwa zielonogórskiego pozostało (w porównaniu do stanu z 1939 roku) około 25-30% ludności niemieckiej. Niektóre wsie i miasta były niemal całkowicie wyludnione. Sytuacja uległa zmianie, gdy front przesunął się za Odrę i Nysę. Wtedy część uciekających czy ewakuowanych z województwa Niemców dostała się w strefę działań wojennych i rozpoczęła powrót do dawnych miejsc zamieszkania. To zjawisko narastało stopniowo, zwłaszcza po ustaniu działań wojennych. Chcąc temu przeciwdziałać władze polskie zarządziły natychmiastowe przesiedlenie ludności niemieckiej — stało się to jeszcze przed konferencją poczdamską, a było związane z toczącą się już akcją osiedlania repatriantów ze Związku Sowieckiego. Proces wysiedlania ludności niemieckiej można podzielić na dwa okresy: pierwszy — przedpoczdamski od stycznia do lipca 1945 roku i drugi — popoczdamski po ogłoszeniu treści Umowy Poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 roku.

Przebieg akcji wysiedlania Niemców w pierwszym okresie pozostawiał wiele do życzenia. Była ona bezplanowa i często dokonywano jej samowolnie, a czyny sprzeczne z prawem, takie jak np. rabunek i znęcanie się nad przesiedlanymi, stały na porządku dziennym. W taki sposób między innymi nastąpiło wysiedlenie Niemców zamieszkałych w przygranicznym Babimoście. 29 czerwca 1945 roku w ciągu godziny zesta-

wiono 480-osobową kolumnę Niemców. Dano im tylko kilka minut na spakowanie. W mieście pozostawiono tych, którzy byli niezbędni do pracy. Kolumnę skierowano do odległej o ponad 300 km miejscowości Bechlin koło Neuruppin na północny zachód od Berlina. W drodze wielokrotnie odbywały się rewizje i rabunki dokonywane przez Rosjan i Polaków. Często było również bicie nie wytrzymujących trudów drogi ludzi. Na skutek takiego traktowania wielu nie dotarło do celu¹. Przypadek Babimostu nie był odosobniony. Ten schemat wysiedlania powtarzał się w okresie przedpoczdamskim wielokrotnie. W sumie do września 1945 r. w wyniku ucieczki, ewakuacji i częściowego przesiedlenia przez władze polskie opuściło Ziemię Lubuską ponad 840 tys. ludności niemieckiej. Dokonując oceny tego pierwszego wysiedlenia ludności niemieckiej z terenów Ziemi Lubuskiej, trudno jest potraktować je pozytywnie. Było ono całkowitym zaskoczeniem zarówno dla administracji polskiej jak i ludności niemieckiej. Ten stan zaskoczenia godził w zdrowo pojęty polski interes, choćby ze względu na fakt niemożności zabezpieczenia mienia poniemieckiego i jawnego rozkradania tego mienia przez oddziały armii sowieckiej i polskich szabrowników. Ponadto Niemcy stanowili ówczasie dość poważny „czynnik gospodarczy” jako siła robocza. Stąd wynikły sprzeciw Polaków wobec ich wysiedlenia.

Po podpisaniu Umowy Poczdamskiej formalnie uznano, że „należy przystąpić do przesiedlenia do Niemiec ludności niemieckiej lub jej części pozostałej w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech”. Stwierdzano również, że „wszelkie przesiedlenia, jakie nastąpią, powinny odbywać się w sposób zorganizowany i humanitarny²”. Zgodnie z treścią zawartej umowy

1. Hieronim Szczegóła, *Dramat mieszkańców Babimostu w 1945 roku*. W: *Gazeta Nowa*, nr 128 z 19-21 czerwca 1992 r., s. 9. Nie było to jeszcze najgorsze. Najwięcej zbrodni popełniła zwycięska armia na niemieckiej ludności cywilnej w momencie wkroczenia na tereny byłej III Rzeszy. To na niej wyładowano nienawiść i głębokie poczucie krzywdy. Rejestr zbrodni jest bardzo długi. Wkraczaniu do każdej miejscowości towarzyszyło więc plądrowanie zabudowań, gwałcenie i zabijanie kobiet, a także dzieci. Zdarzały się również zabójstwa na tle rabunkowym. Ten koszmar powodował, że bardzo częste były wypadki samobójstw. Dla tych, którzy przeżyli nie oznaczało to ocalenia. Rosjanie potrzebowali przecież siły roboczej i w związku z tym część nadających się do pracy mężczyzn wywożono do pracy na Wschód. Ci, którzy stamtąd wrócili mogli mówić o dużym szczęściu.

2. Piotr Lippóczy, Tadeusz Walichnowski, *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów*. Warszawa 1982, s. 52.

cała ludność niemiecka podlegająca wysiedleniu z Polski (3,5 miliona osób) miała zostać przyjęta do sowieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej. Zasady przesiedlenia sprecyzowano w wyniku podpisania dwustronnych umów: polsko-brytyjskiej (14 lutego 1946) i polsko-sowieckiej (5 maja 1946).

Jeszcze przed podpisaniem tych umów — 15 stycznia 1946 roku, Ministerstwo Ziem Odzyskanych (MZO — z W. Gomułką na czele) w specjalnej instrukcji ustaliło wytyczne do akcji przesiedleńczej dla aparatu państwowego. Instrukcja określała szczegółowo tryb i warunki akcji przesiedleńczej. Przesiedleniem kierowało Ministerstwo Ziem Odzyskanych za pomocą Biura Delegata Ministra Ziem Odzyskanych do Spraw Repatriacji Niemców (J. Jaroszka), które ściśle współdziałało z Państwowym Urzędem Repatriacyjnym (PUR — kierowanym wówczas przez J. Wolskiego) i Polską Misją Wojskową (PMW — dowodzoną przez J. Prawina) przy Sojuszniczej Radzie Kontroli. W województwach głównego delegata reprezentowali inspektorzy do spraw repatriacyjnych. Bezpośrednio za przebieg akcji w terenie odpowiadali wojewodowie: J. Sztachelski (Warmia i Mazury), L. Borkowicz (Pomorze Zach.), F. Widy-Wirski (Wielkopolska) i S. Piaskowski (Dolny Śląsk). Dodatkowo w każdym mieście i gminie powołano komisje wysiedleńcze (składające się z 7-10 osób), którym przewodniczył burmistrz lub wójt. Techniczną stroną akcji zajmował się Państwowy Urząd Repatriacyjny. Do niego należała organizacja punktów zbiorczych dla przesiedleńców oraz ich zaopatrzenie w żywność, opał, światło i lekarstwa, organizacja opieki lekarskiej w punktach, organizacja środków transportu i konwoju, załadowanie i wyekspediowanie transportu oraz opieka nad pociągami transportowymi w drodze.

Instrukcja podkreślała, że wysiedleniu podlega cała ludność niemiecka. W pierwszej kolejności mieli być jednak wysiedleni „Niemcy niepracujący i element uciążliwy (np. uchodźcy wojenni z innych terenów), dalej zatrudnieni u Polaków w gospodarstwach domowych i w prywatnych przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych, Niemcy z gospodarstw już obsadzonych przez Polaków, następnie niewykwalifikowani pracownicy przedsiębiorstw państwowych i samorządowych, wreszcie pozostali Niemcy³”. Wysiedleniu

3. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Zielonej Górze (dalej WAP w Zielonej Górze), Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 67, k. 2.

nie podlegali natomiast specjaliści, których zastąpienie chwilowo nie było możliwe. W tym celu wprowadzono tzw. karty reklamacyjne w trzech kolorach, które chroniły przed wysiedleniem niemieckich specjalistów i ich rodziny. Zaświadczenia koloru białego otrzymywali pracownicy niemieccy, konieczni ze względu na ciągłość produkcji lub sprawne funkcjonowanie instytucji państwowych i samorządowych (fabryk, elektrowni, gazowni, wodociągów, szpitali itp.). Jednakże instytucje zatrudniające pracowników niemieckich tej kategorii zobowiązane były do podjęcia niezwłocznych starań o zastąpienie ich Polakami. Inaczej traktowano pracowników niemieckich posiadających zaświadczenia koloru niebieskiego, gdyż przydzielono je fachowcom reprezentującym nie występujące w Polsce gałęzie przemysłu. Chciano ich wykorzystać do szkolenia kadr polskich. Wprowadzono jeszcze zaświadczenia koloru czerwonego, które otrzymywali wybitni specjaliści — całkowicie wyłączeni z akcji wysiedleńczej. 30 lipca 1947 roku zlikwidowano karty reklamacyjne koloru białego, w maju 1947 roku karty reklamacyjne koloru niebieskiego i czerwonego. Na miejsce tych zlikwidowanych kart wprowadzono karty reklamacyjne zielone i różowe dla wybitnych fachowców, wydawane wyłącznie przez Ministerstwo Ziemi Odzyskanych na wniosek Centralnych Zarządów⁴.

Zgodnie z instrukcją akcja przesiedleńcza miała się rozpocząć od ośrodków miejskich. Wysiedleniu podlegały całe rodziny. Nie podlegały przesiedleniu tylko kobiety ciężarne na 6 tygodni przed i 6 po porodzie wraz z rodzinami. W pierwszej fazie z akcji wyłączone były również osoby obłożnie chore, kaleki i samotne dzieci, dla których w późniejszym czasie organizowano specjalne pociągi sanitarne. Określano także czas powiadamiania o wyjeździe — około 24 godziny naprzód, aby wysiedleńcy mogli spakować bagaż osobisty i przygotować żywność na 14 dni. Przesiedleńcy mogli zabrać ze sobą 40 kg bagażu, kosztowności osobiste oraz 1000 marek. Konfiskacie natomiast podlegały polskie pieniądze, nowe materiały, skóra, nadmiar żywności oraz pieniądze w obcej walucie. Aby zapobiec wypadkom rabunku, instrukcja bardzo wyraźnie stwierdzała, iż: „kontrola bagażu repatriantów jest dopuszczalna tylko na punkcie zbiorczym w dzień i komisyjnie, tj. w obecności przedstawiciela PUR, UB i MO”.

4. Tamże, k. 1. (Pismo MZO do Wojewody Poznańskiego z 28 stycznia 1946 r.).

Kategorycznie natomiast zabraniano „przeprowadzania kontroli bagażu w innym miejscu i czasie”⁵. Bezpieczeństwo przesiedleńcom miały zapewnić Powiatowe Komendy Milicji Obywatelskiej i jednostki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Szczególną uwagę zwracano na zabezpieczenie mienia pozostawionego przez Niemców. W tym celu zalecano nawet, aby wprowadzenie osadników polskich do obiektów niemieckich odbywało się jeszcze przed wysiedleniem Niemców. Chciano w ten sposób zapobiec również niszczeniu przez Niemców mienia, którego nie mogli zabrać ze sobą. Było to całkowicie uzasadnione, gdyż przypadki niszczenia przez Niemców dobytku były nader częste. Mienie polskie narazone było również na grabież. Przystępstw tych dopuszczali się bardzo często kolejarze i milicjanci, a więc ludzie mający strzec porządku. Przypadki te były z całą surowością karane przez sądy doraźne⁶.

W styczniu 1946 roku powołano komisarza do spraw repatriacji na terenie Województwa Poznańskiego w skład którego wchodziła wówczas Ziemia Lubuska. Został nim Konrad Unruh. Wkrótce przystąpiono również do organizowania punktów zbiorczych na terenie województwa. Powołano więc:

1. Punkt Zborczy w Zielonej Górze (dla powiatów Zielonej Góry, Gubina, Krosna, Świebodzina, Wschowy i Babimostu).
2. Punkt Zborczy w Gorzowie (dla powiatów Gorzowa, Ślubic, Międzyrzecz, Sulęcina, Strzelec i Skwierzyny).
3. Punkt Zborczy w Trzciance (dla powiatu Piły)⁷.

Przewidywano, że przez punkty te przewinie się około 23 tys. Niemców (8 tys. przez Zieloną Górę, 5 tys. przez Gorzów i 10 tys. przez Trzciankę).

Bardzo ważnym elementem dla przebiegu akcji wysiedleńczej było funkcjonowanie punktów zbiorczych. To właśnie tam koncentrowała się prawie cała praca. Zgromadzonych na punkcie zbiorczym Niemców dzielono na 35-osobowe grupy tzw. grupy wagonowe. Następnie z każdej grupy wybierano komendanta wagonu i jego zastępcę. Komendanci musieli sporządzać imienne spisy swych grup. Każda z grup przechodziła przez Komisję Weryfikacyjną składającą się z prze-

5. Tamże, k.3. (Instrukcja dla władz administracyjnych o repatriacji ludności niemieckiej z granic Państwa Polskiego).

6. Tamże, k.4. (Sprawozdanie z repatriacji Niemców z punktu zbiorczego w Zielonej Górze z 7 grudnia 1946).

7. Tamże, k.2. (Pismo Wojewody Poznańskiego do Starostów Powiatowych z 7 października 1946 r.).

wodniczącego Komisji, przedstawiciela Urzędu Bezpieczeństwa lub Milicji Obywatelskiej oraz przedstawiciela partii politycznej. Do niej należała ostateczna decyzja — czy dany obywatel niemiecki podlega wysiedleniu czy też nie. Przypadków wstrzymania wysiedlenia było niewiele, gdyż mogło przed nim uchronić tylko polskie pochodzenie. Na punkcie zbiorczym urzędował również lekarz polski albo niemiecki, który wystawiał zaświadczenie czy wysiedleńcy nadają się do transportu. Jeżeli nie było przeciwwskazań, kierowano jeszcze wszystkich do szczegółowej kontroli bagażu. O tym, że kontrole były rzeczywiście bardzo dokładne świadczą protokoły rzeczy zarekwirowanych. Wśród nich można było znaleźć m.in. chustki do nosa, chustki na głowę, halki, obrusy, ścierki, portmonetki, pierzyny, poduszki, noże, widelce, mydło. Rekwirowano również waluty obce, papiery wartościowe i dzieła sztuki⁸.

Po załatwieniu tych wszystkich formalności kierownik punktu zbiorczego mianował jednego z Niemców niemieckim komendantem transportu. To jemu właśnie podlegali wszyscy komendanci wagonów. Przed wymarszem do pociągu każdy z nich musiał podpisać specjalne oświadczenie, w którym wyraźnie stwierdzał: „jako Komendant wagonu żadnych pretensji do władz polskich w związku z przeprowadzoną repatriacją nie zgłaszamy⁹”.

Następnie Niemców grupami i pod ochroną Milicji Obywatelskiej kierowano na dworzec. Po załadowaniu całego transportu, kontrolę nad nim przejmował oficer i 8 żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którzy konwojowali transport aż do miejsca przeznaczenia. Przed wyruszeniem każdy transport otrzymał jeszcze odpowiednią ilość prowiantu na drogę. W specjalnym telefonogramie Wojewoda Poznański zwracał uwagę na to, że „Niemcy winni należycie wyglądać i być odpowiednio ubrani¹⁰”. Zalecano w tej sprawie porozumieć się z Opieką Społeczną.

Sprawny przebieg akcji wysiedleńczej był dla strony polskiej kwestią prestiżową. Starano się więc, aby przebiegała prawidłowo, zgodnie z przepisami i w sposób humanitarny.

8. Tamże, k. 3-4. (Pismo Wojewody Poznańskiego do Starostów Państwowych z 7 października 1946 r.).

9. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspoztura w Gorzowie, sygn. 68, k. 23.

10. Tamże, bez str. (Telefogram z 10 czerwca 1948 r.).

W specjalnym zarządzeniu Ministerstwa Ziemi Odzyskanych z 15 stycznia 1946 r. podkreślano, że „stosunek do ludności repatriowanej winien być w czasie akcji poprawny i wszelka samowola ze strony organów przeprowadzających akcję winna być doraźnie i surowo karana¹¹”. To zarządzenie miało duży wpływ na przebieg akcji wysiedleńczej, ale niewątpliwie przesadą było twierdzenie prasy, jakoby „Niemcy nie spodziewali się tak humanitarnego postępowania przy procesie repatriacyjnym i uśmiechnięci i zadowoleni jadą do swojej Ojczyzny¹²”. Opuszczali przecież swoje strony rodzinne i pozostawiali całe majątki. Niektórzy próbowali uchylić się przed wysiedleniem. W celu przeciwdziałania temu zjawisku zalecano zwracanie uwagi na przypadki posługiwania się językiem niemieckim w miejscach publicznych i urzędach, gdyż „posługiwanie się językiem niemieckim poza jakąś wyjątkowo usprawiedliwioną potrzebą było uważane za jeden z dowodów niemieckiej przynależności narodowej”. Osoby posługujące się językiem niemieckim należało legitymować, a w przypadku „powzięcia wątpliwości co do tożsamości osoby lub też w przypadku legitymowania się dowodem polskiej przynależności narodowej — należało osoby te z reguły zatrzymywać do wyjaśnienia i zawiadomić MO lub UBP”. Jeżeli zatrzymany okazał się Niemcem, który nie mógł należycie usprawiedliwić swego pobytu oraz powodów uchylenia się od transportu repatriacyjnego należało go zatrzymać i odstawić pod konwojem do najbliższego posterunku MO lub UBP¹³”.

W początkach września 1945 r. Urząd Wojewódzki w Poznaniu ogłosił rejestrację wszystkich Niemców pragnących dobrowolnie opuścić województwo poznańskie. Chęć wyjazdu zadeklarowało 70 tys. Niemców (w tym ponad połowa z Ziemi Lubuskiej). W myśl tego zarządzenia dobrowolnie mogli opuścić Polskę również Volksdeutsche — z czego wielu skorzystało. O przebiegu akcji najlepiej świadczy fakt, że na początku marca 1946 roku liczba ludności niemieckiej na Ziemi Lubuskiej wynosiła 58.938. Było to zaledwie 7 %

11. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 67, k. 1 (Zarządzenie MZO).

12. *Nie tak wysiedlano Polaków. Repatriacja ludności niemieckiej na Ziemi Lubuskiej*. W: „Kurier Wielkopolski” nr 94 z 18 października 1946 r.

13. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 85, k. 14. (Sprawozdanie sytuacyjne Starostwa Powiatowego we Wschowie).

stanu przedwojennego¹⁴.

Akcja przesiedleńcza przebiegała dość sprawnie. Większe trudności wystąpiły dopiero podczas wyjątkowo ostrej zimy w grudniu 1946 i w styczniu 1947 roku. Stało się to przyczyną wielu zgonów — zwłaszcza dzieci i starców, którzy nie wytrzymywali trudów transportu. W tej sytuacji akcję przesiedleńczą postanowiono zawiesić na okres zimowy. Wznowiono ją wiosną 1947 roku. Zwracano też odtąd większą uwagę na stan zdrowia osób przeznaczanych do transportu. Częściej wysyłano osoby starsze i chore specjalnymi pociągami sanitarnymi. W ten sposób m.in. wyekspediowano 160 chorych umysłowo Niemców przebywających w zakładzie psychiatrycznym w Obrzyczach¹⁵.

Na terenie Ziemi Lubuskiej z wysiedlaniem ludności niemieckiej bardzo ściśle była związana sprawa weryfikacji ludności rodzimej. Dokonywały jej specjalne (gminne, miejskie i powiatowe) komisje weryfikacyjne, powołane już w lipcu 1945 roku. Ich zadaniem było ustalenie polskości osoby, wyrażającej chęć zweryfikowania. Mogły one wydawać zweryfikowanym autochtonom polskiego pochodzenia tymczasowe, trzymiesięczne zaświadczenia, upoważniające do korzystania z praw przysługujących obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej. W trakcie weryfikacji dochodziło do wypaczeń i łamania prawa. Było to związane z faktem, że w skład komisji weryfikacyjnych często wchodziłi ludzie nie znający specyfiki Ziemi Lubuskiej, którzy autochtonów traktowali jak Niemców. Dążąc do zmiany tej sytuacji Wojewoda Poznański Widy-Wirski apelował do Starostów Powiatowych aby udzielać ludności rodzimej „jak najdalej idącej opieki, czy to pod względem stworzenia egzystencji, pracy, przydziału mieszkań, kart żywnościowych itp. na równi z Polakami obywatelami Państwa Polskiego”. W żadnym wypadku nie wolno ich było „przetrzymywać w obozach pracy z racji posiadanego obywatelstwa niemieckiego, ani też zatrudniać przy przymusowych pracach¹⁶”.

Rzeczywistość odbiegała jednak od zaleceń. Jak stwierdził w swym sprawozdaniu z października 1946 r. Wojewoda

14. Henryk Dominiczak, *Proces zasiedlania województwa zielonogórskiego w latach 1945-1950*. Zielona Góra 1975, s. 38-39.

15. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 107, k. 36 (Sprawozdanie sytuacyjne Starostwa Powiatowego Międzyrzeczeko w Międzyrzeczu).

16. „Poznański Dziennik Wojewódzki”, nr 11 z 1945 roku, s. 218.

Poznański, „ustosunkowanie się ludności do autochtonów jest na ogół negatywne, zwłaszcza jeśli chodzi o lokalnych działaczy politycznych, którzy nie posiadają odpowiedniego wyrobienia politycznego, dopatrują się prawie u każdego działalności antypaństwowej¹⁷”. Taką postawę reprezentowali również ludzie organizujący administrację polską na Ziemi Lubuskiej. Stąd też nierzadkie było zajmowanie przez osadników najlepszych gospodarstw ludności rodzimej, którą uznawano za niemiecką. Było to tzw. osadnictwo dzikie. W wielu wypadkach władze oficjalnie osadzały repatriantów na gospodarstwach rolnych autochtonów, którzy byli lub wkrótce mieli zostać zweryfikowani. Odzyskanie utraconej w ten sposób własności było bardzo trudne i jeszcze w 1955 roku „wielu rodzinom lub osobom nie zwrócono względnie nie wyrównano strat za utracone lub zniszczone domki, działki leśne, meble itp.¹⁸”. Procedura załatwiania tych spraw była niesłychanie uciążliwa, zbiurokratyzowana i przewlekła.

Najwięcej niedociągnięć popełniono w okresie przedpoczdamskich przesiedleń ludności niemieckiej. Wtedy wskutek pośpiechu i masowości akcji niezbyt dokładnie badano osoby podlegające wyjazdowi. Głośna była wówczas tzw. sprawa międzyrzecka, polegająca na tym, że przeprowadzono na terenie tego powiatu wysiedlenie kilkunastu rodzin polskiej ludności miejscowej. Autochtoni ze wsi Wielka Dąbrówka w powiecie międzyrzeckim w dniu 14 stycznia 1946 roku skierowali nawet do Ministerstwa Ziemi Odzyskanych memoriał domagający się położenia kresu wszelkim szykanom. Autochtoni pisali, iż „po wkroczeniu wojsk radzieckich bardzo się ucieszyli z odzyskanej wolności, ale nie na długo, ponieważ już w krótkim czasie zaczęto stosować zakazy ograniczające ich prawa”. Ponadto nazywano ich „Germanami i grożono im wysiedleniem za Odrę¹⁹”.

Sytuacja autochtonów nie była więc łatwa. Zupełnie ina-

17. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 95, k. 185. (Sprawozdanie Wojewody Poznańskiego z terenu Ziemi Lubuskiej za miesiąc październik 1946).

18. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 98, k. 1 (Pismo z Sekretariatu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z listopada 1955, bez sygnatury).

19. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 110, k. 49 (Sprawozdanie sytuacyjne Starostwa Powiatowego w Świebodzinie).

czej wyobrażali sobie oni Polskę i Polaków. Dla wielu autochtonów długo wyczekiwana Polska była czymś doskonałym, a powrót w jej granice miał zdecydowanie poprawić ich pozycję. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna, często nawet brutalna. Również niekorzystnie wypadła w tej ocenie administracja państwowa i osadnicy.

Celem administracji w tym okresie było usunięcie „resztek śladów niemczyzny”. Jeden ze starostów Ziemi Lubuskiej wydając instrukcje dotyczące tego zagadnienia zalecił prowadzenie akcji w czterech głównych kierunkach, a mianowicie: a) spolszczenie imion i nazwisk; b) usunięcie napisów niemieckich ze wszystkich miejsc publicznych; c) pomijanie autorów, kompozytorów itd. niemieckich; d) nie posługiwanie się w urzędach drukami niemieckimi²⁰”. Dążenie do repolonizacji za wszelką cenę również odbiło się niekorzystnie na ludności rodzimej. Wiele szkód wyrządziła zwłaszcza akcja repolonizacji imion i nazwisk, którą zainicjowano w grudniu 1945 roku. Miała ona na celu zmianę pisowni imion i nazwisk o brzmieniu cudzoziemskim a zwłaszcza niemieckim. Zgodnie z okólnikiem Ministra Spraw Odzyskanych z 8 maja 1948 roku wobec osób opornych należało stosować w kolejności: „naganę z ostrzeżeniem, spowodowanie zmiany zakładu pracy lub mieszkania na gorsze, zwolnienia z urzędu, pozbawienia koncesji oraz grzywny do 30.000 zł²¹”. Mimo tych sankcji z 10.000 mieszkańców Ziemi Lubuskiej (którzy mieli być nią objęci) tylko niewielka część zdecydowała się na zmianę nazwiska. Motywacje były różne. Przeważnie podkreślali, że byli dobrymi Polakami i nie widzą potrzeby zmiany nazwiska albo, że były to nazwiska rodowe czy też nie były to nazwiska niemieckie²². Do władz nie trafiała jednak żadna argumentacja. W tej sytuacji wielu autochtonów przyznawało się do niemieckiego pochodzenia i opuszczało Polskę, a ci którzy pozostali nie zapomnieli krzywd które im wyrządzono.

Rok 1950 zamknął ostatecznie zorganizowaną akcję przesiedleńczą ludności niemieckiej i tym samym poprawił

20. Tamże, k. 102.

21. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 110, k. 5. (Okólnik nr 22/48 Ministerstwa Ziem Odzyskanych z 8 maja 1948 r.).

22. WAP w Zielonej Górze, Urząd Wojewódzki Poznański Ekspozytura w Gorzowie, sygn. 110, k. 21. (Sprawozdanie sytuacyjne Starostwa Powiatowego w Świebodzinie).

sytuację autochtonów. Generalnie akcja przesiedleńcza na obszarze ziem odzyskanych w 1948 r. objęła 49.541 osób. Ze środkowych i północnych powiatów Ziemi Lubuskiej oraz powiatów należących do województwa poznańskiego wyjechały 1.982 osoby, natomiast z obszarów Dolnego Śląska, łącznie z pięcioma południowymi powiatami Ziemi Lubuskiej — 18.528 osób²³.

Analizując przebieg akcji wysiedleńczej ludności niemieckiej w obydwu okresach (przedpoczdamska i popoczdamska) — można stwierdzić, że dopuszczono się w jej trakcie wielu wykroczeń i nie miała ona tak humanitarnego oblicza jak oficjalnie twierdzono. Gros wykroczeń popełniono przed podpisaniem Umowy Poczdamskiej, ale i okres późniejszy nie był od nich wolny. W większym stopniu przestrzegano wtedy jednak przepisów i instrukcji władz państwowych, w których podkreślano, że samowola czy też znęcanie się nad osobami wysiedlanymi, będą karane z całą surowością prawa. Duży wpływ na przebieg akcji wysiedleńczej miało to, że była ona kontrolowana zarówno przez państwowe czynniki polskie jak również przez przedstawicieli Zjednoczonej Egzekutywy Repatriacyjnej. Mimo to zdarzały się dość często nieprawidłowości, ale była to akcja zakrojona na bardzo szeroką skalę i trudno ją było kontrolować. Na Ziemi Lubuskiej nie doszło jednak do powtórki Łambinowic.

Bernadetta NITSCHKE

14. Henryk Dominiczak, *Op. cit.*, s. 41-42.

Tadeusz WYRWA

WYCHODŹSTWO POLSKIE WE FRANCJI PO KAPITULACJI Z 1940 ROKU, A RZĄD POLSKI W LONDYNIE

Stosunkowo dość dużo pisano już przy różnych okazjach o chaotycznej ewakuacji wojska i rządu polskiego z Francji w czerwcu 1940 roku. Jednocześnie brak jest publikacji dotyczących skutków tej ewakuacji, która miała negatywny wpływ na postawę wychodźstwa polskiego we Francji i na jego późniejsze kontakty z naszym rządem. Niniejsze opracowanie dalekie jest od wyczerpania tematu i ogranicza się do naszkicowania tła omawianego tutaj zagadnienia.

W raporcie do Londynu z 27 czerwca 1941, konsul Aleksander Kawałkowski pisał o ogólnym załamaniu się społeczeństwa polskiego we Francji w drugiej połowie 1940 roku: „Załamanie to z jednej strony ujawniło się w utracie, a co najmniej w osłabieniu wiary w celowość dalszego trwania wojny, z drugiej strony — w objawach rozgoryczenia i żalu pod adresem rządu”. W wypadkach skrajnych, mowa była „czy w ogóle jeszcze rząd istnieje i czy nie należy stworzyć we Francji organu, który wzięłby na siebie przedstawicielstwo polityczne ludności polskiej, a może nawet i pewne zadanie ogólnopolityczne”¹.

Zagubieni też byli, jak raportował płk Stefan Danysz,

1. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum im. Sikorskiego (IPMS), Kolekcja Aleksandra Kawałkowskiego 95, teczka 3.

posłowie przy rządzie polskim w Angers, którzy „żalili się, że nic nie wiedzieli co mają ze sobą zrobić, że MSZ nie wydało w tej sprawie żadnych instrukcji. I tak poseł turecki narzekał, że go opuszczono, nie wiedząc co ma robić udał się do Vichy, skąd wyjechał do Ankarę po instrukcje. Radca Nuncjatury Papieskiej Pacini jest w Vichy”².

Za pośrednictwem płk. Danysza, który udał się do Londynu, Czesław Bitner informował Stanisława Kota, ministra spraw wewnętrznych, który mianował go tymczasowym kierownikiem konsulatu w Tuluzie, że sposób wyjazdu rządu i urzędów z Francji „napotyka na bardzo ostrą ocenę” i wielu żołnierzy „wróciwszy z pola walki zaczęło tracić wiarę nie tylko w rząd obecny, ale nawet i w Polskę”³. W wysłanym liście, również przez płk. Danysza do gen. Sikorskiego, min. Sylwin Strakacz pisał: „Stosunek obywateli pozostałych tutaj (we Francji) nie jest dla naszego rządu przyjazny, to trzeba sobie otwarcie powiedzieć”⁴.

W tym samym czasie zarząd Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) pismem z dnia 31 lipca 1940 do prezydium Rady Ministrów w Londynie informował, że „nastroje wśród uchodźców polskich były jak najgorsze z powodu trudnej sytuacji, w której się wszyscy znaleźli. Wojskowi w większości wypadków nie otrzymali żadnych konkretnych dyspozycji od swych władz przełożonych, nie mieli żadnych dokumentów cywilnych, nie dostali przeważnie żołądu nawet za miesiąc czerwiec, stracili swe rzeczy osobiste. Urzędnicy otrzymali częściowo bardzo różnorakie odprawy... lecz nie mieli konkretnych wskazówek co do dalszego postępowania, więc przeczucali się z jednej miejscowości do drugiej, szukając dyspozycji... Na tle braku konkretnych wskazówek, dezorientacji... szerzyła się fala wielkiego rozgoryczenia, niechęci i podejrzeń do czynników rządowych”⁵.

Kilka miesięcy później płk Leon Mitkiewicz, szef Oddziału II, przekazał Stanisławowi Kotowi wyciąg z raportu, z dnia 29 stycznia 1941 roku, z podróży do Francji

2. IPMS, Prezydium Rady Ministrów (PRM) 28, teczka 27. Odnośnie pozostania Alfreda Paciniego we Francji patrz *Zeszyty Historyczne* nr 72, str. 193-194.

3. IPMS. Sygnatura: A. 9. VI. 9/17.

4. IPMS. Sygnatura: PRM 28.

5. Pismo to, na 17-tu stronach maszynopisu, podpisali: Feliks Chiczewski, Gustaw Zieliński, Stanisław Zabięto. Zob. IPMS, Sygnatura: A. 9. VI. 9/17.

jednego z pracowników Ekspozytury, gdzie autor zwraca uwagę, iż „odnosi się wrażenie na terenie Francji braku odpowiedniego kierownictwa polskiego. Wyrażna chaotyczność w pociągnięciach i brak opieki, zwłaszcza nad robotnikiem i żołnierzem polskim. Stan ten wywołuje rozgoryczenie w tych warstwach⁶”.

W zastępstwie szefa Oddziału II sztabu N.W. ppłk Wacław Tokarz przekazał rządowi odpis listu otrzymanego z Francji, a wysłanego w lutym 1941, z którego przytaczam kilka zdań: „W kryminałach znajdują się setki naszych ludzi. Bez najmniejszej opieki. Listy, które stamtąd do mnie przychodzą i które posiadam, wołają o pomstę do nieba. Zastanawiam się, czy z metodą podobną godzi się ktokolwiek tam u Was. Uważamy, że musimy stąd wyjechać, ale przecież nie do kryminałów afrykańskich, lub do obozów karnych”. Dalej jest ubolewanie nad losem żon i dzieci po poległych żołnierzach polskich, które nie otrzymują zapomóg, z następującą na końcu uwagą: „Polska jest za biedna, by sobie pozwolić na niszczenie kobiet, dzieci i najlepszego elementu⁷”. W innym raporcie potwierdzono również, że „ogólna sytuacja jest bardzo zła. Żołnierze w obozach są zdemoralizowani, rozgoryczeni do władz londyńskich za pozostawienie ich swemu losowi, cierpią wielki niedostatek, jest wśród nich wielu rannych, którzy nie mogą przyjść do siebie ze względu na brak opieki i nędzne warunki, w jakich się znajdują⁸”.

W maju 1944 roku płk Józef Jaklicz, dowódca tajnej „Organizacji Wojskowej”, jaka została utworzona po kapitulacji Francji z resztek wojska polskiego, został odwołany do Londynu, gdzie napisał obszernie sprawozdanie, 40 stron maszynopisu, z działalności tej Organizacji i jej powiązań z działalnością różnych ośrodków. Tam też stwierdził, że „podstawowe zasady na jakich została oparta opieka nad Polakami we Francji były fałszywe i doprowadziły do zdemoralizowania uchodźstwa we Francji⁹”.

We wzajemnych stosunkach Polaków we Francji — jak pisał w raporcie jeden z oficerów, po przybyciu do Londynu w pierwszym kwartale 1942 roku — trudno było uniknąć

6. Sygnatura, *supra*.

7. Sygnatura, *supra*.

8. IPMS. Sygnatura: A. XII. 7/11 (Z uzupełnienia raportu Raapa).

9. Płk dypl. Józef Jaklicz, „Sprawozdanie z działalności Organizacji Wojskowej we Francji” str.15. IPMS, Akta Władz Naczelnych, A. XII. 4/145.

tarć i konfliktów, które miały miejsce „na tle raczej dobrobytowym, niż politycznym”. Widoczne było „ogólne zniechęcenie do cywilnych placówek polskich, jak 'Biura Polskie' i PCK z racji małej skuteczności ich pracy mimo dużej ilości zatrudnionych pracowników¹⁰. Tutaj trzeba przypomnieć, że oprócz organizacji tajnych istniały organizacje jawne: PCK, przemianowany w grudniu 1941 na Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji (TOPF) i „Biura Polskie” przekształcone w tym samym czasie na Biura Administracji Polaków, które istniały do grudnia 1942 roku, służąc również do utrzymania półoficjalnych stosunków rządu polskiego w Londynie z rządem Pétaina w Vichy, co stanowiło jeden z największych paradoksów naszej dyplomacji podczas drugiej wojny światowej¹¹.

Jednocześnie, pomimo stosunkowo dość dużych, do grudnia 1942 roku, możliwości działania półoficjalnych organizacji polskich we Francji, przedwojenna emigracja robotnicza zdana była na łaskę losu, co ułatwiło penetrację komunistów. W archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych znajduje się memoriał z października 1942 roku, w którym m.in. jest mowa że: „problem walki z akcją komunistów prowadzoną w środowiskach polskich robotników zasługuje na zwrócenie większej niż dotychczas uwagi ze strony władz francuskich¹²”. Wówczas chodziło o władzę z Vichy, podczas gdy władze polskie z Londynu nie dostrzegały w ogóle tego problemu, który miał ujemne skutki zwłaszcza po wojnie.

Od pierwszych dni po kapitulacji — i później nic się już pod tym względem nie zmieniło — brak było ze strony rządu polskiego odpowiednich dyrektyw, które wyznaczałyby konkretny kierunek działania i koordynowały akcje poszczególnych organizacji. Aleksander Kawałkowski, szef tajnej organizacji „Monika” wysłał (bez dokładnej daty, gdzieś z końca 1943 roku), pięciostronicowe pismo do Arwy (pseudonim) z prośbą o interwencje u naszego rządu. „...Zupełne milczenie, ubolewał Kawałkowski, z Waszej strony na wszelkie sprawy i pytania poruszane w naszych depe szach.

10. Raport ppor. rez. Piotra Borkowskiego, IPMS, Sygnatura: A. XII.4/141-A.

11. Zob. T. Wyrwa, „Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina” w *Zeszytach Historycznych* nr 101, str. 32-55.

12. Zob. *Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu, *Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier* nr 919

Mówimy jak do obrazu, a obraz ani razu. Jesteśmy pozbawieni instrukcji w najważniejszych sprawach politycznych... Nie odpowiedzieliście na meldunek o nawiązaniu kontaktu z *Résistance* francuską i na pytanie, czy mam kontynuować, czy nie... Zupełny brak z Waszej strony wczucia się w warunki naszej pracy¹³”.

Z kolei płk Jaklicz pisał we wspomnianym już sprawozdaniu: „Francja jest krajem wybitnych, polskich możliwości. Lecz od samego początku organizacyjnego ruchu polskiego, brakowało mu najbardziej zasadniczego elementu, nazywam go językiem wojskowym: jednolitości dowodzenia. Powstały organizacje jawne i tajne, samodzielne, dobrze wewnętrznie zgrane i kierowane, lecz wzajemnie się ze sobą ścierające, wyrывая sobie pracowników, rządzące się własnymi prawami, często wzajemnie się podkopujące. Wszystkie te organizacje posiadały pieniądze, więc były przez kogoś nadrzędnego — z oddali kierowane... Wszystkie te organizacje posiadają swoich szefów, którzy je nastroją według własnego poglądu, własnej oceny sytuacji i własnych celów. Brak jednego szefa, który by je zgrał wszystkie razem dla wspólnego celu i wyzyskał możliwości i aparat poszczególnych organizacji na korzyść innych. W ciągu całego okresu mego dowodzenia nikt nigdy nie dał mi żadnych wytycznych i nie skoordynował z pracą innych organizacji¹⁴”.



Brak było nie tylko koordynacji dowodzenia konspiracyjno-wojskowymi organizacjami, kierownictwa opieki i pomocy uchodźcom cywilnym, ale również skoordynowania i ulepszenia serwisu prasy i audycji radiowych, bardzo ważnych zwłaszcza tam, gdzie prasa polska z Londynu trudno docierała, jak to miało miejsce we Francji. W sprawozdaniu, jakie nadeszło z Francji do Londynu na ręce Jana Stańczyka, ministra Pracy i Opieki Społecznej, pod koniec 1942 roku, o sytuacji we Francji stwierdzono, że „poza radiem, którego audycje były zresztą silnie krytykowane i uważane za bardzo słabe, uchodźstwo francuskie (polskie we Francji — T.W.) było prawie zupełnie pozbawione wiadomości ze świata¹⁵”.

13. IPMS. Kolekcja A. Kawałkowskiego 95, teczka 7, numer pisma 20.

14. Józef Jaklicz, „Sprawozdanie z działalności...”, *op. cit.* str. 39.

15. IPMS: Sygnatura: A. 9. VI. 9/17.

O audycjach z tego okresu pisał do Londynu, jesienią 1942 roku, w swoim listownym omówieniu stosunków we Francji, Czesław Bitner, bliski współpracownik Kawalkowskiego, zwracając uwagę, że przydałoby się zmodyfikowanie „audycji radiowych zarówno BBC jak ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Może trochę mniej zachwyty nad bohaterstwem bolszewików i nad genialnością ich sztabów, a trochę więcej o nas, o naszych walkach, o naszych dążeniach, o naszych postulatach i planach, o naszym wojsku... Tam (w Londynie) macie ciągle w każdej chwili dostęp do wszelkich wiadomości, do wszelkich oświeleń, tam zdajecie sobie sprawę (???!!! — T.W.) z racji celu różnych posunięć, my tu — a cóż dopiero Kraj — wisimy przy radiu jak przy źródle odrobiny prawdy i otuchy, w zakłamanym morzu propagandy obcej i raptem przez minut dziesięć na 15 minut słyszymy wychwalanie armii sowieckiej...¹⁶”.

Nie jest zgodne z rzeczywistością tłumaczenie, które sły-
szy się w podobnych wypadkach, że nie można było inaczej,
bo taką orientację narzucali Anglicy. Za przykład może po-
służyć fakt — o czym pisze Jan Wszelaki w nocy z 20
sierpnia 1940 roku — że „audycje radiowe w Londynie kon-
trolowane przez generała de Gaulle’a, są nieporównanie czę-
stsze, bardziej wyczerpujące i przekonujące od naszych.
Technika ich jest zupełnie wzorowa...¹⁷”. A nie trzeba zapo-
minać, że gen. de Gaulle znajdował się wtedy w Londynie od
kilku zaledwie tygodni bez zaplecza wojskowo-rządowego,
jakie posiadał nasz rząd. W BBC, oprócz sekcji francuskiej,
złożonej z podlegających Anglikom dziennikarzy francuskich,
„gen. de Gaulle osiągnął to, że regularnie dawano mikrofon
do dyspozycji ‘Wolnej Francji’, której rzecznikiem był Mau-
rice Schumann¹⁸”.

W związku z audycjami radiowymi zwracał się, pismem
z 26 lutego 1941 roku, Adam Romer, dyrektor biura prezy-
dencjalnego, do gen. Izidora Modelskiego, ministra Informa-
cji i Dokumentacji, załączając trzystronicową „Notatkę w
sprawie polskiej radiofonii”, gdzie na wstępie jest przypom-
nienie, że Kraj i rozproszona emigracja, internowani w Szwaj-
carii, żołnierze we Francji, oraz wojsko polskie na Bliskim

16. IPMS. Sygnatura: PRM 65, numer dokumentu 3.

17. IPMS. Sygnatura: A. 9. VI. 9/16.

18. Henri Michel, *La Guerre de l'Ombre. La Résistance en Europe*.
Ed. Bernard Grasset, Paryż 1970, str. 98.

Wschodzie „są nie tylko prawie całkowicie wyeliminowani spod bezpośredniego wpływu rządu polskiego, ale w większości wypadków dowiadują się o poczynaniach rządu z ogromnym opóźnieniem”.

Następnie jest mowa o potrzebie utworzenia polskiej radiofonii i jej jednolitym kierownictwie jako „organie koordynującym”, uzależnionym „wyłącznie od prezesa Rady Ministrów, który jest równocześnie Wodzem Naczelnym” (wówczas gen. Sikorski). W ten sposób, czytamy dalej, „radiofonia nie będzie ani obiektem sporów kompetencyjnych, ani terenem tarć ideologicznych i personalnych”. Ostatni paragraf noty brzmi: „Sprawnie działająca polska radiofonia będzie potężnym orężem w nowoczesnej walce o Sprawę Polską a równocześnie czynnikiem podnoszącym na duchu i zespalającym ideologicznie liczne rzesze Polaków, pozbawionych dziś bezpośredniego kontaktu z Rządem i Wojskiem Polskim¹⁹”.

Tyle w teorii, praktyka była jednak inna i odzwierciedla ją pismo Adama Romera z dnia 20 marca 1941 roku skierowane również do gen. Izydora Modelskiego, które przytaczam tu w streszczeniu: „Materiał, którym rozporządza BBC jest bardzo bogaty i można by z niego stwarzać doskonałe audycje, gdyby polscy fachowcy mogli je redagować. Niestety o tym nie ma mowy, gdyż obaj obecni redaktorzy dbają o swoją posadę, a zespół polskich speakerów nigdy nie przeciwstawi się obecnemu stanowi pracy, bo woli najgorsze warunki pracy w BBC od pójścia do wojska. Holendrzy, Czesi, Francuzi walczą w BBC, bo się nie boją utracić posad i dlatego ich audycje są dobre. Ten stan rzeczy pogłębia lekceważenie BBC do działu polskiego... Czesi, Holendrzy i inni pracują solidnie, szczególnie Francuzi, których praca jest wzorowa i niedościgniona, niestety z polskiej strony tej solidności nie ma. Przy każdej prawie audycji są jakieś nieporozumienia, pogarszające się na skutek braku właściwego kontaktu... Dział audycji polskich jest traktowany bez porównania gorzej od działów: francuskiego, niemieckiego, czeskiego, greckiego itp.²⁰”.

Tak się działo przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej, później było jeszcze gorzej, gdy w grę wchodziła linia polityczna Anglików skierowana w stronę ułożenia sto-

19. IPMS. Sygnatura: A. XII. 7/3.

20. IPMS. Sygnatura, *supra*.

sunków z Moskwą. Zdecydowaną i w konsekwencji skuteczną postawę potrafiło jednak zająć środowisko gen. de Gaulle'a w Londynie, gdzie „każda perypetia w stosunkach 'Wolnej Francji' z Aliantami anglosaskimi odbijała się w BBC. Ale w każdym wypadku, dzięki bezkompromisowości gaullistowskiej i dzięki angielskiemu liberalizmowi, który szybko wziął górę, rzecznicy 'Wolnej Francji' zawsze osiągnęli możliwość powiedzenia, pod warunkiem zmodyfikowania formy, tego co chcieli powiedzieć, żeby wiedzieli słuchacze francuscy²¹”. Jest to wypowiedź ze wstępu do pierwszego tomu, a wszystkich jest pięć, zbioru wybranych tekstów audycji radiowych w języku francuskim, nadawanych podczas wojny z Londynu. Ciekawy byłby podobny zbiór audycji w języku polskim, o który nikt się dotychczas nie pokusił, a szkoda!



W archiwach Instytutu Sikorskiego w Londynie znajduje się również pięciostronicowy maszynopis, z nieczytelnym podpisem, zatytułowany: 'Notatka dla Pana Ministra z podróży do Paryża (oswobodzonego już od kilku miesięcy — T. W.) 15. XII. 1944-3. 1. 1945', przeznaczona dla Adama Tarnowskiego, ministra spraw zagranicznych w rządzie Tomasza Arciszewskiego. Autor tej notatki pisze: „Z obserwacji, które miałem możliwość poczynić, wynikałoby, iż nastroje społeczeństwa polskiego we Francji cechuje upadek ducha i przygnębienie oraz powszechne uczucie niepewności. Złożyło się na to szereg momentów”. Jednym tego powodem jest, że „propaganda radia londyńskiego i nasza oficjalna zapewniająca, że położenie Polski w gronie sojuszników przedstawia się jak najlepiej, musiała wywołać reakcję, skoro ujawniła się prawda naszej sytuacji... Niemalą przyczyną tej depresji społeczeństwa jest nasza dotychczasowa nieruchliwość²²”.

W najlepszym nawet wypadku straconych lat nie dałoby się już nadrobić w nieporównanie gorszej dla Polski koniunkturze w powojennej Francji i sytuacji, w jakiej znajdował się

21. *Ici Londres 1940-1944. Les voix de la liberté*. Edition établie sous la direction de Jean-Louis Cremieux-Brilhac. La Documentation Française, Paryż 1975, tom I, str. XXIV.

22. IPMS. Akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Sygnatura: A. 11. E/192.

wówczas nasz rząd w Londynie. Warto przypomnieć, przytoczone w innym miejscu, słowa płk. Jaklicza: Francja jest krajem wybitnych, polskich możliwości”, których nie wykorzystał nasz rząd ani w stosunkach z gen. de Gaulle’em, ani w skoordynowaniu współpracy, w okupowanej Francji, polskich organizacji z francuskim ruchem oporu.

Tadeusz WYRWA

SĄSIEDZI

Rimantas MIKNYS

STOSUNKI POLSKO-LITEWSKIE W WIZJI POLITYCZNEJ KRAJOWCÓW

Obecnych stosunków dwóch historycznie i kulturowo bliskich sobie narodów (litewskiego i polskiego), państw litewskiego i polskiego nie da się nazwać normalnymi szacując je w kontekście współczesnej cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Są one jeszcze pod znacznym wpływem mitów i stereotypów przeszłości. Toteż do normalizacji stosunków niewątpliwie mogą się przyczynić specjalne badania historyczne, kształtujące krytyczne zapatrywania obu społeczeństw (polskiego i litewskiego) na te mity i stereotypy. Tylko bowiem wtedy obie społeczności będą mogły się uczyć u historii, opierać się na niej budując normalne cywilizowane stosunki polsko-litewskie, usuwać stworzone przez dawne układy bariery, jeśli dostrzegą, że historia państw i narodów litewskiego i polskiego jest historią niejednoznacznych stosunków wzajemnych, wpływów uwarunkowanych całokształtem czynników kulturowych i geopolitycznych, nie zaś wizjami czy aspiracjami tej czy innej strony.

W tym aspekcie warto zwrócić uwagę i na te fakty historyczne, przy pomocy których próbowano znaleźć wyjście z pogłębiającego się konfliktu litewsko-polskiego. Jak to robiono i dlaczego bezskutecznie na początku XX w.?

Szybko rozwijające się procesy odradzania narodowego Litwinów, pierwsze przejawy budzenia się Białorusinów oraz ujawniająca się agresywność nacjonalizmu polskiego były dobitnym dowodem tego, że ziemie wielonarodowego państwa feudalnego — byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego ze specyficznym systemem kultur — mogą się stać areną walki nacjonalizmów.

Powstały na początku XX w. nurt polityczny — krajowy — aktywnie poszukiwał środków prewencyjnych i sposobów zapobieżenia tej walce. Kim więc byli krajowcy, jaka była ich ideologia?

Byli to językowo i kulturowo spolszczeni przedstawiciele szlachty WKL. Zachowali oni poczucie odrębności państwowej i kulturowej prastarego Wielkiego Księstwa Litewskiego od ziem Królestwa Polskiego, świadomość obywatela WKL i byli Litwinami w sensie historycznym (politycznym).

Integralność polityczna historycznej Litwy (na początku XX w. była ona mniej więcej utożsamiana z ówczesnymi guberniami Grodzieńską, Wileńską, Kowieńską, Mińską, Mohylowską i Witebską) zwanej krajem — stanowiąca rdzeń ideologii krajowców — opierała się nie tylko na historyczności, lecz i integralności oraz wspólnocie terytorialnej, gospodarczej i kulturalnej.

Postawy krajowców najdobitniej się ujawniały w tendencjach politycznych i ideologii obszarników — ziemian Litwy historycznej oraz grup demokratycznej inteligencji polskiej na Litwie.

Główni badacze ideologii i działalności politycznej krajowców, Juliusz Bardach oraz Jan Jurkiewicz, słusznie sugerują, iż idee odzwierciedlające sedno ideologii krajowców dojrzały i wyklarowały się w wileńskim środowisku demokratycznej inteligencji polskiej w latach 1906-1915¹. W naszym przekonaniu największe zasługi położył tu Michał Römer, który prowadził ostre debaty z Witoldem i Ludwikiem Abramowiczami, Bronisławem Krzyżanowskim, Tadeuszem Wróblewskim. Główne założenia krajowców zostały wówczas nie tylko wyłuszczone, ale też rozwinięte do szczybla ideologii². Do roku 1939 przede wszystkim staraniem Ludwika

1. Bardach J. „Krajowcy, federaliści, inkorporacjoniści; O dawnej i niedawnej Litwie”, Poznań 1988, s. 261-270. Jurkiewicz J. „Demokraci wileńscy w latach 1905-1914 (Zarys działalności politycznej)”, Acta Baltico-Slavica XV, 1983, s. 157-173. To samo. Rozwój polskiej myśli politycznej w latach 1905-1922. Poznań 1988, s. 48-52.

2. Römer M., „Dziennik” T. 1. Dział Rękopisów Biblioteki Akademii Nauk Litwy (dalej DR BAN) F.138-2228, s. 53, 64, 88, 93...; T. 2, DR

Abramowicza, Ludwika Chomińskiego, Kazimierza Okulicza, precyzowane były poszczególne aspekty tej ideologii³.

Ideologia krajowców określona została jako ściśle demokratyczna, nie związana z żadnym zamieszkałym w kraju narodem (Litwinami, Polakami, Żydami, Białorusinami) tj. antynacjonalistyczna, oparta na zasadzie ogólnego obywatelstwa⁴. Traktując prastare WKL jako ojczyznę kilku narodów i nie widząc możliwości ich oddzielenia się w sposób cywilizowany z racji nieuchronnych konfliktów terytorialnych, opowiadano się przeciwko wyniesieniu interesów któregośkolwiek z narodów ponad ogólne interesy kraju, deklarowano równe prawa narodów kraju (Litwy historycznej) do swobodnego rozwoju gospodarczego, kulturalnego i narodowego. Problemy narodowościowe zamierzano rozstrzygnąć z pomocą autonomii kulturalnej. Ideologia miała na celu stworzenie wspólnego społeczeństwa, nie zaś „budowę poszczególnych narodowych chat”, jak mówili wileńscy demokraci polscy Witold i Ludwik Abramowiczowie, Zygmunt Nagrodzki i inni⁵. Dlatego więc polityczne zespolenie ziem Litwy historycznej w państwo, kontynuatora prastarego WKL, miało stworzyć dogodne, w ich pojęciu, warunki do przekształcenia jednorodnego społeczeństwa kraju w nowy naród polityczny Litwy.

W ramach tej ideologii w swoisty sposób interpretowano i planowano stosunki polityczne Litwy i Polski. Należy zaznaczyć, że koncepcja tych stosunków, jako część składowa ideologii krajowców, ostatecznie się wyklarowała w najbar-

BAN F.138-2229, s.42, 49, 50, 55, 89, 105, 227, 252,...409, 412, 465-470; T.3. DRBAN F.138-2231, s.62, 65, 66, 89, 90, 262, 305, 323, 324. (Abramowicz L.) „Trzydziestolecie ideologii krajowej”, *Przegląd Wileński* Nr 5, 14 marca 1936 r., s.1-2; Abramowicz L. „Stanowisko krajowe a idea narodowa”, *Przegląd Wileński*, Nr 13-14 6(13) kwietnia 1913 r.

3. Römer M., „Nie ma Ludwika Abramowicza”, *Gazeta Codzienna*, 25 lutego 1940 r., s.3; Abramowiczówna Z. „W rocznicę śmierci ś.p. Ludwika Abramowicza. Kilka słów o idei krajowej”, *Gazeta Codzienna*, 10 marca 1940 r., s.4; (Abramowicz L.), „Kraj i naród”, *Przegląd Wileński* Nr 13, 19.08.1923; Hernik J., „W kręgu krajowców polskich”, *Więź* Nr 10, 1991, s.104-108.

4. Programowy artykuł gazety pióra M. Römera, *Gazeta Wileńska* 28(15) lutego 1906 r. Przemówienie T. Wróblewskiego na 5 zjeździe działaczy miast i ziemstw Rosji (wrzesień 1905 r., Moskwa), Akta 5 i 6 zjazdów ziemskich 1905 r. w Moskwie. DRBAN F.9-1955. L.38.

5. Römer M. Dziennik T.2, DR BAN F.138-2229, s.89, 227, 489. T.3., DRBAN F.138-2231, s.62, 66.

dziej aktywnym okresie jej kształtowania w latach 1912-1915. Toteż i tu główna rola przypadła Michałowi Römerowi⁶. Później, w obliczu realiów, pozostawiając sedno, precyzowano tylko poszczególne aspekty.

Michał Römer, a później Ludwik Abramowicz i Tadeusz Wróblewski⁷, kreśląc perspektywy litewsko-polskich stosunków politycznych kierowali się tym samym punktem wyjścia:

1. Litwy historycznej nigdy nie utożsamiali z Polską, opowiadali się przeciwko regionalizmowi w sensie „kresów” i uważali, że Litwa historyczna powinna mieć osobną od Polski państwowość.

2. W aspekcie kulturowo-duchowym uważali Polskę za bardzo bliską Litwie.

3. W ich przekonaniu nieuchronnie bliskie więzy polityczne historycznej Litwy i Polski uwarunkowane były samą sytuacją geopolityczną czyli wspólnym stałym zagrożeniem ze strony Rosji i Niemiec, pansławizmu z wpływami bizantyjskimi i ekspansywnej germanizacji.

4. Łączyło je również wspólne dążenie do uniezależnienia się od Rosji.

Na tych fundamentalnych zasadach krajowcy opierali właśnie realizację tych stosunków. Notatki w dzienniku M. Römera wskazują na to, że wizja ta zaczęła się wyraźnie zarysowywać jesienią 1914 r. — zimą 1915 r., gdy w obliczu globalnej katastrofy europejskiej zrodziły się realne nadzieje na odzyskanie państwowości. Na licznych naradach wileńskich demokratów polskich, w dyskusjach z demokratami litewskimi i białoruskimi oraz podczas narad tych pierwszych z przedstawicielami polskiego bloku niepodległościowców, krajowcy — Michał Römer, Mieczysław Niedzielski, Kazimierz Okulicz — wystąpili z ideą niepodległej Litwy historycznej⁸. Kojarzono ją z odrodzeniem niepodległości Polski. Z myślą o wyzwoleniu historycznej Litwy i Polski wskrzeszona została idea Rzeczypospolitej Jagiellonów i dlatego opowie-

6. Patrz wskazówki przypisu drugiego.

7. Litwa wobec wojny (poufny memoriał Michała Römera z sierpnia 1915), *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1970, Zesz. 17, s. 87-88; Römer M. „Nie ma Ludwika Abramowicza”, *op. cit.*; L. A. (Ludwik Abramowicz) „Tadeusz Wróblewski”, *Przegląd Wileński* Nr 12, 15 lipca 1925 r., s. 1-4; (Abramowicz L.) „Dwie psychiki”, *Przegląd Wileński* Nr 8, 29 kwietnia 1923 r.

8. Römer M. „Dziennik” T. 4, DRBAN F. 138-2230, s. 303, 306, 315, 331-332.

dziano się za wznowieniem politycznej więzi z Polską (w sensie federacji, konfederacji, związku).

M. Römer tłumacząc tę więź 27.01.1915 na ogólnym zebraniu wileńskich demokratów polskich oraz demokratów i socjaldemokratów litewskich (spośród Litwinów uczestniczyli Jurgis Saulys, Mykolas Biržiška, Augustinas Janulaitis, Jonas Vileišis i Felicija Bortkevičienė) powiedział, że „nie o wznowienie więc starej dziejowej unii samej Litwy z samą Polską może Litwinom chodzić, bo współczesne stosunki społecznego, kulturalnego i narodowego życia w dobie demokracji są inne, niż były za czasów tworzenia Unii Jagiellońskiej, a inne stosunki, inna tendencja rozwojowa wymagają innych form. Nie o wznowienie unii, lecz o niepodległą federację, o nową Austrię Ludów Zachodnich wyjarzmionych spod buta rosyjskiej państwowości...”⁹. W ten sposób federacja Polski i Litwy historycznej miała stanowić związek dwóch niezależnych państw demokratycznych, zapewniający istnienie obu państw w złożonej sytuacji geopolitycznej.

W oparciu o ideę Polski Jagiellonów związek ten miał być uzupełniony i wzmocniony szeregiem innych związków na terytorium Rzeczypospolitej „od morza do morza”, tj. do takiego związku zamierzano włączyć Ukrainę i Łotwę¹⁰. Miało to zmniejszyć groźbę politycznej, kulturalnej i militarnej hegemonii Polski we wspomnianej federacji.

Taka federacja Polski i Litwy historycznej w wizji krajowców kardynalnie różniła się od rozpowszechnionych w latach 1915-1922 koncepcji „federalistów”. W tych ostatnich integralność polityczno-terytorialna Litwy dziejowej uznawana była jedynie pod warunkiem wznowienia jej więzów z Polską, a taka Litwa częstokroć traktowana była jako państwo utworzone z poszczególnych kantonów lub jednostek autonomicznych¹¹. Opowiadano się więc za federacją w federacji, co by zapewniło wyraźną polityczną, kulturalną i inną przewagę Polski w tym związku, czego nade wszystko unikali krajowcy, bojąc się wzbudzić nieufność przede wszystkim litewskich polityków. Swymi życzliwymi zamiarami.

Tylko Tadeusz Wróblewski w 1921 roku po akcji generała Lucjana Żeligowskiego zaaprobował projekt Hymansa,

9. *Tamże*. L. 355.

10. *Tamże*. L. 371.

11. Bardach J. „Krajowcy, federaliści, inkorporacjoniści”, *op. cit.*, s. 271-273.

uznając go za mniejsze zło niż włączenie Wileńszczyzny w skład Polski¹².

W latach 1917-1918, gdy powstawało narodowe państwo litewskie i trwała próba stworzenia nowoczesnego państwa białoruskiego, T. Wróblewski w 1918 r. dążenie do wspomnianej federacji przeniósł na płaszczyznę ideałów. Ideałów, dla których urzeczywistnienia ciągle jeszcze nie widział realnej możliwości. W jego przekonaniu nade wszystkim należało uznać prawo narodów kraju do tworzenia państw narodowych, uznać niepodległość już powstałych państw narodowych i w ten sposób stopniowo osłabiać rodzące się pod wpływem nacjonalizmu konfrontacje na terytorium Litwy dziejowej. Państwa narodowe, demokratyczne, w przekonaniu krajowców, w gruncie rzeczy nie są przeciwne federalizmowi. Potrzeba tylko życzliwości silniejszego alianta (Polski) względem słabszego oraz wyrzeczenia się aspiracji hegemonistycznych. Toteż od społeczeństwa polskiego na Litwie oczekuje się: bezwarunkowego uznania niepodległości Litwy, czynnego udziału w tworzeniu państwa. Od społeczeństwa litewskiego — wyrzeczenia się aspiracji hegemonistycznych wewnątrz państwa, unikania wszelkich przejawów nacjonalizmu w rozstrzyganiu spraw społecznych i politycznych¹³.

W 1919 roku Michał Römer nie wyrzekając się samego sedna Unii Jagiellońskiej — federacji Polski i Litwy historycznej — powyższy związek federacji przeobraził w ideę związku bałtyckiego. Zgodnie z jej założeniem do podstawowej federacji miały się przyłączyć Łotwa i Estonia¹⁴. Przeobrażenie to nastąpiło prawdopodobnie pod wpływem planów Józefa Piłsudskiego, jednym z realizatorów których w kwietniu 1919 r. był również Michał Römer. Była to ostatnia próba wcielenia federacji zgodnie z ideą krajowców. I była to próba tragiczna w aspekcie zarówno politycznym, jak i etycznym, albowiem cele, do których zmierzał Józef Piłsudski, chociaż i były podobne, ale sposoby ich realizowania kolidowały z koncepcją krajowców: dobrowolne połączenie wolnych państw, nie zaś przyłączenie.

12. Juodvarnis (Wróblewski T.) „Uwagi o projekcie P. Hymansa”, Wilno 1921, s. 36.

13. Credo polityczne T. Wróblewskiego (wyciąg z jego listu, pisanego 25.05.1918 do Ludwika Abramowicza), *Przegląd Wileński* Nr 12, 15 lipca 1925 r., s. 5-6.

14. Römer M. „Dziennik” T. 26, DRBAN F. 138-2252, s. 141, 314.

Ostatnie nadzieje krajowców na wcielenie w życie federacji przekreśliły zawarty w marcu 1921 r. w Rydze układ między Polską a Rosją Sowiecką, akcja Lucjana Żeligowskiego w październiku 1920 r. oraz uchwały Sejmu „Litwy Środkowej” z 1922 r.

W ten sposób większa część ziem Litwy historycznej została podzielona między Rosję Sowiecką a Polskę, stała się „kresami” tej ostatniej. A co do zwycięstwa polityki nacjonalistyczno-endeckiej nikt nie miał wątpliwości.

Jak zaznacza Jan Jurkiewicz, Ludwik Abramowicz w dalszym ciągu propagując ideologię krajowców w wydawanej przez niego gazecie *Przegląd Wileński* w latach 1922-1939, walczył o nadanie autonomii Wileńszczyźnie¹⁵. Autonomia miała się stać jednym z etapów ponownego zespolenia dawnych ziem WKL.

A więc koncepcja polityczna krajowców okazała się utopią.

Procesy rozwijające się pod wpływem ideologii nowoczesnego nacjonalizmu (wzrost świadomości narodowej; rozwój idei państwa narodowego, zapewniającej przetrwanie narodu...) na terytorium Litwy historycznej zaszły już zbyt daleko, aby się dało podporządkować je wartościom głoszonym przez ideologię krajowców (priorytet świadomości historycznej, odrodzenie państwa dziejowego). Budziły one wiele wątpliwości z racji swego oderwania od realiów, zwłaszcza nie doceniano potencjału agresywnego nacjonalizmu polskiego. Stosunki litewsko-polskie w wizji politycznej krajowców można określić jako nieudaną próbę połączenia tradycjonalizmu (w sensie Unii Jagiellońskiej) z postromantyzmem (w sensie wielonarodowego nowoczesnego państwa). Poszczególne elementy tej wizji w procesach współczesnej integracji Europy Środkowej i Wschodniej są aktualne i dziś.

Wilno, 12.01.1993

Rimantas MIKNYS

15. Jurkiewicz M. „Rozwój polskiej myśli politycznej w latach 1905-1922”, s. 238.

SPRAWOZDANIE Z POBYTU NA LITWIE

Warszawa, dn. 3.VII.34

Przyjechałem do Kowna dnia 19 lipca rano. Wszedłem natychmiast w kontakt z p. Rozowskim, dyrektorem Towarzystwa Emigracyjnego żydowskiego, do którego zostałem skierowany przez Jewish Colonisation Association (YCA). Ten pierwszy mój rozmówca, bardzo zaniepokojony zamiarem moim zapoznania się z przedstawicielami miejscowego społeczeństwa żydowskiego, wyraził powątpiewanie, czy w ogóle miejscowi działacze zechcą się ze mną spotkać ze względu na mój charakter urzędnika polskiego. Dopiero po dłuższej rozmowie obawy jego rozproszyłem. Wówczas oświadczył, że to, co byłoby jeszcze sześć miesięcy temu zupełną niemożliwością, obecnie wobec wyraźnej zmiany na lepsze w nastrojach litewskich w stosunku do Polski da się może urzeczywistnić i obiecał tym się zająć. Zaznaczył jednocześnie, że pora jest bardzo nieodpowiednia, gdyż z powodu wakacji większość wybitniejszych przedstawicieli świata żydowskiego jest nieobecna. Po kilku dniach zaznajomiłem się bliżej z szeregiem osobistości żydowskich, z których na uwagę zasługują jedynie p. Wolf, Dyrektor Centralnego Banku żydowskiego w Kownie, oraz p. Sławin. Z informacji uzyskanych właśnie od Dyrektora Banku, Wolfa, i od p. Sławina, wynika, że dotarcie do osób urzędowych za pomocą pieniędzy jest bardzo utrudnione. Zdaniem p. Wolfa nikt pieniędzy bezpośrednio nie weźmie, gdyż każdy będzie się bał. Wiadomości o wielkiej liczbie agentów płatnych przez Niemcy w sferach urzędowych litewskich są, zdaniem p. Wolfa, mocno przesadzone. Niemcy, którzy od lat kilkunastu na Litwie systematycznie pracują, mają oczywiście liczne kontakty finansowe, ale głównie na tłach interesów, a nie drogą bezpośredniego dawania pieniędzy. Różnorodne operacje handlowe i finansowe dawały do tego okazji i dostarczały wygodnego parawanu. Teraz, kiedy nastroje w stosunku do Niemiec zmieniły się radykalnie, zarabianie na Niemcach staje się bardziej utrudnione i niebezpieczne. Nawiązanie kontaktu finansowego z różnymi osobami wpływowymi byłoby więc moż-

liwe, ale tylko pod warunkiem odpowiedniego zorganizowania pewnych towarzystw handlowych. Dyrektor Wolf bardzo niechętnie zresztą na ten temat rozmawiał.

P. Sławin, który na te rozmowy ze mną szedł chętniej od p. Wolfa, potwierdzał poprzednie wywody, wskazując na burmistrza Poniewieża, Chodakowskiego, jako na człowieka, którego w pierwszym rządzie należałoby zainteresować pieniądze ze względu na jego wpływy w rodzinie prezydenta Smetony. Ale i co do niego twierdził, że można będzie to zrobić tylko za pomocą jakiejś choćby pozornej operacji handlowej. Możliwość bezpośredniego stosunku pieniężnego przewidywał tylko co do jednej osoby, p. Nikolskiej, właścicielki „Institut de Beauté”, która podobno ma bardzo bliskie stosunki z prezydentową Smetonową. Co się tyczy gubernatora Nawakasa, obydwaj moi informatorzy twierdzili, że trafienie do niego pieniędzmi jest rzeczą niewykonalną, gdyż jest to człowiek na stosunki litewskie bardzo zamożny.

Z p. Sławinem, który obiecał mi zebrać pewne informacje, więcej się już nie widziałem, gdyż zaraz potem wyjechał za granicę. Stwierdzić muszę, że nie taił on swych wielkich obaw z powodu rozmów ze mną na te tematy, gdyż, jak twierdził, wywiad władz litewskich jest dobrze zorganizowany, a moja osoba zwłaszcza jest według jego informacji bardzo pilnie śledzona. Każdy człowiek ze mną dłużej i częściej rozmawiający, może być zapytany o wyjaśnienia. Możliwe więc jest, że wyjazd jego został takimi obawami podyktowany. Podczas jednej z rozmów ze mną powiedział jednak, że w razie czego mógłby się z nim porozumieć po moim wyjeździe p. Katelbach, który jako stale w Kownie zamieszkały, jest mniej inwigilowany.

W rozmowach ze mną na temat stosunków polsko-litewskich przedstawiciele świata żydowskiego stwierdzali jednomyślnie, że przewrót w opinii litewskiej w stosunku do Polski jest całkowity. Wszyscy sobie zdają sprawę z potrzeby normalizacji stosunków polsko-litewskich, wszyscy tego pragną, ale oczekują jakiegoś gestu ze strony polskiej, który by pozwolił rządowi litewskiemu zrobić ten krok bez narażenia się na zarzut całkowitej kapitulacji. Wysuwano również w tych rozmowach twierdzenie, że obawa o reakcję ze strony wojska wpływa bardzo hamująco na pozycję rządu litewskiego. Pomimo bowiem nieudania się ostatniego puczu, sytuacja w armii nie jest bynajmniej wyjaśniona. Niezadowolenie jest w dalszym ciągu bardzo duże. Sytuacja w wojsku ucho-

dzi powszechnie za niestabilizowaną. Otóż, w tym stanie rzeczy rząd obawia się wszelkich kroków, które by mogły dostarczyć elementom niezadowolonym w armii platformy ideowej do dalszych działań. Elementy wojskowe, które by w zasadzie nie miały nic przeciwko normalizacji stosunków z Polską, w dzisiejszej sytuacji mogłyby z tego skorzystać, jako z wygodnego pretekstu do oskarżenia rządu o zdradę narodowych interesów Litwy i ponownego czynnego wystąpienia.

Rozmowy moje z Litwinami miały przebieg następujący:

Zaraz po przyjeździe rzuciłem bilety ministrowi spraw zagranicznych Łozorajtisowi i jego zastępcy p. Urbsysowi, którzy mi w niepełną godzinę potem swoje bilety odrzucili. Po upływie dwóch dni miała miejsce rozmowa pomiędzy Łozorajtisem a p. Katelbachem na temat mojego pobytu. W trakcie rozmowy p. Łozorajtis powiedział Katelbachowi, że chętnie mnie przyjmie, o ile go zechcę odwiedzić. Wizyta moja miała miejsce we wtorek, 25 lipca, i trwała przeszło pięć kwadransów.

Na wstępie p. Łozorajtis zapytał mnie o moje wrażenia kowieńskie, na co odpowiedziałem, że są bardzo dobre, gdyż zauważyłem sporo nowych ładnych gmachów.

„Tak — odrzekł na to p. Ł., — dużo się zrobiło, ale Kowno to miasto bez stylu, nie to co Wilno”.

„Istotnie Wilno to bardzo piękne miasto z wielkim stylem, ale mam nadzieję, że Litwa będzie miała możliwość w przyszłości nadać Kownu jakiś specjalny charakter i swój nowoczesny styl”.

Po czym zaraz rozmowa została skierowana przez ministra Łozorajtisa na temat sytuacji w Niemczech. Na jego zapytanie odpowiedziałem, że nie sądzę, aby rząd Hitlera był w niebezpieczeństwie, że przeciwnie wszystko przemawia za tym, iż utrzyma się on długo jeszcze przy władzy. Albowiem w obecnej sytuacji żaden inny rząd nie może zastąpić Hitlera. Po wyczerpaniu tego tematu p. Łozorajtis zapytał mnie nagle, co w Polsce myślą o Litwie.

Odpowiedziałem na to w sposób następujący: W Polsce nie możemy zrozumieć waszego stanowiska ani celu waszej polityki. Odgradziliście się od nas murem i myślicie, że w ten sposób cokolwiek osiągniecie. Otóż jest całkiem przeciwnie. Atuty wasze z każdym dniem maleją, a nasze rosną. Jeżeli ta sytuacja potrwa jeszcze pewien czas, Polska całkowicie przestanie się Litwą interesować. Nasza pozycja na tym nie ucierpi, gdyż nam stosunki normalne z Litwą nie są specjal-

nie potrzebne, możemy się bez nich zupełnie obejść. Nasza sytuacja międzynarodowa stale się wzmacnia, czego nie można powiedzieć o Litwie. P. Łozorajtis przerwał mi oświadczając, że musi się zastrzec przeciwko twierdzeniu o izolacji Litwy, gdyż ma ona dobre stosunki z Bałtami i Rosją no i z Francją — powiedział z wielkim naciskiem.

Odpowiedziałem na to z pewną ironią, że przyjaźń z tak daleko położonym mocarstwem, jak Francja, jest wprawdzie bardzo cenna, ale nie przypuszczam, aby dla praktycznej polityki litewskiej przedstawiało to wielką wartość. Rozwijając moją myśl, twierdziłem, że dla każdego kraju na pierwszym planie powinny być stosunki z sąsiadami i że dopiero od takiego lub innego ułożenia tych stosunków zależy rozwój stosunków przyjacielskich z innymi mocarstwami. Zacytowałem przykład Polski, której polityka stale zmierzała do pacyfikacji stosunków sąsiedzkich z Rosją i Niemcami, pomimo że miała od 21-go roku alians z Francją. Pozycja Polski w aliansie polsko-francuskim zmieniła się zresztą w sposób decydujący dzięki właśnie ułożeniu się stosunków polsko-rosyjskich i polsko-niemieckich, zapewniając Polsce całkowitą równość z kontrahentem francuskim.

W tym miejscu p. Łozorajtis zrobił aluzję do pogorszenia się stosunków polsko-francuskich, powołując się na artykuły pewnych dzienników francuskich, mianowicie *L'Oeuvre*. Odpowiedziałem na to bagatelizując wystąpienia różnych nieodpowiedzialnych publicystów i wskazując, że stan stosunków polsko-francuskich należy oceniać według faktów politycznych, jak podróż i enuncjacje p. Barthou, podróż gen. Debeney'a, oświadczając w końcu, że ktokolwiek będzie spekulował na pogorszeniu się stosunków polsko-francuskich, lub nawet zerwaniu aliansu, ten gorzko się zawiedzie. Francja bowiem dokładnie zdaje sobie sprawę, że alians ten jest nie do zastąpienia.

P. Łozorajtis odpowiedział mi, że on zdaje sobie sprawę, że pewnych nieporozumień czasowych nie należy przeceniać, gdyż i on uważa, że alians polsko-francuski jest trwały, tym niemniej uważa, że sytuacja Litwy nie jest taka zła i że utrzymując obecny stan stosunków polsko-litewskich Litwa tym samym utrzymuje w opinii międzynarodowej napięcie w kwestii wileńskiej, która leży u podstaw nieporozumień polsko-litewskich.

Odpowiedziałem mu na to, że Litwini myślą się najzupełniej, myśląc, że ktokolwiek w Europie zachodniej przypomi-

na sobie wileńskie rewindykacje Litwy. W opinii zachodnio-europejskiej to jest sprawa skończona i przebrzmiała. Jeżeli Litwini wolą się dalej łudzić to jest ich sprawa, ale realnie to nie pomoże. Im dłużej trwać będzie stan obecny, tym gorzej dla Litwy, sytuacja musi się pogarszać, a sytuacja Polski musi się stale poprawiać. Może nadejść moment, że Polska utraci zainteresowanie dla sprawy nawiązania stosunków z Litwą. „Niech Pan pamięta, powiedziałem do Ł., że sytuacja w Europie jest ciężka, że będzie ona jeszcze cięższa i że jestem przekonany, iż Litwa *à la longue* nie wytrzyma”.

P. Łozorajtis ponowił jeszcze swoje rozumowanie na temat położenia międzynarodowego Litwy, rzucając zdanie, że Polska chce Litwę „osaczyć”.

„Oto jest rezultat naszych stosunków nienormalnych” — odpowiedziałem. — „Panowie na Litwie zupełnie nie zdajecie sobie sprawy ani z sytuacji w Polsce, ani co różne czynniki na temat Litwy myślą. Panowie sądzą, że Polska a zwłaszcza Marszałek Piłsudski o niczym nie myślą, jak tylko o Litwie i że albo chcemy was 'osaczyć', albo z przesadną przyjaźnią Wam się narzucać. Ani jedno ani drugie nie odpowiada rzeczywistości. Marszałek zajęty jest wielkimi sprawami państwowymi i problemami litewskimi wcale nie jest zaabsorbowany. Sądzi on oczywiście, że między Polską a Litwą powinny istnieć formalne stosunki, ale jeżeli Litwa będzie się wzdragała, przejdzie nad tym do porządku dziennego”. Przy tej sposobności wykonałem instrukcję dotyczącą p. Szembeka.

Mówiąc o „osaczeniu” Litwy p. Łozorajtis wywodził, że stosunki polsko-niemieckie przekraczają normę zwykłych dobrych stosunków sąsiedzkich, że jego zdaniem są one znacznie ściślejsze i głębsze. Nie dałem się wciągnąć do dyskusji na temat stosunków polsko-niemieckich, zaznaczając tylko, że Polska dąży do jak najlepszych stosunków ze wszystkimi swoimi sąsiadami i że odpowiada zawsze na każdy gest dobrej woli również gestem dobrej woli i odwrotnie.

Łozorajtis zapytał mnie wówczas, co opinia polska myśli o sprawie wileńskiej. Odpowiedziałem na to, że opinia polska jest w sprawie jednomyślna, że w jej rozumieniu w ogóle kwestii wileńskiej nie ma.

Nawiązując do tego p. Łozorajtis, zastrzegając się, że mówi prywatnie, rozpoczął wywód o stosunkach polsko-litewskich.

„Powinien Pan zrozumieć, że opinia litewska jest jedno-

myślna w tym, że kwestia wileńska istnieje. Dla Polski nawiązanie stosunków normalnych wyczerpuje całą sprawę, dla Litwy nawiązanie tych stosunków jest tylko częścią całego kompleksu. Polska chciałaby, aby Litwa po 15-tu latach rzekła się swoich podstawowych rewindykacji, stwierdzając tym samym, że cała jej dotychczasowa platforma polityczno-narodowa była złudzeniem. Litwa na takie zrzeczenie się nie może się zgodzić w żaden sposób”.

Odpowiedziałem na to, że o ile mi wiadomo, nikt w Polsce nie żąda od Litwy takiego zrzeczenia się przy nawiązaniu stosunków. Litwa może jednostronną deklaracją zastrzec się, że jej stanowisko nie uległo zasadniczej zmianie. W ten sposób Litwa nic nie traci, natomiast dużo zyskuje.

P. Łozorajtis zapytał się, czy Litwa w ten sposób zyskuje coś w sprawie wileńskiej, a mianowicie czy rozmowy z Rządem polskim w sprawie chociażby częściowego załatwienia sprawy wileńskiej staną się łatwiejsze po normalizacji. Nie odpowiadając specjalnie na to wyraźne pytanie, odpowiedziałem p. Łozorajtisowi, że Litwa zyskuje bardzo dużo w swojej ogólnej pozycji politycznej, albowiem nawiązując stosunki z Polską uniezależnia się politycznie w znacznej mierze. Rewindykacje wileńskie Litwy są czysto teoretyczne, nie uznaje ich ani Polska, ani Europa. Jest mrzonką przypuszczać, aby Polska kiedykolwiek mogła się zgodzić na postawienie pod znakiem zapytania części swego terytorium w zamian za normalizację stosunków z Litwą, która nam wcale nie jest taka potrzebna. Jeżeli Litwa z tego stanowiska zejdzie, to stan obecny może jeszcze potrwać dwadzieścia lat. My przestaniemy się tym interesować, ale czy Litwa w tych ciężkich czasach to wytrzyma, to inna sprawa.

P. Łozorajtis znowu starał się mnie doprowadzić do stwierdzenia, że po normalizacji rozmowy z Rządem polskim będą łatwiejsze w sprawie wileńskiej. Znać było wielki wysiłek celem doprowadzenia mnie do konstatacji, że normalizacja otwiera Litwie pewne perspektywy w sprawie wileńskiej. Zaznaczył nawet, że z pewnych rozmów z dziennikarzami polskimi wyniósł wrażenie, że jednak Polska również by nie uważała, że normalizacja wyczerpuje całą sprawę i że po normalizacji jakieś rozmowy mogłyby się rozpocząć.

Nie mając instrukcji unikałem wszelkiego precyzowania w tej materii, twierdząc tylko, że staram się rozumować logicznie, na płaszczyźnie faktów i wczuwając się w punkt widzenia Litwina. Otóż normalizacja stosunków przy jednostronnej

deklaracji litewskiej w sprawie ich zasadniczego stanowiska, nic Litwę nie kosztuje a dużo im przynosi.

P. Łozorajtis rezygnując wreszcie z nadziei otrzymania ode mnie stwierdzenia, że normalizacja stosunków otwiera widoki na rozmowy w sprawie wileńskiej, zaczął rozumować na temat normalizacji, mówiąc: „No dobrze, przypuśćmy, że stosunki polsko-litewskie normalizują się i że Litwa składa deklarację. Ale przecież ta deklaracja musi być przyjęta (*acceptée*)”. — Odpowiedziałem na to, że takie stawianie kwestii przewraca całą sytuację, gdyż z deklaracji jednostronnej robi deklarację dwustronną, dzięki której Polska przekreśla całe swoje dotychczasowe stanowisko w sprawie wileńskiej. Prosiłem p. Łozorajtisa, aby się zastanowił, czy da się to w ogóle pomyśleć, aby jakiegokolwiek państwo na coś podobnego się zgodziło. „A więc może by Polska przyjęła do wiadomości taką deklarację (*prendre acte*)?”. — Odpowiedziałem na to, że nie rozumiem w ogóle znaczenia tego terminu. Co znaczy „*prendre acte*”? Przecież tutaj chodzi o stwierdzenie litewskiego stanowiska, a nie polskiego. Więc co to ma znaczyć, że Polska „*prend acte*”? Fakt, że Polska się nie sprzeciwia, aby Litwa w razie czego zrobiła jednostronną deklarację stwierdzającą jej stanowisko, powinien Rządowi litewskiemu wystarczyć.

W tym miejscu rozmowa się urwała, gdyż p. Łozorajtis najwidoczniej robił wrażenie człowieka obawiającego się, że rozmowa na tej płaszczyźnie może go za daleko zaprowadzić. Powiedział więc, że to są już kwestie techniczne, o których trudno obecnie mówić. Wizyta skończyła się po kilku uprzejmych zdaniach na temat moich dalszych planów i daty mojego wyjazdu do Poługi.

Następne rozmowy miały miejsce z p. Iczosem, z min. Szaulisem, z p. Zubowem i z p. Nawakasem.

Rozmowy z p. Iczosem i p. Szaulisem nic nowego nie przyniosły. Obydwaj ci panowie, stwierdzając potrzebę nawiązania stosunków z Polską, twierdzili, że bez jakichś uprzednich ustępstw w sprawie wileńskiej normalizacja jest nie do przeprowadzenia, przy czym p. Szaulis również powołał się na to, że normalizacja bez ustępstw wywoła nowy pucz wojskowy.

Z gubernatorem Kłajpedy p. Nawakasem spotkałem się na kolacji u p. Zubowa. P. Nawakas rozwijał myśl, że zwykła normalizacja jest niedostateczna, że sytuacja wymaga znacznie ściślejszych stosunków polsko-litewskich we wszystkich

dziedzinach, zarówno politycznej, gospodarczej, jak i wojskowej. Tylko takie ściślejsze zespolenie obu krajów odpowiada wymogom obecnej sytuacji. „Niech Pan nie zapomina — powiedział p. Nawakas, — że prawdziwe porozumienie polsko-litewskie oznacza utratę Prus wschodnich dla Niemiec”. Zwykła normalizacja, po której nic nie nastąpi, doprowadzi w końcu do większego jeszcze zaostrzenia stosunków, czego należy uniknąć. Polska i Litwa muszą więc się uprzednio rozmówić przez upoważnionych delegatów, a do tego potrzebna jest konkretna propozycja ze strony Rządu polskiego. Ze swojej strony używałem tych samych argumentów, co w rozmowach poprzednich, ale p. Nawakas wciąż powracał z uporem do swojej tezy.

W zakończeniu rozmowy p. Nawakas tłumaczył mi swoją politykę kłajpedzką, twierdząc, że akcją wykorzystania wpływów niemieckich na powierzonym mu terenie zdecydowany jest doprowadzić do końca konsekwentnie i stanowczo.

Z kilku rozmów z p. Zubowem wynioskowałem, że pragnie on gorąco przyczynić się do normalizacji i że będzie w dalszym ciągu usilnie nad tym pracował. Sytuację w chwili obecnej uważa za gorszą niż za czasu jego pobytu w Polsce, głównie z powodu akcji sowiecko-francuskiej. Jednakowoż nie traci nadziei, że sytuacja może się zmienić w niezbyt oddalonej przyszłości. Nosi się on z zamiarem wystąpienia w prasie, po uprzednim porozumieniu z czynnikami rządowymi litewskimi, z artykułem precyzującym tezy obydwu rządów i zawierającym pytanie, dlaczego Litwa nie ma spróbować nawiązania stosunków normalnych z Polską nawet bez uprzednich ustępstw, w nadziei, że znormalizowane stosunki doprowadzą potem do sytuacji korzystniejszej dla Litwy.

P. Zubow pragnie, aby jego chęć dalszej pracy nad normalizacją stosunków polsko-litewskich była w Warszawie wiadoma, a zwłaszcza, aby o niej dowiedział się Pan Marszałek.

Warszawa, dn. 3. VIII 34

Anatol MÜHLSTEIN

DOKUMENTY

KOMITET OBRONY PAŃSTWA

Przewrót majowy pociągnął za sobą nie tylko głębokie zmiany polityczne, ale również poważną reorganizację naczelných władz wojskowych. Tocząca się przed majem 1926 r. zacięta walka polityczna o ich kształt znalazła tym samym finał w przyjęciu rozwiązań forsowanych przez Marszałka. Znalazło to wyraz w ogłoszonym 6 VIII 1926 r. dekrete prezydenta Mościckiego, który ustanawiał urząd Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i regulował zasady dowodzenia siłami zbrojnymi w okresie pokoju¹.

25 X 1926 r. ukazało się rozporządzenie prezydenta powołujące do życia nową instytucję — Komitet Obrony Państwa². W jego skład wejść mieli:

— Prezydent Rzeczypospolitej, równocześnie przewodniczący KOP;

— prezes Rady Ministrów, równocześnie z-ca przewodniczącego;

1. Organizacja najwyższych władz wojskowych została dokładniej opisana m.in. w: *Zarys dziejów wojskowości polskiej w latach 1864–1939*, Warszawa 1990.

2. *Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 25 października 1926 r. o utworzeniu Komitetu Obrony Państwa*, *Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej*, nr 108, 30 X 1926 r. poz. 633.

— ministrowie: spraw wojskowych, spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych i skarbu;

— Generalny Inspektor Sił Zbrojnych.

W wypadku, gdyby zakres dyskutowanych problemów obejmował sprawy podlegające kompetencji innych ministrów, mogli oni na wezwanie przewodniczącego brać udział w pracach KOP na takich samych zasadach, jak jego stali członkowie. W wypadkach szczególnych prezydent, na wniosek Rady Ministrów, mógł powołać do Komitetu jeszcze inne osoby³.

Skład Komitetu był więc płynny, uzależniony od fluktuacji na stanowiskach ministerialnych. O większej stałości można jedynie mówić w przypadku prezydenta i Generalnego Inspektora.

Zakres działań Komitetu określono jako *rozpatrywanie zagadnień, dotyczących obrony Państwa i opracowanie wytycznych dla mobilizacyjnego zorganizowania sił Państwa*.

W szczególności Komitet Obrony Państwa:

1) *opracowuje dla Rządu wnioski dotyczące:*

a) *ogólnego programu prac w zakresie przygotowania obrony państwa;*

b) *projektów ustaw w sprawach dotyczących obrony Państwa;*

2) *wydaje opinie w sprawach, które posiadają większą doniosłość dla obrony Państwa, a należą do zakresu działania kilku ministrów i uzgadnia ich stanowiska*⁴.

Jak z tego wynika Komitet nie był ciałem decyzyjnym, kształtującym bezpośrednio normy prawne i organizacyjne, dotyczące obronności, miał spełniać natomiast funkcje koordynacyjne i opiniodawcze, uzgadniając pracę resortów decydujących o stanie obrony państwa. Wnioski i opinie Komitetu przedstawiano Radzie Ministrów, która dopiero nadawała im moc obowiązującą. Prawo zwoływania posiedzeń Komitetu przysługiwało prezydentowi z własnej woli, bądź na wniosek ministra spraw wojskowych lub Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Każdy z ministrów, wchodzących w skład Komitetu, miał prawo wyrażenia swojego sprzeciwu wobec jego uchwał, który stawał się następnie przedmiotem rozstrzygnięcia Rady Ministrów. W wypadku braku takowego (tj. sprzeciwu),

3. *Rozporządzenie...*

4. *Op.cit.*

zapadłe uchwały zyskiwały moc obowiązującą. Głównym referentem zagadnień stanowiących przedmiot obrad był z urzędu Generalny Inspektor Sił Zbrojnych; bez wysłuchania jego opinii Komitet nie mógł podjąć prawomocnej uchwały⁵.

Komitet Obrony Państwa okazał się w praktyce organem najzupełniej fasadowym i martwym. Nie odegrał on żadnej roli w podnoszeniu stanu obronności kraju, co zresztą nie powinno budzić zbyt wielkiego zdziwienia w sytuacji zdominowania pola decyzyjnego w powyższych kwestiach przez marsz. Piłsudskiego, łączącego w swych rękach funkcje ministra spraw wojskowych i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Omawiana instytucja funkcjonowała niespełna dziesięć lat — do ukazania się dekretu z 9 V 1936 r., powołującego nowy organ — Komitet Obrony Rzeczypospolitej⁶. W okresie swego istnienia KOP zebrał się najprawdopodobniej zaledwie na jednym posiedzeniu w dniu 23 XI 1926 r.⁷ Publikowany dokument jest właśnie protokołem jedyne go posiedzenia Komitetu. Oryginał znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie k. Warszawy, pod sygnaturą 302.1.1. Zachowano oryginalny układ tekstu, drobne zmiany dotyczą jedynie pisowni niektórych wyrazów oraz interpunkcji; brak również strony tytułowej, zawierającej następujący tekst:

Tajemnica Państwowa
Trzymać w kasie żelaznej

Protokół 1-go Posiedzenia
Komitetu Obrony Państwa
Dnia 23 listopada 1926

5. *Rozporządzenie...*

6. *Zarys...*, s. 622–624.

7. *Zarys...*, s. 510. Własne poszukiwania autora w Centralnym Archiwum Wojskowym wydają się potwierdzać to przypuszczenie.

Komitet Obrony Państwa

PROTOKÓŁ
PIERWSZEGO POSIEDZENIA KOMITETU OBRONY
PAŃSTWA ODBYTEGO DNIA 23 XI 1926
NA ZAMKU KRÓLEWSKIM POD PRZEWODNICTWEM
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ
IGNACEGO MOŚCICKIEGO

Początek posiedzenia godzina 17.15

- Obecni: 1) Marszałek Polski Józef Piłsudski jako Generalny Inspektor Sił Zbrojnych i Minister Spraw Wojskowych;
- 2) Wicepremier Kazimierz Bartel w charakterze Prezesa Rady Ministrów;
- 3) Minister Spraw Zagranicznych August Zaleski;
- 4) Minister Spraw Wewnętrznych Sławoj-Składkowski;
- 5) Minister Skarbu Gabriel Czechowicz;

Protokołują: mjr S. G. Wojciech Fyda, z-ca Szefa Gab. Wojsk Prez. Rzeczyposp. i
mjr Aleksander Prystor, kier. sam. ref. pers.
Gen. Insp. Sił Zbr.

Posiedzenie otwiera Prezydent Rzeczypospolitej, udzielając głosu Marsz. Piłsudskiemu jako głównemu referentowi Komitetu Obrony Państwa.

Marsz. Piłsudski proponuje następujący porządek dzienny:

I) Sprawozdanie Gen. Inspektora Sił Zbrojnych o pogotowiu bojowym wojska.

II) Przegląd międzynarodowej sytuacji pod kątem widzenia Obrony Państwa.

III) Zagadnienia:

a) wymiany więźniów z Sowiecami;

b) likwidacji majątków niemieckich.

Zaproponowany porządek dzienny bez zmian przyjęto. Na wniosek wicepremiera Bartla Pan Prezydent zastrzega bezwzględną tajność obrad.

PRZEBIEG POSIEDZENIA

1) Sprawozdanie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Referuje Marsz. Piłsudski.

a. Gotowość bojowa Sił Zbrojnych.

Jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny a później Przewodniczący Ścisłej Rady Wojennej i Szef Sztabu Generalnego miał Marsz. Piłsudski możliwość wnikać i rozpatrywać zagadnienia obrony państwa, zapoczątkowując wówczas cały szereg prac nad celowym przygotowaniem tej obrony.

Obecnie po powrocie do służby państwowej konstatuje rozmyślne zepsucie i spaczenie prawie wszystkich prac przez Niego swego czasu zapoczątkowanych. W czasie Jego nieobecności w wojsku, zagadnienia obrony państwa rozpatrywano jedynie pod kątem widzenia wygód osobistych różnych jednostek. Wprowadzono w tym czasie w życie zasady, przeciwko którym Marszałek stale występował. Ludzie, których Marszałek usunął poza nawias wrócili na wysokie stanowiska — w obsadach stanowisk w wojsku przestrzegano czystej linii starszeństwa, co dało przewagę w wojsku niebojowemu elementowi. Bojowy i doświadczony w wojnie element poszedł na szary koniec. Pod tym kątem widzenia ustalano zasady obrony państwa.

Ten stan rzeczy w krótkim czasie naprawić się nie da — na naprawę tych spaczonych prac potrzeba roku czasu.

Wobec ubóstwa państwa uznano [za] bezmyślne⁸ hasła rozbudowy czegoś, co nie mogło być w rzeczywistości rozbudowane. Rozkrzyczano dla efektu zewnętrznego⁹ rozbudowę lotnictwa — nakupiono za granicą masę płatowców, by przy tym zarobić, ale nie pomyślano o niezbędnych urządzeniach lotniczych (hangary, warsztaty, uzbrojenie), wskutek czego dziś ten drogi sprzęt niszczeje.

To samo dotyczy z wielkim hałasem rozbudowanej kawalerii, którą powiększono o 10 pułków, ale przez to nie ma dziś ani jednego pułku gotowego bojowo.

Marszałek stoi dziś wobec pytania, czy nie sprzedać części płatowców, czy nie zredukować części kawalerii.

8. W oryginale: „(...) uznano bezmyślnie (...)”.

9. W oryginale: „(...) na efekt zewnętrzny (...)”.

Również obliczenia ilościowe artylerii nie odpowiadają realnym wymaganiom, ani w czasie ani w przestrzeni — mamy za mało zaprzężanych armat, które mogą wyjść w pole.

Podobnie postawiona jest nierzeczowo sprawa mobilizacji personalnej. W dziedzinie obrony państwa zrobiono szkodliwe oszczędności, a folgowano okrzyczanym fikcjom wojennym.

Na naprawę spaczonych w wojsku stosunków i wybrnięcie z popełnionych błędów potrzeba przynajmniej roku czasu.

Wobec tego stanu rzeczy, jaki zastał po powrocie do wojska, Marsz. Piłsudski oświadcza, że składa z siebie odpowiedzialność za pełny stan obrony państwa na przeciąg jednego roku, co w razie zbrojnego konfliktu byłby zmuszony ogłosić.

b. Zachowanie tajności prac związanych z obroną państwa.

Nawiązując do zobowiązania przez Pana Prezydenta członków posiedzenia o zachowaniu tajemnicy, stwierdza Marsz. Piłsudski na podstawie swego doświadczenia i osobistego przeświadczenia, że za zdradę tajemnic państwowych nie potrzeba w Polsce drogo płacić. Najślabszą stroną Polski są rozgadane i rozpuszczone języki, które stanowią podkład zdrady w najszerszym słowa znaczeniu. Nieraz przedsięwzięcia Marszałka w czasie wojny wisiały na włosku, z powodu musu zbyt długiego zachowywania ich przed własnym sztabem w tajemnicy, co z natury rzeczy musiało się odbić ujemnie na należyтым przygotowaniu operacji.

Na dowód cytuje Marszałek kilka przykładów:

Wyprawę na Wilno konspirował Marszałek nawet przed własnym bratem, za co tenże robił mu wyrzuty, że ukrywa przed nim rzeczy, o których opowiadała mu już kucharka. Pewien oficer niemieckiego biura wywiadowczego chwalił się, że na wywiad we Francji nie potrzebował nigdy dużo pieniędzy, bo *gros* wiadomości dostawał za darmo, czytając w gazetach rozprawy i sprawozdania sejmowe.

Niemcy natomiast umieli zakonspirować całe korpusy, bijące się na froncie przez kilka miesięcy, o których naczelne dowództwo francuskie nic nie wiedziało.

Z powodu naszych rozpuszczonych języków cudzoziemcy przyzwyczaili się traktować Polskę jako państwo, które nie ma prawa mieć swoich tajemnic.

Jest to wielka słabość Polski i na ten punkt zwraca Mar-

szątek szczególną uwagę, apelując do Panów Ministrów, by Mu dopomogli w jego usiłowaniach zachowania tajemnicy i komunikując równocześnie, że ze swej strony wprowadził w Generalnym Inspektoracie dla generałów i oficerów pracujących w rzeczach tajnych przysięgę religijną.

c. Zdrada Polski za pieniądze.

Na podstawie całego szeregu pośrednich faktów, nie mógł i nie może Marszałek oswobodzić się od wrażenia, że Polska jest zdradzana za pieniądze, gdzieś bardzo wysoko w państwie. Jest faktem, że przez stosunki międzynarodowe nasze tajemnice państwowe dochodzą do wiadomości naszych sąsiadów.

Da się to uzasadnić historią powstania Polski. Cały szereg ludzi zajmujących w państwie naszym wysokie stanowiska przeszedł przez służbę szpiegowską u obcych — nasze partie polityczne¹⁰ jak Nacz. Kom. Nar., Komitet Narodowy i inne, szpiegowały płatnie na rzecz obcych — nawiązane wówczas kontakty pozostają do dziś dnia niezzerwane — wypłacane wówczas rachunki znajdują się do dziś dnia w *dossier* obcych gabinetów.

Marszałek apeluje do Panów Ministrów, by zechcieli dopomóc Mu w wykrywaniu źródeł zdrady, a specjalnie prosi Ministra Skarbu o śledzenie pieniędzy szpiegowskich, płynących z Niemiec i Rosji. Aczkolwiek [*Marszałek*] wie o tym, że to są rzeczy trudne i delikatne, jednak stała czujność i bacność przez dłuższy okres czasu musi dać dobre wyniki.

Pan Prezydent zwraca uwagę i podkreśla, że przez wyczucia w danym kierunku i odpowiednią reakcję, można w dużej mierze zabezpieczyć się przed zdradą.

Marszałek w dalszym ciągu stwierdza, że w czasie kiedy był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, w sprawach, które były tajemnicą państwa podnosił się akurat w odpowiedniej chwili odpowiedni krzyk, który w robocie bardzo przeszkadzał.

Reasumując swe wywody, Marszałek oświadcza i podkreśla, że:

1. Będąc obecnie odpowiedzialny za obronę, w ciągu roku nie bierze na siebie całkowitej odpowiedzialności, ponieważ

10. Tak w oryginale. Piłsudskiemu chodziło zapewne o Naczelnny Komitet Narodowy i Komitet Narodowy Polski, oraz tworzące je ugrupowania.

nie potrafi od razu naprawić wszystkiego, co zostało rozmyślnie popsute po jego odejściu z wojska. Dzisiejszy elaborat mob. tak jest sporządzony, że Polska już w 5-tym dniu mobilizacji nie wytrzyma skutków tych zarządzeń (np. w pierwszych dniach mob. przychodzi do Warszawy 23.000 koni, co musi wprowadzić bardzo duże zamieszanie i duża ilość koni musi paść. Marszałek przestrzegał przed tym specjalnie przy próbnej mobilizacji 21 pp. lecz wskazówek Jego w następnych opracowaniach wcale nie uwzględniono).

2. Słabością Polski są rozpuszczone języki i należy dołożyć wszelkich starań, by zachować w tajemnicy sprawy obrony państwa.

3. Na wysokich stanowiskach w państwie istnieje zdrada Polski za pieniądze, którą przez ciągłą i baczną obserwację należy wykryć.

Innych kwestii Marszałek na razie nie porusza — podkreśla tylko konieczność współpracy w sprawach obrony państwa z innymi dykasteriami¹¹, jak z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, Ministerstwem Komunikacji, Dyrekcją Poczty i Telegrafów i Ministerstwem Skarbu. Specjalnie Ministra Skarbu prosi Marszałek o zapoczątkowanie, choćby zarysu, Planu Mobilizacji Finansów na wypadek wojny, kiedy zajdzie potrzeba wyposażyć w pieniądze kasy oddziałów, nastąpi zwyczajka cen, kiedy odpłynie kapitał z terenów pogranicznych itp.

Minister Zaleski zauważa, że pieniądze zbrodnicze przyplwają do Polski dla dwóch celów — szpiegowskich i celów partyjnych. Przed zbliżającą się kampanią wyborczą już dziś pewne stronnictwa zabiegają o kapitały obce (Piastowcy w Czechach). Przypuszczenie to potwierdza również Wicepremier Bartel. Dowodów na to Minister Zaleski konkretnych nie posiada, ale ma silne poszlaki.

Marszałek Piłsudski wspomina, że Czesi w czasie wojny pracowali przeciwko nam przez podrzucanie fałszywych dokumentów, lecz dokumenty te fałszowali bardzo niedołąźnie. To samo robili i Niemcy za pośrednictwem Korfanteo, i trzeba przyznać, że niemieckie dokumenty były bardzo sprytnie podrabiane.

11. *Dykasteria* (...) sąd, władza; 1. hist. w starożytnych Atenach — jedna z dziesięciu sekcji sądu przysięgłych. 2. daw. oddział, instancja sądu, urzędu administracyjnego (Słownik Wyrazów Obcych, PWN, Warszawa 1990). Tu w znaczeniu: część Rady Ministrów, resort.

Minister Zaleski zauważa dalej, że w Narodowej Demokracji przyjął się jakby zwyczaj, że są agentami Francji. Jest faktem, że Nar. Dem. brała pieniądze od rządu francuskiego przez Komitet Narodowy na cele szpiegowskie, które rząd polski musiał później zwracać — posuwała się nawet w stosunku do rodaków do aktów prowokacji (zamach w Londynie), co stwierdziła oficjalnie policja angielska. Minister Zaleski przyobiecuje sprawdzać i śledzić te poszlaki w podległych sobie urzędach, lecz zauważa, że jest to rzecz nadzwyczaj trudna.

Marszałek Piłsudski konkluduje, że wspólny wysiłek odnośnych resortów ministerialnych da na pewno duże rezultaty w kierunku zmniejszenia zdrad.

Na tym punkt pierwszy porządku dziennego wyczerpano.

II. Przegląd międzynarodowej sytuacji pod kątem widzenia obrony państwa.

Referuje Marsz. Piłsudski.

Od czasu zawarcia pokoju zaszły w Europie duże zmiany, które Marszałek rozpatruje pod kątem widzenia obrony państwa. Każda wojna jest jakby trzęsieniem ziemi, które kreśli swe znaki seismograficzne nie tylko tam, gdzie się krew leje, ale i na całym świecie. Wiemy, iż pomimo zawartego pokoju — wojny istnieją: zajęcie Ruhry, Kłajpeda, Turcja, Chiny — wojny zwiastujące burze i dla innych państw.

Anglia. Najbardziej seismograficznym pod tym względem państwem jest Anglia z jej wszechświatową potęgą i ścierającymi się na całym świecie najróżniejszymi interesami. Pomimo pokoju Anglia rok w rok prowadzi gdzieś wojnę. Po wojnie światowej wpływy jej rozszerzyły się jeszcze bardziej przez wciągnięcie w orbitę swych interesów zagarniętych kolonii niemieckich. Anglia wszędzie posiada swe dominia i kolonie, w których jest zawsze dość powodów do różnych tarć.

W rywalizacji o hegemonię swego pieniądza spotyka Anglia drugą potęgę światową — Amerykę, której interesy życiowe raz idą wspólnie — drugi raz się rozchodzą.

Tę okoliczność należy stale mieć na uwadze, gdyż od wspólnoty czy nie wspólnoty interesów anglo-amerykańskich zależy pokój wielu państw. Płaszczyna tarcia tych interesów

może spowodować, że sejsmografy ich zaczną działać i w Europie. Związane to jest z hegemonią angielskiego pieniądza, który jest zdrowy, podczas gdy cała Europa ma chory pieniądz.

Do metody i systemu polityki angielskiej należy, że wywiera swój nacisk na różne państwa za pośrednictwem ich sąsiadów. My mamy sąsiadów Niemcy, Rosję i Litwę. W stosunku do nas karała nas Anglia niejednokrotnie, wywołując inspirowane przez siebie podniecenia, za pomocą Niemiec bądź Rosji. Lecz Anglia w tych podnięciach wojennych nigdy nie chce pójść za daleko, bo się sama wojny boi więcej niż my. Od Anglii możemy mieć na naszym odcinku duże przykrości, lecz poddawać się im nie należy, gdyż możemy być pewni, że Anglia nas tylko straszy.

Włochy. Jeśli sejsmograf światowy zatrzęsie się, to najprędzej z powodu Włoch. Włosi uważają się za pokrzywdzonych, bo nie otrzymali żadnych kolonii, a mają silne prze-ludnienie, dla którego muszą znaleźć upust. Są źli na świat i gotowi są pójść na wszelkie ekstrawagancje, zwłaszcza przy Mussolinim, który będąc wielkim aktorem, gra wysoką stawkę schlebiania ambicji swego narodu.

Wpływy jego sięgają do Rosji i na wschód.

Z punktu widzenia obrony państwa — Włochy należy bacznie obserwować.

Niemcy. Po głębokiej analizie Marszałek nie widzi możliwości, by Niemcy w tej generacji mogły zaatakować nas lub kogokolwiek. Niemcy nie są na razie zdolne do jakichkolwiek wystąpień zbrojnych — do tego jeszcze z każdym rokiem słabną, bo się demobilizują technicznie i moralnie. Niemcy nie mają dziś możliwości postawić pod broń wielkiej ilości ludzi — chyba że zmienią się metody wojny. Na razie metody wojny zostają niezmienione — gdy się zmienią, można będzie ocenę tę poddać rewizji. Przez wejście Niemiec do Ligi Narodów możliwość wojny z Niemcami zmniejsza się, zwiększa się natomiast przez częściową demobilizację Francji, spowodowaną trudnościami finansowymi państwa. Marszałek proponuje przeprowadzenie szczegółowej dyskusji na ten temat na jednym z posiedzeń i zapowiada bliższe udowodnienie swej tezy.

Litwa. Inaczej jest z Litwą. Litwa pozostaje z nami do dziś dnia jednostronnie na stopie wojennej — jest to swego ro-

dzaju jedyna anomalia w Europie. Marszałek mógł ten stan usunąć w 1920 r., kiedy prowadził ofensywę nad Niemnem, ale nie chciał stwarzać między Polską a Litwą tradycji krwi.

Litwa w naszych kombinacjach wojennych na wschód czy na zachód, stanowi zawsze naszą lewą albo prawą flankę, której zabezpieczenie wymaga z naszej strony pewnej ilości sił. Marszałek wprowadził obecnie przy pracach na front wschodni czy zachodni — jako mus dodatkowo zagrożenie ze strony Litwy, gdyż nieliczenie się wojskowe i polityczne z Litwą może doprowadzić do ciężkich konsekwencji.

Rosja. Jeśli nasz sejsmograf zatrzęsie się, to przede wszystkim ze strony Rosji. W Rosji ogromna przewaga ludności wojny nie chce, jak zresztą i na całym świecie. Ludność Rosji jest przemęczona — najwięcej straciła w czasie wojny — do tego przeżyła jeszcze rewolucję.

Nie można powiedzieć, że Rosja jest w stanie przez dłuższy czas prowadzić wojnę — jednak pomimo to ciągle wojny prowadzi: Chiny, Indie, Polska, Państwa Bałtyckie.

W Rosji jest grupa ludzi, którzy żyć spokojnie nie mogą. Ludzie ci, tworzący górne warstwy państwa, są w stanie poruszyć i poprowadzić Rosję dokąd zechcą. Ten element stanowi duże niebezpieczeństwo wszelkich niespodzianek, z którymi trzeba się poważnie liczyć.

Ludzie niespokojni w Rosji będą nas szukać, bo Rosja w stosunku do nas może dochodzić swego rewanzu — chociaż dzisiejsze czynniki miarodajne zapewniają, że tego rewanzu nie chcą.

Jednak wewnętrzne tarcia w partii i kryzys wiary w bolszewizm mogą łatwo spowodować chęć wybrnięcia z tej sytuacji przez wypowiedzenie nam wojny.

Na razie bolszewicy pracują nad rozkładem wewnętrznym naszego państwa i to jest ich stała praca.

Anglia w stosunku do Rosji prowadzi bardzo skrupulatnie system okrążania i izolowania Rosji. Rosja natomiast stale szuka jednego ze swoich czterech frontów, to jest: angielskiego na wschodzie, polskiego, bałtyckiego i rumuńskiego.

Na razie na naszym froncie pracy tej nie daje się odczuwać — chwilowo mamy spokój — należy się jednak spodziewać, że nacisk ten i na nasz front przyjdzie.

Streszczając swe wywody Marszałek podkreśla:

1. Należy zwracać baczną uwagę na Anglię i jej politykę egoistyczną, dążącą na całym świecie do hegemonii swego pie-

niądza oraz na angielski system okrażania Rosji.

2. Niemcy w tej generacji nie są zdolne prowadzić z nami wojny.

3. Natomiast z Rosją i Litwą możliwość wojny istnieje.

Minister Zaleski dla pełności obrazu referuje stronę prawną naszych granic:

Na sześć granic państw sąsiadujących z nami posiadamy:

z Rosją granicę prawną określoną traktatem ryskim,

z Niemcami granicę prawną określoną traktatem wersalskim i plebiscytami,

z Łotwą granicę faktyczną, prawnej nie posiadamy,

z Litwą granicę półprawną — uznawaną z naszej strony nie uznawaną przez Litwinów,

z Czechosłowacją i Rumunią granicę faktyczną, bośmy nie podpisali w swoim czasie traktatu w Sevres, ze względu na ustępy traktatu tyczące Wschodniej Małopolski.

Pomimo to przystępujemy na południu do wytyczenia w terenie granicy, przewidując ukończenie tych prac:

z Czechami do końca 1927 roku, z Rumunią do końca 1928 r.

Na tym punkt drugi porządku dziennego wyczerpano.

III. Dwa zagadnienia.

a. wymiana więźniów z Sowietami.

referuje *Minister Zaleski*:

Na podstawie traktatu ryskiego mamy przeprowadzić z Sowietami jeszcze jedną wymianę jeńców wojennych. Prawnie przysługuje nam wymiana naszych obywateli za obywateli rosyjskich.

Sowiety proponują w tej ostatniej kolejce wymianę 9 polskich więźniów komunistów obywateli polskich za 32 rosyjskich więźniów Polaków obywateli rosyjskich, z których 21 jest skazanych przez sądy bolszewickie na karę śmierci. Między dziewięciu komunistami znajduje się tylko jedno nazwisko (kilkakrotny szpieg), które może wywołać w społeczeństwie nieprzyjemny posmak. *Minister Zaleski* prosi o zastanowienie się nad tą sprawą.

Marszałek Piłsudski zapytuje się, czy można zmusić tych komunistów do zrzeczenia się obywatelstwa polskiego.

Minister Zaleski przyobiecuje działać w tym kierunku.

Komitet Obrony Państwa biorąc pod uwagę, że wymiana odbywa się na podstawie traktatu i po raz ostatni, uchwała wymianę tę przeprowadzić.

b. Likwidacja majątków niemieckich.

Referuje Minister Zaleski:

Według traktatu wersalskiego możemy zlikwidować jeszcze 7 dominiów niemieckich i około 250 osad chłopskich, z ogólną ilością ziemi około dwudziestu kilku tysięcy hektarów. Rząd niemiecki zaproponował rządowi polskiemu wstrzymać tę likwidację na dwa miesiące z wyjątkiem majątków gdzie już jest zainteresowana osoba trzecia. Za to rząd niemiecki podejmuje się wpłynąć na swych obywateli, by wycofali skargi na Polskę z Trybunału Haskiego o niską zapłatę zlikwidowanych już majątków, wyrażającą się w globalnej sumie 400 mili[onów] fr.fr.

Minister Zaleski prosi w tej sprawie o decyzję.

Marszałek Piłsudski zapytuje czy Minister Skarbu może zmniejszyć etaty Komisji Likwidacyjnej, gdyż jego zdaniem Niemcom chodzi głównie o zlikwidowanie tej komisji.

Minister Czechowicz oświadcza, że w tym miesiącu zmniejszył już etaty komisji o 10%, a do końca roku zmniejszy o 20%.

Wicepremier Bartel żąda przeniesienia biura Komisji Likwidacyjnej do Ministerstwa Skarbu, z zachowaniem w dalszym ciągu nazwy tego urzędu. Należy bowiem mieć na uwadze, że likwidację Komisji Likwidacyjnej można będzie wygrać w swoim czasie jako atut w stosunku do Niemiec.

Minister Czechowicz godzi się na przeniesienie biur komisji do swego ministerstwa.

Marszałek Piłsudski aprobując wywody wicepremiera Bartla konkluduje, że w sprawie propozycji niemieckiej należy podtrzymać próbę dalszych pertraktacji i odnośne kroki poczynić przed szóstym grudnia, by na Zebranie Ligi Narodów mieć z naszej strony dowody dobrej woli.

Na tym porządek posiedzenia wyczerpano, które Pan Prezydent zamknął o godz. 19.30.

OPERACJA „SEJM”

Przebywając w listopadzie 1991 r. w Wilnie zostałem jako pierwszy historyk z Polski dopuszczony do akt NKWD, przechowywanych w tamtejszym Centralnym Archiwum Państwowym Republiki Litewskiej (CAP RL). Przeprowadziłem dużą kwerendę, usiłując wyłuskać wszelkie informacje dotyczące zwalczania przez sowieckie organa bezpieczeństwa polskiego podziemia, polityki w stosunku do społeczeństwa polskiego, w tym też — co jest chyba najistotniejsze, a najmniej znane — mechanizmu sowieckiego terroru. Wśród wielu innych dokumentów udało odnaleźć się dwa bardzo istotne: rozkaz zastępcy Ławrentija Berii, gen. Borysa Kobułowa, nakazujący przygotowanie się odpowiednich pionów NKGB (*Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*) — Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego) Litewskiej, Białoruskiej i Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej do rozpracowywania polskiego podziemia oraz plan podjęcia odpowiednich działań operacyjnych przez Grupę Operacyjną NKGB Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Kopia rozkazu przesłana została do zarządu wojskowego kontrwywiadu, tzw. „Smierszu” (nazwa wywodziła się od słów *Smiert szpionam* — śmierć szpiegom), który współdziałał potem przy likwidacji struktur polskiego podziemia.

Podpisujący ten rozkaz gen. B. Kołubow jest postacią bardzo mało znaną. W 1939 r. był radcą ambasady sowieckiej w Berlinie; nie wiemy co robił wcześniej i w jaki sposób trafił do dyplomacji. Już jednak w 1940 r. pracował w aparacie terroru; w dniu 5 III 1940 r. Stalin i pozostali członkowie Biura Politycznego WKP(b) zaakceptowali wniosek Ł. Berii o zgładzenie polskich oficerów przetrzymywanych w obozach w Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkowie i innych miejscach. B. Kobułow, Wsiewołod Mierkułow (zastępca Ł. Berii) i Basztakow weszli w skład „trójki” NKWD, która miała rozpatrzyć sprawy polskich jeńców i podjąć decyzję wykonania na nich „wyroku śmierci”. Należy uważać go więc za jednego z tych ludobójców, którzy odpowiedzialni są za wymordowanie pol-

skich jeńców w ZSSR. Pełnił potem funkcję zastępcy Ł. Berii, zaś po jego aresztowaniu 26 VI 1953 r. i on (obok W. Mierkułowa i około trzydziestu innych najbliższych jego współpracowników) został aresztowany i w grudniu 1953 r. rozstrzelany¹.

Autorem drugiego dokumentu jest Guzjaviczius. Był to dziennikarz, który od czerwca 1940 do czerwca 1941 r. w stopniu majora, a potem st. mjr. bezpieczeństwa państwowego stał na czele NKWD Litewskiej SSR. Poprzednio nie pracował w sowieckich organach bezpieczeństwa; objął tak wysokie stanowisko, ponieważ „nie wypadło”, aby resortem spraw wewnętrznych Litwy Sowieckiej kierował ktoś nie będący Litwinem. Główną rolę odgrywał w nim jego pierwszy zastępca, a od lutego 1941 r. ludowy komisarz bezpieczeństwa państwowego Litewskiej SSR, mjr/st. mjr Gładkow (później rozstrzelany we wspomnianej grupie najbliższych współpracowników Ł. Berii). Z racji zajmowanego stanowiska Guzjaviczius był współodpowiedzialny za deportacje ludności w głąb ZSSR. Następnie w stopniu komisarza (generała) bezpieczeństwa państwowego kierował pracującą w Moskwie Grupą Operacyjną Litewskiej SSR, po czym po zajęciu Litwy przez Armię Czerwoną powrócił na poprzednio zajmowane stanowisko. Niedługo potem został jednak usunięty z pracy w organach bezpieczeństwa i poświęcił się działalności literackiej. Zmarł na Litwie w latach 70-tych.

Operacja likwidacji polskiego podziemia nosiła kryptonim „Sejm” — nie pochodził on jednak od nazwy polskiego parlamentu, lecz od rzeki Sejm, płynącej przez południową Rosję i północną Ukrainę, nad którą m.in. leży Kursk. Podobnego geograficznego kryptonimu użyto na określenie operacji przeciw ugrupowaniom ukraińskim (OUN-UPA) — „Worskła”. Publikowane poniżej dokumenty ujawniają nieznaną do tej pory kryptonim tej operacji i datę rozpoczęcia przygotowań do niej, a której ofiarą padły tysiące żołnierzy Armii Krajowej oraz pierwsze, ogólnikowe jeszcze zamierzenia operacyjne. Możemy również wyciągnąć wnioski o wiedzy sowieckich organów bezpieczeństwa o stanie polskiego podziemia na Wileńszczyźnie. Wydaje się, że w tym czasie (styczeń i luty 1944 r.) była ona stosunkowo niewielka; brak szczegółowych danych o ludziach i strukturze organizacyjnej,

1. R. Badowski, „Oprawcy polskich oficerów”, *Przegląd Tygodniowy*, 1992, nr 43; N. Pietrow, „Cień Sierowa”, *Karta*, 1992, nr 9, s. 83.

a nawet niektóre informacje są błędne. Świadczą o tym też inne dokumenty, przechowywane w tej samej teczce, a wśród nich raporty sowieckich grup wywiadowczych z Wileńszczyzny. Trzeba więc zastanowić się powtórnie nad niektórymi kwestiami, jak na przykład, czy późniejsze, powojenne już zarzuty pod adresem zastępcy dowódcy Okręgu AK Wilno, płk. Lubosława Krzeszowskiego, że współpracował z wywiadem sowieckim, zostały należycie umotywowane. Należy żywić nadzieję, że udostępnienie polskim historykom całości akt operacji „Sejm” pozwoli odtworzyć te tragiczne wydarzenia, w wyniku których przestało istnieć Polskie Państwo Podziemne.

Nr 1

Ścisłe tajne

Do komisarzy ludowych Bezpieczeństwa Państwowego Ukrainskiej, Białoruskiej i Litewskiej SSR².

Kopia: Do naczelnika Głównego Zarządu Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Obrony „Smiersz”.

NKGB ZSSR posiada dane o tym, że tak zwany polski rząd emigracyjny w Londynie w okresie 1941-1943 r. zorganizował na terenie zachodnich obwodów Ukrainy, Białorusi i obwodu wileńskiego Litewskiej SSR nielegalne nacjonalistyczne organizacje, szkieletem których są uczestnicy polskich partii burżuazyjnych, wojskowych ugrupowań („Stronnictwo Ludowe”, „Stronnictwo Narodowe”, „OZON”, „POW”³, PPS, ZWZ i inne) i byli oficerowie armii polskiej.

Wiadomo, że niektóre ognia tych organizacji zgodnie z wytycznymi polskiego rządu emigracyjnego prowadzą walkę zbrojną z [sowieckimi — przyp. GM] partyzantami i przeprowadzają aktywną antysowiecką agitację wśród miejscowej ludności.

W miarę posuwania się oddziałów Armii Czerwonej na tereny zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi, a także w

2. Na marginesie nieczytelna adnotacja.

3. „OZON” (Obóz Zjednoczenia Narodowego) nie istniał od września 1939 r., a „POW” (Polska Organizacja Wojskowa) od zakończenia I wojny światowej i wojny polsko-sowieckiej 1920 r. Do POW nawiązywały różne organizacje konspiracyjne z okresu II wojny światowej, ale żadna z nich nie używała tej nazwy. Wymienienie w tym miejscu tych dwóch organizacji świadczy o kiepskiej — wtedy, w początkach 1944 r. — orientacji sowieckich organów bezpieczeństwa w życiu politycznym polskiego podziemia.

te rejony republik nadbałtyckich, gdzie jest polska ludność — polskie organizacje nacjonalistyczne kierowane przez rząd londyński poprzez wysłanych na te tereny emisariuszy aktywizują swoją antysowiecką działalność i prowadzą przygotowania do zorganizowania zbrojnego wystąpienia przeciw Armii Czerwonej.

Biorąc pod uwagę doświadczenie w walce z polskim podziemiem nacjonalistycznym w latach 1939-1941, a także antysowiecki charakter działalności polskich nacjonalistycznych organizacji w poprzednim okresie — NKGB ZSSR w pracy nad Polakami proponuje kierować się niżej przedłożonymi propozycjami:

1. Wykryć i zewindencjonować na oswobodzonym terytorium wszystkie działające nielegalnie polskie organizacje nacjonalistyczne i zorganizować ich aktywne rozpracowanie wywiadowcze.

Założyć ewidencyjne formularze wszystkich kierowników organizacji, przebywających na nielegalnej stopie, emisariuszy i łączników i na operacyjną ewidencję wszystkich uczestników wykrytych organizacji, a także otoczenie będące ich bazą (duchowieństwo katolickie, oficerowie, członkowie byłych partii politycznych, bliscy krewni represjonowanych przez organa NKGB i inni).

2. W wykrytych organizacjach poddawać aresztowaniu w pierwszej kolejności kadrę kierowniczą i osoby, które prowadziły aktywną walkę z partyzantami, które przygotowują wystąpienia zbrojne przeciw władzy sowieckiej, prowadzą aktywną antysowiecką pracę.

Bezwzględnie wyłapywać wszystkich wykrytych emisariuszy i przebywających na stopie nielegalnej, wykorzystując tajne zdjęcia⁴ i przewerbowania tych, w stosunku do których jest gwarancja, że będą oni uczciwie pracować wypełniając nasze zadania.

3. W wypadku wykrycia zamierzeń tych lub innych polskich organizacji i grup zbrojnego wystąpienia, zapobiegać tym wystąpieniom, zdecydowanie tłumiąc wszelkie próby w tym kierunku.

4. We wszystkich wypadkach wykrycia organizacji nacjonalistycznych stosować środki w celu ustalenia ich centrów kierowniczych i kanałów łączności z Londynem.

Szczególną uwagę zwrócić na wykrycie nielegalnych

4. Prawdopodobnie chodzi o skryte aresztowanie, tzw. „zdjęcie”.

radiostacji, składów broni, drukarni, ustalenia łączników organizacji i kwater konspiracyjnych.

W stosunku do wykrytych radiostacji rozpracować przedsięwzięcia operacyjnego wykorzystania ich w naszych celach.

5. Zwerbować odpowiednią agenturę w celu wykrycia w pierwszej kolejności składu kierowniczego organizacji nacjonalistycznych, łączników i właścicieli mieszkań konspiracyjnych.

Zabezpieczyć wykrycie wśród wszystkich uczestników organizacji niemieckiej i angielskiej agentury, przechwycić kanały łączności i wniknąć do organów kierujących tymi organizacjami na wyswobodzonych i jeszcze okupowanych sowieckich terytoriach, a także na obszarze Polski, a szczególnie — Warszawy.

6. Odbudować łączność z wywiadem, pozostającym na terytorium czasowo okupowanym przez Niemców. Szczegółowo sprawdzić jego zachowanie się i łączność nawiązaną w czasie okupacji i możliwości jego przeniknięcia do nacjonalistycznego podziemia.

7. Biorąc pod uwagę to, że polska ludność zdolna jest do noszenia broni i będzie zaciągać się w skład polskich formacji w ZSSR, należy przedsięwziąć środki, aby nie dopuścić emisariuszy rządu londyńskiego i uczestników nacjonalistycznego podziemia w szeregi mobilizowanych.

8. W celu skoncentrowania wszystkich materiałów o polskim nacjonalistycznym podziemiu zorganizować scentralizowane rozpracowanie pod kryptonimem „Sejm”, gdzie powinny być zebrane materiały o wszystkich wykrytych nacjonalistycznych organizacjach (z osobnymi rozdziałami na każdą).

Zgodnie z wyżej przedstawionymi rozpracujcie i przedstawcie do 10 lutego tego roku do zatwierdzenia w 2 Zarządzie NKGB ZSSR konkretny plan agenturalno-operacyjnej pracy w odniesieniu do Polaków.

P.P. Zastępca Ludowego Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego ZSSR Komisarz Bezpieczeństwa Państwowego 2 rangi — Kobiłow

Za zgodność: Zastępca Naczelnika 7 Oddziału 2 Zarządu

NKGB ZSSR *Pułkownik Bezpieczeństwa Państwowego: (Kon-
dratik)*

„25” stycznia 1944 r.⁵

N 250/i⁶

CAP RL, Fond R-759, Ap. 1, t. 14, k. 10-11, maszynopis, oryginał w
języku rosyjskim.

Nr 2

NKGB ZSSR

Operacyjna Grupa NKGB

Litewskiej SSR

Ściśle tajne

„10” lutego 1944 r.

No 1/40

Moskwa, ul. Dzierżyńskiego 2,
pokój 755a.

Do Naczelnika

2 Zarządu NKGB ZSSR

Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego 3 rangi
tow. Fiedotowa

m. Moskwa

Na No 250/M z 25 I 1944 r.

na podstawie Waszych wytycznych niniejszym przedsta-
wiamy plan agenturalno-operacyjnych przedsięwzięć związanych
z rozpracowaniem polskiej linii na terytorium Litewskiej SSR.

Załącznik: w/g tekstu na 5 stronach.

*Naczelnik Grupy Operacyjnej NKGB Litewskiej SSR, Komisarz
Bezpieczeństwa Państwowego (Guzjavicius)*

Wilno, 20. II. 1944 r.⁷

5. Płk Kondratik już wcześniej zajmował się sprawami polskimi: prowadził śledztwo przeciw aresztowanemu w nocy 21/22 I 1941 r. we Lwowie płk. dypl. Leopoldowi Okulickiemu, jego współpracownicze Bronisławie Wystouchowej, ps. „Biruta”, aresztowanej we Lwowie 15 I 1941 r., był sędzią śledczym przydzielonym do gen. Władysława Andersa, w czasie pobytu tego ostatniego w więzieniu na Łubiance w Moskwie, a następnie oficerem łącznikowym w jego sztabie. Interesujące byłoby poznanie jego całego *curriculum vitae*, być może pozwoliłoby to uzyskać wiedzę o innych prowadzonych przez NKWD antypolskich akcjach. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1983, s. 54-61; J. Kurtyka, *General Leopold Okulicki „Niedźwiadek” (1898-1946)*, Warszawa 1989, s. 25-27.

6. Na marginesie nieczytelna odręczna adnotacja.

7. Dopisane odręcznie; nie bardzo wiadomo co ten dopisek może oznaczać, bowiem, jak wynika z nagłówka tego i wielu innych pism, Grupa Operacyjna NKGB Litewskiej SSR pracowała wtedy w Moskwie, a nie na Litwie.

Plan

agenturalno-operacyjnych przedsięwzięć związanych z pracowaniem polskiej linii na terytorium Litewskiej SSR.

Jak wiadomo z informacji NKGB ZSSR i danych z Operacyjnej Grupy NKGB Litewskiej SSR, tak zwany polski rząd emigracyjny w Londynie w okresie 1941-1943 zorganizował na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy, Białorusi i Obwodu Wileńskiego Litewskiej SSR nielegalne nacjonalistyczne organizacje, szkieletem których są członkowie polskich partii burżuazyjnych, wojennych ugrupowań („Stronnictwo Ludowe”, „Stronnictwo Narodowe”, „OZON”, „POW”, „ZWZ” (Związek Walki Zbrojnej) i byli oficerowie polskiej armii.

Wiadomo, że niektóre ogniwa tych organizacji zgodnie z wytycznymi polskiego rządu emigracyjnego prowadzą zbrojną walkę z partyzantami, zabijają sowiecki aktyw, znajdujący się na tyłach przeciwnika i prowadzą aktywną antysowiecką agitację wśród miejscowej ludności⁸:

Wg danych partyzantów z 24-go grudnia 1943 r. polskie bandy nacjonalistyczne napadają na litewskie grupy partyzanckie. Te grupy znajdują się na wschód od Puszczy Rudnickiej (20 km na południe od m. Wilna).

Wg danych partyzantów z 26 grudnia 1943 r. polscy legionisanci⁹ uaktywniają się i ich liczba stale rośnie. Niedawno zginął jeden partyzant z rąk białych Polaków, odkrywając położenie ich oddziału, liczącego do 150 ludzi.

W miarę przesuwania się oddziałów Armii Czerwonej na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi, a także w te rejony nadbałtyckie, gdzie jest ludność polska, polskie organizacje nacjonalistyczne kierowane przez rząd londyński poprzez wysłanych na to terytorium emisariuszy aktywizują swoją antysowiecką działalność i przygotowują zbrojne wystąpienia przeciw Armii Czerwonej.

8. Chodzi o partyzantów sowieckich; nie było natomiast wytycznych polskiego rządu nakazujących zwalczanie sowieckich partyzantów i aktywu; walki toczono w obronie własnej, bowiem na podstawie uchwały KC KP(b) Białorusi z 22 VI 1943 r. partyzantka sowiecka rozpoczęła zbrojne zwalczanie polskiego podziemia. Tekst tej uchwały przytacza M. Juchniewicz, „Polacy w radzieckim ruchu podziemnym i partyzanckim 1941-1944”, W-wa 1973, s. 299-300.

9. Chodzi o żołnierzy Armii Krajowej

Ustalono, że polski ruch nacjonalistyczny we wschodniej Litwie, zachodniej Białorusi jest kierowany przez przedstawiciela tajnego polskiego sztabu generalnego¹⁰ (nazwisko tego przedstawiciela, a także inne dane nie są nam znane), wiadomo tylko to, że jest oficerem wysokiej rangi armii polskiej.

Wg danych partyzantów z 6 października 1943 r. centrum kierowania podziemnymi nacjonalistycznymi organizacjami polskimi znajduje się w mieście Kalwaria (7 km na północ od Wilna, w drodze do Werek). Przedstawiciele polskich organizacji w Landwarowie i w Ejszyszkach jeżdżą z rozkazami i wytycznymi 4-6 razy w miesiącu do Kalwarii. Kierownictwo wileńskie Polaków ma łączność radiową z Warszawą i Londynem.

Polskimi organizacjami nacjonalistycznymi, z zasady, dowodzą oficerowie polskiej armii, endecy, piłsudczycy i inny element reakcyjny. Organizacje są tworzone na zasadzie wojskowej: oddział — 18 ludzi, pluton — 60 osób, kompania 240 osób. Komendantów i zastępców mianuje się z góry, organizacje nie robią zebrań. Członkom organizacji polecono zdobycie broni, którą niektórzy już mają. Polscy nacjonałiści czekają na sygnał z Londynu, po którym powinno się zacząć ogólne powstanie.

W ostatnim okresie polscy nacjonałiści zaczęli organizować podziemną administrację, wyznaczając starostów, wójtów i na inne znaczące stanowiska ludzi, którzy powinni zająć miejsce władz okupacyjnych. Nacjonałiści próbują powstrzymać przed aktywnym wystąpieniem tę część ludności polskiej, która rwie się do walki z Niemcami i dają wytyczne o gromadzeniu sił do „odpowiedniego momentu”.

Polscy nacjonałiści wydają nielegalne instrukcje, biuletyny, ulotki, w których nawołują do zbrojenia się, przestrzegania konspiracji i oczekiwania na odpowiedni moment do powstania.

Polacy w mieście Wilnie wydają nielegalną gazetę *Niepodległość*, wokół której gromadzą się polskie organizacje reakcyjne. Gazeta wychodzi 2 razy w miesiącu, ma format zwykłej książki i liczy 8 stron (1 lipca wyszedł 22 numer z kolei i 12 w tym roku). Pod tytułem gazety jest napis:

10. Informacja błędna, nie było czegoś takiego. Kto inny zresztą był dowódcą Okręgu AK Wilno (ppłk Aleksander Krzyżanowski), a kto inny dowódcą Okręgu AK Nowogródek (ppłk Janusz Prawdźic-Szlaski), obejmującego tereny — według nomenklatury sowieckiej — zachodniej Białorusi.

„Organ ziemi wileńskiej”. Przed zerwaniem stosunków między ZSSR i rządem Sikorskiego, gazeta wpajała Polakom nienawiść do Niemców, a na temat Związku Sowieckiego milczała, dziś zawartość tej gazety jest bardziej antysowiecka niż antyhitlerowska. W lipcowym numerze gazety z 1943 r. pod tytułem znajduje się napis: „Hitler i Stalin, dwa oblicza jednego zła”¹¹.

Biorąc po uwagę wyżej wymienione warunki i kierując się wytycznymi NKGB ZSSR z 25 stycznia 1944 r., koniecznie należy przeprowadzić następujące agenturalno-operacyjne przedsięwzięcia:

PO LINII 2 ODDZIAŁU

I Zgodnie z wytycznymi 2 Oddziału NKGB ZSSR zacząć akcję wywiadowczą „Sejm” i rozpocząć akcję zbierania materiałów w celu rozpracowania polskich nielegalnych organizacji znajdujących się na terytorium Litewskiej SSR. Wykonawca tow. Woroncow, termin 10 II 1944 r.

II Usystematyzować i zewidencjonować wszystkie wykryte wg materiałów urzędów NKGB ZSSR i operacyjnej grupy NKGB Litewskiej SSR — nielegalne polskie organizacje nacjonalistyczne znajdujące się na terytorium Litewskiej SSR. Wykonawca tow. Woroncow, termin w miarę pojawienia się.

III Sprawdzić operacyjną ewidencję duchowieństwa katolickiego i wziąć w osobną ewidencję w czasie akcji „Sejm” wszystkie elementy mające związek z nielegalnymi polskimi organizacjami nacjonalistycznymi znajdującymi się na terytorium Litewskiej SSR. Wykonawca tow. Woroncow, termin 10-25 II 1944 r.

IV Sprawdzić operacyjną ewidencję wg linii polskiej i wziąć w osobną ewidencję w czasie rozpracowywania akcji „Sejm” wszystkie osoby narodowości polskiej mające kontakty lub jakikolwiek związek z nielegalnymi polskimi organizacjami nacjonalistycznymi znajdującymi się na terenie Litewskiej SSR. Wykonawca tow. Woroncow, termin 15-25 II 1944 r.

11. Hasło to pojawiło się w winietch kilku numerów *Niepodległości*, w tym konkretnym przypadku w nr 12 (22) z 1 VII 1943 r. Zob.: G. Mazur, „Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK”, W-wa 1987, s. 316-317.

PO LINII 4 ODDZIAŁU

Naczelnikowi Grupy Operacyjnej (działającej na tyłach przeciwnika) „Ber”¹² dać wytyczne:

a) Ustalić kierownictwo i aktyw działających na terenie obwodu wileńskiego nielegalnych polskich nacjonalistycznych organizacji.

b) Przedsięwziąć wszystkie konieczne środki do zwerbowania i wprowadzenia naszej agentury w skład działających nielegalnych polskich kontrrewolucyjnych organizacji i ugrupowań, w celu wykrycia: budowy organizacyjnej, zadań, uczestników, składów broni, drukarni, radiostacji, kwater konspiracyjnych i łączników tych organizacji. Wykonawca tow. Syrych, termin 15-25 II 1944 r.

II Przygotować z naszej agentury znajdujących się w obozach i pośród ewakuowanych, dwóch ludzi spośród Polaków przebywających na Wileńszczyźnie, do zrzucenia na tyły przeciwnika w celu przedostania się do centrum kierowniczego nielegalnych polskich nacjonalistycznych organizacji. Wykonawca tow. Syrych, termin 15 III 1944 r.

PO LINII ODDZIAŁU „A”

Zebrać i usystematyzować cały materiał archiwalny, dotyczący rozpracowania spraw śledczych i agentury polskiej linii, znajdującej się na terytorium Litewskiej SSR. Wykonawca tow. Karczenko, termin marzec 1944 r.

*Naczelnik Grupy Operacyjnej NKGB Litewskiej SSR
Komisarz Bezpieczeństwa Państwowego (Guzjaviczius)*

” ” lutego 1944 r.¹³

Cap RL, Fond R-759, Ap.1, t.14, k.12-16, maszynopis, oryginał w języku rosyjskim.

Grzegorz MAZUR

12. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chodzi o Grupę Operacyjną Komitetu Centralnego KP(b) Litwy, działającą od kwietnia 1943 r. w lasach nad jeziorem Narocz. Zob.: M. Juchniewicz, s. 279-280.

13. Brak daty dziennej. Dokument ten powstał — jak wynika z listu przewodniczącego Guzjavicziusa — przed 20 II 1944 r.

Piotr MITZNER (opr.)

DZIEŃ JAWNYCH SĄDÓW

W pierwszych dniach lutego w Warszawie odbyła się konferencja politologiczna „Dokąd zmierza Rosja?”, zorganizowana przez Fundację im. Stefana Batorego. Wśród gości z Federacji Rosyjskiej, których należałoby określić jako umiarkowanych demokratów, (w tym sensie, że zabrakło radykałów) był Aleksander Jakowlew. Jego wystąpienie było dość ogólnikowe i mętne, w stylu referatów partyjnych. 5 lutego w Gazecie Wyborczej ukazał się wywiad z nim. Irena Lewandowska usiłowała przycisnąć do ściany wieloletniego działacza „frontu ideologicznego”, a następnie współautora pierestrojki. Wydaje się, że zamiar udał się niezupełnie.

Tak się złożyło, że Archiwum Wschodnie otrzymało właśnie od „Memoriału” wybór dokumentów z historii KPZS, a wśród nich materiały związane z procesem Daniela i Siniawskiego z 1966 roku. Pod jednym z nich podpisany jest Jakowlew.

Redakcja Gazety Wyborczej prosiła nas o szybkie przygotowanie tych właśnie materiałów jako swego rodzaju „ciągu dalszego” rozmowy z Jakowlewem. Narady redakcyjne („drukować to, czy nie drukować”?) trwały dłużej niż nasze prace nad tekstem. W rezultacie do publikacji nie doszło. Drukujemy je poniżej.

Piotr MITZNER

*„A ja jestem przeciwnikiem politycznych procesów”
Aleksander Jakowlew w wywiadzie dla Gazety Wyborczej
(5 lutego 1993)*

Sowiecki wymiar sprawiedliwości w zasadzie działał w ukryciu. Na pokazowe procesy decydowano się wtedy, gdy były potrzebne jako wstęp do kolejnego etapu „zaostżenia walki klasowej”. Tak też było w roku 1966, kiedy przed sądem w Moskwie stanęli dwaj wybitni pisarze, Andriej Siniawski („Abram Terc”) i Julij Daniel („Nikołaj Arzak”), oskarżeni o lżenie ZSSR i publikowanie swoich utworów na Zachodzie. Atmosfera wokół procesu, nagonka propagandowa, a wreszcie surowe wyroki (7 i 5 lat łagrów) miały podzielać odstrasząco na niepokorną inteligencję rosyjską, która otwarcie lub aluzyjnie wyrażała swoją dezaprobatę dla zastoju pogłębiającego się od początku lat sześćdziesiątych.

Latem 1992, przygotowując ekspertyzę na zamówienie Sądu Konstytucyjnego, działacze „Memoriału” odnaleźli w dawnym archiwum KC KPZS, obecnie wchodzącym w skład Centrum Przechowywania Dokumentacji Współczesnej, dokumenty dotyczące przygotowań do procesu Daniela i Siniawskiego. Są one ważnym uzupełnieniem wydanego w 1966 roku stenogramu samej rozprawy („Sąd idzie!”, Instytut Literacki, Paryż).

Publikujemy je po raz pierwszy. Obszerny wybór innych sowieckich dokumentów partyjnych i państwowych z lat 1977-87 oraz fragmenty ekspertyzy „Memoriału” znajdują się w 10 numerze *Karty*.

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!
Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego.
Komitet Centralny
Ścisłe tajne

Wyciąg z protokołu nr 162 par. 11s posiedzenia Sekretariatu KC z 5.1.1966 r.

Notatka tow. tow. Semiczastnego i Rudenki z 23 XII 1965 r. nr 2843s

Zgodzić się z propozycjami Prokuratury ZSSR i KGB przy Radzie Ministrów ZSSR o przeprowadzeniu otwartego procesu sądowego w sprawie A.D. Siniawskiego i J.M. Daniela.
Sekretarz KC

[na marginesie, poprzecznie:] Do zwrotu do KC KPZS (Departament Ogólny, II sektor) w ciągu 7 dni od dnia otrzymania (uchw. KC z 29 XII 1938 r., prot. nr 95/55)

Przesłano: tow. tow. Rudence, Semiczastnemu [ręcznie:] Silinój 29 I 66 r.



Tajne
48619
KC KPZS

W uzupełnieniu do nr 2138 z 17 września 1965 roku

Informujemy, że postępowanie przygotowawcze w sprawie A.D. SINIAWSKIEGO i J.M. DANIELA oskarżonych

o dokonanie przestępstwa przewidzianego art. 70 cz. I KK RSFSR w najbliższym czasie (do 10-15 stycznia 1966 roku) zostanie przez Komitet Bezpieczeństwa Państwowego zakończone.

W śledztwie ustalono, że SINIAWSKI i DANIEL w latach 1956-1963 pod pseudonimami Abram TERC i Nikołaj ARŻAK napisali i przekazali nielegalnymi kanałami za granicę szereg utworów o antysowieckim, oszczerczym charakterze, szkalujących sowiecki ustrój państwowy i społeczny.

Do takich utworów należy nowela ARŻAKA „Tu mówi Moskwa”, która stanowi złośliwy paszkwil na naszą rzeczywistość. Związek Sowiecki przedstawiony jest w tym utworze jako ogromny obóz koncentracyjny, w którym naród jest uciśniony, zastraszone, zły. Wedle myśli autora jest on poddany takiej obróbce „psychologicznej”, że ślepo podporządkowuje się wszelkiej rozbuchanej samowoli władz, co pomaga im realizować najdziwaczniejsze przedsięwzięcia, spychające kraj niemal do poziomu społeczeństwa pierwotnego.

Akcja noweli rozgrywa się wokół potwornego wymysłu autora, jakoby zgodnie z Ukazem Rady Najwyższej ZSSR z 1960 roku niedziela, 10 sierpnia, została ogłoszona „Dniem jawnych zabójstw”. Ukaz ten, jak natrząsając się twierdzi autor, stanowi logiczną kontynuację rozpoczętego procesu demokratyzacji kraju, jest nieuchronnym środkiem legalizacji zabójstw, która leży w samej istocie nauki o socjalizmie.

Opowiadania Terca, zebrane w zbiorze pod nazwą „Nowele fantastyczne”, przenika obca nam moralność, oszczerstwa na ludzi sowieckich, na ustrój socjalizmu, na naszą rzeczywistość. Autor tego utworu rzuca oszczerstwa na sowiecki sposób życia, usiłuje przekonać czytelnika o tym, że społeczeństwo sowieckie to sztuczny twór, narzucony narodowi, który nie wierzy ani w socjalizm, ani w marksizm, trzyma się na strachu i bojaźni.

W noweli „Sąd idzie” ośmieszono jest sowieckie społeczeństwo, ludzie, historia, moralność, kultura, teoretyczne twierdzenia marksizmu-leninizmu. I choć zostaje to podane pod pretekstem krytyki kultu jednostki Stalina, nowelę przenika nieskrywana złość i nienawiść do wszystkiego, co sowieckie. W jednym z epizodów autor, opowiadając rzekomo o istniejącej podziemnej organizacji studenckiej, stawiającej sobie za cel „ratowanie ideałów rewolucji”, w istocie wzywa do walki „o prawdziwą władzę sowiecką”.

W złośliwie-szyderczej tonacji w stosunku do najdroż-

szych naszemu narodowi idei i spraw komunistycznej przebudowy życia napisana jest także nowela „Lubimow” TERCA.

Jak wykazuje oskarżenie, wymienione wyżej utwory zostały przez nich nielegalnie przerzucone za granicę za pośrednictwem Héléne Peletier-Zamoyskiej — córki byłego francuskiego *attaché* morskiego w Moskwie — i były szeroko publikowane w USA, Anglii, Francji, Włoszech, NRF przez rozmaite burżuazyjne wydawnictwa i wrogą prasę emigracyjną.

SINIAWSKI i DANIEL są przez zachodnią prasę podnoszeni do rangi najgenialniejszych i najbardziej utalentowanych pisarzy tak zwanego „radzieckiego podziemia literackiego”, a ich utworom robi się krzykliwą antysowiecką reklamę. Są oni szeroko wykorzystywani przez ideologiczne ośrodki przeciwnika w antysowieckiej, antykomunistycznej obróbce opinii publicznej krajów Zachodu, w rozpowszechnianiu tak zwanej „prawdy o ZSSR”, w dyskredytowaniu narodu sowieckiego i jego osiągnięć, a także z wrogim zamiarem są przesyłane do naszego kraju.

Znany na Zachodzie „specjalista od literatury rosyjskiej” MARK SLONIM w książce „Sowiecka literatura rosyjska. Pisarze i problemy”, wydanej w Nowym Jorku w 1964 roku, pisze, że Abram TERC jest „najwybitniejszym przedstawicielem sowieckiej literatury podziemnej”. „Całe sowieckie społeczeństwo — kontynuuje — autor opisuje jako dom wariatów, w którym nieprawdopodobne jest uznawane za normę”.

W związku z ukazaniem się noweli TERCA „Lubimow”, autor licznych antysowieckich paszkwili, biały emigrant FILIPPOW pisze: „...Historia zapadłej miłośnicy Lubimow to odbita w kropli wody historia całego nieobjętego komunistycznego świata, przede wszystkim — komunistycznego ZSSR”.

Samo pojawienie się takich utworów jak „Tu mówi Moskwa” ARŻAKA, „Sąd idzie” i „Gołoledź” TERCA — mówi się w przedmowie do jednego z wydań „Mówi Moskwa” — ukazuje, jak buntuje się, jak protestuje wolna ludzka osobowość przeciwko przekształcaniu jej w zwykły trybik w sowieckim mechanizmie... sprzeciwiający się przekształceniu w mechanizm w międzynarodowych celach komunizmu” [tak oryg. — W.W.].

Prace SINIAWSKIEGO i DANIELA nad przygotowaniem oszczerczych antysowieckich utworów są szczerze opła-

cane przez zagraniczne wydawnictwa. SINIAWSKI oświadczył, że z honorariów za utwory opublikowane pod pseudonimem Abram TERC zgromadził we Francji znaczną sumę franków.

W czasie postępowania wstępnego SINIAWSKI i DANIEL przyznali się, że są autorami wyżej wymienionych utworów i że nielegalnie przerzucili je za granicę za pośrednictwem ZAMOYSKIEJ-PELETIER, a także potwierdzili fakty rozpowszechniania tych utworów w swoim otoczeniu w Moskwie. Równocześnie obaj zaprzeczają antysowieckiej wymowie swoich utworów i obecności w nich zamiaru obalenia lub osłabienia władzy sowieckiej. Działalność odnośnie nielegalnego przerzucenia utworów na Zachód SINIAWSKI i DANIEL tłumaczą chęcią ujrzenia ich w druku. Równocześnie w sprawie opublikowania tych utworów w Związku Sowieckim do nikogo się nie zwracali.

Przestępca działalność SINIAWSKIEGO i DANIELA znajduje potwierdzenie we wnioskach ekspertyzy leksykostylistycznej, stwierdzającej ich autorstwo odnośnie utworów „Lubimow”, „Tu mówi Moskwa” i in., w konstatacji Głównego Urzędu do spraw Ochrony Tajemnic Wojskowych i Państwowych Komitetu do spraw Prasy przy Radzie Ministrów ZSSR o kierunku ideowym tych utworów i w zeznaniach świadków: REMIZOWA, GARBUZENKO, CHAZANOWA, DOKUKINEJ i in.

I tak, wykryty w toku śledztwa jeszcze jeden autor, publikujący za granicą pod pseudonimem I. IWANOW, kandydat nauk filozoficznych A.A. REMIZOW w czasie przesłuchania w charakterze świadka zeznał, że na drogę napisania antysowieckich utworów wstąpił w wyniku „świadomego odrzucenia w ciągu wielu lat polityki partii komunistycznej w sferze ideologii”.

Dalej REMIZOW wyjaśnił: „Stopniowo stawało się jasne, że jestem w pełni dojrzałym kandydatem do więzienia. Żeby więc z kandydata nie przedzierzgnąć się w więźnia, uciekałem się naturalnie do najróżniejszych form mimikry. Nie mam wątpliwości, że to samo działo się z SINIAWSKIM”.

REMIZOW zeznał także, że wiadomo mu o napisaniu przez SINIAWSKIEGO, pod pseudonimem Abram TERC, utworów, z którymi się zapoznał i — z kolei — dawał do przeczytania SINIAWSKIEMU swoje oszczercze utwory. Materiały na REMIZOWA zostały wyodrębnione do oddziel-

nego postępowania, a kwestia pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej zostanie rozstrzygnięta po zakończeniu śledztwa w sprawie SINIAWSKIEGO i DANIELA.

Za zgodą Sekretariatu KC KPZS Komitet Bezpieczeństwa Państwowego wraz z Wydziałem Kultury KC informują społeczność pisarzy Moskwy i Leningradu, kierowników i członków egzekutyw partii w Instytucie Literatury Światowej im. Gorkiego i Wydziału Literatury i Języka Akademii Nauk ZSSR o istocie sprawy kryminalnej SINIAWSKIEGO i DANIELA.

W ramach wymiany poglądów na temat tej informacji wystąpiło około 25 osób spośród aktywu pisarskiego i partyjnego. Wszyscy jednomyślnie poparli decyzję Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego o pociągnięciu SINIAWSKIEGO i DANIELA do odpowiedzialności karnej i przedłożyli wiele cennych propozycji doskonalenia wychowawczej, profilaktycznej pracy w kolektywach twórczych. Wiele osób w swoich wystąpieniach wypowiedziało się za przeprowadzeniem procesu sądowego i opublikowaniem materiałów w prasie.

W chwili obecnej Komitet Bezpieczeństwa Państwowego wraz z Wydziałem Kultury Komitetu Centralnego i Związkiem Pisarzy ZSSR przygotowują odpowiednie publikacje w prasie, w których zdemaskowany zostanie prawdziwy charakter „działalności literackiej” SINIAWSKIEGO i DANIELA.

W celu zapewnienia opinii publicznej bardziej szczegółowej informacji i przerwania analogicznej działalności pojedynczych wrogo nastawionych osób, wydaje się celowe rozpatrzenie sprawy SINIAWSKIEGO i DANIELA na otwartej sesji Sądu Najwyższego ZSSR i skazanie przestępców na karę pozbawienia wolności za napisanie i rozpowszechnianie utworów literackich, zawierających kłamliwe wymysły o sowieckim ustroju państwowym i społecznym, z art. 70, cz. I KK RSFSR.

Proces powinien się odbyć na początku lutego 1966 roku, pod przewodnictwem Prezesa Sądu Najwyższego RSFSR — tow. L.N. Smirnowa, z udziałem oskarżyciela publicznego — z-cy Prokuratora Generalnego ZSSR tow. O. P. Tiemuszkina, w sali sesji sądowych Sądu Najwyższego RSFSR, mieszczącej 100 osób. Na proces zaprosić przedstawicieli aktywu sowiecko-partyjnego i społeczności pisarskiej.

Naszym zdaniem celowy byłby udział w procesie oskarżyciela społecznego spośród działaczy literackich. W związku

z tym uważalibyśmy za konieczne polecić Związkowi Pisarzy podanie kandydatury do roli oskarżyciela społecznego.

Po zakończeniu procesu sądowego dać odpowiednie publikacje w prasie i w radiu.

Prosimy o rozpatrzenie.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO

[podpis]

W. SIEMICZASTNYJ

PROKURATOR GENERALNY ZSSR

[podpis]

R. RUDENKO¹

23 stycznia 1965 roku



Tajne
KC KPZS

Otwarty proces w sprawie Siniawskiego i Daniela odbędzie się w okresie od 10 do 12 lutego 1966 r. w sali sesji sądowych Moskiewskiego Sądu Rejonowego (na sali mieści się 100 osób). Sprawę przyjął do postępowania Sąd Najwyższy RSFSR i zostanie ona rozpatrzona pod przewodnictwem tow. L.N. Smirnowa. Oskarżycielem publicznym będzie tow. Tiemuszkin — z-ca naczelnika wydziału Prokuratury ZSSR, bronić oskarżonych będą adwokaci tow. tow. Kogan i Kiseniszki. Przewiduje się wystąpienie oskarżyciela społecznego z ramienia Związku Pisarzy Sowieckich².

Bierze się pod uwagę, że sesje sądu odbywać się będą w obecności przedstawicieli ludzi pracy, aktywu partyjnopañstwowego, pisarzy i dziennikarzy miasta Moskwy; sposób zaproszenia ich zapewnia Moskiewski Komitet Miejski KPZS.

W związku z planowanym procesem uważamy za konieczne przedłożyć propozycje naświetlenia tego procesu w prasie i radiu:

1. Reportaże swoich korespondentów z sali sądowej, a tak-

1. Drugi obok Władimira Siemiczastnego autor notatki to sędziwy Roman Rudenko, jeden z oskarżycieli w „procesie szesnastu”.

2. Związek Pisarzy wystawił dwóch oskarżycieli: Z. Kiedrynę i A. Wasiliewa.

że oficjalne komunikaty TASS o przebiegu procesu publikują codziennie gazeta *Izwestia* i *Literaturnaja Gazeta*. Kolegia redakcyjne gazet: *Prawda*, *Komsomolskaja Prawda*, *Sowietskaja Kultura* i *Sowietskaja Rossija* wedle własnego uznania mogą publikować notatki swoich korespondentów z sali sądowej.

Wszystkie pozostałe gazety publikują o procesie tylko oficjalne komunikaty TASS; przez radio o przebiegu procesu przekazywane są komunikaty TASS i poszczególne korespondencje gazet.

APN wraz z KGB przy Radzie Ministrów ZSSR powierza się przygotowanie odpowiednich artykułów o procesie — do publikacji za granicą.

Korespondenci wskazanych gazet, TASS i APN wchodzi na salę sądową (bez aparatów fotograficznych) na podstawie przepustek służbowych, wydawanych przez KGB przy Radzie Ministrów ZSSR.

Korespondentów zagranicznych na proces nie wpuszcza się.

[odręcznie na marginesie: nieczytelne] 7 II 66

[odręcznie, niżej] 3468s 4 II 66 r. załatwiono 5 II 66 r.

2. W celu przygotowania oficjalnej informacji i przeglądu korespondencji o przebiegu procesu utworzyć specjalną grupę prasową w składzie: tow. tow.: J.S. Melektiew (z-ca kier. Wydziału Kultury KC KPZS) — przewodniczący, [następne nazwisko i funkcja dopisane ręcznie na marginesie, ze strzałką na to miejsce] W.R. Sitnikow (kier. Wydziału Prasowego KC KPZS, A.A. Milajew (Wydział Propagandy i Agitacji KC KPZS), A.A. Bielajew (Wydział Kultury KC KPZS), W.M. Kuzniecowa (Wydział Administracyjny KC KPZS), A.F. Wołkow, F.D. Bobkow (KGB przy Radzie Ministrów ZSSR).

Prosimy o rozpatrzenie.

Kierownik Wydziału Kultury KC KPZS
[podpis] W. Szauro

Z-ca Kier. Wydziału Propagandy i Agitacji KC KPZS
[podpis] A. Jakowlew

Z-ca Kierownika Wydziału Administracyjnego KC KPZS
[podpis] N. Sawinkin

3 lutego 1966 r.

[dalej odręcznie]

Informacja

Wymienione w notatce przedsięwzięcia zostały zrealizowane.

Kierownik Wydziału Kultury KC KPZS
[podpis] W. Szauro

26 II 66

Kilka słów o współautorze scenariusza procesu — Aleksandrze Jakowlewie. W latach 1965-70 był pierwszym zastępcą Kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji KC KPZS, 1970-73 pełniąc nadal tę funkcję, był faktycznym szefem tego wydziału, gdyż stanowisko kierownika było nieobsadzone. Po 1973 w wyniku zatargu z najwyższymi władzami partii został ambasadorem w Kanadzie. W latach 1988-91 był przewodniczącym Komisji Biura Politycznego do spraw Rehabilitacji, która, jak czytamy w ekspertyzie „Memoriału”, „dysponując pełną informacją o roli partii w masowym terrorze, ukrywała przed narodem fakty i dokumenty potwierdzające tę prawdę”. W pierwszych dniach grudnia 1992 roku Borys Jelcyn powołał Aleksandra Jakowlewa na stanowisko przewodniczącego prezydenckiej Komisji do spraw Rehabilitacji Ofiar Represji Politycznych.

„Gdyby wszyscy odpowiedzialni zasiedli na ławie oskarżonych, to co innego. Ale nie zgadzam się na sądenie tylko tych, którzy przegrali.”

Aleksander Jakowlew w wywiadzie
dla *Gazety Wyborczej*

Podał do druku *Piotr MITZNER*
Dokumenty tłumaczył *Wojciech WIDŁAK*

WYWIADY

„ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Wojciech WIŚNIEWSKI

ROZMOWA Z JÓZEFEM RYBICKIM

WOJCIECH WIŚNIEWSKI: — *Jaki jest Pana stosunek do zrywów narodowych, insurekcji, powstań, od Kościuszkowskiego po Solidarność?*

JÓZEF RYBICKI: — Zaborca czy okupant pragnie przekonać mieszkańców podporządkowanego sobie kraju, że sprawa jest ostateczna, że nie można łudzić się jakkolwiek przyszłością. „Porzućcie wszelką nadzieję”, na wzór Dantego wołają zaborcy, bo każde powstanie, każdy zryw będzie przez nich zgnieciony. Zdrowy instynkt narodowy każe jednak co pewien czas mówić: nie traćcie nadziei, chwycicie za broń, bijcie się, bo o niepodległość, suwerenność, trzeba walczyć, nikt jej nie daje za darmo. Każdy taki zryw daje impuls następnym pokoleniom, nawet po upływie wielu lat, by znów poderwać naród do walki. Pozwala przetrwać. Wystarczy spojrzeć w przeszłość. Powstanie Kościuszkowskie, Powstanie Listopadowe, Powstanie Styczniowe, rok 1905, Legiony, Powstanie Warszawskie, Solidarność. Jeżeli nie myśli się o przyszłości opierając się o przeszłość to nie ma nadziei na przetrwanie. Nie możemy jednak cały czas żyć Połowcami, Grunwaldem czy Odsieczą Wiedeńską. To niebezpieczne, usypia naród, zakłada, że wszystko potrafimy, przestaje-

my krytycznie patrzeć na nasze możliwości, dokonania. Musimy pamiętać, że nieraz klęska daje więcej siły niż zwycięstwo. Każde bowiem rozpamiętywać, że może źle żyliśmy, nie potrafiliśmy się zorganizować, a nawet źle walczyliśmy czy też źle byliśmy przygotowani do tej walki. Zwycięstwo łatwo rozpamiętywać, klęskę trudniej, ale właśnie ona jest dla mnie bardziej pouczająca. A ponieważ jestem i zawsze czuję się przede wszystkim pedagogiem, klęska jest dla mnie zawsze bardziej wychowawcza.

W.W.: — *O idei powstania mówiono zaraz po klęsce wrześniowej, w różnych tworzących się tajnych, konspiracyjnych organizacjach.*

J.R.: — To oczywiste. Inaczej naród nie mógłby żyć, nie mógłby przetrwać tych pięciu lat okupacji niemieckiej. Zaraz po klęsce myślano o walce, organizowano się, przygotowywano do powszechnego zrywu, powstania. Nie chodziło tu o różne koncepcje, strategie. Nikt się nie zastanawiał i nie miał wątpliwości, że dojdzie do rozprawy z najeźdźcą i okupantem. Chciałbym przypomnieć mało znany epizod, ale jakże charakterystyczny dla myślenia niepodległościowego. W 1939 roku jeszcze w maju, a więc cztery miesiące przed wybuchem wojny, brałem udział jako mąż zaufania w zakopywaniu broni przez wojsko w okręgu zamojskim na wypadek zajęcia Polski przez Niemców. Zakładano, że ta bitwa, która nas czeka, nieuchronnie nadchodzi, może być przegrana. Wystarczyło porównać budżety wojskowe obu państw (wynosiły jeden do czterdziestu), a przecież nikt nie wątpił, że walkę prowadzić będziemy nadal. W trzech miejscach byłem świadkiem zakopywania broni i amunicji. Później, kiedy działałem już w konspiracji, ta broń nie tylko mnie się bardzo przydała. Po upadku Powstania Warszawskiego znów byłem świadkiem zakopywania broni w mieście. Walka bowiem nie została wcale skończona. Przegrano tylko wielką bitwę o miasto.

W.W.: — *Historia naszych zrywów narodowych każde zadać pytanie czy powstania były potrzebne, konieczne, pożyteczne?*

J.R.: — Odpowiadając na to pytanie, które zadają sobie wszyscy myślący Polacy, zacytuję na początek słowa naszego najwyższego autorytetu moralnego Jana Pawła II wypowiedziane podczas poświęcenia tablicy upamiętniającej powstańców styczniowych Kalinowskiego i Chmielowskiego. Papież po-

wiedział: „Powstanie pomimo tak wielkich strat było konieczne, potrzebne, pozytywne. Nie można nigdy przystępować do akcji, nie biorąc pod uwagę możliwości przegranej. Każdy, kto przystępuje do walki chce wygrać, ale musi także być przygotowany na klęskę. Naród musi mieć nadzieję. Wiemy jednak dobrze, mamy na to przykłady z naszej najnowszej historii, że społeczeństwo słabnie, część traci nadzieję. Zdrowy instynkt narodowy każe co pewien okres mówić: nie traćcie nadziei, godzina walki wybiła, wszyscy do broni. Czy ktokolwiek zaprzeczy, że posiew krwi wszystkich naszych powstań poszedł na marne? Poseł Niemojowski z Kalisza wołał: „Niepodległości nie podlewa się wodą, podlewa się krwią”. Wydawałoby się, że to oczywista prawda, a jednak Solidarność udowodniła, że można walczyć bez rozlewu krwi. Być może jednak dojrzeliliśmy do takiej właśnie walki dzięki tak krwawym powstaniom. Trzeba też zrobić chociaż pobieżny przegląd powszechności naszych zrywów narodowych. Były powstania wojskowe, szlacheckie, inteligenckie, robotnicze. Powstanie Warszawskie po raz pierwszy ogarnęło wszystkie warstwy społeczne, ugrupowania polityczne. Cała Warszawa walczyła. Tylko dlatego pomimo takiej przewagi wroga mogła się bronić stolica przez 63 dni. Przez te ostatnie 63 dni wolnej i niepodległej Polski. Trzeba było czekać ponad trzydzieści lat, żeby po raz pierwszy publicznie do mieszkańców stolicy tę prawdę powiedział nam papież Polak na placu Józefa Piłsudskiego: „W 1944 roku Warszawa była opuszczona przez wszystkich sojuszników”. Tak, walczyliśmy samotnie, ale wszyscy razem. Powstanie Solidarności pokazało, że teraz wszystkie warstwy społeczne w całym kraju walczą razem o lepszą, sprawiedliwszą i niepodległą Polskę. Od robotników, inteligencji, duchownych po chłopów. To najlepszy dowód, że pewne idee żyją w społeczeństwie, przechodzą z pokolenia na pokolenie. Solidarność czerpała z nich wiele. Dopóki naród istnieje, będzie istnieć idea niepodległości. Powstanie Warszawskie było też demokratyczne. Działyły różne partie od skrajnej prawicy po komunistów. Wychodziły podczas walki pisma o różnych orientacjach, bez cenzury. Wystarczył apel, żeby nie pisać o tym, o czym wróg nie powinien wiedzieć.

W.W.: — *Ale czy nie uważa pan, że wiele działań w powstaniu, może nawet brak cenzury, wynikało nie z założeń, a z improwizacji?*

J. R.: — Nie! Powstanie Warszawskie nie było improwizacją. Każda akcja, każda walka oddziałów Kedywu Armii Krajowej była przygotowana z góry niezmiernie dokładnie i szczegółowo. W czasie jednak jej wykonywania, podczas walki musi nastąpić jakaś improwizacja. Nigdy nie wiadomo i tego przewidzieć nie można, jak zachowa się nieprzyjaciel, wróg. Powstanie było przygotowane tak jak je można było przygotować w warunkach konspiracji, w określonej sytuacji strategicznej, politycznej, międzynarodowej. Gdy wybuchło, rozpoczęła się improwizacja. Najlepiej zilustrować to na przykładzie. Zarzuca się, że most Poniatowskiego nie został opanowany. Ale się zapomina, że dwa dni przed powstaniem ustawiono na tym moście artylerię. Armia Krajowa nie dysponowała środkami, które pozwoliłyby na zdobycie mostu. Nawet gdyby do ataku przystąpiły wszystkie siły. W założeniach zakładano zdobycie mostu, ponieważ nie miał on przedtem stałej, zorganizowanej obrony. W planie powstania była łączność radiowa przez aparaty krótkofalowe między dzielnicami. Niestety aparaty, ukryte na prowincji ze względów konspiracyjnych, nie zostały dostarczone w odpowiednim czasie do Warszawy.

W. W.: — *A czy sam termin, dzień i godzina rozpoczęcia walki w Warszawie był improwizacją?*

J. R.: — Myśmy na powstanie czekali ciągle. Nikt nie znał daty rozpoczęcia otwartej walki przeciwko Niemcom. Żołnierze wiedzieli, że zadecyduje o tym Komenda Główna Armii Krajowej lub jej główny dowódca. Każdy jednak wiedział, że ten moment musi nastąpić. To było nieuniknione. Czekałiśmy na to, zdobywaliśmy broń przez cały okres okupacji. Nawet baliśmy się czy to nie nastąpi w wcześniej. Trzeba pamiętać o wszystkich napięciach, warunkach zewnętrznych. Radio Moskwa, rozgłośnia Kościuszko, wzywały do rozpoczęcia walki w mieście. Głosiły: ludu Warszawy, chwyć za broń. Takie audycje, apele, nadawano już w drugiej połowie lipca 1944 roku. Na ulicach przed wybuchem powstania rozlepieno odezwę Skokowskiego, który ogłaszał się komendantem wojskowym Warszawy i obejmował dowództwo nad wszystkimi zgrupowaniami w mieście, oświadczając, że sztab Armii Krajowej łącznie z jego głównodowodzącym uciekł ze stolicy. Trzeba też pamiętać o wezwaniu Niemców, żeby 100 tysięcy mężczyzn zgłosiło się do kopania okopów. Teraz się mówi, że Niemcy nic nie mogli zrobić, gdy zignorowano to zarządzenie. Ale przecież Warszawa nie miała żadnych złudzeń

do czego Niemcy są zdolni. Widziała jak ginęło getto. Widziała, że można zniszczyć i wymordować jedną dzielnicę na oczach całego miasta. Wiem, że jest, a może raczej było wielu ludzi, którzy krytykowali samo podjęcie walki, wybór dnia, czy godziny powstania. To oczywiste. Któryś z wielkich przywódców powiedział: „Ojców zwycięstwa jest wielu, ojciec klęski zawsze jeden”. W tym wypadku Armia Krajowa. Klęsce musi towarzyszyć rozgoryczenie, ból, żal. Potem dopiero przychodzi refleksja, czy powstanie było potrzebne, konieczne, lub nieuniknione. Najlepiej zacytować tu słowa Stefana „Grota” Roweckiego wypowiedziane na odprawie dowódców 22 czerwca 1942 roku: „Jeśliby nawet miała czekać walka beznadziejna, to zaniechać jej przecież nie możemy pod groźą odpowiedzialności przed przyszłymi pokoleniami”. Nie jestem zawodowym wojskowym, nie znam się na strategii, byłem żołnierzem. Dla żołnierza decydujący jest rozkaz dowódcy. Skoro dowództwo uznało tę datę i godzinę za stosowną do rozpoczęcia walki, wtedy nie ma czasu i nie wolno rezonować ani się zastanawiać, trzeba rozkaz wykonać. Moi chłopcy, gdy otrzymali wiadomość o godzinie „W” przyjęli ten rozkaz całym sercem, z największą radością. Jako ich dowódca bałem się nawet tej euforii, entuzjazmu, radości. Wolałbym, żeby to było bardziej zimno, trzeźwo. Nie mnie jest sądzić, czy dzień i godzina rozpoczęcia powstania były improwizacją. Byłem żołnierzem i wykonywałem rozkazy. Ale razem z moimi chłopcami cieszyłem się, że nareszcie rozpoczniemy otwartą walkę z wrogiem.

W.W.: — *Dowódca wojskowy ma prawo żądać ofiary życia od swoich podkomendnych, gdy istnieje szansa osiągnięcia sukcesu, uratowania istnień innych. Czy taką sytuację rozważał pan po ogłoszeniu godziny „W”?*

J.R.: — Dla mnie życie żołnierza było zawsze ważniejsze od sukcesu militarnego. Tak działo się podczas wszystkich akcji Kedywu Okręgu Warszawskiego, kiedy byłem jego dowódcą, wydawałem rozkazy i brałem za nie odpowiedzialność. Natomiast kiedy ja otrzymuję rozkaz do rozpoczęcia działań powstańczych, ofiary liczyć musi już ktoś inny. Ten, kto wydał ten rozkaz. Moje oddziały zostały podporządkowane innym dowódcom, przydzielone do poszczególnych dzielnic. W czasie powstania byłem jednym z nich. Otrzymałem wiadomość o rozpoczęciu powstania 31 lipca wieczorem. Moje łącz-

niczki zaczęły od razu roznosić powielony rozkaz do poszczególnych podległych mi jeszcze oddziałów. Potem okazało się, że tylko u mnie ten rozkaz był trochę inny. Nie wiem, czy słusznie zrobiłem, czy nie. Na kartkach, które roznosiły łączniczki, było napisane tylko jedno zdanie: 1 VIII 44 godz. „W” 17, Z Bogiem. I w podpisie: Andrzej. To zakończenie rozkazu „Z Bogiem” dodałem od siebie. Wtedy gdy je dopisywałem czułem, że życie moich żołnierzy jest teraz w ręku Boga.

W.W.: — *Pan jako nie zawodowy wojskowy, ale jednak dowódca Kedywu Okręgu Warszawskiego musiał zdawać sobie sprawę, i to po paru dniach walki w mieście, że bez pomocy z zewnątrz nie będzie można opanować Warszawy, nie będzie można święcić zwycięstwa.*

J.R.: — Zawsze wierzyłem, że będziemy górą! Do ostatniego dnia walki, nawet po kapitulacji. Do moich chłopców, którzy szli do niewoli mówiłem: pamiętajcie, to tylko przegrana bitwa.

W.W.: — *Czy pan nigdy, ani przez chwilę, nie przestał wierzyć w zwycięstwo?*

J.R.: — Zawsze wierzyłem i wierzę do dzisiejszego dnia. Możliwe że ktoś powie, że wierzę w cuda. Może tak jest. Niech to się nazywa tak czy inaczej. Nigdy jednak nie straciłem nadziei, że zwycięstwo będzie nasze. Po 63 dniach walki przyszła klęska, ale ja wciąż wierzyłem w ostateczne zwycięstwo. Za tę wiarę przesiedziałem zresztą w Polsce Ludowej sześć lat w więzieniu.

W.W.: — *A wśród pana żołnierzy, czy wielu miało taką wiarę jak Pan?*

J.R.: — Rozmawiałem z nimi zaraz po kapitulacji. Jeden, może dwa procent, myślało inaczej. Reszta tak jak ja. Wierzyli w nasze zwycięstwo.

W.W.: — *To znaczy, że byliście wszyscy do końca wierni sobie, idei, Polsce?*

J.R.: — Nie wiem jak to nazwać. W więzieniu, a dwa lata siedziałem w celi sam, zadawałem sobie często pytanie, czy droga, którą wybrałem w życiu była słuszna, czy też nie? Naj-

pierw byłem ochotnikiem w wojnie 1920 roku, jako inwalida z tej wojny nie zostałem powołany we wrześniu do wojska. Potem organizowałem i werbowałem ludzi do Służby Zwycięstwu Polski. Sam służyłem w TOW, AK, WiN. Miałem dużo czasu do rozmyślań, ale nigdy nie miałem wątpliwości, że gdybym jeszcze raz miał przeżyć moje życie to mimo błędów, porażek, klęsk, ran, jeszcze raz poszedłbym tą samą drogą. Innej nie widziałem. To nie znaczy, że jestem wierny sobie, czy idei, na pewno jestem wierny Polsce. Coś we mnie musi tkwić, z czego ja sobie nawet w pełni nie zdaję sprawy, co kazało mi być żołnierzem i bić się za Polskę. Byłem wychowany na historii powstań, zwłaszcza styczniowego. Pamiętam wystawę we Lwowie w 50-tą rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego. Jedna cała duża sala wylepiona była nekrologami z tamtego okresu. Nie powtarzało się ani jedno nazwisko. Wystawa robiła kolosalne wrażenie, bo uzmysławiała ilu ludzi oddało wtedy życie walcząc o niepodległość ojczyzny. Byłem pełen szacunku i podziwu dla tych, co zginęli. Chodząc po gimnazjum we Lwowie ulicą Łyczakowską spotykaliśmy często powstańców 1863 roku w mundurach. Stawaliśmy wtedy na baczność i oddawaliśmy im honory zdejmując czapki. Urodziłem się i wychowałem w Małopolsce, tam tradycje powstań były niezmiernie żywe. Może już wtedy, może później, zrozumiałem, że więzienie, a raczej postawa w więzieniu może być taką samą walką jak ta z orężem na wolności. Może nawet ta walka w więzieniu jest cięższa, bo zbyt duże są pokusy odzyskania wolności, tylko za jaką cenę.

W. W.: — *Od tamtych 63 dni w Warszawie minęło już całe czterdzieści lat. To szmat czasu, czy pan czuje to przemijanie, i tamten czas, który odchodzi w historię?*

J. R.: — Nie! To był jeden z etapów walki. Wcale nie mam takich odczuć, że to już historia. Czuję, że tamten czas walki w Warszawie jest ciągle żywy nie tylko wśród nas żołnierzy, jest żywy dla nowych pokoleń. Dla mnie było to wielkie przeżycie, te 63 dni walki w Warszawie. Znow zostałem ranny, ale zawsze dominowała duma, radość że dane mi było bić się podczas tego powstania. Na moją psychikę poza wychowaniem szkolnym, uniwersyteckim, domem, największy wpływ miała świadomość, że byłem żołnierzem Armii Krajowej. Do dziś czuję się ciągle tym żołnierzem i będę nim do

końca życia, tego się nigdy nie wyprę. Awansowałem w tej armii, dostawałem różne nominacje i stopnie. Jestem dumny z przyznanego mi Krzyża *Virtuti Militari*, Krzyży Walecznych, Złotego Krzyża Zasługi z mieczami, Krzyża Armii Krajowej. Ale to wszystko jest jakby obok. Najważniejszym wydaje mi się fakt, że dane mi było wziąć udział w walce o niepodległość Polski. Ostatnio jeden z moich podkomendnych napisał mi w liście: „Nie był pan dowódcą, ale bratem, doradcą, przyjacielem, moim sumieniem”. To jest największa pochwała jaką mogłem otrzymać za moją służbę.

W. W.: — *Czy pan ze swoimi przyjaciółmi żołnierzami często wraca do tematu Powstania Warszawskiego?*

J. R.: — Naturalnie, trudno nie wracać do takich przeżyć. Mówimy o szczęściu jakie nam było dane, że mogliśmy walczyć razem w Warszawie. Nie mówimy o przegranej, ale o dumie, o radości walki. Nawet wtedy gdy wygłaszane są krytyczne opinie o 63 dniach powstania.

W. W.: — *Wówczas w Warszawie zostawiliście na zawsze wielu przyjaciół, najbliższych wam ludzi.*

J. R.: — Tak, tracimy najbliższych nam ludzi nie tylko podczas walki, ale czy to znaczy, że żałujemy, że dane nam było z nimi żyć, walczyć? Każdy z nas wiedział, że walka to też ofiara, że wielu z nas zginie. To nie od nas zależało, ale od Opatrzności. Pamiętam mego zastępcę, najbliższego mi druha Olszynę — Tadeusza Biegatowskiego, Zbika mojego bratanka, którego wysłałem na akcję i już nie wrócił. Dziesiątki ludzi. Nie zapomnę nigdy tragedii tak mi bliskiego Stasia Sosabowskiego, który przy mnie stracił wzrok. Tak, to ofiary okrutne, ale konieczne, gdy prowadzi się walkę.

W. W.: — *Widzę w pana bibliotece wiele pozycji historycznych, politycznych, beletrystycznych poświęconych Powstaniu Warszawskiemu. Widzę, że pan studiuje te książki, robi notatki. Na ile pana wiedza o powstaniu powiększyła się, rozszerzyła po tych lekturach?*

J. R.: — Nie przeżywam tych książek, czytam je na zimno. Owszem, uzupełniam moją wiedzę, dowiaduję się o nieznanym mi epizodach, ale mój stosunek do powstania nie uległ żadnej zmianie po tych lekturach. Może jestem dziwny, ale mnie argumenty Kirchmajera, Borkiewicza nie przekonują.

W. W.: — *Dlaczego?*

J. R.: — To, że tam byłem, walczyłem, uodparnia mnie na takie krytyczne głosy.

W. W.: — *Ale dzięki tym książkom, między innymi Steinera, poznał pan chyba lepiej ludzi, którzy wydawali panu rozkazy. Myślę o ludziach z Komendy Głównej Armii Krajowej.*

J. R.: — Książka Steinera „Powstanie 44 Warszawa” zawiera wiadomości, z których nie wszystkie znałem, czy też nie byłem ich świadomy. Ta pozycja wydaje mi się pożyteczna mimo wielu zastrzeżeń. Najwięcej o tych ludziach mogą powiedzieć ich przyszłe popowstaniowe losy, postawy, załamania, zachowanie twarzy, albo heroiczna walka do końca.

W. W.: — *Jaka więc książka najlepiej oddaje historię 63 dni walki w Warszawie? Myślę o książkach literackich, wspomnieniach, pamiętnikach.*

J. R.: — Niewiele jest takich książek, może jeszcze nie zostały napisane? Z tych co są na pierwszym miejscu wymieniłbym „Zośkę i Parasol” Aleksandra Kamińskiego, a potem wszystkie uczciwe relacje i wspomnienia, nie pisane pod jakąkolwiek tezę przez żołnierzy i dowódców Powstania Warszawskiego.

W. W.: — *A jakie wiersze według Pana oddają prawdę o powstaniu?*

J. R.: — „Ostatni komunikat” Ubysza i „Czekamy na ciebie...” Józefa Szczepańskiego, żołnierza batalionu Parasol, pisany pod koniec sierpnia 1944 roku na Starym Mieście.

W. W.: — *Czy często podczas powstania ogarniało pana poczucie strachu?*

J. R.: — Raz, może dwa razy. Przed nocnym atakiem. Patrzyłem na zegarek, o drugiej miałem poprowadzić atak oddziału Rygla. Wskazówka zbliżała się do wyznaczonej godziny. W tych ostatnich sekundach przed walką ogarnęło mnie paraliżujące uczucie strachu, koszulę miałem prawie całą mokrą, ale zaraz po rozpoczęciu walki wszystko minęło. Przebiliśmy się wtedy do kościoła Świętego Antoniego z resursy kupieckiej.

W.W.: — *Podczas tego nocnego ataku przestał się Pan bać, gdy zaczął strzelać?*

J.R.: — Nie strzelałem, bo nie widziałem nikogo. Po raz pierwszy strzeliłem podczas powstania i to w górę po udanym ataku z oddziałem Rygla na Komendę Policji na Krakowskim Przedmieściu. Tak na wiwat, z radości zwycięstwa.

W.W.: — *Ale Pan przecież prowadził ten atak na Komendę Policji, był w pierwszej linii walczących.*

J.R.: — Moim zdaniem dowódca prowadzący atak nie powinien strzelać, chyba, że widzi bezpośrednie zagrożenie. Prowadzenie ognia bardzo absorbuje, przeszkadza ogarnąć cały front walki, całą jej przestrzeń. Tak, gdy prowadziłem atak, kierowałem w odpowiednie punkty swoich żołnierzy posługując się zresztą, co zostało mi w jednej z relacji wypomniane, trzcinką, którą trzymałem w ręce.

W.W.: — *Co u ludzi ceni pan najbardziej?*

J.R.: — Najważniejsza jest odwaga cywilna połączona z prawością.

Warszawa, 5 lipca 1984 roku

Rozmowę prowadził
Wojciech WIŚNIEWSKI

RECENZJE

Marian Marek DROZDOWSKI

DRAMAT STANISŁAWA AUGUSTA PONIATOWSKIEGO

Praca red. Aleksandry Zgorzelskiej pt. „Powrót króla” opublikowana w Polskim Domu Wydawniczym w 1991 r., jest ważnym głosem publicysty w sprawie pogrzebu ostatniego króla Rzeczypospolitej, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Autorka, nie szczędząc czasu i energii, przeprowadziła szeroką kwerendę w różnego typu źródłach archiwalnych, bibliotecznych oraz zebrała wiele relacji osób zaangażowanych w sprawy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pasja, pracowitość i talent dziennikarski osoby emocjonalnie zaangażowanej, dobrze znającej dorobek historyków Oświecenia, dały owoce.

Książkę Zgorzelskiej czyta się jednym tchem ze względu na dużą troskę autorki o język, o precyzję sformułowań i wewnętrzną logikę wypowiedzi. Redaktor Zgorzelska brała czynny udział w pracach komisji prof. Aleksandra Gieysztorą, powołanej przez ministra Kultury i Sztuki do spraw sprowadzenia szczątków króla Stanisława Augusta Poniatowskiego z ruin kościoła w Wołczynie.

Rozdział I bardzo plastycznie przedstawia koronację 32-letniego stolnika litewskiego Stanisława Poniatowskiego. Opis tych uroczystości kończy się refleksją: „Trudne i pracowite, radosne i bolesne, wzniosłe i hańbiące, szczęśliwe, zwycięskie i tragicznie przegrane. Na razie jednak nieświadom był dramatycznej złożoności swego losu. Był światły i piękny, mądry i wykształcony, silny i młody. Miał 32 lata. Był Królem!”.

1. A. Zgorzelska, „Powrót króla”, Polski Dom Wydawniczy, Sp.z o.o., Warszawa 1991, s. 16-17.

Myślę, że w drugim wydaniu książki warto wspomnieć o okolicznościach które wyniosły Stanisława Poniatowskiego na tron królewski, o traktacie prusko-rosyjskim z 11 kwietnia 1764 r., w którym obie strony, ponawiając gwarancję przeciwstawienia się próbom zreformowania Rzeczypospolitej, zobowiązały się wynieść na tron polski odpowiedniego kandydata. Był nim siostrzeniec starych Czartoryskich, Stanisław Poniatowski, który jako poseł Rzeczypospolitej w Petersburgu nawiązał bliskie stosunki z ówczesną w. księżną, od 1762 r. carycą Katarzyną, i został przez nią oceniony jako odpowiednie narzędzie wpływów rosyjskich w Rzeczypospolitej. Wodzowie „Familii” za każdą cenę chcieli pochwycić władzę, zażądali od Katarzyny zbrojnego poparcia. Istotnie, wojska rosyjskie mieszały się gdzieniegdzie (np. w Grudziądzu) do akcji wyborczej, w chwili zaś zebrania się sejmu konwokacyjnego podeszły pod Warszawę². Przeprowadzone na konwokacji przez „Familie” Czartoryskich pożyteczne reformy (udoskonalenie sposobu obrad sejmowych i sejmików, rozstrzygnięcie większością głosów projektów skarbowych, ulgi dla miast, ustanowienie trybunału, powołanie komisji skarbowej i wojskowej) rozdziły rozdźwięk pomiędzy reformatorskimi zamierzeniami króla i „Familii” a wolą imperatorowej.

Drugi rozdział recenzowanej książki, „Z łaski jego cesarskiej mości”, jest starannym opisem ostatnich dni króla i jego wspańskiego pogrzebu zorganizowanego przez cara Pawła I i jego podwładnych. Ale postawić można pytanie, jak reagował kraj i polskie środowisko emigracji politycznej na śmierć króla? By na to odpowiedzieć, nie sposób pominąć kontrowersji na temat zachowań królewskich w latach 1764-1795, a także po 25 listopada tegoż roku, kiedy to „wolnie i z własnej woli wyrzekł się wszelkich praw do korony polskiej, do Wielkiego Księstwa Litewskiego i innych, należących do nich krajów”³.

Król miał przeciwko sobie przeciwników reform przeprowadzonych przez sejm konwokacyjny, w tym stronników kandydata do korony, starego hetmana J.K. Branickiego.

Po powołaniu Komisji Skarbowej i Wojskowej, otwarciu Mennicy, utworzeniu Komisji Porządkowych dla podniesienia miast, które znalazły troskliwego opiekuna w kanclerzu Andrzeju Zamoyskim, zorganizowaniu Szkoły Rycerskiej, wzmogła się opozycja magnacka, a także biskupia, prowadzona przez Sołtyka i Krasińskiego, która liczyła na pomoc carycy w przeprowadzeniu detronizacji Poniatowskiego. Do starcia doszło w Sej-

2. Józef Feldman, „Czasy stanisławowskie (...) Polska”. Drugie wydanie, Wydawnictwo Gutenberg — Kraków (1932) s. 156.

3. Cyt. za A. Zgorzelską, „Powrót króla...”, s. 18.

mie w 1766, kiedy to dwór wystąpił z propozycją ograniczenia *liberum veto*, na co przedstawiciele Rosji i Prus odpowiedzieli groźbą wojny. Ambasador Repnin, który zażądał specjalnych ulg dla różnowierców, spowodował wejście do Rzeczypospolitej kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy rosyjskich, którzy stanowili osłonę Konfederacji Radomskiej. Konfederacja ta, wysuwając hasło obrony katolicyzmu i zagrożonych przez króla wolności, oddała się pod protektorat Rosji. Konfederaci nie chcieli jednak ulec Repninowi, jeśli chodzi o specjalne przywileje dla różnowierców. Po porwaniu jej przywódców Sołtyka, bpa Załuskiego, hetmana W. Rzewuskiego i jego syna Seweryna i wywiezieniu ich do Kaługi „sformułowano prawa kardynalne, których nie można było nadal zmienić bez zgody carowej, wśród nich znalazły się najcięższe wady ustroju Rzeczypospolitej, jak elekcyjność tronu, wyłączność szlachty w piastowaniu urzędów i posiadaniu dóbr ziemskich, artykuł o wprowadzeniu posłuszeństwa i *liberum veto*”. Po zatwierdzeniu przez sejm w lutym 1768 r. tych upokarzających postanowień, przy braku zdecydowanego sprzeciwu króla, którego satysfakcjonowały małe reformy pod protektorem Katarzyny, powstała antykrólewska Konfederacja Barska, zawiązana 29 lutego 1768 r. pod wodzą Michała Krasińskiego i Kazimierza Pułaskiego. Józef Feldman tak o niej pisze: „Przewodnią sprężyną ruchu było uczucie religijne, dotknięte narzuconiem przez Rosję równouprawnienia dysydentów, dużo rozprawiano też początkowo o złotej wolności. Dopiero z biegiem wypadków dokonało się przeobrażenie wewnętrzne: z nietolerancji wyznaniowej, zacofania politycznego, nienawiści do króla i Czartoryskich wyłoniło się rozbudzone poczucie niepodległości narodowej, wyklarował czysty, ofiarny patriotyzm. Obok magnatów, wichrzycieli pokroju saskiego, wypłynęły umysły prawdziwie europejskie, wystąpili dzielni i ofiarni żołnierze sprawy narodowej”. Pieśń rycerska Konfederatów Barskich, powtarzana w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej, Powstania Listopadowego i Styczniowego, żołnierzy AK i działaczy Solidarności, przypominana na spotkaniu Wojska Polskiego z Janem Pawłem II w Kołobrzegu 2 czerwca 1991 r. uwypukla głęboko zakorzenioną w świadomości narodowej tradycję antykrólewską. Konfederaci nie mogli zapomnieć królowi, że pod presją Repnina zwrócił się do Katarzyny o pomoc w zdławieniu Konfederacji, przeciwko której wystąpiły także masy chłopstwa ukraińskiego pod wodzą Żeleźniaka i Gonty. Gdy za sprawą Adama Krasińskiego Generalność Konfederacka ogłosiła 22 października 1770 r. manifest, w

4. J. Feldman, „Czasy stanisławowskie...”, s. 157.

5. J.w.

którym składała Stanisława Augusta z tronu i nakazała go ścigać jako tyrana i uzurpatora, król zerwał z „Familią” i zdecydował się na ponowne wysłanie przeciw konfederatom wojsk Branickiego. Po kompromitującym zamachu na króla 3 listopada 1771 r. konfederaci byli coraz bardziej samotni i przegrani. 5 sierpnia 1772 r. stanął pomiędzy trzema mocarstwami traktat rozbiorowy. Patriotyczna opinia krajowa nie mogła wybaczyć królowi przystąpienia, pod naciskiem ambasadorów mocarstw zaborczych, do konfederacji, która mimo protestów Reytana, Korsaka i nielicznych odważnych posłów przeforsowała zatwierdzenie pierwszego rozbioru za cenę stworzenia nowej formy rządu — Rady Nieustającej i powołania do życia Komisji Edukacji Narodowej. Po pierwszym rozbiorze, do czasów zwołania Sejmu Czteroletniego, „rosyjski ambasador w Warszawie Stackelberg rządził Rzeczpospolitą jak despotyczny władca, mieszał się we wszystkie jej sprawy i decydował o składzie Rady Nieustającej, obsadzaniu urzędów, nadawaniu orderów, na każdym kroku dozorował politykę króla, w razie zaś przejawów samodzielności szachował go, łącząc się z opozycją. Usunięty w cień Stanisław August sam się porównywał ze starożytnym władcą wschodnim, słuchającym rozkazów rzymskiego prokonsula lub z dworakiem, zabiegającym o łaski monarchy. Prusy, mniej dbając o wpływy polityczne, zmierzały natomiast do zupełnego podporządkowania sobie Rzeczypospolitej pod względem gospodarczym⁶⁷”.

Rody Potockich, Czartoryskich, Branickich, Rzewuskich stanowiły w dalszym ciągu ostrą antykrólewską opozycję. Pod ich wpływem w 1780 r. Sejm odrzucił ułożony przez Andrzeja Zamoyskiego i popierany przez króla projekt kodeksu — w tym związku włościom w obronę prawa przed uciskiem szlachty. Skrzępowany przez Sejm i ambasadora rosyjskiego król w tym czasie stopniowo odbudowywał swój autorytet przez popieranie umiarkowanych reform, zręczną taktykę, uprzejmość i podarki. Rada Nieustająca i król przy pomocy skromnych środków zorganizowali pierwszą w Polsce sprawnie funkcjonującą służbę dyplomatyczną w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu, Londynie i Hadze. Wojsko poddane władzy gen. Konarzewskiego wzmacniało swą siłę obronną. Wybudowana przy pomocy króla w 1766 r. ludwisarnia ułatwiła rozbudowę polskiej artylerii. W szkole kadeckiej rosło pokolenie utalentowanych oficerów i przywódców walk niepodległościowych (Kościuszko, Orłowski, Sierakowski, Niemcewicz, Jasiński, Kniaziewicz, Fiszer). Dochody skarbowe wzrosły trzykrotnie osiągając poziom 25,5 mln zł. rocznie. Dzięki

6. Tamże, s. 159

Komisji Dobrego Porządku następowała szybka modernizacja i europeizacja miast polskich na czele z Warszawą. Król, rząd, literatura polityczna i opinia publiczna coraz goręcej podnosiły twórczą rolę stanu trzeciego, domagając się dlań pełnych praw obywatelskich. Z inspiracji króla i wielu przedsiębiorczych magnatów (Tyzenhauz, Łukowski, Jacek Jezierski, Prot Potocki, Szczęsny Potocki, Aleksander Małachowski, Aleksander Sapieha) powstało 300 nowych fabryk, manufaktur. Godzi się przypomnieć, że wartość eksportu w latach Sejmu Czteroletniego osiągnęła poziom 250 mln zł, przewyższając siedmiokrotnie poziom z 1766 roku. Wielkim ośrodkiem pracy odrodzieńczej stała się w tym czasie Komisja Edukacji Narodowej. Pod jej kierownictwem rozwinęło się szkolnictwo państwowe wszystkich szczebli, usprawniono kształcenie nauczycieli, stworzono nowe, wartościowe podręczniki, umocniono dominującą pozycję języka ojczystego w szkole. Król, wielki protektor literatury, ruchu wydawniczego, teatru i sztuk plastycznych inspirował renesans polskiej umysłowości. „Dojrzewało w Polsce nowe pokolenie, które czerpało natchnienie z poczynań reformatorskich epoki literatury politycznej Francji, Anglii, łączyło w sobie myśl przebudowy państwowości polskiej z dążeniami do strząśnięcia zależności od Rosji, do wskrzeszenia sławnego niegdyś imienia Polaków”. Trzeba było tylko odpowiedniej konstelacji politycznej, by gromadzące się w narodzie pragnienie wybuchnęło z żywiołową siłą⁷”. Konstelacja taka powstała po wybuchu 1787 r. wojny pomiędzy Portą Otomańską a Rosją i Austrią. Sejm 6 października 1788 r. większością głosów odrzucił królewskie propozycje, aby poprzeć Rosję w tej wojnie. Nowe, dominujące w Sejmie i Senacie Stronnictwo Patriotyczne, którego ideowym przywódcą był Ignacy Potocki, wniosło pod obrady Sejmu cały pakiet reform. Wykorzystało ono traktat sojuszniczy Prus z Holandią i Anglią, rokowania pruskie z Turcją, Szwecją, by uniezależnić się od dominacji rosyjskiej. W październiku 1788 r. Sejm uchwalił jednomyślnie powiększenie armii do 100 tys. żołnierzy, zwierzchnictwo jej powierzono nowej, antyrosyjskiej Komisji Wojskowej. Dobra ziemskie obłożono 10-procentową ofiarą wieczystą, obłożono podatkami duchowieństwo, we wszystkich województwach ustanowiono komisje cywilno-wojskowe. 29 marca 1790 r. doszło do zawarcia polsko-pruskiego traktatu przymierza odpornego na wypadek agresji rosyjskiej.

Po zwycięstwie patriotów w wyborach drugiego kompletu posłów 16 listopada 1790 r. król poważnie zbliżył się do tego Stronnictwa, forsując uchwalenie 24 marca 1791 r. prawa o sejm-

7. Tamże, s. 161.

mikach i 18 kwietnia tegoż roku prawa o miastach. Wspólnie z przywódcami tego Stronnictwa pracował nad projektem Konstytucji uchwalonej 3 maja 1791 r.

Autorytet króla ponownie został nadszarpięty po demonstracjach 1791-1792 r., kiedy, pozbawiony wiary w skuteczność oporu i przerażony zdradą Prus, nawiązał potajemnie kontakty z carycą i przystąpił do Targowicy, mając poparcie — większością jednego głosu — specjalnej narady obradującej 23 lipca 1792 r. Wzburzenie stolicy i armii na oportunistyczny królewski nie przerosło się w otwarty bunt m.in. ze względu na emigrację przywódców Stronnictwa Patriotycznego.

Zachowanie króla w czasie sejmu grodzieńskiego 1793 r. rozszerzyło liczbę jego politycznych przeciwników ze względu na jego akceptację traktatu rozbiorowego z Rosją 17 sierpnia i traktatu rozbiorowego z Prusami 25 września tegoż roku. Po rozejściu się sejmu grodzieńskiego Polska za wymuszoną zgodą królewską stała się wielkorządstwem rosyjskim. „Wojska rosyjskie w brutalny sposób ciemiężyły kraj, tajna policja rosyjska i pruska roztaczała wszędzie sieci szpiegowskie. Kwaterunki, rewizje, porywanie kobiet, aresztowania, nadużycia były na porządku dziennym⁸⁾”.

W tej atmosferze, poza środowiskiem skompromitowanego króla, rosły szeregi spiskowców, którzy na swego przywódcę upatrzili sobie Tadeusza Kościuszkę. Król nie sprzyjał spiskowcom, bojąc się ich radykalizmu. Nie widział on szans sukcesu Insurekcji Kościuszkowskiej.

Stanisław August przyjął bez sprzeciwu nakaz Katarzyny II opuszczenia Warszawy i udania się do Grodna, gdzie zamieszkał pod ścisłą kontrolą rosyjską. Tutaj popełnił największy swój błąd polityczny (niektórzy historycy pisali o zbrodni politycznej). 25 listopada 1795 r. (w dniu imienin Katarzyny) podpisał akt abdykacji z tronu Rzeczypospolitej, sankcjonując w ten sposób ostateczny rozbiór państwa polsko-litewskiego. Ugiął się przed groźbami dworu petersburskiego, który w razie nie podpisania abdykacji zapowiedział wstrzymanie spłaty królewskiego długu, wynoszącego 33 mln zł, i pogorszenia sytuacji rodziny królewskiej.

Rozdział trzeci, „Z wyroku historii”, traktuje o losach trumny królewskiej złożonej w katolickim kościele parafialnym św. Katarzyny w Petersburgu pod opieką kapucynów. Jest to rozdział napisany z dużym szacunkiem dla faktów historycznych. Zabrakło w nim analizy poglądów wyrażanych w prasie w 1925 r. na inicjatywę posła RP w Moskwie, Stanisława Kętrzyń-

8. Tamże, s. 165.

skiego. Bardzo ciekawie zreferowała autorka polskie reakcje na pochówek króla w 1938 r. Do zaprezentowanych uogólnień mam zasadnicze zastrzeżenie. Poglądy piłsudczyków, niesłusznie utożsamianych z tzw. grupą sanacji (pejoratywne określenie publicystyczne) były w sprawie pochówku króla zróżnicowane. Piłsudczykiem był Stanisław Mackiewicz „Cat”, znany propagator zasług królewskich. W kręgu orientacji piłsudczykowskiej, ale antyozonowej, znajdowali się Antoni Słonimski i Jan Lechoń. Wśród historyków bardzo wyważoną ocenę króla dał sympatyk niepodległościowej lewicy Józef Feldman. Podobną ocenę króla znajdujemy w encyklopediach i kompendiach wydawanych w latach 30-tych. Wołczyńskie losy prochów królewskich przedstawiła autorka w rozdziale „Z woli narodu”. Do przedstawionych przez nią informacji pragnę dodać kilka uzupełnień.

Odbudowa Warszawy po klęsce Powstania zmusiła środowiska historyków, architektów i urbanistów do zajęcia się problemem strategii odbudowy starej Warszawy. Była to przede wszystkim Warszawa stanisławowska. Jej poświęcono specjalną sesję w 1951 r. opublikowaną w organie TMH *Przeglądzie Historycznym* i wystawę w Muzeum Narodowym na temat polskiego Oświecenia w 1954 r. oraz serię przyczynków dotyczących roli króla w dziedzinie rozwoju nauki, oświaty, kultury i sztuki. O tej roli mówiono także na marginesie sporu o charakter Konfederacji Barskiej.

Po 1956 r. w środowisku Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie, a także w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Historycznego, pracującego pod kierownictwem prof. Stanisława Herbsta, coraz natarczywiej formułowano postulat sprowadzenia do kraju prochów królewskich. Jako przewodniczący Sekcji Historii Warszawy TMH w tym czasie w porozumieniu z prof. Stanisławem Lorentzem, prof. Stanisławem Herbstem, prof. Władysławem Tatarkiewiczem, prof. Januszem Wolińskim i prof. Bogusławem Leśnodorskim organizowałem kilka zebrań naukowych w Sali Lelewelowskiej IH PAN, w Sali Balowej Królewskich Łazienek, a także w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy.

Autorka pominęła istotny fakt. W 1969 r. przy Pracowni Dziejów Warszawy IH PAN prof. Tadeusz Manteuffel, dyrektor Instytutu, powołał pod przewodnictwem prof. Stanisława Lorentza tzw. Komisję Zamkową, która odbywała systematyczne spotkania w Muzeum Narodowym w gabinecie dyrektora i w Sali Kościuszkowskiej IH PAN. Na spotkaniach tych z udziałem profesorów Lorentza, Herbsta, Leśnodorskiego, Zahorskiego, Tomkiewicza, docentów Drozdowskiego, Kwiatkowskiego, Rottermunda, Górskiego dominowały dwa tematy: odbu-

dowa Zamku Królewskiego i sprowadzenie prochów królewskich. Temu celowi służyła m.in. specjalna wystawa pamiątek stanisławowskich, zorganizowana przez prof. Lorentza.

To nie ekipa Gierka, ale grono uczonych, pisarzy, pracujących półkonspiracyjnie decydowało o odbudowie Zamku i akcji o sprowadzenie prochów królewskich do kraju.

W 1970 r. dla tej akcji zdobyto poparcie prymasa Stefana Wyszyńskiego, a w 1984 r. prymasa Józefa Glempa. Pod jego patronatem w Akademii Teologii Katolickiej zorganizowaliśmy sesję naukową na temat życia religijnego i kulturalnego czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, która jednomyślnie opowiedziała się za sprowadzeniem prochów królewskich do Polski i pochowaniem ich w warszawskiej Bazylice Archikatedralnej lub na Wawelu. To stanowisko środowiska, dzięki liberalizacji polityki informacyjnej, było powszechnie znane i zaakceptowane w 1988 r. przez prof. Aleksandra Krawczuka, ówczesnego ministra kultury i sztuki. Po ogłoszeniu sprawozdania Komisji prof. Aleksandra Gieysztorą wśród zwolenników pochówku królewskiego powstały kontrowersje. Czy wyniki poszukiwań wspomnianej Komisji usprawiedliwiają zorganizowanie pogrzebu? Moim zdaniem — usprawiedliwiają zorganizowanie miejsca pochówku i pamięci w Bazylice Archikatedralnej. Sarkofag winniśmy złożyć w Bazylice wraz ze szczątkami trumny, szczątkami szaty królewskiej i innymi królewskimi przedmiotami oraz ziemią wymieszaną z domniemanymi prochami królewskimi.

Będziemy spierać się o króla tak długo, jak długo istnieć będzie polska historiografia, ale nasza godność narodowa i państwowa wymaga szacunku dla ostatniego króla I Rzeczypospolitej, podobnie jak dla wszystkich prezydentów II Rzeczypospolitej.

2 VI 1991

Marian Marek DROZDOWSKI

W SPRAWIE TZW. WSPOMNIENI WŁADYSŁAWA GOMUŁKI

W artykule pt. „Uwagi o tzw. «Wspomnieniach» W. Gomułki”, zamieszczonym w nr 103 *Zeszytów Historycznych*, Maria Turlejska podaje w wątpliwość autentyczność fragmentu wspomnień Władysława Gomułki, który opublikowałem w warszawskim miesięczniku *Dziś*, nr 9 z ub. roku. Publikacja ta nosiła podtytuł „Czy polityka Józefa Becka ocaliła Związek Radziecki?”.

Sądzę, że w związku z wątpliwościami podniesionymi przez M. Turlejską redakcji i czytelnikom *ZH* należy się wyjaśnienie. Zacznę od faktów. Władysław Gomułka mniej więcej rok po utracie władzy w grudniu 1970 r. i przejściu na emeryturę rozpoczął pisanie wspomnień z całego swojego życia. Pisał z przerwami, ale dość regularnie i pracowicie, aż do początku 1981 r., kiedy ostateczne załamanie zdrowia uniemożliwiło mu kontynuowanie pracy. Pozostawił po sobie ponad 1500 stron rękopisu. Rękopis ten był sukcesywnie przepisywany na maszynie i w znacznej części został przez Gomułkę przejrzany. Poprawki jego ograniczyły się do korekty błędów maszynopisania, redakcję najwidoczniej odkładał na później, po zakończeniu całości. Niestety zdołał doprowadzić wspomnienia jedynie do 1945 r.

Przed śmiercią Gomułka wobec żony i syna wyraził opinię, że na razie nie należałoby wspomnień publikować. Szanując wolę zmarłego, rodzina przez kilka lat nie udostępniała wspomnień nikomu, a jedynie kilka osób wiedziało o ich istnieniu. Kiedy zbliżyła się dziesiąta rocznica śmierci Gomułki, a sytuacja polityczna w Polsce uległa drastycznej zmianie, jego syn Ryszard Strzelecki-Gomułka (żona — Zofia — już wtedy nie żyła) zaproponował Polskiej Oficynie Wydawniczej BGW wydanie wspomnień. Obie strony, wydawca i właściciel praw autorskich, zwróciły się do mnie z propozycją redakcji tej edycji. Propozycję przyjąłem i w ciągu roku pracę tę wykonałem. Podstawą prac redakcyjnych był przekazany wydawnictwu maszynopis, który w toku pracy wraz z p. Ryszardem Strzeleckim-Gomułką konfrontowaliśmy z rękopisem. Wspomnienia Gomułki ukażą się za kilka miesięcy w dwu tomach, pierwszy obejmuje lata 1905-1939, a drugi 1939-1945. Napisałem do całości przedmowę oraz objaśnienia i przypisy. Ryszard Strzelecki-Gomułka napisał posłowie.

Podstawową część wspomnień Gomułki stanowi szczegóło-

wa relacja z jego życia i wydarzeń w jakich uczestniczył, napisana barwnie i z wielką, wręcz zaskakującą, szczerością. Są tam również liczne dygresje wybiegające poza chronologię relacji, a także obszernie rozprawy polityczne, dotyczące zagadnień i spraw, z jakimi autor się zetknął. Tak więc w pierwszym tomie sporo miejsca zajmują krytyczne rozważania o polityce KPP w kwestii niepodległości Polski, o stosunku WKP(b) i Kominternu do Polski oraz o stosunkach polsko-sowieckich. W tym właśnie kontekście Gomułka poddał drastycznej rewizji własną i swojej partii ocenę polityki Józefa Becka z lat 1938-1939. Te rozważania wydały mi się tak znamienne, nawet szokujące, że zaproponowałem publikację odnośnego fragmentu miesięcznikowi *Dziś*.

Ma rację Maria Turlejska, że we wstępie nie poinformowałem dokładnie o charakterze źródła, z którego tekst został wzięty. Był to jednak już trzeci publikowany fragment wspomnień Gomułki. Dwa poprzednie ukazały się w wielkonakładowym tygodniku *Polityka* i dotyczyły współpracy PPR z organizatorami powstania w getcie warszawskim (nr 32 z 1991 r.) oraz aresztowania i procesu szesnastu przywódców Polski Podziemnej (nr 36 z 1992 r.). Pierwszą z tych publikacji opatrzyłem obszernym wstępem, wyjaśniającym wszystkie szczegóły źródłoznawcze. Sądziłem zatem, że nie muszę tych informacji powtarzać przy każdej kolejnej publikacji. Jak widać myliłem się, Maria Turlejska najwidooczniej tamten tekst przeoczyła.

Zastanowiły mnie jednak racje rzeczowe, które według Turlejskiej kazały wątpić w autentyczność rozważań Gomułki o polityce Becka. Sądzi ona mianowicie, że Gomułka nie mógłby powoływać się na opublikowaną w ostatnim nr. *Czerwonego Sztandaru* uchwałę KC KPP pt. „Nowe momenty w sytuacji i zadania obozu demokracji”, gdyż nie była to żadna uchwała KC KPP, lecz artykuł napisany „być może przez Edwarda Uzdańskiego”, członka Tymczasowego Kierownictwa KPP, utworzonego w kraju po ustaniu łączności z rzeczywistym KC.

Gomułka rzeczywiście pomylił się, przyjmując wstępny artykuł w *Czerwonym Sztandarze* za uchwałę KC KPP. Nie mogłem ze zrozumiałych względów tej omyłki korygować, ale zasygnalizowałem ją we wstępie do publikowanego tekstu. Nie sądzę jednakże, aby omyłka Gomułki miała istotne znaczenie merytoryczne lub podważała sens jego interpretacji i wniosków. Myśli zawarte w cytowanym przez Gomułkę artykule *Czerwonego Sztandaru*, w szczególności oskarżenia pod adresem rządu polskiego i min. Becka o współpracę z Hitlerem, wręcz piętnowanie ich jako agentów Hitlera, powtarzają się w innych dokumentach i enuncjacjach KPP z tego okresu. Wymienię dla przykładu: „List otwarty KC KPP do Rady Naczelnej PPS” z 16 marca 1938 r., „Odez-

wę KC KPP do ludu Polski” z końca marca 1938, „Odezwę pierwszomajową KPP” i wreszcie odezwę KC KPP z czerwca 1938 r. pt. „Ręce imperialistów precz od Czechosłowacji! Precz z wojną!”. Wszystkie te teksty nosiły podpis KC KPP.

Gomułka doskonale wiedział, że w 1938 r. KC KPP już nie istniał. Znając jednak kapepowskie obyczaje sądził, że żaden działacz KPP w kraju nie odważyłby się sygnować podpisem KC jakiegokolwiek tekstu bez odpowiedniego upoważnienia. Dlatego też podejrzewał, że wymienione dokumenty były napisane i wydane z inspiracji Kominternu lub jakiejś innej agendy WKP(b). We wstępie do tekstu Gomułka zdystansowałem się od tych podejrzeń, głównie dlatego, że nie znałem i nie znam obecnie źródłowych przekazów je uzasadniających. Nie oznacza to wszakże, abym uważał sprawę za jasną i bezsporną. Nie przypuszczam bowiem, by tzw. Tymczasowe Kierownictwo KPP w kraju (Lipski Leon, Zawadzki, Radkiewicz, Grudowa, Uzdański) działało zupełnie na własną rękę. Nie wykluczałbym kontaktów całego zespołu lub jego poszczególnych członków z różnymi sowieckimi agendami. Sprawa na pewno wymaga dalszych badań. W kilkanaście miesięcy później wszyscy członkowie tego kierownictwa znaleźli się w ZSSR i jedynie Lipski został aresztowany, a później zabity. Pozostali prosperowali nieźle, a Radkiewicz — jak świadczą jego późniejsze losy — cieszył się nawet szczególnym zaufaniem, został szefem MBP.

I ostatnia supozycja Turlejskiej: uważa ona za „bzdurną” myśl, że gdyby rząd Polski zawarł w 1938 r. przymierze z Niemcami przeciw ZSSR, to taki alians miałby szansę zwycięstwa militarnego i mógłby liczyć na neutralność mocarstw zachodnich. Osobiście nie lubię rozprawiać, co byłoby gdyby... Historia alternatywna zawsze ociera się o fantazję. Ale mimo to dziwiw się Marii Turlejskiej, że z taką pewnością i zapalem utrzymuje, iż „Polska z Niemcami nie pobiłaby ZSSR w 1938 r., ani w 1939, ani nawet w 1940 r.”. Przecież w 1940 r. mała Finlandia omal tego nie dokonała. W każdym razie Władysław Gomułka taką „bzdurę” w 1976 r. napisał, na dowód czego pozwałam sobie załączyć kserokopię odnośnych stron rękopisu. A na pocieszenie Marii Turlejskiej dodam, że w kilka lat po Gomułce zawodowy historyk polski Jerzy Łojek w głośnym eseju „Agresja 17 września” snuł podobne rozważania o możliwości aliansu polsko-niemieckiego w końcu lat trzydziestych. W odróżnieniu od Gomułki Łojek sądził nawet, że byłaby to korzystniejsza dla Polski opcja polityczna, niezależnie od tego, jak zakończyłaby się wojna.

Andrzej WERBLAN

Niestety ze względów technicznych nie możemy zamieścić reprodukcji załączników. *Redakcja.*

JÓZEF PIŁSUDSKI A PAMIĘTNIKI

Jedną z najczęstszych lektur J. Piłsudskiego były pamiętniki. Używał ich w podwójnej roli: „do poduszki” i jako źródła historycznego niezbędnego w przygotowaniu wykładów i książek historycznych. W tej drugiej roli dopiero od roku 1908, kiedy będąc już na stałe w Galicji, rozpoczął regularne studia badawcze.

Pamiętniki stały się podstawą większości prac historycznych Piłsudskiego (Zarys historii militarnej powstania styczniowego, 22.I.1863, powojenne wykłady na temat roku 1863, wojny od prusko-francuskiej do roku 1920). Należały do jego najwcześniejszych lektur, czytywał je bowiem jeszcze podczas pobytu w gimnazjum wileńskim. W latach późniejszych, gdy w chwilach wolnych zasiadał na dłużej do lektury, można było mieć pewność, że wśród książek ich nie zabraknie.

Zanim spróbujemy ustalić, czy i w jaki sposób przeprowadzał krytykę pamiętników jako rodzaju źródła historycznego, zobaczymy jakie miejsce przyznawał im w swoich badaniach. Jak się okaże, między intensywnością wykorzystywania przekazów pamiętnikarskich a charakterem ich krytyki historycznej istnieje niewątpliwy związek.

Spośród pamiętników, które miał okazję czytać, najwięcej odnosiło się do epoki powstania styczniowego. Zaznajamiał się z nimi chętnie, choć historycy badający tę epokę mieli do nich sporo zastrzeżeń, zwłaszcza do ich poziomu rzeczowego i literackiego. Na przykład Wacław Tokarz pisał: „Pamiętniki z roku 1863 nie wytrzymują nigdy porównania z relacjami dziennikarskimi... kultura pamiętnikarstwa naszego obniżyła się niewątpliwie od roku 1831”.

Józef Piłsudski sięgał zarówno do tekstów wydanych samodzielnie (zarówno przed jak i po I wojnie światowej) jak i do dwóch podstawowych zbiorów: starszego i objętościowo mniejszego

1. W. Tokarz, *Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów*, t. I, Kraków 1914, s. 7; O innych mankamentach pisał autor wstępu do jednego z pamiętników: „Są to jednak przeważnie (mowa o pamiętnikach — A.Ch.) same urywki, ustępy epizodyczne, najczęściej opisy wypraw”, W. Daniłowski, *Notatki do pamiętników*, Kraków 1908, s. V.

pt. *Polska w walce. Zbiór wspomnień i pamiątek* przygotowanego przez Agatona Gillera oraz późniejszego i większego pt. *W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego 1863-1903*. W tym drugim zamieszczono 79 wspomnień powstańców, różnej objętości i wartości historycznej. Część z nich czytał wnikliwie, inne przekartkował, jeszcze inne pominął.

W oparciu o dane własne Piłsudskiego oraz analizę jego tekstów historycznych moglibyśmy ustalić listę autorów wspomnień, z których z pewnością korzystał, dodajmy, iż w olbrzymiej większości przed rokiem 1914. Liczy ona szesnaście nazwisk. Wśród nich kilku to czołowi przywódcy powstania. W kolejności alfabetycznej byli to: Władysław Baniłowski, Bronisław Deskur, Marian Dubiecki, A. Giller, Józef Kalasanty Janowski, Wiktor Jaworski, Antoni Jeziorański, Marian Langiewicz, Józef Lewandowski, Tomasz Teodor Jeż Miłkowski, Włodzimierz Milewski, Józef Oxiński, Roman Rogiński, Jan Stella-Sawicki, Bronisław Swzarce, Teodor Żychliński.

Bodajże największe wrażenie zrobiły na nim dwutomowe pamiętniki J. K. Janowskiego, przygotowane do wydania jeszcze przed wojną przez Komitet Jubileuszowy 50-tej rocznicy wybuchu powstania, a ostatecznie opublikowane po wojnie. Uważał je, nie bez racji, za jedno z najważniejszych źródeł do dziejów 63 r.²

Poza tym dokładnie zapoznał się ze wspomnieniami szwajcarskiego oficera, obserwatora wypadków 63 r. Franza Erlacha. Ich wydawca w języku polskim, W. A. Tokarz, pisał, że były one dziełem poważnym, napisanym przez naocznego i fachowego świadka, aczkolwiek nie pozbawionym błędów. Piłsudski przeglądał również pamiętniki Anglika, L. M. Andersona pt. *Seven month's residence in Russian Poland in 1863*.

Nielatwo jest ustalić listę tych pamiętników, z których ogóle nie zrobił żadnego użytku. Możemy mieć pewność tylko co do kilku: Edmunda Calliera, Benedykta Dybowskiego, Aleksandra Kraushara oraz Jakuba Gieysztor. Ten ostatni, dwutomowy, został wydany w roku 1913, w czasie, gdy Piłsudski już ukończył swoje najważniejsze prace o roku 1863, poza tym traktował o wydarzeniach powstańczych na Litwie, które bliżej Piłsudskiego nie interesowały. Z reguły swoje badania nad historią militarną 1863 r. ograniczał do granic Kongresówki.

Trudno doszukać się także śladów obecności w jego pracach

2. J. Piłsudskiego z J. K. Janowskim łączył szczególny stosunek. Widział w nim bowiem swojego bezpośredniego wielkiego poprzednika, członka powstańczego RN z roku 1863. Mówił o tym m.in. podczas mowy pogrzebowej nad jego grobem w roku 1914.

dwóch ważnych pamiętników wydanych po I wojnie światowej: Ignacego Baranowskiego (1923) i Ludwika Mierosławskiego (1924), choć ten drugi recenzowany był w *Bellonie*, którą chętnie przeglądał. Natomiast za radą Michała Sokolnickiego przeczytał pamiętniki generała Ignacego Prądzyńskiego o powstaniu listopadowym. Było to bodajże jedyne źródło tego rodzaju o roku 1831, które solidnie i z dużym zainteresowaniem przestudiował. Jak utrzymuje M. Sokolnicki, pamiętniki Prądzyńskiego nie pozostały bez wpływu na Piłsudskiego. Świadczyło o tym choćby kilka jego tekstów, w których się na niego powoływał.

Chętnie też sięgał do pamiętników i wspomnień napisanych przez wielkich wodzów, poczynając od Juliusza Cezara poprzez Napoleona a na Fochu kończąc. W ogóle cenił sobie wspomnienia fachowców, marszałków, generałów i niższych oficerów różnych armii, zwłaszcza te, które zawierały sporo cytat pochodzących z innych źródeł: prasy, dokumentów państwowych, relacji i sprawozdań osób trzecich. Największa pod względem ilościowym grupa takich tekstów odnosi się do historii wojny rosyjsko-japońskiej. Pisał, iż sporo istotnych danych mógł znaleźć „w wielu wspomnieniach i pamiętnikach”: rosyjskich, japońskich, a także angielskich. Szczególnie przydatne dla niego okazały się być 4-tomowe wspomnienia Aleksieja N. Kuropatkina, wydane już w roku 1906 pt. *Otczot generała-adiunkta Kuropatkina*. Największe jednak wrażenie zrobiły na nim pamiętniki (relacje, sprawozdania) obserwatora tej wojny, angielskiego generała Johna Hamiltona. W ogóle miał do niego szczególnie ciepły i serdeczny stosunek, cenił go za obiektywizm i fachowość. W jednym z tekstów pisał, iż Hamilton jest „cudowny w swych zapisach o wojnie japońsko-rosyjskiej”. Z Hamiltonem nie rozstawał się nawet w latach 30-tych. Był jedną z jego lektur podczas pobytu w Pikiliszkach. Należy podkreślić, iż studiując tę wojnę zrobił użytek z jeszcze jednej pracy angielskiej, pamiętników (relacji) ppłk. A.L. Hedona, *attaché* brytyjskiego przy II armii japońskiej, pt. *Reports from British officers attached to the Japanese and Russian forces in the field*.

W kilku jego studiach powojennych przydatne okazały się przekazy pamiętnikarskie uczestników I wojny światowej. Przede wszystkim ich autorami byli dowódcy armii niemieckich i austro-węgierskich. Nie sposób jednak precyzyjnie ustalić, co dzięki nim skorzystał. Generalnie interesowały go (to wiemy) epizody oraz zachowania generałów i żołnierzy na polu walki. Pamiętniki te cenił za solidność wykładu i umiarkowanie w ocenach, ganił za chłodny i biurokratyczny stosunek do żołnierza.

Nie wydaje się, by któryś z tych pamiętników przestudiował w sposób systematyczny i dokładnie. Zasadniczo sięgał do

nich tylko dorywczo, bowiem I wojna światowa nie miała dla niego takiego znaczenia poznawczego jak wspomniana rosyjsko-japońska czy nawet burska.

Największe znaczenie miały dla niego pamiętniki następujących autorów: Vollmara von der Goltza, pruskiego feldmarszałka, współpracującego m.in. z niemieckim biurem historycznym Sztabu Generalnego, autora *Das Volk in Waffen* i *Von Rossbach bis Jena*, obydwa wydane w latach 1919-1920, dalej generała H. von Kuhla, szefa sztabu I armii niemieckiej w roku 1914, autora *Der Marnefeldzug* oraz generała Franza Conrada von Hoetzendorfa, autora *Aus meiner Dienstzeit 1906-1918* (tom V). Niemalże też skorzystał z pamiętnika angielskiego marszałka Johna Dentona Pinkstone'a Frencha pt. *Memoirs of forty eight years service*. Mówiły bowiem zarówno o wojnie francusko-pruskiej z roku 1870 jak i burskiej³.

Zastanówmy się teraz nad tym, czy Piłsudski badał i ocenił wiarygodność przekazów pamiętnikarskich? Istotnie badał, ale w szczególny sposób. Mianowicie zamiast w pierwszej kolejności patrzeć na tekst, zwracał uwagę na autora. Jeśli uznał, iż dany autor pamiętnika zasługuje na zaufanie czy to ze względu na życiorys (bohater powstania bądź wojny) czy cechy charakterologiczne (pozytywne) to wówczas cały tekst uważał za źródło wiarygodne.

Na przykład skoro Szwarcego czy Miłkowskiego uznał za świadków budzących zaufanie, to przy kolejnych okazjach przyjmował wszystko, co oni twierdzili i prezentowali o przeszłych wypadkach, za dobrą monetę. Podobny sposób rozumowania można obserwować rozważając jego stosunek do zeznań składanych przez aresztowanych powstańców. Kryteria pozamerytoryczne rozstrzygały o walorach źródła.

W tej sytuacji musiałyby zaistnieć jakieś szczególne powody, ewidentne przykłady kłamstw, by mógł stracić do nich zaufanie. Instynkt mu podpowiadał, że należy ufać autorom sprawdzonym w historii, zasłużonym dla sprawy. Z punktu widzenia „reguł sztuki”, tj. zasad krytyki przyjętych przez ówczesną historiografię, takie stanowisko jakie zajął Piłsudski trudno byłoby uznać za racjonalne i słuszne.

Jak z tego widać oceniając pamiętniki pod kątem wiarygodności Piłsudskiego skorzystał nie tyle z reguły krytyki historycz-

3. Poza wymienionymi Piłsudski sięgał do innych autorów, których nazwisk nie udało się jednak ustalić. Na przykład wspominał, że czytał relację pewnego kapitana rosyjskiego, z której zaczerpnął przykład „jednostkowego przeżycia kryzysu boju” bądź: „z różnych drobnych rozszaniach w wielu wspomnieniach i pamiętnikach z tych czasów widać”.

nej, co z zasady praktykowanej w sądownictwie. Jak sędzia zmierzał do uzyskania krótkiej i jednoznacznej odpowiedzi: winien — nie winien. Jeśli autor pamiętnika był kiedyś zdrajcą, złodziejem mienia publicznego czy oszustem — to w przekonaniu Piłsudskiego wartość jego przekazu była żadna. Jednym słowem: był winien. Natomiast gdy był postacią kryształową, zasłużył się na polu kultury narodowej bądź nauki, a jeszcze lepiej powstańczej walki, to wówczas jego wspomnienia były wiarygodne. W sądzie, według kryteriów Piłsudskiego, byłby uznany za niewinnego. Zatem jedni pamiętnikarze zostali uznani za takich, którym w pełni można zaufać, inni za tych, którym ufać nie należy. Tych pierwszych, jak wynikało z jego badań, była przeważająca większość, przynajmniej wśród tych pamiętników, które przeglądał pod kątem pisania tekstów czy przygotowywania wykładów.

Aby obraz był pełny, musimy wspomnieć o sytuacjach, gdy odstępował jednak od tej reguły. Bywało bowiem, że mimo negatywnej opinii o danym autorze szukał w jego tekście danych o faktach i ludziach, poddając je oczywiście szczegółowej analizie i konfrontując z innymi informacjami źródłowymi. Mimo tego nie zdobył się na uogólniającą uwagę metodologiczną, iż niezależnie od wrażenia jakie robi autor, niezależnie od tego kim był osobiście, jego tekst powinien być poddany historycznej krytyce.

Piłsudski zaliczał się do grona tych historyków, którzy szczególnie wysoko oceniali rzeczową i poznawczą wartość wspomnień. Miał do nich większe, niż do wielu innych źródeł zaufanie. M. Handelsman nazywał to „szczególną skłonnością”.

W sytuacji, gdy nie miał pewności co do przebiegu wypadków i kiedy nie wiedział, jaką ich wersję należałoby wybrać, przekazy pamiętnikarskie posiadały dla niego (z reguły) moc rozstrzygającą. Stały się jakby rodzajem ostatniej instancji. Świadczyła o tym jego praktyka badawcza, a także wyrażane opinie w rodzaju: „Studiując w swoim czasie powstaniową dobę — wyjaśniał swoim słuchaczom — znalazłem w prostym *in crudo* (tj. stanie surowym) podanym materiale, we wspomnieniach powstańców całe mnóstwo wyjaśnień dla męczących mnie pytań, a wiele wątpliwości, które miałem, zastałem rozwiązanych. Bez takich wspomnień bowiem historyk nie ma sprawdzianu, gdy wreszcie takie dokumenty są sprzeczne lub niejasne, gdy wreszcie dokumentów potrzebnych jest brak, lub wzbudzają wątpliwości czy nie są rozmyślnie fałszowane⁴”. W efekcie jednak nad-

4. Przytoczane w tekście słowa Józefa Piłsudskiego pochodzą z wydawnictwa Józef Piłsudski *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937–1938 (krajowa reedycja 1989–1991).

mierne zawierzenie pamiętnikom prowadziło do ich niewystarczającej krytyki.

Konsekwencją takiego stanowiska metodologicznego było pojawienie się u niego wątpliwości odnośnie tych prac historycznych, monografii czy syntez, których autorzy w nazbyt małym stopniu albo w ogóle nie sięgali do przekazów pamiętnikarskich. Ze szczególną mocą to podkreślał, oceniając dzieło Walerego Przyborowskiego o powstaniu styczniowym: „Wszyscy inni uczestnicy powstania, którzy pozostawili mnóstwo wspomnień... dla niego prawie nie istnieją... ma pewnych autorów, którzy są dla niego faworytami”.

Bywało jednak, iż Piłsudski mimo wielu słów pełnych entuzjazmu dla wartości wspomnień jako źródła ujawniał inne stanowisko. Potrafił być wobec nich krytyczny i surowy. Dawał wówczas znać, iż wie o tym, że wspomnienia są wygodnym sposobem kreowania opinii o sobie samym. „Pamiętniki — mówił w roku 1912 — odznaczają się z jednej strony bardzo często chępliwością i przesadą, tak, że mimo woli wywołuje to pewien niesmak; z drugiej strony bardzo często ulegają opinii, tak jakby pisane były nie dla prawdy historycznej lecz dla usprawiedliwienia błędów i gniewów młodości. Wobec tego wiele z tych pamiętników traktować należy z dużą ostrożnością”.

Zgodnie z tą opinią zdarzało się, choć niezbyt często, że próbował odgadnąć intencje osobiste i polityczne, które kierowały danym autorem, ustalić czy tekst był publikowany za życia czy po jego śmierci, ustalić czy pamiętnik był pisany dla siebie samego (sekretny) czy z góry był przygotowany z myślą o czytelnikach. Po raz wtóry niekłamana nieufność wobec wspomnień jako źródła historycznego zgłosił w *Poprawkach historycznych*: „bardzo wielu ludzi w Polsce stara się nie wiadomo po co opowiadać bajki i żyć w stałym fałszu... ta namiętność i ta śmieszność z jaką ludzie starają się upiększać siebie, dodać sobie siły, której nie mieli także, jest niekiedy jakby znamieniem prób historycznych, czynionych dotąd w stosunkach do tych wielkich wypadków, których świadkami było pokolenie, na szczęście schodzące już do grobu”. Pisząc te słowa miał na myśli — choć nie tylko — dwu autorów inkryminowanych pamiętników, Leona Bilińskiego i Ignacego Daszyńskiego, w tym przede wszystkim tego drugiego. Autorzy ci w opinii Piłsudskiego uznali właśnie pamiętnik za dobry, bo skuteczny sposób poprawienia swojego miejsca w historii. Odnosimy wrażenie, iż w tym tekście ujawnia się nie tylko jego nieufność w stosunku do pamiętników jako źródła historycznego, ale także nieufność jako jego sposób bycia i jako ważna cecha charakterologiczna Piłsudskiego — człowieka i polityka.

W praktyce badawczej zazwyczaj zwykł zapominać o przestrodze wypowiedzianej przed wybuchem I wojny światowej, a powtórzonej w *Poprawkach historycznych*. Tym bardziej nie próbował sprecyzować wyżej zaprezentowanych wątpliwości co do wartości pamiętników, choć na początku lat 20-tych w Polsce i w innych krajach ukazało się sporo cennych tekstów napisanych przez historyków, także socjologów oraz psychologów społecznych, których to autorzy poważnie zastanawiali się nad strukturą czy fenomenem pamiętnika jako źródła informacji. Z tymi głosami mógł się zetknąć, ale nie musiał natychmiast dawać dowodów na to, iż go interesowały.

Dobrym świadectwem wiary Piłsudskiego w tajemniczą moc pamiętników jako źródła wiedzy historycznej były okoliczności rzucenia hasła na początku lat 20-tych (choć nie możemy zapominać o jego kontekście politycznym): „Leguny (tj. legionieści) do wspomnień!” oraz przebieg akcji gromadzenia pamiętników świadczących o dziejach Legionów Piłsudskiego. „Niech więc koledzy — apelował — zechcą się przyczynić swymi pracami do wyjaśnienia prawdy historycznej, niesfałszowanej, swymi szczerymi opisami momentów przeżytych ongiś we wspólnej pracy”. A nic tak dobrze temu nie służy jak poszukiwanie wspomnień i pamiętników, gdyż pochodzą one od świadków — uczestników wydarzeń. Słowa te były wyrazem przekonania, iż w obliczu prób walki przeciwników politycznych z dobrym imieniem czynu legionowego, należy walczyć z „krzywdą historyczną” o prawdę dziejową.

W jego odczuciu prawda historyczna jest zagrożona na skutek braku miarodajnych dokumentów, a pamięć ludzka jest ulotna i zawodna. Trzeba więc takie źródła stworzyć, także ze względu na przyszłych historyków i przyszłe podręczniki dziejów naszego kraju. Zachęcał także do pisania tych wszystkich, którzy współtworzyli historię Polski, choć czynu legionowego nie popierali, „byle ich wspomnienia ze spotkania z nami nosiły charakter szczerości historycznej i nie miały w sobie nic z fałszu. Polemiki z kimkolwiek i czymkolwiek unikamy, nie chcemy tylko kłamstwa i odpieramy wszelką próbę przekręcenia naszego życia, naszych prac i naszych celów”.

Piłsudski i jego współpracownicy planowali opublikowanie całej serii takich wspomnień, ale skończyło się na dwóch tomach. Wzorem dla tego przedsięwzięcia miały być pamiętniki wydane w 40-tą rocznicę wybuchu powstania styczniowego, z których tak wiele ongiś skorzystał. W jego przekonaniu było to pierwszorzędne wydawnictwo, przygotowane fachowo, kompetentnie. Pamiętniki legionistów, podobnie jak kiedyś powstańców, przede wszystkim miały mówić o faktach i o przeżyciach.

Nie musiały być ani długie ani szczególnie dopracowane pod względem literackim. „Szukam — zwracał się do swoich żołnierzy z lat 1914-1917 — wspomnień ulotnych, urywków — że tak powiem życia, które najjaskrawiej w pamięci pozostały, nie będą bowiem zatarte przez przeżycia późniejsze i odtworzą w ten sposób bez fałszu i pretensji ten czy inny moment, silniej przez poszczególnego kolegę przeżyty”.

Podsumowując można stwierdzić, iż Piłsudski, który niełatwo obdarzał kogoś czy coś zaufaniem, otworzył się na relacje pisane czy w ogóle na ten typ źródła, na przekazy osobiste. Zaufał wspomnieniom, bo znalazł w nich „prawdę żywą i trwałą”. Jak utrzymuje M. Handelsman i z czym zgodzić się należy, w tym mieści się i z tego wynika metodologiczne źródło polemiki Piłsudskiego z Biurem Historycznym o Legiony i o rok 1920.

Z wysoką oceną pamiętników jako źródła Piłsudski spotykał się, co zrozumiałe, w wydawnictwach pamiętników, krajowych i zagranicznych. Na przykład jeden z ich wydawców, A. Giller, tak o nich pisał: „Są one drogie dla historii, są one dla niej tym, czym były w dawnych czasach kroniki. W pamiętnikach [badacz] szuka prawdy jakby ziarnka w piasku, ciesząc się z tego, że ma w czym szukać. Więc pamiętniki ułatwiają wyszukanie pracy, są drogą i przygotowaniem do historii”.

Nie tylko Piłsudski, lecz także obiekt jego podziwu Napoleon Bonaparte czy marszałek Ferdynand Foch mieli skłonność do przeceniania znaczenia tego rodzaju źródła. Łatwo zapominali (choć może nie czas na krytykę), że mieli do czynienia z materiałem szczególnym, nieraz z instrumentem politycznego oddziaływania, z materiałem, który był lub mógł być świadomą bądź nieświadomą deformacją. Fakty dziejowe przenikając do społecznej świadomości ulegają tym samym mniej czy dalej idącym zmianom, przede wszystkim poddają się i w efekcie przystosowują do obecnych w danym społeczeństwie.

Niemalą wpływ na pozytywny stosunek Piłsudskiego do pamiętników miały liczne akcje podjęte przez wojskowe i cywilne instytucje badawcze, a których celem było zachęcenie świadków wydarzeń do spisywania wspomnień. Podnoszono, iż trudno sobie wyobrazić odtworzenie dziejów kraju, w tym jego historii wojennej, bez licznych relacji pisanych. Mogą się one „przynajmniej do analizy elementu dowodzenia, który z natury rzeczy nie jest nigdzie notowany”. Szerzej tę potrzebę wyjaśnił Wacław Lipiński: „Najważniejszym zadaniem jakie spada na tych, którzy opracowują najnowsze dzieje Polski „staje się tworzenie źródeł

przez zbieranie relacji. Tym się różni badacz dziejów najnowszych, iż poza źródłami dokumentacyjnymi i literaturą, jakie ma do dyspozycji, posiada on ponadto możliwość tworzenia źródeł, mając możliwość dotarcia do żyjących jeszcze uczestników badanych zdarzeń⁶”.

Sfery wojskowe (m.in. Marian Kukiel dn. 13 II 1923) podejmowały rozmaite apele do żołnierzy, a w szczególności do oficerów, by spisywali, według kwestionariuszy sporządzonych przez organizatorów, relacje i wspomnienia z pól bitewnych lat 1914-1921. W prasie, w tym przede wszystkim fachowej, zajmowano się również zagadnieniami teoretycznymi tego przedsięwzięcia, rozważano także problem metod ich spisywania, gromadzenia a następnie opracowywania⁷. Istotny nie tylko pośredni, ale również bezpośredni wpływ na wyżej wymienione akcje gromadzenia relacji ustnych i pisanych, na „dowartościowywanie” wspomnień jako ważnego źródła historycznego miał J. Piłsudski. Zafascynowany nimi, swoją do nich sympatię przekazywał innym, ale zarazem ci inni umacniali go w przekonaniu o dużej wartości rzeczowej pamiętników i panujących idei, systemu wartości czy wręcz zbiorowej wyobraźni. To prowadziło do znanej rzeczy: pamiętnik pisany po latach mówi nie tylko o „swoim” czasie, ale także o tym, w którym był spisywany.

Marszałek nie tylko dlatego chętnie sięgał do pamiętników iż miał do nich jako źródła danych zaufanie, ale również ze względu na ilość informacji, które zawierały. Jako „najwyższe dokumenty życia” — jak je nazywał — ułatwiały też (zwłaszcza wtedy, gdy były czytane jeden za drugim) rekonstrukcję atmosfery danego czasu historycznego, jego swoistości i odrębności, pozwalały dotrzeć do irracjonalnej warstwy dziejów.

Poza tym oddawały to, co dla niego było szczególnie istotne: „nastrój” czy „styl” epoki, „dają bowiem przeżycia

6. Szczególnie dobre wyniki przyniosło gromadzenie relacji do historii wojny polsko-bolszewickiej. O samej tylko bitwie radzyńskiej zebrano ponad 700 relacji. Duża w tym zasługa Bolesława Waligóry i Stanisława Biegańskiego. S. Biegański, *Badania historyczno-wojskowe dziejów najnowszych*, Warszawa 1933, s. 43-51; B. Waligóra, *Zarys wysiłku około gromadzenia pamiętników, wspomnień, relacji itp. do historii...*, Warszawa 1938, s. 18 i nast.

7. O tych problemach mówiono nawet podczas zjazdów naukowych historyków. Na przykład uczestnik takiego zjazdu w Poznaniu w roku 1925, B. Zawadzki, bardzo wysoko oceniał pamiętniki jako źródło historyczne. W tym miejscu należy także przypomnieć o sporych wysiłkach Floriana Znanickiego i jego młodszych kolegów, by przygotować, a następnie wydać pamiętniki osób pochodzących z różnych środowisk i warstw społecznych.

ludzi, których dziełem i pracą było to, co jest obiektem pracy historycznej, dają dobrą minioną, przeszłość, która zawsze odmienną jest od teraźniejszości, a cechy jej istotnie trudne są często do odcyfrowania, jak hieroglify dawnych zapomnianych ludów i szczepów”.

Wreszcie pamiętniki, w tym zwłaszcza wojskowych, mówiły o kontaktach z podwładnymi (także z przełożonymi), o pracy sztabu wojennego, a nade wszystko o kondycji psychicznej i „stanie ducha” dowódców podczas działań wojennych. W swoich pracach historycznych Piłsudski poczynił o tym wszystkim niemało uwag, odwołując się do przykładów wodzów naczelnych. Najwięcej zaintrygowali go generałowie, uczestnicy wojny rosyjsko-japońskiej i to obu stron konfliktu: Kuropatkin i Kuroki.

Podejmowane przez Piłsudskiego próby szczegółowej oceny różnych typów źródeł historycznych zostały co prawda (przed rokiem 1939) dostrzeżone przez historyków, lecz bliżej nie zostały ocenione. Wypowiadający się o tym problemie ujmowali go w kilku ogólnych i okrągłych zdaniach w rodzaju: „cenił źródła”, „umiał się z nimi obchodzić”, „myślał wiele nad warstwą źródeł historycznych” itp. Więcej i dogłębniej o tym pisali historycy doby powojennej ze Stefanem Kieniewiczem na czele (poza nim Eligiusz Kozłowski, Ryszard Pietrzykowski). Dostrzegli oni niewłaściwość (i jej konsekwencje) stanowiska Piłsudskiego, zwłaszcza wobec zeznań i pamiętników jako źródeł historycznych.

Andrzej CHWALBA

OKRUCHY HISTORII

Alicja IWAŃSKA

NA TRASACH

Nie padało już i mrok się rozjaśniał. Naokoło pustka. Przez tę pustkę, na przełaj, polami przedostaliśmy się do stacji kolejki EKD i kupili bilety do Zachodniej Podkowy Leśnej. Stamtąd było już tylko pięć minut do Stawiska Iwazskiewiczów.

W połowie drogi między stacją kolejki i Stawiskiem spotkałyśmy ciocię Jadwinę, starszą siostrę Jarosława. Serdecznie, bez zdziwienia się ze mną przywitała. — Wiesz, kochana, że zdecydowaliśmy się liczyć naszych gości. Ty jesteś... i ze śmiechem wymieniła jakąś fantastyczną liczbę. Nie mam pamięci do liczb, tę jednak długo pamiętałam, bo na moment mnie wówczas oszłomiła i onieśmieliła.

Już wchodziliśmy do ponurego dworzyska, a tam Jarosław w drzwiach nas witał mrużąc małe, niebieskie oczy i przyglądając się mnie i Wandzie z serdeczną uwagą. Jani i małego Stasia jakby nie zauważył. — Alu, moja kochana, jakże się cieszę, że cię widzę. I ty i twoja przyjaciółka możecie tu naturalnie zostać, jak długo chcecie. Głodne pewno jesteście, chodźcie, stół nakryty.

* Fragment z książki Alicji Iwańskiej pt. „Potyczki i przymierza”, która ukaże się w najbliższym czasie nakładem wyd. Gebethner i Ska w Warszawie.

Gdy zaszeptalam mu o Jani i Stasiu, powtorzył znowu głośno:

— Wy dwie możecie tu zostać, jak długo chcecie, ale dla nikogo więcej nie mamy już miejsca. Pani tu może sobie posiedzieć — pokazał Jani krzesło w sieni — ogrzać się trochę, odpocząć. No a wy — zwrócił się do nas — podpiszcie teraz Księgę Gości. Objął nas obie serdecznie, podał księgę i zaprowadził do pokoju jadalnego, gdzie przy długim, wąskim stole siedziało już ze dwadzieścia osób. Z dwóch wielkich waz służba rozlewała zupę do głębokich talerzy.

Do sieni zanosiliśmy zaraz nasze kartoflanki dla Jani i Stasia. — Nic się o nas nie martwcie — zapewniła nas Jania — już wiem, gdzie mam szansę na nocleg. Czy rzeczywiście ją miała?

Gdy wróciliśmy do jadalni, podawano już drugie danie i dopiero wówczas zauważyłam, ilu mam tu znajomych. Wychudzeni, w łachmanach, postarzali, a jednak ci sami: profesor Tatariewicz z tym samym nerwowym tikiem, Wilam Horzyca, muzyczny krytyk Jerzy Waldorf, muzykolog Roman Jasiński, Jan Ekiert, pianista, Pola Gojawiczyńska z córką, Stefan Spiess z siostrą i kto jeszcze?

Ciocia Hania i Jarosław zaraz mnie poinformowali, że „wszyscy Iwańscy siedzą w pruszkowskim obozie”, tym samym, do którego nas prowadzono.

Ojciec, Tadeusz z żoną, mała Martynka, a więc wcale nie „wszyscy”! Olo był przecież w partyzantce, Stachna została w Siedlcach, a stryj Gucio, też przecież Iwański, był „nie wiadomo gdzie”.

Wszyscy wszystkich ciągle szukali i my obie już nazajutrz ruszyliśmy pod Pruszków. Tam przez Alfreda Łaszowskiego, który podobno „miał kontakty”, starałyśmy się czegoś dowiedzieć o Iwańskich w obozie pruszkowskim. Czy tam w ogóle są? Czy zdrowi? A może jakoś uda się ich wykupić? Telefony, rozmowy, znowu telefony, nie osiągnęłyśmy jednak niczego. Kto wie, może ich już wówczas w obozie pruszkowskim nie było?

Gdy przeglądam teraz czarny zeszyt ojca, widzę, że wyszli z Warszawy kilka dni przed naszym wyjściem. „30 września — zanotował ojciec — wyjście ze schronu (rabunek zegarka itd. po drodze). Z Tadeuszem, Halą, Martynką *via* Powązki — kościół na Wolskiej, do Pruszkowa. Koszmarny obóz w Pruszkowie”.

Dowiedziałam się potem, że wkrótce ich rozdzielono i pewno wówczas, gdy się o nich dowiadywałam, byli już posegregowani na kobiety, mężczyzn, zdrowych, chorych, starych, młodych.

Zaliczony zapewne do „starych”, tak o sobie ojciec pisze: „Rozstanie z towarzyszami. Transportem do Jędrzejowa, ciernio-

wa droga z Jędrzejowa do Pruss. Przez Kielce, Skarżysko, Koluszki piechotą do Rogowa... autem do Pruss”.

W majątku Prussy mieszkała siostra mojej bratowej Hali, Zosia Pruska, do niej więc ojciec jechał. Gdy tam wreszcie dotarł, okazało się, że Broniek Pruski, mąż Zosi, został właśnie rozstrzelany przez Niemców.

W Stawisku mówiło się, że w pobliskim Milanówku dzieje się coś ważnego, że „jakiś sztab akowski tam się zainstalował, a może Delegatura?” Nikt tego dokładnie nie wiedział, miałyśmy jednak od pana K. kontakt właśnie do Milanówka.

Wybrałyśmy się tam na drugi czy trzeci dzień po zainstalowaniu się w Stawisku. Willa jak wiele innych. Melina? A może tylko poczta? Zapytałyśmy o „Bradla”. Okazało się, że jest, istnieje, ale „już dość dawno wyszedł”. Zdecydowałyśmy się spróbować nazajutrz.

Wracałyśmy zachwaszczoną ścieżką wzdłuż torów EKD i nagle zderzyłyśmy się z panem K. idącym tą samą ścieżką w kierunku Milanówka z jakimś mężczyzną. Porozmawiał z nim jeszcze chwilę i zobaczyłyśmy, że się żegnają.

— No i co, szanowne damy? Na zimowych wakacjach w Podkowie Leśnej? — Tak po swojemu zaczął i poprosił nas o telefon. — Okropne łapanki w okolicach, a w kolejce jeszcze gorsze, czy macie jakieś porządne papiery? Do niczego się szanowne damy nie przydadzą bez zabezpieczających dokumentów. Chcę, żebyście trochę pojeździli. Za kilka dni zadzwonię.

Przez pierwsze dni w Stawisku sypiałyśmy w pokoju jadalnym na łózkach zaimprovizowanych z powiązanych mocnymi sznurkami krzesłek. Na tych krzeselkach koce; przykrywałyśmy się paltami. Obolałe wstawaliśmy z tych legowisk i jak tylko zwolniła się narożna kozetka w gabinecie, Jarosław nas tam zaprosił. Oprócz nas sypiała tam na polowym łóżku zapamiętana przez Wandę Babetka Pistkowska z dziesięcioletnim synem. Narożna pluszowa kozetka za biurkiem Jarosława była nasza! Wanda dosztukowywała ją przystawionym krzesłem. Ja spałam w pozycji embriona, a czasami z nogami na biurku Jarosława. Naokoło nas książki, fotografie, bibeloty.

Inni goście, których Jarosław przyprowadzał, spali koło nas na dywanie. Ile razy wracałyśmy potem z naszych kurierskich wypraw, mogłyśmy na tę naszą kozetkę liczyć!

Biwakowałyśmy w Stawisku zaledwie trzy miesiące. Tylko trzy? Czy to możliwe? Zapamiętałam ten stawiskowy okres jako co najmniej półroczny.

Nie wiem, nad czym pracował wówczas Jarosław. Spędzał po

kilka godzin dziennie w ubieralni za łazienką. Pamiętam za małe i za niskie dla niego krzeselko i dużą deskę, a może to był mały stolik? I skupioną twarz Jarosława.

Zapamiętałam go dużo lepiej w zatłoczonych pokojach, na korytarzach i werandach gościnnego dworzyska. Obserwował nas wszystkich uważnie waziutkami, niebieskimi oczami, jakby starał się nas zapamiętać i zrozumieć. Ale nie byliśmy dla niego na pewno „pretekstem do dzieła sztuki”. Byliśmy akumulatorami naładowanymi Warszawą: jej pożarami, triumfami, klęską, blaskiem, zawzięciem. Jakoś bardzo głęboko nas przeżywał.

Jarosławie kochany... myślałam... jak to dobrze, że nas o nic nie pytasz... Już wtedy, gdy miałam trzy lata, bardzo cię za to lubiłam... A Jarosław nie do nas, lecz do swego puszystego kota się uśmiechał i coś tam do niego szeptał. Usłyszałyśmy kiedyś:

*Nie wiem co było przed początkiem
bo Pan Bóg stworzył mnie zwierzęciem...*

Dostałam jakiegoś paskudnego zakażenia pięty i chodziłam z nogą obandażowaną. Napływający do Stawiska goście radzili mi, jak pielęgnować „tę ranę”. Tłumaczyłam im, że to nie żadna rana, ale mi nie wierzyli. — Takich ran nie trzeba się wstydzić, powinna być pani z nich dumna. „Ta blondynka ranna w powstaniu”... taką już dla nich pozostałam.

Opatulone kocami rozmawiałyśmy kiedyś z Wandą na ławeczce przed domem — ja z nogą w bandażach na wysokim stołku — gdy nagle zauważyłyśmy, że do bramy zbliża się niski, lekko kulejący mężczyzna. Po chwili dopiero rozpoznaliśmy naszego pana K.* Bez zawiadomienia się zjawił. Musiało się stać coś naprawdę ważnego.

— Bardzo są mi panie potrzebne — zaczął i dopiero wówczas spostrzegł moją nogę. — Ależ się pani, *mylady*, urządziła. Jak można się było tak urządzać właśnie teraz!

— To te moje buciory za duże...

— Trudno — przerwał mi zniecierpliwiony. — Lepiej by było was obie tam posłać, bo to dość niebezpieczna wyprawa, ale skoro pani z tą nogą nawaliła, będzie musiała iść sama „Biedronka”. No, niech się pani migiem stąd zabiera, z nią samą chcę porozmawiać.

Była szansa, że Wanda wróci już nazajutrz rano, nie wróciła jednak i nikt o nią w Stawisku nie pytał. Dopiero przed wieczorem Jarosław ją wypatrzył przez okno gabinetu.

— Chodź tu zaraz... zobacz! — zawołał. — Oto idzie ochwacona Mata Hari!

* Kazimierz Leski.

Tam za oknem rzeczywiście wlokła się Wanda i Jarosław ją zaraz do jadalni zaprowadził. Wypiliśmy z nią gorącą herbatę, pomilczeli.

— Może się pani chce wykąpać? — zapytał. — Ciepła kąpiel jest dobra na takie ochwacenie.

Po kilku dniach, gdy pan K. znowu zjawił się w Stawisku, moja noga była już mniej więcej w porządku. Przywiózł nam sfalszowane przepustki z niemieckimi „wronami” na poruszanie się w strefie przyfrontowej. Z tymi przepustkami zaczęliśmy jeździć na trasie Milanówek, Piotrków, Częstochowa, Kraków, rozwożąc naszym nieznanym, spalonym kolegom najróżniejsze „dobre papiery”, pieczętki, ostrzeżenia, rozkazy. Kontakt z tymi kolegami był minimalny, a czasem go wcale nie było, bo zostawialiśmy dla nich jedynie te życiodajne paczuszki z kawą, mąką, proszkiem do prania na wyznaczonych punktach. Ale wiedzieliśmy, jak niecierpliwie czekali. Co za ulga! Jaka radość z ponownego włączenia!

Styl naszej pracy był ten sam co poprzednio. Tak samo funkcjonowała w rozproszeniu nasza firma, nasz zakon. Znacznie mniejsze jednak niż przedtem było nasze zakonne osamotnienie. Nie tylko miałyśmy wspólne miejsce w Stawisku i podróżowały najczęściej razem, ale na tych naszych przyfrontowych trasach spotykałyśmy tylu bliskich, serdecznych nieznanomych. Przez okna nas wypchali do przeładowanych pociągów. Podciągali na dachy wagonów, okrywali nas paltami i przygniatali opiekuńczo do tych dachów, gdy pociąg nagle wjeżdżał w niebezpiecznie niski most. Byli to przeważnie ludzie prości, wysiedleńcy, handlarze, szmuglerzy. Nikt nikogo o nic nie pytał. Dzieliliśmy się przekleństwami, dowcipami, chlebem, a w poczekalniach kolejowych pomagaliśmy sobie wyluskiwać wszy.

Najtrudniej nam było wśród nic nie rozumiejących, zasiedziały. W takim na przykład Piotrkowie — a ten Piotrków lubiłam — przyglądano się naszym wielkim buciorom podejrzliwie.

— Co to, powstanie chcecie u nas robić? — wołano. — Nie dość wam, żeście Warszawę zniszczyli?

Jeszcze gorzej traktowano nas w nie zniszczonym Krakowie. Srebra, porcelanę i... zapasy ukrywali krakowianie na strychach i za pieniądze żywności nam sprzedawać nie chcieli. Chyba że mamy brylanty lub złoto?

Požary, jęki rannych, bombardowania wlokły się za nami po niegościnnych krakowskich ulicach, po Plantach i kawiarniach.

W Częstochowie było znacznie lepiej. Atmosfera bardziej wysiedleńcza. A może to nasz sztab tak promieniował z podziemia? Od jakiegoś czasu przecież szeptano w Stawisku, że z Milanówka do Częstochowy się przeniósł. A może wpływał na

tę atmosferę klasztor ojców paulinów? Tradycja owej wspaniałej obrony, w której brały udział nawet dzieci? A może Matka Boska Częstochowska?

W Częstochowie Wanda miała dalekich krewnych i u nich było nasze *pied-à-terre*. Tam można się było wykąpać, wygrzać, dożywić. Pamiętam smukłe sylwetki tej miłej pary, ich siwiejące włosy, blade oczy, delikatne rysy. To oni nas „Gogami”^{*} nazywali. Mnie — białym, a Wandę — czarnym Gogiem.

Zawszyliśmy się kiedyś okropnie na trasach. Czy w tym stanie możemy do nich wracać? Wszy tym dobrym ludziom przywlecemy, może tyfus? Zastanawialiśmy się, czy nie przemocować na stacji, tego dnia stacja jednak była obstawiona. Więc do nich poszliśmy jednak, usiadły niepewnie na schodach i stamtąd Wanda o tych wszach do nich zawołała.

— Gogi przyszły! Biedne Gogi... jak one wyglądają! I wszy ze sobą przywlekły!

Przynieśli nam szlafroki i kazali się rozebrać na schodach. A służąca, Elżbietka, zaniósła zaraz te nasze zawszone rzeczy do odwyszalni.

Wykąpane, z krótko obciętymi włosami, wymytymi w nafcie i obwiązanymi ręcznikami, nakarmione i obżałowane, musiałyśmy jeszcze „dla zdrowia” wypić po kieliszku paskudnego bimbru. Następnego dnia wcześniej rano trzeba było jechać dalej.

Była to straszna, głodna, mroźna zima i wszy nas znowu wkrótce oblażyły. Wanda mdląca w zatłoczonych pociągach, mnie coraz bardziej bolały odmrożone ręce i kolana. Mimo to na tych trasach czułyśmy się wolne i szczęśliwe.

Skąd to absurdalne poczucie wolności i szczęścia? Z samego faktu przeżycia? Z silnego związku z tą zwężającą się nadal Polską? Ani szanse na przeżycie nie zwiększyły się przecież, ani nic dobrego nie wróżyło to zwężenie i okrażanie. Nie zastanawialiśmy się wówczas nad naszą beztroską. Teraz jednak, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że znam jej przyczyny. Tak jak podczas pierwszej mojej pracy w komórce przywięziennej, nasze miotanie się po trasach miało w sobie coś bezproblemicznego. Rozprowadzałyśmy ostrzeżenia i zabezpieczające dokumenty. Była to najzwyczajniejsza ludzka pomoc. Ile takich chwil nie zakwestionowanych zdarza się w naszym zamąconym życiu? A te trwały wiele tygodni.

Za każdym powrotem do Stawiska zastawałyśmy wiadomości o najbliższych. Matka i siostra Wandy odnalazły się w Lublinie. Stachna była nadal w Siedlcach. Babcia Marychna w Ostro-

* Od książki Giovanniego Papiniego „Gog”.

wi Mazowieckiej. Stryj Guccio odnalazł się aż w Czorsztynie, a ojciec „z Pruss” — jak pisze w czarnym zeszytce — „w poszukiwaniu rodziny” przedostał się (pod naszą nieobecność) do Stawiska i wkrótce potem do Pruss wrócił. Przez Jarosława prosił, abym go w Prussach odwiedziła. I zawiadamiał mnie, że Olo już się tam zameldował — i zaraz potem „odjechał nie wiadomo dokąd”.

Alicja IWANŃSKA

Zbigniew MAŁECKI (opr.)

NOTATKI R. E. URBANŃSKIEGO

W dniu 2 marca 1993 r. zmarł w Montrealu śp. Ryszard Eugeniusz Urbański. Ryszard Urbański urodził się w Wilnie i tam spędził młodość i pierwszy rok wojny. W roku 1967 — w czasie dyżuru, jak zaznacza — spisał „dla siebie i potomności” wydarzenia lat 1940-46. Przyjaciele zmarłego z Koła Żołnierzy A.K. w Montrealu udostępnili mi rękopis, 14 kartek papieru, rozmiaru 21 x 35 cm. Zachowuję oryginalną pisownię i interpunkcję rękopisu.

Zbigniew MAŁECKI

Ryszard E. URBANŃSKI

pseud. „Jedynak”, st. strzelec-instr. miner III-cia Bryg. Zmotoryzow. A.K. „Szczerbca”, 3-cia komp. saper. „Joego”, 3-ci pluton „Bohdana”, 2-ga drużyna „Nocy”, sekcja r.k.m. „Foki”.

Moja działalność konspiracyjna w okresie II wojny światowej datuje się od wykopania jesienią 1940 r. (Wilno — okupacja litewska) ukrytych we wrześniu 1939 r. na terenie posiadłości mojej ciotki, śp. Marii Polanowskiej (ul. Słoneczna Nr 7b), wraz z moim bratem ciotecznym A. Polanowskim (zam. obecnie w Londynie) 6-ciu karabinów „Stayer” z amunicją plus 1-nej dubeltówki (kalib. 16) oraz 3-ch hełmów ochronnych i przeniesienie wraz z dowódcą naszej sekcji z ul. Bakszta w Wilnie, śp. Zbigniewem Kuligowskim (zamordowanym przez Gestapo, w wię-

zieniu Łukiskim w Wilnie, latem 1943 r.) oraz jego bratem Jerzym całego tego arsenału do ich mieszkania przy ul. Bakszta Nr 14.

2. Wilno — jesień 1941 r. (okupacja niemiecka) przewiezienie wraz z Jerzym Kuligowskim (były żołnierz brygady Łopaszki — pseud. „Góra”, wywieziony wraz ze mną w lipcu 1944 r. do Kaługi — symulacja choroby umysłowej i zwolnienie z obozu w Rosji zimą 1945 r. — obecnie podobno na Zachodzie wraz z Jego ojcem mjr. łączności Kuligowskim, byłym jeńcem jednego z oflagów) drukarni konspiracyjnej z mieszkania pp. Kuligowskich przy ul. Bakszta, na posesję jednego z b. pracowników Banku Polskiego w Wilnie przy ul. Letniej (dzielnica Antokol) w Wilnie.

3. Wilno 1942 — wiosna 1944, dzielnica Zarzecze, sekcja A.K. „Nagana” (śp. Zbigniew Kołwzan, b. żołnierz 1-szej komp. Szturmowej „Burego”, III-cia Brygada „Szczerbca”), zginął w ataku na pozycje batalionu litewskiego z dywizji gen. Plechavičiusa (renegat polskiego pochodzenia — b. oficer armii carskiej, pochodzący lub wywodzący się z ogólnie szanowanej na terenie Żmudzi polskiej rodziny Plechowiczów — oficer armii litewskiej w okresie międzywojennym, zwolniony ze służby w wojsku litewskim w latach 30-tych z powodu „dyktatorskich zapędów”) — pod Murowaną Oszmianką w dniu 13-go maja 1944 r.

a) zbiórka na terenie parku samochodowego H.K.P. 562 (wojskowe warsztaty reparacyjne wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego, z dostarczonych z frontu do naprawy pojazdów mechanicznych).

b) sabotaż części zapasowych dla pojazdów mechanicznych (mój dział: „pływaki” w gaśnicach oraz przewody elektryczne w pojazdach) H.K.P., 562, Lager „C”.

c) dwukrotne (częściowo tylko udane) akcje z gazem łzawiącym na kino „Helios” latem 1943 r. (próbnej detonacji ampułki szklanej z płynnym gazem łzawiącym, zaopatrzonej w nieznanym mi w działaniu lont Pickforda — „ścieżka prochowa” — o mało nie przypląciłem utratą wzroku). Nieusprawiedliwione zaś niestawienie się do pracy w H.K.P. przez okres następnym 2-ch tygodni (miejscowy okulista dr Markiewicz odmówił mi wydania świadectwa niezdolności do pracy — leczył mnie zaś prof. Abramowicz (Żyd) ukrywający się u swojej żony (aryjki) przy ul. Wielkiej obok księgarni Zawadzkiego — naprzeciw kościoła św. Jana) spowodowało aresztowanie mnie w lipcu 1943 r. i wykupienie mnie tuż przed rozpoczęciem śledztwa przez Gestapo.

4. Wilno 16-ty kwietnia 1944 r. (w dwa dni po złożeniu przyspieszonego egzaminu dojrzałości na tzw. Zorganizowanych Kompl. Tajnego Nauczania w Wilnie, b. dyr. Gimn. im. króla Zygmunta Augusta w Wilnie... Żelski — do roku 1952 w Bydgoszczy (wyjście z Wilna) po uprzednim nabyciu Ryngrafu z Matką Boską Ostrobramską w sklepie z dewocjonaliami na tej samej ulicy) i dołączenie do III-ciej Zmotoryz. Brygady A.K. „Szczerbca” (w dwa dni po akcji Brygady na letnią rezydencję *Gebietskomissara Wilna-Land*, w pałacu Tyszkiewiczów w Nowych Trokach) w rejonie miasteczka Turgiele, z przydziałem do 3-ciej komp. saperskiej „Joego” (ppor. okresu wojny — zmarł z odniesionych ran w Wilnie zimą 1945 r.) 3-ci pluton „Bohdana” (Kazimierz Surowiak — mój kolega z Gimn. im. króla Zygmunta Augusta). 2-ga drużyna „Nocy” (Czesław Chrysta — również kolega z Zyg. Augusta, zamiesz. obecnie w Gdańsku-Sopocie) sekcja r.k.m.-ów „Foki” (Zb. Kukielka — kolega z Zarzecza, syn b. dowódcy artylerii Obrony Wybrzeża, zam. do 1960 r. w Poznaniu obok Ogrodu Botanicznego).

a) 13 maja 1944 r. uczestnictwo w akcji na osaczony w Murowanej Oszmiance batalion pacyfikacyjny z dyw. gen. Plechaviciusa (udział w ws. akcji takich brygad partyz. A.K. — „Szczerbiec”, „Oszmiańska” i „Wilhelma”) straty „Szczerbca”: 14 zabitych. Wzięcie ok. 500 jeńców + spora ilość broni i amunicji (wszystko produkcji francuskiej) oraz umundurowania (jeńcy, z wyjątkiem oficerów, zostali pozostawieni jedynie w bieliźnie i to z obciętymi guzikami od kalesonów — w takim też stanie zostali doprowadzeni przez naszą kawalerię na przedmieścia Wilna, rejon Lipowki). W niespełna dwa tygodnie potem wszyscy ci jeńcy litewscy (pozostawieni nadal tylko w samej bieliźnie) zostali wysłani przez Niemców na karne roboty do okręgu Ruhry.

b) Początek m-ca czerwca 1944 r. otoczenie, osaczenie na tzw. „rojstach” (bagnach) w pobliżu wsi Wasiliszki (cmentarz III-ciej Brygady) sowieckiego oddziału partyzanckiego — całonocna wymiana ognia i parogodzinne okładanie bagna ogniem 15-tu naszych granatników — pomiędzy 1-szą a 3-cią nad ranem ściągnięcie całej blokady z jedynej drogi wyjściowej z trzęsawiska (w tym naszej sekcji r.k.m.-ów) na wyraźny rozkaz „Szczerbca”, co umożliwiło sowieciarzom wyjście z oblężenia. W niespełna rok później, podczas nocnych „doprosów” oficerów śledczych tzw. *osobowo otdiela* i *Smerszu*, przeprowadzonych w naszym obozie jenieckim w Sieredniakach — powyższy fakt wypuszczenia przez „Szczerbca” part. sowieckich z okrażeń był doskonale sowieciarzom znany i b. pozytywnie oceniany.

c) 1-sza połowa czerwca 1944 r. ochrona gen. „Wilka” (5 dni) w składzie: 2-ch plutonów z 3-ciej komp. saperskiej „Joego” + dwie ciężarówki, 1-en motocykl z przyczepą + Opel-Olympia (zabrany przez 2-gą komp. „Brzozy” w akcji pod Świącianami, powracającemu do Rygi arcybiskupowi prawosławnemu) w podróży inspekcyjnej gen. „Wilka” oddz. partyzanckich A.K. na Wileńszczyźnie.

Gen. „Wilk” po powrocie z Rosji do Gdańska (na przełomie 1947/48 r.) gdzie zamieszkiwała jego żona (dzielnica Gdańsk-Wrzeszcz) nie został nawet wpuszczony przez Kochającą żonę do mieszkania — do momentu też ponownego aresztowania gen. „Wilka” przez U.B. opiekowała się generałem „Wilkiem” jego córka i grono b. przyjaciół.

d) 2-ga połowa czerwca 1944 r. przyjazd na teren postoju naszej Brygady (okol. Turgiel) grupy oficerów Wehrmachtu z zamiarem wszczęcia pertraktacji pokojowo-sojuszniczych. Na ile sobie przypominam, w zastępstwie „Szczerbca” rozmowom (n.b. bezowocnym) z Niemcami przewodniczył d-ca naszego szwadronu kawalerii hr. Plater (zastrzelił się w lipcu 1944 r. po wybiciu „do nogi” Jego spieszonoego szwadronu w ataku na pociąg pancerny b. Kolonii Kolejowej).

e) 2-ga połowa czerwca 1944 r. wysłano mnie (wraz z grupą 5-ciu) na okręgowy kurs minersko-saperski do zaścianka ... (? — nazwa wywiała mi z pamięci) kryptonim kursu „Pod słońcem”, kierownik — por. „Promień”, a jednym z instruktorów ppor. „Frez” (zrzutek z Anglii).

W sumie ok. 90-ciu kursantów i intensywne szkolenie w dziedzinie sabotażu i minerstwa przy użyciu najprzeróżniejszych dostępnych materiałów, jak np. niemiecki „Spring”-munition Nr 88, sowiecki „Toł”, angielski „Plactic” — rodzaj plasteliny itp.

Przypominam sobie, że podczas pobytu na w/w kursie uczestniczyłem parokrotnie w pogadankach oświatowych, organizowanych przez śp. majora „Kotwicza” (zrzutek z Anglii) przebywającego podówczas na leczeniu w szpitalu polowym na terenie tego samego zaścianka, gdzie się odbywało nasze przeszkolenie.

Na ile też sobie przypominam, śp. major „Kotwicz” żywił wielką antypatię w stosunku do śp. gen. Żeligowskiego, a to z uwagi na ciągotki „pro-sowieckie” generała, czemu też śp. major „Kotwicz” dawał często wyraz w toku swych pogadank o ustroju przyszłej, powojennej Europy. Podczas pobytu w Sieredniakach w Rosji, zimą 1944/45 — dowiedziałem się od mojej Matki (podczas Jej pierwszych odwiedzin u mnie), że grupa mjr. „Kotwicza” została zlikwidowana przez sowieciarzy późną jesienią 1944 r. k. Lidy (otoczeni i spaleni żywcem).

f) 1-sza połowa lipca 1944 r. (akcja na Wilno), przeznaczeniem lub raczej zadaniem mojej drużyny z kursu minerskiego było, aby w razie napotkania oporu w Gmachu Sądów (przy placu Łukiskim — gdzie w lewym skrzydle mieściła się siedziba Gestapo, środek Gmachu zajmowała policja z żandarmerią a prawe skrzydło Abwehra) wysadzić w powietrze narożne bunkry oraz stanowiska ogniowe na wyższych piętrach (trójkątne stojaki z żerdzi z zawiesz. u góry workami, wypełn(i)em kostkami „Tołu” oraz „plackami” z „Plasticu”).

Cała też ta nasza „jednostka specjalna” została rozbita i rozproszona na szosie niemieckiej (w odległości niespełna 10 km. od Wilna) przez kolumnę uciekających w nie dającym się opisać popłochu (desperacko oszalałych — wyrwali się z jakiegoś sowieckiego okrążenia) SS-manów lotewskich. Po zmieceniu nas z szosy przez „wiejących” na Zachód Łotyszy, na rozkaz por. „Filara” wycofaliśmy się z rannymi i paroma zabitymi w rejon majątku Szwajcary, gdzie mieścił się partyzancki szpital polowy.

Tego samego dnia ok. godz. 5-tej p.p. uczestniczyliśmy (wraz z drużyną ochrony szpitala i łącznikami) w uwolnieniu kolumny ok. 2.000 jeńców włoskich, pędzonych spod Mińska Białoruskiego przez małą grupę Wehrmachtowców.

g) 2-ga połowa lipca 1944 r. odszukanie (po 3-dniowej włości) m.p. Brygady „Szczerbca” we wsi Niedźwiedzie, gdzie w parę dni potem nastąpiła reorganizacja całej Brygady (mój przydział — 4-ty batalion piechoty, instruktor-miner). Najprawdopodobniej reorganizacja ta miała miejsce w niedzielę, jako że była poprzedzona mszą polową.

Przypominam sobie, że maszerując tego rana na miejsce zbiórki ujrzeliśmy w pewnym momencie grupę 5-ciu lub 6-ciu naszych „kanarków”, równających ziemię na zboczu pobliskiego wzgórza — niespełna godzinę wcześniej został rozstrzelany w tym miejscu przez pluton naszej żandarmerii oficer oświatowy naszej Brygady, por. „Kurat” wraz z żoną, za udowod(nioną) na podstawie znalezionych w Wilnie dokumentów współpracę z Abwehrą.

h) 17-ty lipca 1944 r. — powracając z dwudniowego urlopu, w drodze na punkt zborny przy Placu Katedralnym w Wilnie, aresztowanie i rozbrojenie przez patrol sowiecki (w parku miejskim Cieletnik, od strony ul. Arsenalskiej) i przewiezienie do więzienia znajdującego się w gmachu b. Gimnazjum Mechanicznego przy ul. Kopanica.

Dwudniowy pobyt (zwrócenie mi, odebranego podczas aresztowania, mojego złotego zegarka ręcznego Tissot!) i przemarsz w okolicę radiostacji na Lipowcu, skąd zabrała nas sow. kolumna sa-

mochodowa do obozu w Miednikach (ruiny dawnego pałacu królowej Bony). Po parodniowej, bezowocnej zresztą agitacji za przystąpieniem do Armii Berlinga (plk Soroka — *pa polskie czut' czut' goworil*) oraz kpt ... (?) również z Armii Berlinga, b. pracownik redakcyjny *Głosu Wileńskiego* (?) wczesnym rankiem 22-go lub 24-go lipca 1944 wyprowadzono nas wszystkich z Miednik (pod konwojem wojsk N.K.W.D. — niebieskie otoki na czapkach) długą na kilometr kolumną (ok. 4.000 partyzantów) do najbliższej linii kolejowej w szczerym polu, gdzie załadowano nas do oczekującego nas pociągu (wagony bydłce — 15 t. po 50-ciu do wagonu) i odjazd do Rosji.

Zapomniałem uprzednio nadmienić, że podczas naszego pobytu w Miednikach, przy głównej bramie naszego obozu stało 5 ciężarówek sow. typu „ZIS”, załadowanych powyżej burt odebraną nam bronią, którą mieliśmy otrzymać natychmiast z powrotem, po wyrażeniu chęci wstąpienia do Armii Berlinga.

Jeszcze jedno: doskonale zorganizowana przez moją Matkę wraz z p. Ossowską (ze Starej Wilejki) moja i ok. 20-tu moich kolegów ucieczka z Miednik (przy współpracy stacjonującego w naszym domu oficera sowieckiego — d-cy kolumny samochod(owej) nigdy nie została zrealizowana, a to z powodu całkowicie bezpodstawnej informacji naszej łączniczki, „od Szczerbca” (pseud. „Sabina”) o przyjeździe do Wilna amerykańsko-angielskiej misji wojskowej i to specjalnie w celu uwolnienia nas z obozu w Miednikach.

5. 27-go lub 28-go lipca 1944 r. ok. północy, przyjazd do Kaługi (po drodze — *poliskije faszisty i bandity*; w Kałudze na dworcu orkiestra wojskowa i mowy powitalne). Nazajutrz ok. południa zbiórka za miastem, na terenie strzelnicy i oświadczenie plk. Jermołowa (b. dowódcy jednego z tzw. pułków gwardyjskich — karnie odesłany na tyły — niezwykle, jak na sowieciarza, szczerzy i uczciwy człowiek) o wcieleniu nas do Armii Czerwonej jako 361 zap.p.p.

a) Sierpień, wrzesień i część października 1944 r. — odebranie nam wszystkich posiadanych przez nas dokumentów, przemundurowanie i intensywne szkolenie (mój przydział: 2-ga komp. ciężkich karab. maszynowych).

b) 2-ga połowa października 1944 r. — zbiorowa odmowa złożenia przysięgi, zaczynającej się od słów: *ja graždanin Sowiet-skowo Sojuza...* (ja obywatel Zw. Sowieckiego...).

c) Koniec października 1944 r. przemundurowanie w stare łachy (sowieckie), załadowanie nocą do wagonów i wyładowanie po 2-ch dniach jazdy dn. 1 listopada 1944 r. w głębi lasu w okol. tartaku Sieredniak (ok. 100 km. na północ od Moskwy).

P.S. — ok. 1/4 naszego stanu pozostawiono do wiosny 1945 w Kałudze, zatrudniając przy odbudowie koszar i pracy w tzw. „odkrywkowej” kopalni węgla k. Tuły, wiosną 1945 dołączono tę pozost. 1/4 stanu do nas, tj. do pracy w lesie.

Na zawsze zapewne pozostanie w mojej pamięci pewien szczegół z momentu wyładowywania się z wagonów k. tartaku w Sieredniakach — otóż ujrzelśmy (większość z nas zapewne po raz pierwszy w życiu!) stojącego na skraju lasu pięknego łośa, wypuszczającego smugi pary z chrapów, co było doskonale widoczne w czasie tego wczesnego i mroźnego poranka.

6. 1-szy listopada 1944 r. do 20-go grudnia 1945 r. — *Moskowskaja obłast, Korbowskij rajon, sielsowiet Sieredniaki, polewaja poczta Nr 36990II.*

a) okres pierwszych 2-ch tygodni oczyszczanie terenu oraz kopanie dołów i budowa ziemianek.

b) zachowując podział z Kaługi na bataliony, kompanie, plutony i drużyny rozpoczęcie pracy przy wyrębie lasów (drzewo opałowe dla pracow. Metra w Moskwie), dłużyce tartaczne oraz surowiec na forniery dla przemysłu lotniczego.

Początkowo norma 4 m.kub. na piłę (2-ch) podniesiona następnie, od maja 1945 r., do 12 m.kub. dziennie. Nocą zaś ładowanie ściętego w ciągu dnia drzewa do wagonów i na lory (dłużyce).

Wyżywienie dzienne — 450 gr. chleba (podniesione latem 1945 r. do 700 gr) + 3 x po misce zupy z tym, że w południe otrzymywaliśmy dodatkowo parę łyżek kaszy. Oprócz powyższego, raz w tygodniu (sobota) 1 śledź + 2 do 4-ch łyżek cukru oraz trochę tytoniu. Co 10-ty dzień w tygodniu łaźnia i reparacja łachów + „uświadczenie” polityczne.

Praca ponad siły oraz fatalne warunki bytowe plus liczne aresztowania za udział w walce z part. sowiecką na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie — wszystko to w dość szybkim czasie przerzedziło nasze szeregi.

c) Maj 1945 r. — pierwsza wizyta mojej Matki i pierwsze paczki żywnościowe.

d) Październik 1945 r. druga z kolei wizyta mojej Matki (w drodze powrotnej do Wilna Matka moja uzyskała audiencję u śp. prof. Raabego — ówczesnego ambasadora reżymowego w Moskwie¹, niezwykle uczynnego i szczerego Polaka.

1. Raabe Henryk (1882-1951), organizator i pierwszy rektor UMCS, członek Rady Nacz. i Centr. Kom. Wykonawczego PPS, poseł do KRN i 1945-46 ambasador PRL w Moskwie (przyp. ZM).

W przeprowadzonej (przy głośno nastawionym przez śp. prof. Raabego radiu) (rozmowie) Matka moja zapoznała go z naszą historią i naszym obecnym położeniem. Prof. Raabe absolutnie niczego nie wiedział o istnieniu naszego obozu i był głęboko wstrząśnięty naszym losem. Przed wyjazdem mojej Matki z Moskwy (gdzie przez okres paru dni była gościem prof. Raabego) prof. Raabe na własne ryzyko (wobec całkowitej odmowy reżymowców w Warszawie w sprawie interweniowania w naszej sprawie) uzyskał audiencję u Mołotowa, w czasie której po prostu wyblagał u w/w sowiciarza rewizję i przychylnie załatwienie naszej sprawy.

O ile też dzisiaj emigranci polscy na Zachodzie obdzielają się od szeregu lat i to przy każdej okazji najprzeróżniejszymi medalami — uważam, że należałoby, i to naprawdę, odznaczyć pośmiertnie tego Wielkiego Polaka, jakim był śp. prof. Raabe, najwyższym odznaczeniem państwowym za uratowanie życia paru tysiącom b. żołnierzy A.K. z Wileńszczyzny przez wydostanie nas z łagru w Sieredniakach.

P.S. W niespełna dwa tygodnie po ostatniej wizycie mojej Matki zjawił się w naszym obozie mjr (tzw. „sanacyjny”) Kwiatkowski, członek Komitetu tzw. Patriotów Polskich w Moskwie (mjr Kwiatkowski dowiedział się od śp. prof. Raabego o istnieniu naszego obozu w Sieredniakach i zawitał do nas w poszukiwaniu swojego syna Zdzisława — b. kierowcy z naszej Brygady — i koniec końców odnalazł go w naszym batalionie na stanowisku tzw. *pilotcza* (tj. ostrzacza pił). Mjr Kwiatkowski przekazał nam wszystkim serdeczne pozdrowienia od śp. prof. Raabego wraz z jego gorącą prośbą abyśmy powstrzymali się od dalszych ucieczek (zaledwie w jakiś 50% udanych) i zapewnieniem, że do końca 1945r. zostaniemy odesłani do Polski.

e) I tak też „słowo ciałem się stało” i w dniu 20 grudnia 1945r. wyprowadzono nas z obozu w stronę Sieredniakowa, gdzie oczekiwały nas tym razem dwa pociągi osobowe!

f) W niespełna dobę „wylądowaliśmy” na bocznicę kolejowej pod Moskwą (Łopuchowo ?) gdzie przebywaliśmy do 25-go lub 26-go grudnia.

Z okresem naszego postoju w Moskwie wiąże się szczególnie jedno wspomnienie. Bodajże w drugim dniu naszego pobytu zjawiła się na naszej bocznicę kolejowej Wanda Wasilewska! Ubrana szaro i skromnie, w niczym nie odróżniająca się od reszty obywateli sowieckich, nie mówiąc kim jest i nierozpoznana przez nikogo, obchodziła w towarzystwie swojego szofera nasze wagony, wypytując nas o najrozmaitsze detale z naszej historii. Podczas odwiedzin w wagonach 2-go batalionu Wanda

Wasilewska została aresztowana za *szpionaż* i sianie jakiejś propagandy przez z-cę d-cy naszej jednostki, płk. Jeremolowa (z d-cą, mjr. do spraw pol. wych. Wasylenką). Prysłowiowe „pęknięcie bomby” nastąpiło w niedługim czasie po aresztowaniu, gdy W. Wasilewska okazała dokument stwierdzający że jest członkiem *Wierchownowo Sowietu S.S.S.R.* i przewodniczącą Zw. Patriotów Polskich. Przepraszam i kajaniom się mjr. Wasylenki nie było końca!

Wanda Wasilewska wróciwszy do naszego transportu wypowiedziała (pamiętam jak gdyby to miało miejsce dzisiaj) następujące zdanie: „biedni bohaterscy chłopcy — zapewniam was, że w b. krótkim czasie będziecie już wśród swoich”.

Od tego dnia datowała się nasza całkowita swoboda w poruszaniu się po Moskwie i zaprzestanie oddawania honorów wojskowych naszym „patronom”.

Tego samego dnia, tuż przed nastaniem zmroku, zajęchały na teren naszej bocznicy kolejowej dwa auta ciężarowe wyładowane po brzegi żywnością — był to osobisty dar W. Wasilewskiej dla „biednych, bohaterskich chłopców”.

g) Nowy Rok (1946) powitaliśmy w barakach² sowieckiej dywizji pancernej na przedmieściu Kirowogradu (lub Kirowa) i fabryki materiałów fotograficznych, gdzie po przemundurowaniu nas w angielskie płaszcze wojskowe (nowe) i amerykańskie buty w dniu 7-go stycznia 1946 r. zapakowano nas z powrotem do wagonów (osobowych) i tzw. „zieloną trasą” (tj. pierwszeństwo na liniach kolejowych transportu o znaczeniu strategicznym) po niespełna dwóch dniach podróży stanęliśmy w Brześciu Litewskim.

h) Nową granicę pol.-sow. przekroczyliśmy dn. 11 stycznia 1946 r. ok. północy. Oddrutowanie naszych wagonów przez kolejarzy i żołnierzy z ochrony stacji nastąpiło po północy dn. 12 stycznia 1946 r. na stacji w Białej Podlaskiej.

Rozlokowaliśmy się, tj. zostaliśmy rozchwytni na kwatery przez niezwykle uczynnych i serdecznych mieszkańców Białej Podlaskiej i okolicznych wiosek, jeszcze tej samej nocy. Naza-jutrz też rozpoczęła się weryfikacja w miejscowym Urzędzie Bezpieki (fotografie, tasienkowe formularze oraz dowody weryfikacyjne — mój Nr 1654 lub 1564 — plus paczka z UNRRA na zakończenie całej tych ceregieli.

W Warszawie wylądowałem w dniu 17 stycznia (w 1-szą rocznicę tzw. wyzwolenia stolicy, tj. ruin i zgłiszcz z woli Wielkiego Stalina).

2. Raczej koszarach, przyp. ZM.

Matkę moją odnalazłem w Gdańsku, dokąd przyjechała ona jednym z transportów repatriacyjnych z Wilna na parę dni przed naszym powrotem.

i) Okres pierwszych paru miesięcy pełnej wolności (osobistej) spędziłem na włoczęgostwie po Kraju.

Z nastaniem lata 1946 r. rozpoczęły się dość liczne nocne aresztowania b. A.K.-owców (akcja „Burego” w okolicach Tczewa i Malborka), tak, że za poradą Matki wyjechałem do znajomych w Jeleniej Górze, gdzie w krótkim czasie uzyskałem pracę z-cy Kierownika Ośrodka Wczasów Pracow. Przem. Odzieżowego w Matejkowicach.

j) W począt. m-ca sierpnia 1946 r. zjawił się u mnie mój b. kolega Zdz. Kazimierczak z przestrzelonym podczas jednej z akcji Bryg. „Burego” ramieniem (Zdz. Kazimierczak rozpoznany w drodze powrotnej z Matejkowic do Gdańska, na dworcu w Łodzi, do dziś dnia przebywa w jednym z więzień na Dolnym Śląsku).

Na początku zaś września 1946 r. miejscowe U.B. (Wrocław i Jelenia Góra) wszczęło dochodzenie odnośnie mojego przełożonego p. Jerzego Górzyńskiego (b. A.K.-owiec, uczestnik Powstania Warszawskiego, syn. b. dyrektora Banku Polskiego w W-wie) odnośnie prowadzonej przez niego i jego brata + niejakiego p. Kopeckiego z Warszawy, akcji przerzutu „spalonych” przez Czechosłowację do Austrii. Donosu w w/w sprawie dokonała kierowniczką domu wczasowego „Olimpia” w Matejkowicach.

Będąc też w porę ostrzeżony przez naszego wozaka z Ośrodka o tym co się święci, zlikwidowałem w ciągu paru godzin wszystkie swoje sprawy w Matejkowicach i pierwszym pociągiem „wywiałem” do Gdańska, gdzie niestety nie było mi dane zabawić dłużej (masowe wyłapywania b. Kaługowców + po „wsypie” z magazynów broni komendanta wojskowego szpitala w Sopocie — Grand Hotel — por. Chrysty, (b. chorążego W.P. — II Bryg. Legionów) — *n.b.* ojca mojego b. drużynowego „Nocy” i jego brata ps. „Mamut”.

To wszystko spowodowało, że nie będąc zdecydowany na ucieczkę na Zachód — przyjąłem propozycję znanych nam jeszcze sprzed wojny szczerych i ideowych komunistów, aby za ich „poręką i gwarancją” wstąpić do Ofic. Szkoły Lotniczej w Dęblinie (d-ca płk Madejski z Anglii), gdzie też przesiedziałem i to możliwie spokojnie w Eskadrze Szkolnej okres od jesieni 1946 r. do listopada 1948, kiedy to opuściłem ją na własną prośbę (i przy znacznej „pomocy” niejakiego kpt. pol. wych. Pali-

wody — „władza ludowa nie będzie tolerowała dłużej zaplutyh karłów reakcji i to tym bardziej w perle ludowego wojska, jaką jest nasza Odrodzona Ofic. Szkoła Lotnicza!”).

Tak więc jesienią 1948 r. wylądowałem z powrotem u Matki w okol. Gdańska — okres zaś następnych lat (do 1956-go) obfitował w dalszym ciągu w nielada historie, gdzie też trzeba było używać szeregu „tricków”, aby przetrwać cało z piętnem „zaplutego karła reakcji”.

R. E. URBAŃSKI

(Pisane w pośpiechu i przy różnych okazjach — dla siebie i „potomnych” w C.I.P. — Nature Centre w okresie od 7-go do 10-go listopada 1967 r.).

P.S.. Z okresem mojego pobytu w szeregach III-ciej Brygady A.K. „Szczerbca” jak również z okresem spędzonym w Rosji wiążą się dwa dodatkowe wspomnienia, które pominąłem uprzednio — i tak w parę dni po otoczeniu sowieciarzy na bagnach k. Wasiliszek, żandarmeria nasza zatrzymała i pozostawiła na parę godzin pod nadzorem naszej drużyny dwóch cywili.

Do dziś dnia nie mogę pozbyć się podejrzenia, czy nie byli to przypadkiem gen. Rola-Zymierski i Spychalski, jako, że szczególnie dobrze utrwaliły się w mojej pamięci rysy tego ostatniego.

Wszystkie nasze pytania zbywali całkowitym milczeniem. Tylko „ten drugi” (Spychalski?) po poczęstowaniu go przeze mnie łykiem koniaku z mojej manierki, wypowiedział dwa słowa — „dziękuję koledze”.

Jaki był dalszy los tej tajemniczej pary (po zabranii ich do sztabu naszej Brygady) nic nie jest mi wiadomym — być może, że któryś z pozostałych przy życiu naszych „kanarków” mógłby uchylić nieco rąbka tajemnicy odnośnie całej tej, frapującej mnie do dziś dnia pary.

Drugim przeoczonym przeze mnie faktem był wyjazd naszych lekarzy w marcu 1945 r. do Moskwy po lekarstwa i zaopatrzenie dla naszych *san-czasti* (izb chorych i ambulansów). Otóż, zmyliwszy czujność *karaulow*, kilku członków tej grupy dotarło do ambasady brytyjskiej w Moskwie, gdzie po złożeniu ustnego raportu o naszym pobycie i losie (spokojnie i łaskawie wysłuchanego przez Anglików ze słowami *we are very sorry*), zostali oni po prostu wypchnięci za drzwi i teren ambasady, prosto w łapy oczekujących tam enkawudystów.

W nagrodę za powyższe trzech naszych lekarzy odesłano do wyrębu drzewa.

Do końca też naszego pobytu w Sieredniakach pozbawieni byliśmy większości podstawowych leków — z wyjątkiem jodyny, chininy i „marganicówki” (maści na świerzb, mieszaniny dziegciu i siarki).

Do innego rodzaju wspomnień z pobytu w Rosji zaliczyć należy fakt, że nasza obecna sława śpiewacza Robert Ładysz (bas-baryton)³ rozpoczął swoją karierę śpiewczą w naszym obozie w Sieredniakach jako tzw. „zapiewało” 3-go batalionu.

Słynny obecnie w kraju dyrygent i kompozytor Henryk Czyż również zapoczątkował swoją karierę w Sieredniakach, jako dyrygent naszej orkiestry (dwie harmonie, jedna gitara i skrzypce) i kierownik naszego *kulturowo ugotka*.

C.I.P. Nature Centre, 11 listopada 1967.

R. E. URBAŃSKI

Ryszard Urbański ukończył studia leśnictwa na Uniwersytecie w Poznaniu i w późnych latach pięćdziesiątych opuścił Polskę. W Kanadzie był pracownikiem Ministerstwa Leśnictwa. Do druku przygotował Zbigniew Małecki, marzec 1993.

Piotr DASZKIEWICZ

JEAN-EMANUEL GILIBERT PIERWSZY OGRÓD BOTANICZNY NA LITWIE

Jean-Emanuel Gilibert ukończył medyczne studia na słynącym od stuleci ze znakomitego poziomu nauk przyrodniczych Uniwersytecie w Montpellier. W ciągu jednego 1764 roku zdał trzy końcowe egzaminy, uzyskując kolejno stopień bakalarza, licencję i doktorat z medycyny. Po powrocie do rodzinnego Lyonu Gilibert uczył botaniki w szkole medycznej, prowadził badania folklorystyczne w środkowej i południowej Francji, był praktykującym lekarzem. Aktywny republikanin, członek loży masonskiej Le silence parfait, zajmował się także polityką. Zyskał rozgłos jako społecznik. Najlepiej charakteryzuje postawę doktora Giliberta

3. Barnard Ładysz, przyp. ZM.

ogłoszenie zamieszczone w Affiches de Lyon w 1769: „Gilibert, lekarz i profesor botaniki, leczy dzieci ziołami. Honoraria pobiera wyłącznie po całkowitym wyleczeniu”. Jego wykłady historii naturalnej ściągaly tłumy sluchaczy. A oto fragmenty jego książki L’Histoire abrégée des Plantes, wyd. w Lyonie w roku 1798.

„... lyoński intendent, Fesselles, (...) postanowił zorganizować fundusz niezbędny dla założenia ogrodu botanicznego. Powierzono mi kierowanie tym przedsięwzięciem. Pełen entuzjazmu wyłożyłem znaczną sumę pieniędzy. Fesselles pokłócił się z księdzem Terray, przedstawicielem Ministerstwa w Aiguillon. Terray, główny kontroler, aby zniszczyć swojego ministra postanowił uderzyć w jego urzędnika, intendenta Lyonu. Zabronił mi używania funduszy przeznaczonych na zorganizowanie ogrodu botanicznego. Ponieważ robotnicy pracowali na moje słowo honoru, nie chcąc tracić opinii uczciwego przedsiębiorcy zapłaciłem wszystkie należności i zostałem zrujnowany. Nie tracąc jednak czasu na lamenty napisałem do wielkiego Hallera¹, z którym od dłuższego już czasu prowadziłem korespondencję. Ten przyjaciel młodych ludzi wkrótce znalazł mi zaszczytną posadę. Król Polski, Stanisław August, pragnął ożywić nauki stosowane w swoim państwie. Król planował utworzenie szkoły medycznej i ogrodu botanicznego w Grodnie, centrum swojej gospodarki. Zwrócił się do Hallera z prośbą o wskazanie kandydata, zdolnego wypełnić królewskie oczekiwania. Zostałem zaakceptowany i w 1774 roku otrzymałem nominację. Aby okazać się godnym powierzonego mi zaszczytnego stanowiska, poczuwałem się do obowiązku odbycia kilku podróży. Przybyłem do Paryża, aby omówić z uczonymi przedmiot moich studiów. Podczas czteromiesięcznego pobytu szczegółowo studiowałem kolekcje Muzeum Narodowego i rośliny ogrodu botanicznego. (...). W jakiś czas później pojechałem do Montpellier, aby ponownie obejrzeć rośliny Południa. Gouane po sprawdzeniu mojego zielnika doradzał mi przejście kilku łańcuchów Pirenejów. Wyjechałem do Perpignan, towarzyszył mi profesor botaniki Coste. Przeszliśmy okolice Saint-Louis, dolinę d’Eines, płaszczynę Sardagne i wszystkie łańcuchy górskie ją otaczające. Po raz pierwszy widziałem przeszło trzysta gatunków roślin. (...).

Najszybciej jak to było możliwe wróciłem do Lyonu i rozpocząłem przygotowania do wielkiej podróży. Aby móc zrealizować swoje zamiary, udałem się do Niemiec przez Szwajcarię,

1. Znany szwajcarski fizjolog, botanik i poeta.

po drodze uzupełniając swój zielnik. (...). Przyjechawszy do Grodna w 1775 roku, jesienią zaprojektowałem ogród, postawiłem szklarnię, aby wiosną być dobrze przygotowanym do wysiewu. Udał on się tak dobrze, iż ku zdziwieniu samego króla i jego ministra mogłem im zademonstrować 1200 roślin egzotycznych. Lecz moje zainteresowania nie ograniczały się do cudzoziemskich okazów, w sercu nosiłem pragnienie opisanie roślin rosnących naturalnie. Żaden botanik-praktyk nie zbierał roślin na Litwie. Jedyne Corvini wysłał do Barrelier kilka gatunków z etykietą Polonica Corvini. Bernitz w 1650 przedstawił katalog roślin, które obserwował w okolicach Warszawy, ale katalog ten zawiera jedynie nazwy i wymienia rośliny, które nigdy nie występowały w Polsce. Erndtel, lekarz króla Augusta, zredagował około 1730 roku inny katalog tych samych roślin. Przygotowany przez botanika-praktyka, przedstawił szereg rzadkich roślin. Mogłem przewidywać obecność gatunków na Litwie studiując dzieła Losela, Mentzela, Breyniusa, d'Helvinga, Wulfa i Reigera, którzy zbierali rośliny w analogicznym klimacie w okolicach Królewca lub Gdańska (...). Wsparty takimi przewodnikami rozpocząłem zbieranie zielnika wokół Grodna wiosną 1776 roku. W moich wycieczkach zawsze towarzyszyła mi grupa dwudziestu młodych, pełnych zapału studentów, którzy bardzo dokładnie przemierzali każdą okolicę. Nasze wyprawy były tak owocne, iż pierwszego roku odkryliśmy prawie wszystkie gatunki wskazane przez Losela. W ciągu następnych lat, aż do 1783, zbierając rośliny wokół Wilna i Nowogródka skompletowaliśmy do naszego zielnika nieomal wszystkie rzadkie gatunki wskazane przez Erndtela, Helwina, Breyniusa, Mentzela, Wulfa.

W trakcie mojego pobytu na Litwie zajmowałem się jedynie zbieraniem, nie mając czasu na opracowanie. Stan mojego zdrowia w rezultacie intensywnej pracy pogorszył się tak znacznie, iż powróciłem do mojej ojczyzny w 1783 roku².



We wstępie ogólnym przedstawiłem plan pracy, jaki realizowałem opracowując *L'Histoire abrégée des Plantes*, która była

2. Po wyjeździe Giliberta nowym dyrektorem ogrodu botanicznego został znany przyrodnik i podróżnik, towarzysz wypraw odkrywcy Australii kapitana Cooka Jerzy Forster, a następnie profesor Spitznagel. Ogród założony przez Giliberta przestał funkcjonować już w 1798 roku kiedy profesor Jundziłł, najzdolniejszy uczeń francuskiego przyrodnika, założył nowy ogród nad brzegiem Wilejki. Ale jeszcze w latach międzywojennych wileńscy botanicy znajdowali i opisywali nietypowe dla Litwy, sprowadzone przez Giliberta i „zbiegłe” z ogrodu botanicznego gatunki roślin.

przez osiem lat głównym celem moich badań na Litwie. Ponieważ obserwacje dotyczące roślinności Litwy stanowią mniej więcej połowę tego volumenu, myślę, że należy przedstawić kilka szczegółów dotyczących tego terenu moich prac.

Księstwo Litewskie jest wielkim krajem na północy Europy, który może liczyć 45 mil niemieckich z południa na północ i 55 od wschodu na zachód. Kraj ten nawadniają dwie wielkie rzeki płynące serpentynami ze wschodu na zachód. Bug i Niemen przepływają nieomal przez połowę Litwy. Obie rzeki zebrawszy wiele pomniejszych giną: Bug w Wiśle, jeszcze większej rzece, która płynąc z południa na północ, przemierzywszy Prusy znajdujące się na zachodzie Litwy, wpada w okolicach Gdańska do Morza Bałtyckiego. Niemen po wchłonięciu Wilii wpada do szerokiego jeziora zwanego Memel.

Aby uzyskać prawdziwy obraz Litwy, należy zauważyć, że kraj ten w niemal całej swej szerokości jest równiną mającą zaledwie kilka wzgórz. Najwyższe znajdują się w okolicach Wilna, Grodna i Nowogródka i osiągają ledwie trzysta stóp. Na całej tej równinie obserwować można często zagłębienia terenu o różnej szerokości, które aktualnie tworzą bagna lub stawy; niektóre z nich mają wiele mil szerokości. Woda z licznych stawów przebiła brzegi i przez utworzone dziury wyciekła całkowicie lub wyciekła ciągle, dając początek małym rzeczkom pełnym rozwijających się roślin wodnych. Zarośnięte rzeczki przekształcają się w bardzo żyzne łąki z czarną ziemią przypominającą torf. W niektórych z nich torfowe wnętrza wydostało się na powierzchnię wody i tworzy wielkie trzęsawiska, jak w okolicy Nowogródka w majątku dobrego człowieka i uczonego Kreptowicza, kanclerza litewskiego. Niekiedy torfowe wnętrza zagotowuje się w kontakcie z gazem, wrze, wyrzuca płomień i dym, zamienia wodę stawu na pył, który oświetlony promieniami słonecznymi nabiera pięknego niebieskiego koloru. Miało to miejsce na stawie Vacca w 1784 roku, trzy mile od Wilna.

W torfie wysuszonych przez niekorzystne warunki bagien odnajduje się stare resztki roślin i zwierząt, dużą liczbę pokładów żelaza osadowego (...). Spotyka się także bloki skalne wielkości siedmiu, ośmiu stóp koloru ciemnoniebieskiego czy krwistoczerwonego, sporządza z nich wspaniałe stoły koloru czystego marmuru. Błaty owe są tak twarde, że przy uderzeniu stałą krzesają ogień. Czasami piłując owe bloki w ich wnętrzu odnajduje się piryty wielkości orzecha laskowego o kształcie wielokątów ze ściętymi rogami. Agaty i *cornalines* znajdują się często wymieszane ze skamielinami w warstwie piaskowej. Czasami na wydmach, które spotyka się często na Litwie i w okolicach Grodna, deszcz odsłania wielkie kawałki *carabé* lub złotego bursztynu. Sam zna-

lazłem bursztyn wielki jak pięść koloru żółto-pomarańczowego, bardzo ciemnego. Skały i kamienie służące do konstrukcji są bardzo rzadkie na Litwie, nie znalazłem ani jednej odkrywki. Fundamenty budynków zrobione są z wielkich kamieni lub skalnych okruchów. Wszystkie solidne budowle w Warszawie, Wilnie i Grodnie są z cegły. We wsiach, a nawet w mieście większość domów jest drewniana.

Pomimo, że większa część równiny litewskiej pokryta jest ową mączną warstwą gleby, która na pierwszy rzut oka wydaje się jałowa, uprawia się dużo żyta i lnu. W torfiastych nieckach przeważa uprawa pszenicy i konopii. Aby zdać sobie sprawę z przyczyn żyzności tych piasków należy uświadomić sobie, że niegdyś cała Litwa pokryta była lasami świerkowymi i sosnowymi. Pod tymi drzewami rosła krzewy i duża ilość roślin rocznych i wieloletnich. Każdego roku resztki owych roślin mieszają się z piaskiem, powoli zwiększają jego żyzność, wypełniając go powoli ziemią organiczną, roślinną. Gdy pożar zniszczy las lub człowiek zużyje go do swoich potrzeb, odnajduje potem glebę, która zachowa swoją żyzność przez wiele lat. Gdy jej bogactwo po długim okresie wyczerpie się, pozostawia ją naturze, która poprzez swoich wiernych siewców, ptaki, zasieje nasiona i powoli zmieni ją w nowy las, który w ciągu wieku wróci ziemi jej pierwotną żyzność. Klimat Litwy jest surowy, ale nie tak zimny jak to sobie wyobrażamy. Przez siedem lat szczegółowo zapisywałem skrajne temperatury surowych zim i mogę zapewnić, że w ciągu roku temperatura spada do 20-25 stopni zaledwie w ciągu dziesięciu do dwunastu dni. Podczas całej reszty zimy, to znaczy od 15 października do 15 kwietnia, termometr wskazuje kilkustopniowe wahania wokół zera. Zdarzało mi się nawet obserwować całe miesiące zimowe o bardzo łagodnym klimacie, jak w styczniu 1782, kiedy zmarzlina ustąpiła całkowicie. Niekiedy zimno utrzymuje się wystarczająco długo w listopadzie, grudniu, styczniu, lutym i marcu, aby warstwa śniegu pokrywała ziemię bez przerwy, termometr pokazuje wtedy najczęściej temperaturę trzech do dziesięciu stopni poniżej zera, ale gdy temperatura spadnie znacznie, ostre zimno utrzymuje się zaledwie przez dwa lub trzy dni. Na Litwie podobnie jak u nas wiatr, który panuje, posiada znaczący wpływ na zimno. Zwłaszcza północno-wschodni, gdy dominuje, oznacza surową zimę, południowy oznacza złagodzenie zimna. Warto zaznaczyć jest jeden fenomen; a mianowicie szybkość, z jaką żywica zaczyna krążyć w tym klimacie po ustąpieniu śniegów. Można uznać przyrodę za martwą, łąki za żółte, zboże w ogóle nie pokazuje się, w stanie tego uspienia wystarczy, by południowy wiatr wiał przez tydzień, a ziemia pokrywa się nieomal na-

tychmiast kobiercem zieleni ozdobionym kwiatami. Zazwyczaj całkowita rozmarzlina następuje dopiero w maju, lecz żyto jest dojrzałe już w pierwszych dniach sierpnia. Wystarczy więc zaledwie trzech miesięcy, aby doprowadzić je do dojrzałości. Jeśli północny wiatr panuje w czerwcu i lipcu należy oczekiwać przymrozku, który zabija wszystkie rośliny cudzoziemskie, miejscowe opierają się jednak tym przymrozkom. Z pewnością jeżeli policzymy gatunki roślin i zwierząt występujące na Litwie i jeśli porównamy rezultat z gatunkami występującymi w naszym klimacie, różnica jest ogromna. W okolicach Lyonu można spotkać 1500 gatunków roślin, w okolicach Grodna, w promieniu jednej mili od miasta, znajdowałem zaledwie około tysiąca. Pomiędzy tymi roślinami spotyka się liczne znane u nas wyłącznie w wysokich górach, a także gatunki jeszcze nie odkryte w naszym kraju. Liczne zwierzęta znane nam wyłącznie z gór występują szeroko na równinach Litwy — jak niedźwiedź, jelen, głuźzec. Na Litwie spotkać można także zwierzęta nie występujące we Francji jak łoś, ryś, jemioluszką, bocian.

Wystarczy jednak opisu geografii fizycznej wielkiego Księstwa Litewskiego; dorzucmy kilka szczegółów dotyczących obu miast, w których mieszkałem. Moim pierwszym miejscem pobytu było Grodno, centrum dóbr królewskich. Miasto to usytuowane jest na 53 stopniu szerokości wzdłuż wstęgowego brzegu Niemna, który powyżej i poniżej miasta płynie wartko pomiędzy dwiema dolinami; na pierwszy rzut oka przypomina on Saonę. W nadniemeńskich dolinach las poprzedzielany jest piaskowymi wydrami, doliny rozdzielone są przyjemnymi łąkami. Półtorej mili na południe od miasta, pomiędzy dwiema dolinami, znajduje się ustronne zalesione miejsce, mała rzeczka płynie pomiędzy łąkami i krzakami. Miejsce to nosi nazwę Lossenae i jest jednym z najbogatszych w rośliny, jakie spotkałem. Na północ od Grodna w niecce zwanej Horodnica przeciętej rzeczką, a od północy, wschodu i zachodu ograniczonej brzegami Niemna i Pognemogne, w jednej z jej części znajduje się pokład żelaza i warstwa agaryku metalicznego lub białej, bardzo lekkiej, chłodnej substancji wapiennej. Pięć mil na północny wschód od Grodna znajduje się wielki las zwany Bobruczyna, szczególnie bogaty w rzadkie gatunki roślin, także przecięty rzeczką. Nad jej brzegami znajdują się liczne łąki wielkości kilku mórg, ukoronowane bardzo wysokimi drzewami. Las ten łączy się na północy i południu z dwoma innymi lasami, także przeciętymi rzeczkami zamieszkiwanymi przez rodziny bobrów, których konstrukcje są identyczne z budowlami bobrów kanadyjskich, tak dobrze opisanymi przez Sazzarina. W lasach tych spotkać można także słynne bizony. Udając się w stronę Wilna,

które znajduje się 24 mile na północ od Grodna, dojeżdżamy do miasteczka zwanego Meresz. Przed miasteczkiem znajduje się niecka z łąkami i licznymi wierzbami około 10 mórg, otoczona ze wszystkich stron dolinami z wyjątkiem połączenia długości 120 stóp, przez które dochodzi się do rzeczki. Miejscowa tradycja głosi, iż niecka ta powstała wskutek jednorazowego zapadnięcia się terenu. Wyjeżdżając z Warszawy do Wilna, to znaczy na odległość 64 mil, przejeżdża się przez siedem do ośmiu rozległych lasów (od trzech do pięciu mil). Przemierzając Litwę od brzegów Wisły do Nowogródka, to znaczy z Zachodu na Wschód, wszędzie spotykałem podobną obfitość lasów. Wnioskuje stąd, że zapewne ciągle połowa Litwy pokryta jest lasami. Kraj ten wielokrotnie był polem wielkich rewolucji, świadczą o tym ślady ludzkich zabudowań, jakie znajdowałem w środku owych rozległych puszczy.

Wilno położone jest w dolinie; nieco poniżej miasta płynie serpentynami rzeka zwana Wilią. Okolice miasta są góryste i podobnie jak w Grodnie często spotkać można piaszczyste wydmy. Właśnie we wnętrzu owych wydm starożytni Sarmaci chowali swoich zmarłych. Często dolinki odkrywają dawne miejsca pochówku. Co jest zadziwiające, to że po upływie kilku stuleci odnajduje się mumie, bardzo lekkie, które są szkieletami ciągle pokrytymi różową skórą z zachowaną formą organów. Pomiędzy skórą a szkieletem znajduje się tylko brązowy pył bez zapachu.

Miejscami bardzo interesującymi dla botanika w okolicach Wilna są prawy i lewy brzeg rzeki. Dwoma punktami, które łączą w sobie urok miasta i wielką liczbę rzadkich roślin, są Antotola i Zakręcie, dawny dom wypoczynku jezuitów. Na obficie porośniętych brzegach rzeki często spotkać można gruszyczkę (*Pyrola uniflora*), dwulistnika (*Ophris*), naskałkę (*Loesseli*) itd.

Wilno posiada bardzo stary uniwersytet, obserwatorium jedno z najlepiej zbudowanych i najlepiej wyposażonych w cenne przyrządy. Słynny Poczobut od trzydziestu lat bez przerwy codziennie prowadzi obserwacje. Profesorowie łączą w sobie duży talent z towarzyskością. Uniwersytet posiada gabinet fizyczny, laboratorium chemiczne, gabinet historii naturalnej i utworzony dzięki mojej pracy ogród botaniczny. Aby sprostać wymaganiom administracji, rok intensywnej pracy poważnie naruszył moje zdrowie. Moim następcą w katedrze botaniki był słynny Forster syn, który z tych samych powodów zdołał wypełniać swoje obowiązki zaledwie przez dwa lata. Nie wiem jaka jest sytuacja obecna uniwersytetu od czasu gdy Polacy otrzymali cudzoziemski cios co przewidywałem w wystąpieniu w czasie otwartego dla publiczności wykładu w Lyonńskiej Akademii, wystąpienie moje opublikowałem we wstępie do *Demonstrations Élémentaires de la Botanique*.

Zdarzenie to było nietrudne do przewidzenia. Polacy osiemnastego wieku w niczym nie przypominają swoich przodków, zwycięzców Rosji, Prus, Słowacji. Skorumpowani przez cudzoziemców, którzy zapoznawszy ich ze swoją sztuką i nauką przyzwyczaili ich do luksusu i miękkości, Polacy przedkładają miłość do złota nad świętą miłość ojczyzny. Wszystko pomiędzy nimi stało się zatrute, najbogatszy książę kupuje koronę jak pomniejsi kupują starostwa lub wyroki sądowe. Każdy szlachcic wydaje więcej niż zarabia, aby naśladować swoich sąsiadów, i staje się niewolnikiem swojego szlachectwa. Szlachta, tak dzielna w piętnastym wieku, podzielona jest na dwie bardzo nierówne grupy bogatych i biednych. Aby móc przetrwać, biedni zmuszeni byli niczym psy do związania się z bogatymi, dla chleba sprzedając swoje głosy w wyborach. Stąd w ostatnim stuleciu elekcja zdominowana była przez cztery do pięciu rodów, które przeprowadzały ją wedle swojej woli. Dwa lub trzy z nich sprzedawały się cudzoziemskiej potędze i już wkrótce silniejsza ona będzie w Rzeczypospolitej aniżeli król. Czyż nie widzieliśmy ambasadora Rosji despotycznie rządzącego w Warszawie, militarnie egzekującego rozkazy cesarzowej, zmuszającego króla do zdymisjonowania lub nominacji poszczególnych ministrów? Przez pięć lat Tyzenhauz odpowiadał Rosji i jej ambasadorowi. Dzięki jego protekcji stał się panem Litwy, sterował wyborami do Sejmu, rozdawał stanowiska, dysponował skarbem. Czując się potężnym, sprzeciwił się rosyjskiemu ambasadorowi. Cóż nastąpiło potem? Człowiek, który mógł przeciwstawić się całej królewskiej rodzinie, która od trzech lat pragnęła jego odejścia, został zniszczony w jednej chwili. Ambasador przyjechał na dwór, zapoznał króla z gniewem swojego ministra i zażądał natychmiastowego usunięcia i wydalenia. Jego następcę spotkał wkrótce taki sam los, także za to, iż nie chciał ugiąć się przed wolą dworu rosyjskiego. Minister rosyjski był potężniejszy w Warszawie od polskiego króla, dwory pruski i wiedeński także nie pozostawały bierne. Pragnienia ich władców egzekwowano zanim jeszcze były dobrze znane. Te trzy dwory na wiele lat przed rozbiorem były absolutnymi władcami Polski. Kiedy zapragnęły całkowitego zniszczenia Rzeczypospolitej, nie natrafiły na żadną przeszkodę. Kilku szlachciców, którzy potrafili w swoich sercach podtrzymać święty ogień wolności — co jest prawdą — podjęło próbę restauracji ich starożytnej konstytucji. Przegrali już po pierwszym wysiłku. Dlaczego? Dlatego, że część narodu, jedyna, która mogła ich poprzeć, wiedzie żywot niewolników i nie była zainteresowana zbrojnym wystąpieniem w ich obronie. Większa część szlachty skorumpowana luksusem, przyzwyczajona służyć tym, co jej płacą, stanęła po stronie prześladowców. Oto właśnie przyczyny upadku Rzeczypospolitej Polskiej.

Otoczeni potężnymi sąsiadami, którzy siłą swych sztuk stoją na wysokości osiemnastego wieku, Polacy w swoich ideach pozostali w wieku szesnastym. Ignorancja ludu, brak utrzymanej armii, spustoszenia w skarbie, ogromne wydatki magnatów, którzy sprzedawali się co roku, aby wyrównać długi. Magnateria, jedyny właściciel finansów państwa, przekazywała stale znaczną ich część cudzoziemcom, aby nabyć przedmioty zbytku; tamci zaś kupowali za cenę pieniędzy wybory. Widziałem w Polsce bardzo rzadkie książęce monety, ale całość dokonywała się przy użyciu rosyjskich rubli i pruskich florenów. Jeżeli więc chce się odnaleźć przyczyny upadku Cesarstwa Polskiego, znajdzie się je w: 1. Niewolnictwie chłopów; 2. Nędzy i służalczości drobnej szlachty; 3. W całkowitej ignorancji handlu, który w tym kraju nie istniał lub pozostawał w rękach Żydów, nacji obcej narodowi, nacji pasywniejszej i wrogiej wobec tych, którzy ją przyjęli; 4. W zamiłowaniu do zbytku wielkich domów; 5. W egoizmie i miękkości, które zbytek powoduje; 6. W truciźnie, która jest nieuniknionym następstwem zbytku i która powoli zrujnowała największe domy; 7. W braku miejsc obronnych na granicy państwa; 8. W bałaganie w finansach, który uniemożliwił utrzymanie armii zdolnej do obrony państwa; 9. W podziale między wielkimi domami, z których niewielka tylko część pozostała związana z suwerenem wybranym przez naród; 10. W obojętności suwerenów, od wieku najczęściej cudzoziemców, którzy traktowali koronę jako źródło zysków, bez chęci zrekompensowania strat, jakie czynili tronowi. Wszystkie te przyczyny razem wzięte nałożyły w rezultacie kajdany temu najbardziej wolnemu narodowi Europy. I to w jakim momencie? Dokładnie w chwalebnej chwili, kiedy inny naród, przyzwyczajony od wieków do niewolnictwa, ośmielił się nagle strzaskać kajdany, które nosił przez piętnaście wieków. W chwili, kiedy naród ten nie tylko zdobył najpełniejszą wolność, ale wystawiony na akcję tyranów wszystkich ludów zamieszkujących kraje graniczące, zdołał odepchnąć zjednoczoną Europę, pragnącą na nowo pogrążyć go w niewolnictwie. Wielki naród zdołał pokonać wrogów wewnętrznych, zdusić wszystkie frakcje, rozwinać naukę i sztuki. Szczęśliwy ten naród potrafi panować nad destrukcyjną siłą wolności, która na naszych oczach doprowadziła do niewolnictwa naród niegdyś tak dzielny, szczery, wesoły i genialny, który, jak to zauważył ambasador Francji Polignac, pod każdym względem przypomina Francuzów.

Jean Emanuel GILIBERT

Z francuskiego przełożył
Piotr DASZKIEWICZ

POLEMIKI

Sochaczew, 30 marca 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Recenzja z mojej książki „Obrządek słowiański w dawnej Polsce” autorstwa p. A. Kulika, opublikowana w nr 103 *Zeszytów Historycznych* zmusza mnie do zajęcia stanowiska w stosunku do przedstawionych przez mojego szanownego adwersarza zarzutów. Odnośnie uwag ogólnych można powiedzieć, że recenzja została napisana z pasją oraz z pewną dozą rozdrażnienia, co nie należy do dobrych prognostyków w jakiegokolwiek dyskusji.

Odpowiedź na wszystkie zastrzeżenia wymagałaby napisania obszernego opracowania, dlatego pozwolę sobie ograniczyć się do poruszenia najważniejszych aspektów.

Najwcześniejszy okres historii Polski zaznacza się prawie całkowitym brakiem źródeł historycznych. Pierwsza kronika z tego okresu, ujmująca te wydarzenia z „polskiego punktu widzenia” została napisana przez cudzoziemca, Galla Anonima, około 150 lat od panowania Mieszka I, a ponad trzysta lat od przyjęcia chrztu przez Wiślan, a Kronika Kadłubka jeszcze o dalsze sto lat później. W/w dzieła, a także źródła obce, że wspomnę tutaj przykładowo kronikę Thietmara, są pod wieloma względami ułomne, zawierają szereg luk i sprzeczności, i były niewątpliwie pisane pod wpływem bieżących potrzeb politycznych. Sytuacja ta skłoniła mnie do napisania na ten temat. Jest to, jak to w swej wspaniałomyślnej ocenie raczył określić prof. H. Łowmiański, „pewien eksperyment historiograficzny”, i praca moja może być oceniana tylko z tego punktu widzenia.

Historia i inne dziedziny nauki znają sytuacje, że śmiałe hipotezy postawione wbrew utartym poglądom i zaatakowane na początku z oburzeniem przez istniejący *establishment* zostały potwierdzone całkowicie lub częściowo przez późniejsze badania i stały się ogólnie uznaną wersją.

Że w poglądach moich nie jestem odosobniony i że dalsze badania i dyskusje na ten temat są celowe, potwierdzają chociażby opracowania prof. B. Kürbis, abp. Sawy i innych autorów w dziele „Cyryl i Metody, apostołowie i nauczyciele Słowian” (KUL, Lublin 1991) z przedmową prymasa J. Glempa, wypowiedź papieża Jana Pawła II w encyklice „*Slavorum Apostoli*” oraz książka A. Nauma „Pasterze wiernych Słowian — święci Cyryl i Metody”, Znak, Kraków 1985, s.14, w której podaje: „... postawa przeciwników istnienia obrządku słowiańskiego nie raz z przyczyn pozanaukowych jest nieprzejednana”.

W książce mojej starałem się w miarę możliwości trzymać istniejących źródeł, na które się powołuję i które cytuję. Oczywiście wiele wypowiedzi sprzecznych interpretuję zgodnie z moim przekonaniem, a w miejsce luk podaję własne tłumaczenie. Tak postępowali i postępuje wielu historyków, którzy nie tylko dają istniejącym źródłom własną interpretację, ale niewygodne im źródła po prostu przemilczają, lub zaopatrują dowolną uwagą, że np. Gall lub Jan Długosz po prostu fantazują. Uwagę recenzenta, że „*Zbigniew Dobrzyński za nic mając bezstronność, uczciwość badacza historii, wierność faktom i zachowanym źródłom...*” uważam za co najmniej nie na miejscu, nie tylko dlatego, że jest obraźliwą insynuacją, ale że bez podania powodów podważa szereg zacytowanych przeze mnie źródeł. Zarzut recenzenta, że „*Autor... wykorzystując wszystkie luki, niejasności... na swoją korzyść*”, przypomina podobny zarzut postawiony swego czasu w oskarżeniu Sokratesowi, iż „*że słabszego zdania robi mocniejsze*”.

Z licznych zarzutów postawionych mi przez recenzenta, ze względu na brak miejsca, chciałbym się szczegółowo skoncentrować tylko na jednym. Nie wiem dlaczego recenzent uważa, że skreślony przeze mnie obraz Kazimierza Odnowiciela jest obrazem nieudacznika. Wszystko zależy, jak się podane informacje czyta. K.O. okazał się niesłuchanie wytrwałym politykiem i wojownikiem, który przy niewielkiej na początku liczbie zwolenników, dosłownie z narażeniem życia, trzy razy podejmował interwencje i dopiero po wielu trudach i politycznych zabiegach udało mu się odbudować państwo. Posiadam korespondencję czytelników, którzy w ten właśnie sposób odczytują opisaną przeze mnie rolę K.O.

Nie ja nadałem Kazimierzowi Odnowicielowi imię Kazimierz.

Matka K.O. była Niemką. Niemcy do dzisiaj uważają imię Casimirus za imię niemieckie. W Wielkopolsce do dzisiaj używa się dla Kazimierza synonimu Kaźmierz (B. Kürbis, „Cyryl i Metody”, KUL 1991, str. 157) „...klasztór znajdował się w Kaźmierzu pod Poznaniem...”.

Kazimierz jest formą spolonizowaną, a w języku słowiańskim, którym mówiono w Polsce w XI wieku, nie miał zapewne pozytywnego wydźwięku. W języku czeskim, który zachował do dzisiaj stosunkowo wiele starosłowiańskich form, praktycznie nieużywane imię Kazimir składa się z czasownika „kazi” tzn. „psuje” i rzeczownika „mir”, tzn. „pokój”. Porównanie to mówi niejedno o intencjach ojca, który imię Carolus, nadane przez matkę, zmienił na Kaźmir i nie uznał go za swego następcę tronu.

Sprawa K.O. ma jeszcze jeden aspekt. K.O. miał matkę Niemkę i był przez nią niewątpliwie wychowany na księcia cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Jego pobyt w Cluny pogłębił u niego niewątpliwie poczucie przynależności do Zachodu. Jego trzykrotna interwencja w Polsce z terenu znajdującego się pod kontrolą cesarzy Konrada II i Henryka III z ich wiedzą, a za pieniądze dostarczone przez Rychezę, stawiają pytanie, w czym interesie interwencje te były prowadzone. Albo przyjmujemy domniemanie, że cesarzom niemieckim zależało na odbudowaniu niezależnej Polski, ale na takie przypuszczenie trudno byłoby zdobyć się nawet zdeklarowanemu germanofilowi, albo że Niemcy chcieli w ten sposób stworzyć w Polsce księstwo satelitarne. W każdym razie K.O. w czasie swych interwencji musiał być przez swoich oponentów w Polsce uważany za reprezentanta interesów niemieckich. Na jego szczęście stało się inaczej i K.O., a nie jego przeciwnik, Mieszko III Masław, stał się wskrzesicielem państwowości polskiej. Powstaje jednak pytanie, czy widząc siłę ruchu narodowego, opartego wówczas na obrządku słowiańskim, poszedł na kompromis, wiedząc że albo musi postępować wbrew intencjom swych protektorów jako władca niezależnej Polski, albo nie ma szans na opanowanie kraju.

Mam nadzieję, że zarówno przez moją książkę, jak i przez niniejszą wypowiedź postawiłem kilka zagadnień, które staną się tematem dyskusji. Jeśli zamiar ten się spełni, będę czuł się za swój trud z namiązką wynagrodzony.

Zbigniew DOBRZYŃSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Znaczenie recenzji książki dr. Z. Dobrzyńskiego „Obrządek słowiański w dawnej Polsce” (ZH nr 103) polega na tym, że zwróciła ona uwagę na książkę, poruszającą pewien problem historyczny mało znany szerszemu ogółowi. Cytując prof. H. Łowmiańskiego, książkę tę „można traktować jako *sui generis* «eksperyment historiograficzny»... na tym polega oryginalne znamię tej pracy”.

W skąpych materiałach źródłowych z okresu X do XI w. pojawiają się w kronikach Galla Anonima, W. Kadłubka, Thietmara, Nestora i innych uparcie wzmianki o uprawianiu, względnie zakazach uprawiania zachodniego obrządku słowiańskiego wprowadzonego na Morawach przez św. Cyryla i św. Metodego. Także w dziełach XIX i XX-wiecznych historyków polskich, czeskich, niemieckich, bałkańskich, ukraińskich i rosyjskich Fr. Palacký (1848), J.A. Ginzler (1857), Fr. Grivec (1960) i inni, trafiają się wzmianki, że np.: „w Czechach nie natrafiono na żadne ślady liturgii słowiańskiej”, a jednocześnie znajdujemy wzmianki, że np.: „św. Ludmiła dbała o to, aby jej wnuk św. Waclaw był kształcony w *piśmie słowiańskim* i w nauce chrześcijańskiej”.

W czasach współczesnych m.in. prof. H. Łowmiański i prof. Karolina Lanckorońska uważali i uważają, że rola wyznania słowiańskiego w Polsce była większa niż się to na ogół przypuszcza.

Papież JPII w encyklice *Slavorum Apostoli* pisze, że: „pozostaje faktem, że o dzieło Braci z dalekiego Sołunia otarły się także początki chrześcijaństwa w Polsce”, a kardynał J. Glemp pisze: „Wiadomo (...), że święci Bracia objęli swoimi misjami Słowian bałkańskich, a więc dzisiejszą Bułgarię, Jugosławię, Węgry, Czechosłowację, oraz Polskę i Ruś, przynajmniej ich południowe części (...)”. Należy przy tym pamiętać, że ziemia krakowska i sandomierska (w/g Palackego) były w posiadaniu czeskim do 999 r.

Powyższe świadczy o tym, że zagadnienie to ciągle czeka na rozwiązanie i niewątpliwie pozostanie nadal obiektem badań i dyskusji, ponieważ naukowcy nigdy nie uważają żadnego faktu za ostatecznie udowodniony i charakteryzują się stałym poszukiwaniem prawdy.

Zasługa dr. Dobrzyńskiego polega na tym, że nie obawiał się napisać książki kontrowersyjnej, która spotka się niewątpliwie z ostrymi protestami, ale jednocześnie zmusi specjalistów do dalszych badań i dyskusji, a wielu szarych zjadaczy chleba zachęci do powtórki z najstarszych dziejów Polski.

Baden, 10.03.1993

Kazimierz KARNKOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Lidingö, 1.04.1993

Redakcja „Zeszytów Historycznych”

Chciałbym uzupełnić relacje pana Józefa Lewandowskiego, zawarte w jego liście opublikowanym w 103 numerze *Zeszytów Historycznych*, o działalności wywiadowczej płk. Michała Rybikowskiego w czasie drugiej wojny światowej.

W 1969 r. (14–17 czerwca) dziennik sztokholmski *Aftonbladet*, o nakładzie około 400 tysięcy egz., zamieścił 4 obszernie artykuły o działalności płk. Rybikowskiego na terenie Szwecji i ówczesnej III Rzeszy. Omawiane artykuły zawierały m.in. ciekawe szczegóły o współpracy płk. Rybikowskiego z ambasadorem Japonii, a równocześnie szefem wywiadu japońskiego na Europę, generałem Makato Onodera. Praca ta była oparta w dużej mierze na materiałach szwedzkich i wyszła spod mojego pióra, o czym p. Lewandowski wspomina w swojej książce „The Swedish Contribution...”, str. 32, wydanej w 1979 roku.

Artykuły wzbudziły duże zainteresowanie w kołach prasowych, o czym świadczyły przedruki w czasopismach w Danii, Norwegii i Kanadzie, a nawet życzliwe komentarze w *Życiu Warszawy*, oczywiście bez podania nazwiska autora.

Niezręczne jest sformułowanie p. Lewandowskiego o „jednostronności” relacji płk. Rybikowskiego, co przenosi myśli czytelnika na pogranicze mitomanii. Osoby, które znały czy też bliżej współpracowały z płk. Rybikowskim, mówiły o obiektywności w jego wypowiedziach i w ocenie swojej działalności. O ile wiem, p. Lewandowski nie znał osobiście płk. Rybikowskiego, a historia Armii Krajowej i PSZ na Zachodzie nie jest jego specjalnością.

Z poważaniem

Jerzy ADAMCZYK

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Odpowiadając na apel Redakcji w sprawie nadsyłania uzupełnień i sprostowań do materiałów płk. Zygmunta Wendy „Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia” zamieszczonych w nr. 98-101 *Zeszytów Historycznych*, pozwalam sobie przedstawić je, w kolejności chronologicznej (cz. I-IV), podając na pierwszym miejscu wersję prawidłową.

Z. 98 (cz. I): s.174 — Bârlad (Bariad), Focșani (Trascani); s.178 — Calarasi (Calareci); s.180 — Calafat (Calafari), Râmnicul Sarat (Rumnicul Sarat), Vlasca (Wlasca), Târgu Jiu (Targu Iin), Turnu Severin (Turoni), Slobozia (Slabonia), Roșiori de Vede (Rosiori de Vada).

Z. 99 (cz. II): s.160 — Piatra Neamt (Piatra), płk Józef Wiatr (płk W.); s.162 — Józef Dwernicki (Dwernicki); s.165 — płk Romulus Dimitriu (płk Dymitriu); s.171 — Piotr Mizunka (Mizunka); s.184 — Băile Govora (Baic Govosa).

Z.100 (cz. III): s.125 — Uniri (Unici); s.136 — ks. Antoni Kosiba (ks. K.); s.176 — Stanisław Sadkowski (Stach); s.187 — „Casa Polona” (casa polona), co tłumaczy się na „Dom Polski”.

Z.101 (cz. IV): s.143 — dr Bronisław Kuśnierz (Kuśnierz); s.148 — Topora (Topoce); s.161 — Aleksy Wdziękoński (A. Wdziakoński).

Jednocześnie należy potwierdzić poprawność innych zapisów opatrzonych znakiem (?). Odnosi się to do: Z.98, s.180 — gen. A.(urel) Aldea; Z.99, s.160 — kpt. de Winter; Z.100, s.159 — J.(an) Demant — b. sędzia śledczy apelacyjny d/s szczególnego znaczenia; s.175 — (Ion) Gigurtu — premier i min. spraw zagranicznych Rumunii w 1940 r.

Inne uwagi, o charakterze merytorycznym, do tekstu płk. Wendy: rumuńskim d-cą obozów internowania w rejonie Tulczy (właściwa nazwa Strefa Internowania Babadag) był płk Mihai Zoicar, nie płk Valcanu — (Z.98, s.185).

Weryfikacji wymaga również zestawienie liczby internowanych w Rumunii wojskowych. Było ich ok. 25 tys., a nie ok. 39 tys. (Z.99, s.172).

Zaskakująca jest podana za Szefem Sztabu O.II płk. dypl. Józefem Smoleńskim wersja ucieczki samolotem z Rumunii mjr. Edmunda Galinaty, wg której miał on wylądować w Syrii (?) (Z.99, s.159). Ponad wszelką wątpliwość wiemy, że wylądował szczęśliwie w Warszawie i zameldował się u gen. Juliusza Rómmla.

Komentarza wymagają też niektóre nazwiska, np. publikującego w Rumunii poety Jana Marjańskiego (Z.101, s.161). Tego pseudonimu używał w Rumunii Marian Hemar, autor wiersza „Do generała”, powszechnie odbieranego jako oskarżenie skierowane pod adresem marszałka Śmigłego-Rydza. Stąd może dziwić odnotowany pozytywny odbiór jego „rumuńskiej” twórczości przez marszałka i jego otoczenie.

Z kolei Ziemiański (Z.99, s.161) to kpt. Bolesław Ziemiański, oficer „dwójki”, za życia marszałka Piłsudskiego wieloletni szef ochrony Belwederu. W Rumunii występował on pod nazwiskiem Zygmunta Mości-

brodzkiego. Wielokrotnie przywoływany przez płk. Wendę, Szczapa-Krzewski to mjr Karol Lilienfeld-Krzewski, popularny przed wojną pod pseudonimem literackim „kapral Szczapa”.

Tadeusz DUBICKI

Hajfa, 17 marca 1993

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z opublikowanym w numerze 103 *Zeszytów Historycznych* artykułem p. Walentyny Najdus-Smolarowej „Lwów obecnie” pragnę wyrazić parę wyjaśnień i uwag.

Urodziłem się, uczęszczałem do szkół i studiowałem we Lwowie, w sierpniu 1992 uczestniczyłem w uroczystości odsłonięcia pomnika na terenie getta. Kilka dni wędrowałem ulicami miasta w poszukiwaniu śladów ludzi mi bliskich.

Głęboko przeżyłem proces depolonizacji Lwowa po 17 września 1939. Obecnie miasto przechodzi intensywny proces derusyfikacji i debolszewizacji, co nie jest problemem łatwym, chociażby ze względu na duży odsetek napływowej ludności rosyjskiej. Na ulicy panuje nadal język rosyjski.

W czasie mojego pobytu we Lwowie odbył się światowy zjazd diaspory ukraińskiej, w ramach którego odbyły się różne zjazdy „reprezentacyjne”, między innymi światowy kongres UPA z okazji 50-lecia tej organizacji.

Czarny rynek kwitnie: pod sklepami kilkugodzinne kolejki. Pod sklepem z chlebem naprzeciw kościoła św. Anny widzieliśmy olbrzymią kolejkę, zaobserwowaliśmy dwie charakterystyczne postacie kobiet. Celowo wróciliśmy w to miejsce po trzech godzinach — kobiety dojrzały do połowy kolejki. Po wódkę kolejki mniejsze.

Komunikacja w mieście w żółtym tempie. Nieremontowane chyba od 1939 jezdnie i chodniki zmuszają do wolnej jazdy.

Katastrofalny brak wody spowodowany złym stanem rurociągów. Miasto przypomina jedno wielkie targowisko. Handlują wszędzie i wszystkim, od pietruszki do zagranicznych kosmetyków. Natknęliśmy się na autobus z „turystami” z Polski, którzy rozłożyli przy autobusie (zaparkowanym przy dawnej ul. Kubasiewiczza) swoje towary: nici, igły, mydło, pastę do zębów, grzebienie, pończochy, kalesony itp.

Stary cmentarz żydowski przy ul. Szpitalnej, na którym do wojny zachowały się nagrobki z XIX wieku, zdewastowany zarówno przez Rosjan jak i przez Niemców, jest obecnie jednym wielkim targowiskiem. Obóz Janowski nienaruszony, funkcjonuje obecnie jako więzienie, a na terenie „Piasków”, gdzie odbywały się egzekucje, miejscowi uprawiają ogródki warzywne.

Kościół św. Elżbiety, obecnie w posiadaniu cerkwi, zrujnowany. Ściany, nawet w upalny dzień, mokre, pokryte mchem i pleśnią.

Odnosnie nazw ulic w kilku przypadkach autorka podała nieściśle informacje:

— ulica Rappaporta nosiła tę nazwę jeszcze przed pierwszą wojną światową, ku czci rabina, który działał w mieście w drugiej połowie XVIII wieku i wstawił się m.in. zwalczaniem sekty frankistów. Przylegały do ul. Rappaporta ulice nazwane ku czci innych sławnych Żydów, jak np. Bernsteina, Meiselsa, Byka.

— Ulica Kasteliwka nie jest dawną ulicą Kasztelańską i znajduje się w innej okolicy.

— Ulicy Kirowa przywrócono nazwę Szeptyckich. Z trzech braci Szeptyckich dwaj byli duchownymi obrządku greckokatolickiego (metropolita oraz zakonnik w klasztorze w okolicy Przemyśla), zaś trzeci generałem broni WP.

Nazwę ulicy Kazimierzowskiej po prostu zlikwidowano. Ulicę włączono do Gródeckiej. Słynne Brygidki mieszczą się więc przy ulicy Gródeckiej.

— Zachowano wzgl. przywrócono nazwy ulic Głębokiej, Nowy Świat, Głowackiego, Chocimskiej, Wernyhory.

— Ulicę Dekerta „wymanipulowano” na „Dekarta” (Kartezjusza).

Łączę wyrazy szacunku

Joachim GETZEL



2 kwietnia 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Do mego artykułu pt. „Lwowska Młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937-1939” (*Zeszyty Historyczne* nr 103) wkradły się następujące błędy:

Na stronie 122 (wiersze 24 od 28 od góry) powinno być — Co więcej, kilkakrotnie w prywatnych rozmowach ze mną, Lech tłumaczył swoje pojęcia demokracji stwierdzając niedwuznacznie, że uznaje tylko „demokrację kierowaną”, nieświadomy zapewne, że gwałci elementarną logikę popełniając *contradictio in adiecto*.

Na stronie 123 (wiersz 15 od góry), powinno być Koła Seniorów zamiast „Koła Senatorów”.

Na stronie 124 (wiersz 3 od góry) powinno być — rozumnie pojętych interesów PMSD zamiast „przyjętych”.

Na stronie 129 (wiersz 12 od dołu) powinno być — działaczem polonijnym — zamiast „politycznym”.

Proszę o łaskawe wzięcie pod uwagę tych poprawek.

Z wyrazami poważania

Zbigniew KOŃCZACKI

14 marca 1993 roku

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Do mojej recenzji książki Bogusława Winida pt. „W cieniu Kapi-
tolu” (ZH, nr 103, s. 189) zakradła się pomyłka. Oczywiście ambasado-
rem RP w Waszyngtonie w l. 1936-1940 był Jerzy, a nie Józef Potocki.

Łączę wyrazy poważania i najlepsze pozdrowienia

Andrzej SUCHCITZ

Drogi Panie Redaktorze!

Chciałbym prosić o sprostowanie dość przykrego błędu, jaki wkra-
dł się do mojej recenzji „Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w
sierpniu 1939” w *Zeszytach Historycznych* nr 102. Mianowicie na str.
179, wiersz 10 od dołu, zostało dodane, na końcu wiersza, słowo „nie”,
zniekształcające uwagę prof. Cienciąły. Wiersz ten winien brzmieć:
„...porozumienia Polski z ZSSR, o czym wyżej była mowa, nie mógł
wiedzieć...”. Jednocześnie sygnalizuję drugi, mniej istotny błąd: na tej
samej stronie, wiersz 1 od góry, zamiast do Warszawy, winno być z
Warszawy.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

Paryż, 17 III 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Ogłoszone przez Pana w nr 103 *Zeszytów Historycznych* doku-
menty o dezercji Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie w r. 1944 zasłu-
gują na przypomnienie postawy, zajętej w tej sprawie przez gen.
Andersa. Oto jak to przedstawił mi jego adiutant i tłumacz, mjr Eugen-
iusz Lubomirski w odpowiedzi na zapytania na ten i inny temat (który
tu opuszczam) w liście skierowanym do mnie dn. 8 X 1979:

Szanowny i Drogi Panie!

(...) Do tworzącej się Armii Polskiej w Rosji byli przyjmowani
wszyscy zgłaszający się do służby posiadający obywatelstwo polskie
wywiezieni do Rosji mężczyźni jak i kobiety bez względu na narodo-
wość, a zatem Żydzi jak również Ukraińcy itd. Gdy przybyliśmy do
Palestyny, to w krótkim czasie poczęły się dezercje zauważane przez
nasze komendy w Jerozolimie, Tel-Awivie itd., tak że Dowództwo Brytyj-

skie dowiedziawszy się o tym poprosiło gen. Andersa na rozmowę i gen. Paget wówczas postawił energicznie Generałowi pytanie (ja byłem tłumaczem) dlaczego Generał nie nakazuje aresztowania tych coraz liczniejszych dezertorów żydowskich. Generał Anders spokojnie odpowiedział, że do pewnego stopnia ma zrozumienie dla tych Żydów, po części uciekinierów przed Niemcami oraz innych deportowanych przez Sowiety z Polski, którzy tyle wraz z nami w Rosji tak przecierpieli, że znaleźli się nagle na wolności w kraju, który może stać się ich Ojczyzną, niektórzy dezertują z polskiego wojska. Kończąc rozmowę gen. Anders dodał: «Poza tym wolę, by tak czujące i myślące elementy uciekły już teraz, a nie były o bardzo wątpliwej wartości żołnierzami, gdy znajdziemy się w walkach na froncie».

Gen. Paget wyraził pełne zrozumienie i cofnął żądanie aresztowań.

(...) Kończę najserdeczniej dłoń ściskając i moc najlepszych życzeń łączę

Stary Eug. LUBOMIRSKI 85 lat

Od siebie dodaję, że to świadectwo odpowiada zapisowi gen. Andersa w jego książce „Bez ostatniego rozdziału”.

Najlepsze pozdrowienia łączę

Władysław ŻELEŃSKI

SPIS TREŚCI

Józef Rybicki: <i>Rocznica powstania w getcie (przemówienie w dn. 18. IV. 1988 r. pod murem żydowskiego cmentarza)</i>	3
Kazimierz Zamorski: <i>Dezercje Żydów z Armii Polskiej</i>	5
Bp Szczepan Wesoły: <i>Czy duszpasterstwo emigracyjne było zależne od PRL (wspomnienia polemiczne)</i>	23
Kazimierz Braun: <i>Apogeum stalinizmu w teatrze 1949-55</i>	54
Bernadetta Nitschke: <i>Wysiedlanie Niemców z Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1950</i>	103
Tadeusz Wyrwa: <i>Wychodźstwo polskie we Francji po kapitulacji w 1940 r. a rząd polski w Londynie</i>	114

SĄSIEDZI

Rimantas Miknys: <i>Stosunki polsko-litewskie w wizji krajozców</i>	123
Anatol Mühlstein: <i>Sprawozdanie z pobytu na Litwie</i> ...	130

DOKUMENTY

<i>Komitet Obrony Państwa</i>	139
Grzegorz Mazur: <i>Operacja „Sejm”</i>	152
Piotr Mitzner (opr.): <i>Dzień jawnych sądów</i>	162

WYWIADY «ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH»

- Wojciech Wiśniewski: *Rozmowa z Józefem Rybickim* ... 171

RECENZJE

- Marian Marek Drozdowski: *Dramat Stanisława Augusta Poniatowskiego* 181
Andrzej Werblan: *W sprawie tzw. wspomnień Władysława Gomułki* 189
Andrzej Chwalba: *Józef Piłsudski a pamiątki* 192

OKRUCHY HISTORII

- Alicja Iwańska: *Na trasach* 202
Zbigniew Małecki (opr.): *Notatki R.E. Urbańskiego* 208
Piotr Daszkiewicz (opr. i tłum.): *Jean-Emanuel Gilbert. Pierwszy Ogród Botaniczny na Litwie* 219

POLEMIKI

- Zbigniew Dobrzyński: *Polemika z recenzją jego książki „Obrządek słowiański w dawnej Polsce” A. Kulika (Zeszyty Historyczne nr 103)* 228
Kazimierz Karnkowski: *Kilka uwag o znaczeniu historycznym książki Zb. Dobrzyńskiego „Obrządek słowiański w dawnej Polsce”* 231

LISTY DO REDAKCJI

- Jerzy Adamczyk: *Uzupełnienia informacji o działalności wywiadowczej płk. Michała Rybikowskiego (w związku z listem Józefa Lewandowskiego, ZH nr 103)* .. 232
Tadeusz Dubicki: *Uzupełnienia i sprostowania do wspomnień płk. Zygmunta Wendy (ZH nry 98-101)* 233

Joachim Getzel: <i>Kilka wyjaśnień i uwag w związku z artykułem Walentyny Najdus-Smolarowej „Lwów obecnie”</i> (ZH nr 103)	234
Zbigniew Kończacki: <i>Sprostowania do artykułu „Lwowska Młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937-1939”</i> (ZH nr 103)	235
Andrzej Suchcitz: <i>Sprostowanie do artykułu „W cieniu Kapitolu”</i> (ZH nr 103)	236
Tadeusz Wyrwa: <i>Sprostowanie do recenzji pt. „Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w sierpniu 1939”</i> (ZH nr 102)	236
Władysław Żeleński: <i>Kilka słów o postawie gen. Andersa wobec dezercji Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie (p. dokumenty ogłoszone w ZH nr 103)</i>	236

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 28 MAI 1993
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1993

N° d'imprimeur : 1546

PHOTOCOMPOSITION
AKTIS S.A.R.L.
42, AVENUE DE WAGRAM
75008 PARIS

